



Rozwód
To nie zdrady
bolią
najbardziej
▶ 4



Cher:
Nie lubię
wychodzić,
bo teraz
wszyscy mają
aparat ▶ 28



WYSOKIE OBCASY
**Martyna
Wojciechowska:**
Każdy ma
swoją Everest

FOT. GETTY IMAGES, XAVIER COLLIN/PA



MAGAZYN

wyborcza.pl

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

WŁODZIMIERZ CZARZASTY:
**Przeżyjemy każdego
prezydenta** ▶ 7

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydawnictwo
wyborcza
Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



**Co myśli
neurochirurg**
o elektrycznych
hulajnogach ▶ 20

**Nie kolekcjonuję
wrażeń**
Stawiszyński
w podróży ▶ 32

**Aquapark
Wenecja**
Strajki się udały.
A sztuka? ▶ 34

**Muzeum
polskiego
futbolu**
Co by tam było ▶ 43

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

Sobota – czwartek, 16-21 maja 2026 | Redaktorka prowadząca Ewa Wiczorek | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 113.11212.1

Nakład 71 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl ad20a82b2f



*Pierwszy projekt związków partnerskich
przypada na rok 2003.*

*To rok, w którym poznałem się z moim
mężem, w piętnastą rocznicę spotkania
wzięliśmy w Londynie ślub i naprawdę
po ponad dwóch dekadach
wystarczy tego czekania*

JACEK DEHNEL

cała polemika z Marcinem Matczakiem na wyborcza.pl/magazyn

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl**

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez cały weekend*

82Y4SG5

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 16-17.05.2026 r.

**W poniedziałek
„Duży Format”**



**DODA:
NA PIĘĆDZIESIATKĘ
CHCIAŁABYM ŻYĆ
INACZEJ**

Nie miałam szczęścia w miłości. Czterech moich byłych weszło teraz w komitywę i wypowiadają brednie na mój temat. Dwóch się nie zgodziło

Marcin Wójcik pyta, co ma Doda za uszami

Andrzej rysuje



Wielowieyska



Premier Donald Tusk zwołał w poniedziałek naradę w sprawie ucieczki Zbigniewa Ziobry. Gromy spadły na głowę ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka. Dlaczego? Bo wiele wskazuje na to, iż fakt, że za wiceprezesem PiS nie został wydany Europejski Nakaz Aresztowania, co ułatwiło politycznym przyjaciółom z Waszyngtonu ewakuację byłego ministra sprawiedliwości do Stanów Zjednoczonych.

Ale inni ministrowie też byli na cenzurowanym u premiera. Uczestnicy spotkania przerzucali się winą za tę sytuację. Czy którykolwiek z członków rządu poniesie konsekwencje? „Nie wykluczam” – mówi jeden z moich rozmówców. Wiele zależy od tego, jak zakończy się sprawa prawej ręki Ziobry, Marcina Romanowskiego, współodpowiedzialnego za wyprowadzenie gigantycznych kwot z Funduszu Sprawiedliwości.

Już w niedzielę, a więc w dniu, w którym pojawiła się informacja o ucieczce Ziobry, pisałam w „Wyborczej”, że wiza została mu wydana na osobiste polecenie Donalda Trumpa. Bo wcześniej i ambasador USA w Warszawie Tom Rose, i sam sekretarz stanu Marco Rubio byli temu przeciwni. Rose nawet powiedział to wicepremierowi i szefowi Ministerstwa Spraw Zagranicznych Radosławowi Sikorskiemu.

Tymczasem Romanowski, za którym ENA zostało wystawione, z Ziobrą nie pojechał. PiS-owskie media suflują, że i on jest w Stanach, ale nikt – także moi rozmówcy – nie potwierdza tej informacji. Może to być próba zmylenia tropów, a Romanowski czeka gdzieś ukryty, na przykład w Serbii, ponieważ starania o amerykańską wizę dlań cały czas trwają. Wiadomo, że były wiceminister sprawiedliwości już raz – jeszcze za rządów Orbana – złożył wniosek o wizę i dostał decyzję odmowną. Właśnie dlatego, że wystawiono za nim ENA. Ale niewykluczone, że Trump w końcu przyjmie i jego.

Tymczasem Ziobro nasmiewa się teraz z polskiego rządu, siedząc w Waszyngto-

nie. Jego człowiek, Sebastian Kaleta, chichocze na korytarzu sejmowym, wskazując, że ekipa Tuska jest nieudolna. A najzagorzalsi sympatycy PiS i media żyjące w symbiozie z partią Jarosława Kaczyńskiego pochylają się nad lękiem Ziobry, że polski sąd urządziłby mu proces pokazowy na polityczne zamówienie Koalicji 15 Października. Tyle skąd przekonanie, że Ziobro nie będzie miał sprawiedliwego procesu, skoro większość sędziów została powołana lub awansowana przez prezydentów z PiS?

Dość to wszystko – delikatnie ujmując – niesmaczne, biorąc pod uwagę, że sztab prawników pracuje na rzecz Ziobry za pieniądze piramidy finansowej Zondacrypto i przestępców, którzy sporo mają za uszami. A sam Ziobro będzie brał pieniądze od telewizji Republika, która od Zondacrypto zgarnęła 30 milionów złotych. Ma się czym PiS szczycić.

Gniew Tuska może być uzasadniony, lecz to, że procedury długo trwają, jest też efektem działania obrońców Ziobry. W każdym praworządnym kraju obrońcy mają możliwość opóźniania postępowania w granicach prawa. Sądy też działają swoim rytmem. Pozostaje pytanie: dlaczego ENA nie zostało wydane? Mariusz Jąłoszewski z Oko.press przeszedł krok po kroku te procedury.

Na początku lutego Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa zgodził się na tymczasowe aresztowanie byłego ministra. Miał być umieszczony nie w areszcie, lecz w zakładzie leczniczym. Wydał list gończy, który obowiązuje na terytorium Polski. Zaraz po tej decyzji prokuratura złożyła do Sądu Okręgowego w Warszawie wniosek o wydanie ENA, ale do dziś nie ma decyzji i nie wiadomo kiedy będzie. To są dwa równoległe postępowania: jedno dotyczące ENA, drugie dotyczące zatrzymania Ziobry na mocy decyzji sądu rejonowego, na którą to decyzję obrońcy złożyli zażalenie. O ile w przypadku Romanowskiego sędzia Dariusz Lubowski z warszawskiego sądu okręgowego błyskawicznie wystawił ENA, nie czekając na rozpatrzenie zażalenia, tak teraz sędzia Joanna Grabowska – wylosowana do sprawy ENA dla Ziobry – czeka.

Lubowski to ten sędzia, który wydał ENA, zgodnie z wnioskiem prokuratury dwukrotnie uzupełniał

Czemu w sprawie afer

Ziobro ma

Prokuratura dopiero teraz zorientowała się, co łączy sędzię od sprawy



ten nakaz o kolejne zarzuty, po czym nagle zmienił zdanie i ogłosił, że w Polsce jest „kryptodyktatura” i ENA wobec Romanowskiego cofnął. Prokuratura wystąpiła o odsunięcie go od orzekania, a kolejny sędzia ENA potwierdził.

Jak to możliwe, że Lubowski zmienił zdanie o 180 stopni w ciągu roku? Okoliczności podejmowania decyzji i potem potwierdzania jej przez Lubowskiego w związku z dodatkowymi zarzutami dla Romanowskiego w sierpniu i październiku 2025 były podobne. Jedyna fundamentalna zmiana, jaka nastąpiła, to fakt, że wybory prezydenckie wygrał Karol Nawrocki.

Także w służbach jest dywersja i ustawianie się pod PiS i prezydenta Karola Nawrockiego. W zasadzie należałoby je rozwiązać i budować od nowa – słyszę od rozmówcy z obozu Koalicji 15 Października

To znaczące, bo duża część wymiaru sprawiedliwości sprzyjająca PiS, zarówno w prokuraturze, jak i w sądownictwie, zaczęła od czasu wyborów prezydenckich stawiać bierny opór, stosować coś w rodzaju strajku włoskiego – albo z powodu silnych przekonań ideologicznych i partyjnych, albo ze strachu przed odwetem, gdyby PiS wrócił do władzy.

A wiadomo, że środowisko Kaczyńskiego jest brutalne wobec ludzi, których uznaje za wrogów. Repre-

PiS sądy są z kartonu

dobrą pamięć

ENA dla byłego ministra sprawiedliwości z jego pracodawcą



sje wobec sędziów i prokuratorów w ciągu ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy były na porządku dziennym – i nie ograniczały się do działań w białych rękawiczkach w rodzaju przenosin na odległe placówki, degradacji i innych sztywnych formalnie zgodnych z prawem. Jedną z brudnych metod polegała na wyciąganiu z teczek informacji dotyczących życia prywatnego i organizowanie hejtu w sieci na bazie tych informacji. To spotkało między innymi Żurka.

Strach przed PiS, przed decyzjami Nawrockiego i przed pamiętliwością samego Ziobry sprawia, że brakuje odważnych sędziów, którzy chcą w tej sprawie podejmować decyzje.

Rozpatrzenie zażalenia się ślimaczy, nawet nie dotarło do sądu kolejnej instancji. Bo obrońca Ziobry, mecenas Bogumił Zygmunt, nie podpisał swojego zażalenia. Sąd musiał wezwać go do uzupełnienia braków formalnych. Ale adwokat nie odebrał od razu pisma z sądu. Dopiero w ostatnim terminie – po 14 dniach – odebrał awizo. Potem miał jeszcze 7 dni na uzupełnienie braku. A trzyosobowy skład sądu okręgowego w Warszawie w tej sprawie ma zebrać się dopiero we wrześniu. Choć zgodnie z kodeksem postępowania karnego sąd odwoławczy ma 7 dni na rozpoznanie takiego odwołania, ten termin jest instrukcyjny.

To, że sędziowie się boją, pokazuje sekwencja zdarzeń. Najpierw z postępowania chciał wyłączyć się sędzia referent, przekonując, że jest sędzią delegowanym i ma małe doświadczenie w takich sprawach. Nie został wyłączony. Za to potem wyłączono innego sędziego z tego składu

• **Wywiad z nowym i zaskakującym komentatorem z USA Zbigniewem Ziobro w Telewizji Republika. 10 maja 2026 r.** FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

(z powodów zdrowotnych). Teraz nastąpi sezon urlopowy. Nie ma jednak pewności, że we wrześniu sąd wyda ostateczną decyzję o areszcie. Prokuratura zwróciła się do sądu z wnioskiem o przyspieszenie rozprawy. Sąd odmówił, tłumacząc się nawalem pracy. W innych sądach też odbywają korowody, byle by tylko uniknąć orzekania na przykład w sprawie posła Dariusza Mateckiego, pisowskiego zagończyka, który ma zarzuty związane z Funduszem Sprawiedliwości i Lasami Państwowymi.

• Czy sąd z wydaniem ENA będzie czekał na wydanie ostatecznej decyzji o areszcie? Czyli aż do jesieni? Łubowski w pierwszej odsłonie swojej decyzji nie czekał. Ale teraz jest to możliwe.

Procedury i tok postępowania są tak zagmatwane, bo obrońcy Ziobry składają wszelkie możliwe zażalenia albo wnioski o wstrzymanie rozpatrywania sprawy. W takim gąszczu trudno się roznieść.

A co gorsza, dopiero w maju prokuratura się zorientowała, że sędzia Grabowska ma akcje TV Republika, co i wcześniej, teraz zaś szczególnie – telewizja Tomasza Sakiewicza zatrudniła Ziobrę jako komentatora – wskazuje na brak jej bezstronności akurata w tej sprawie.

Pytanie, dlaczego doświadczenie w takich sprawach. Nie został wyłączony. Za to potem wyłączono innego sędziego z tego składu

dzie rozpatrzone dopiero we wrześniu? I jak to się dzieje, że prezeska sądu okręgowego zmieniła się już za czasów Koalicji 15 Października, a organizacja pracy tam potężnie kuleje?

Nie chodzi o to, aby wpływać na orzeczenia sędziów. Chodzi o to, by w ogóle do tych rozstrzygnięć dochodziło – a to jest już sfera organizacji pracy sądu.

Obecna ekipa rządząca uważa, że nie tylko w sądach i w prokuraturze jest bierny opór i panuje zasada, by nadmiernie się nie wychylać. – Także w służbach jest dywersja i ustawianie się pod PiS i prezydenta Karola Nawrockiego. W zasadzie należałoby je rozwiązać, i budować od nowa – słyszę od jednego z rozmówców. Funkcjonariusze w wielu przypadkach są lojalni wobec PiS, a nie wobec państwa polskiego.

Sytuacja wygląda więc następująco: prokuratura chciała stawić zarzuty dwóm posłom PiS. W przypadku Romanowskiego procedury jakoś – nie bez zgrzytów – ale zadziałały. Ale w przypadku Ziobry mechanizm się załamał. Może to dlatego, że Nawrocki wygrał wybory. To fundamentalny powód do zaniepokojenia stanem wymiaru sprawiedliwości.

Krytycy rządu twierdzą, że postępowanie wobec Ziobry i Romanowskiego jest motywowane politycznie. Ale w sprawach o areszt lub ENA mamy decyzje niezależnego sądu. Pojawiają się też głosy, że rząd Tuska zajmuje się rozliczeniami, że chce zemsty. Lecz zarzuty o wyprowadzanie pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości są naprawdę poważne. Jeżeli władza nie doprowadzi do rozliczeń, jeżeli oskarżeni politycy nie staną przed sądem, jeśli nie zostanie stworzona możliwość, aby niezależny sąd ocenił oskarżenia, w społeczeństwie utrwalą się przekonanie, że politycy niby się kłócą, ale chronią siebie nawzajem, a ich chronią struktury państwa lojalne wobec tej czy innej partii, nie wobec państwa i interesu publicznego.

To najbardziej demoralizujące przeświadczenie. Bo prowadzi do postawy „wszystko jedno, którzy rządzą”, a co gorsza, sprawia, że ludzie tracą poczucie wpływu na życie publiczne. A wtedy przestają zamykają się w prywatności, przestają interesować stanem państwa i w dniu wyborów zostają w domu. • **Dominika Wielowieyska**

REKLAMA

Kraj/34432344

Fantastyczna wycieczka przez malownicze zakątki Anglii ze spektakularnym wybrzeżem, urokliwymi wioskami i owianymi legendami zamkami i skarbami kultury.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Londyn.

Okrągły stół króla Artura w Winchester i plaże Bournemouth.

Dz. 2 Bournemouth – wzniosła wyspa Dartmoor i kamień runiczny – Newquay. Dz. 3 Wyspa pływowa St. Michael's Mount – Penzance

– Lands Ends czyli kraniec Ziemi – St. Ives. Dz. 4 Zamek Tintagel, wizyta na farmie cydru, ogród botaniczny Eden Project i Torbay.

Dz. 5 Pociąg parowy z Paington do Kingswear. Rejs statkiem do Dartmouth Agathy Christie. Dz. 6 Torbay – skamieliny na Wybrzeżu

Jurajskim – Lyme Regis – Bristol. Dz. 7 Bristol – Bath z listy UNESCO. Podróż powrotna z Londynu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 28/07, 22/09 2026 | od 7.298,-

Pełna przygód podróż do jednego z najbardziej fascynujących i tętniących życiem miast na świecie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot do Nowego Jorku, USA.

Dz. 2 Nowy Jork, Brooklyn Heights, Wall Street, Ground Zero i Most Brooklyński. Dz. 3 Nowy Jork, Uptown z Upper West Side, Muzeum Historii Naturalnej, Central Park i Muzeum Guggenheima.

Dz. 4 Nowy Jork, Downtown z Flatiron Building, Greenwich Village, SoHo, Little Italy (Małe Włochy) i Chinatown (Dzielnica Chińska). Dz. 5 Nowy Jork, Midtown z Empire State Building, Rockefeller Center, Fifth Avenue i rejs do Statuy Wolności i Ellis Island. Dz. 6 Nowy Jork.

Czas wolny i powrót do domu. Dz. 7 Przelot do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 30/07, 03/09, 15/10, 10/12 2026

15/04, 29/04, 20/05, 17/06, 15/07, 09/09, 30/09 2027 | od 8.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.

Kod reklamy: CW18

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

WAŻNY TEMAT



Protokół
końca
miłości

W aktach rozwodowych najbardziej poruszające nie są wcale zdrady, zdjęcia, billingi

Artur Nowak

Elizabeth Gilbert w „Jedz, módl się, kochaj” przywołuje żart z „New Yorkera”: „Jeśli naprawdę chcesz kogoś poznać, rozwiedz się z nim”.

Sama odwraca tę myśl jeszcze boleśniej: „Jeśli chcesz kogoś przestać znać, też musisz się z nim rozwieść”. I to jest ciekawe, bo przecież kilkadziesiąt stron dalej, w tej opowieści o wielkiej podróży przez życie, Gilbert pisze o miłości jako o całkowitym samozatruceniu.

„Żeby mieć problem granic, trzeba najpierw mieć granice” – zauważa z gorzką autoironią. Kiedy kochała, stawiała się – jak sama to ujmując – „bloną przepuszczalną”. Oddawała wszystko: czas, uwagę, pieniądze, rodzinę, psa, nawet symboliczny „czas psa”.

Brała na siebie cudzy ból, cudze długi, cudze lęki, cudzą niepewność. Przenosiła na ukochanego dobre cechy, których on sam w sobie nie zbudował, obdarowywała jego rodzinę, obiecywała słońce i deszcz, a jeśli akurat nie mogła ich dać od razu, gotowa była zagwarantować je na przyszłość.

Prezydent chce obowiązkowej ceremonii rozpadu

To jest właściwie gotowy opis nie miłości, lecz emocjonalnego bankructwa przedstawianego przez lata jako oddanie.

Człowiek znika w drugim człowieku, a potem dziwi się, że po rozwodzie nie potrafi już rozpoznać ani jego, ani siebie.

Bo rozwód nie tylko odsłania prawdę o współmałżonku. Trudno ogarnąć się po zrobieniu bilansu: jak wiele oddaliśmy w imię miłości – i jak niewiele zostawiliśmy dla siebie.

Wydawałoby się, że ludzie poobijani osobistą klęską rozpadu związku zasługują na to, by koniec ich związku nie dostarczał im dodatkowych cierpień.

Ale prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę o tzw. szybkich rozwodach – rozwiązanie, które miało pozwolić rozstać się przed urzędnikiem stanu cywilnego tym małżonkom, którzy nie mają wspólnych małoletnich dzieci, nie spierają się o winę, alimenty ani opiekę i zgodnie twierdzą, że ich małżeństwo się skończyło.

Uzasadnienie brzmiało podniośle: małżeństwa nie wolno sprowadzać do administracyjnej formalności, państwo ma chronić rodzinę, łatwiejszy rozwód obniży rangę instytucji.

W prostszym języku znaczyło to mniej więcej tyle: wydaje się wam, że jesteście dorośli, świadomi i cywilizowani? Że skoro nie macie dzieci, nie chcecie wojny i umiecie zgodnie powiedzieć „koniec”, państwo powinno wam zejść z drogi?

Otoż nie. Macie jeszcze odbyć obowiązkową ceremonię rozpadu. Przed sądem, w kolejce, czekając, bo nad waszą prywatnością nadal ktoś sprawuje symboliczny nadzór.

Trzeba być naprawdę naiwnym, przypuszczając, że utrudnienie procedur rozwodowych cokolwiek tu zmieni. Rozwód to skutek nieudanej relacji, której nie da się uratować żadnym przymusem. Aż ciśnie się na usta cytaty z „Pana Tadeusza”, mówi Telimena: „Bo serce nie jest sługa, nie zna, co to pany, / I nie da się przemocą okuwać w kajdany”.

Dwie równoległe wersje tego samego życia

Co jakiś czas robię porządki w papierach. To już nie dziesiątki a setki spraw, ludzkich historii zamkniętych w teczkach, opisanych sygnaturami, ułożonych według kategorii, dat, nazwisk i porządków, które miały udawać, że da się uporządkować ludzkie życie.

Chronologia bez zarzutu. Najpierw pozew, potem odpowiedź, potem zabezpieczenie, dowody, zdjęcia, rachunki, opinie, protokoły. Wszystko na swoim miejscu. Tylko człowiek nigdy nie był na swoim miejscu.

Najwięcej było rozwodów. Po kilkunastu latach prowadzenia kancelarii człowiek zaczyna dostrzegać pewne prawidłowości. Widać metody sędziów, odruchy pełnomocników, kalkulacje stron. Widać też powracające źródła katastrofy: urażoną dumę, zdradę, nudę, głód uznania, samotność przeżywaną we dwoje, nieprzebaczone upokorzenia, które przez lata leżą cicho jak szkło pod dywanem.

Uderzyło mnie, ile obrazów produkuje dziś rozpad miłości: intymne zdjęcia, a nawet nagrania aktów seksualnych.

Filmiki robione ukradkiem przez kochanków, którzy w chwili namiętności nie myślą jeszcze, że za jakiś czas ich ciała staną się załącznikami do pozwu.

Do tego rachunki od detektywów, wydruki połączeń, billingi, wiadomości, lokalizacje, rzuty ekranu, fotografie hotelowych paragonów i cudzego szczęścia przyłapanego w obiektywie. W jednej ze spraw detektyw oferował sądowi w poczet materiałów dowodowych użyte prześcieradło, które pozyskał operacyjnie po wycieczkach kochanków.

Wobec zdrady reagujemy różnie. Jedni pośpiesznie odchodzą, bez potrzeby rozdrapywania wspomnień, jakby chcieli czym prędzej zapomnieć i zrobić miejsce na to, co nowe.

Inni chcą igrzysk, chcą winy, godząc się na kosztowny, wyniszczający proces. Najczęściej powoduje nimi nie tyle gniew, ile zemsta. Wobec adwokatów bywają niezwykle hojni. Bo tu nie sprzedaje się już tylko pozwu. Sprzedaje się poezję pomilowaną elegię.

Klient przychodzi nie tylko z pytaniem, czy da się zakończyć małżeństwo. On pyta: Czy człowiek z żelaznym orłem w koronie zawieszonym na szyi potwierdzi jego opowieść i postawi kropkę pod orzeczeniem, które wreszcie nazwie jego krzywdę po imieniu?

Dzisiejszy rozwodnik ma ponad czterdzieści lat, kredyt, dziecko w szkole, starzejących się rodziców, konto w banku, historię chorób, wspólne wakacje zapisane w chmurze

W aktach rozwodowych najbardziej poruszające nie są wcale najostrzejsze słowa. Nie zdrady, nie rachunki z hoteli, nie zdjęcia, nie billingi. Najbardziej poruszające są dwie równoległe wersje tego samego życia.

W jednej wersji on „całe życie pracował na dom”. W drugiej – nigdy go w tym domu naprawdę nie było. W jednej ona „ciągle się czepiała”. W drugiej – przez lata prosiła o rozmowę i w końcu przestała. W jednej zdrada była przyczyną rozpadu. W drugiej – tylko ostatnim zdaniem książki, która od dawna była napisana. W jednej ktoś „zniszczył rodzinę”. W drugiej ktoś wreszcie przestał udawać, że rodzina jeszcze istnieje.

Sąd musi z tych opowieści zrobić ustalenia faktyczne. Musi zamienić życie na punkty: kto, kiedy, gdzie, co powiedział, kto zapłacił, kto odebrał dziecko, kto nie wrócił na noc. Ale prawda małżeństwa rzadko mieści się w punktach. Bardziej przypomina zapach w mieszkaniu po awanturze. Wszyscy wiedzą, że coś się stało, ale trudno to włączyć do materiału dowodowego.

Ludzie mogą wiele stracić, byleby urzędowo ustalić, kto zniszczył wspólne święta, wakacje, sypialnię, niedzielę u rodziców i ten cholerny kredyt.

Człowiek czasem potrzebuje nie wyroku, tylko świadka własnego bólu. Niestety, zazwyczaj nie dostaje niczego.

Adwokat, czyli wodzirej na stypie

Przyczyny są banalne. Sąd najchętniej chciałby sprawę zakończyć szybko, bez awantury, bez piętnastu świadków od tego, kto pierwszy przestał wynosić śmieci i kto komu powiedział przy dziecku: „Twoja matka zawsze była taka sama”. Adwokat – przynajmniej ten rozsądny – wie, że nadmiar teatralności może klientowi zaszkodzić. I tylko klient często chce widowiska.

Adwokat – mawia moja znajoma, która nie wychodzi ze spraw rozwodowych od niemal pół wieku – w sprawach rodzinnych bywa trochę jak wodzirej na stypie.

Musi wyczuć, co podawać, ile żaloby, ile gniewu, ile godności, a ile cepelii.

Za mało emocji – klient pomyśli, że mecenas śpi. Za dużo – sędzia może ukarać klienta w wyroku, choć oczywiście nikt tego tak nie nazwie.

Oficjalnie Temida jest ślepa. Nieoficjalnie widzi, kto ją wkurza.

Sędzia, który przez cały proces robił pokerową minę i udawał, że jest ponad grę na pograniczu faulu tego pyskatego papugi – wystawi mu pośrednio rachunek w wyroku, który bezpośrednio zabolii jego klienta, co zrozumiałem po latach.

Między stronami czasem wystarczy iskra. Mądry sędziowie są wyculeni na ten moment, kiedy na iskry warto wylać wiadro wody. Potem już nikt nie pamięta, kto zaczął. Klient nie chce bon motów ani grzecznych form. Chce wiedzieć, kto komu mocniej oddał. Nagle eleganckie togi okazują się tylko bardziej cywilizowaną wersją skór z jaskini.

Oczywiście można się śmiać z tej procesowej zawziętości, z tych świadków, z tych wieloletnich batalii, z tych klientów, którzy chcą sądowego glejtu na własną niewinność. Ale jest chyba coś ważnego w zdaniu, które usłyszałem od rzeczonyżej wyżej koleżanki: nie jesteśmy tylko od chłodzenia emocji. Czasem jesteśmy od tego, żeby je potraktować poważnie. Bo to nie jest jakaś tam sprawa, ale kawałek czyjegoś życia z łzami, niedającym się opisać szczęściem, bycia razem na dobre i na złe.

Między „potraktować emocje poważnie” a „nakarmić nimi proces przez pięć lat” biegnie cienka granica, którą w polskim sądzie da się przekroczyć dość łatwo. Ale w jej postawie jest coś uczciwego: jeśli już mamy ustalić winę za rozkład pożycia małżeńskiego, nie ma sensu udawać, że rozwód to administracyjna korekta stanu cywilnego.

Z adwokatami od tych spraw jest trochę jak z książkami: nie zawsze stają się popularni dlatego, że są najlepsi, lecz dlatego, że wypada ich mieć. W sprawie rozwodowej ktoś poleca: „Weźmie pani Nowaka” – bo da oparcie; albo: „Tylko Kowalska” – potrafi walczyć. To nie jest już tylko pomoc prawna. To marka emocjonalna: od empatii po zawziętość graniczącą ze zwykłym chamstwem. No ale jak się ludzie piszą na tę świętą wojnę, muszą się liczyć z fajerwerkami.

Sprawy rozwodowe trwają czasem latami, a czasem piętnaście minut. Dawniej – mówię to bez przesadnego sentymentu, raczej z prostego szacunku dla tego, co między ludźmi bywało – na takie sprawy wyznaczano więcej czasu.

Stary adwokat – jeden z tych, którzy jeszcze pamiętali sale sądowe pachnące kurzem, pastą do podłogi i papierosami wypalanymi w korytarzu – powiedział mi kiedyś, że dawniej rozwód miał w sobie coś z pogrzebu.

Nie dlatego, że ludzie byli ślachetniejsi. Nie byli. Tak samo zdradzali, kłamali, pili, ponizali się nawzajem i prowadzili domowe wojny. Ale sąd zachowywał się tak, jakby rozumiał, że kończy się pewna całość, nie tylko stan cywilny.

– Kiedyś sędzia pytał: Czy naprawdę już nic nie da się zrobić? Dzisiaj częściej pyta: Czy strony podtrzymują stanowiska?

Miłość i pieniądze

Co widać w statystykach? W dawnych i nowszych zestawieniach według danych GUS około dwóch trzecich powodów rozwodowych składają kobiety.

Można to oczywiście opowiedzieć na tysiąc sposobów. Że kobiety szybciej dojrzewają do decyzji. Że częściej dźwigają emocjonalną księgowość związku. Że to one wcześniej widzą, iż w domu od dawna nie ma małżeństwa, tylko administracja wspólnego adresu. Że mężczyzna, nawet nieszczęśliwy, potrafi latami tkwić w układzie, który jest dla niego wygodny, bo ktoś pamięta o lekarzu, dzieciach, obiedzie, rachunkach, urodzinach jego matki i o tym, żeby kupić papier toaletowy.

To tylko statystyka, z której nie wynika bynajmniej, że kobiety częściej przestają kochać. Myślę, że prawda jest inna: że to często one kochały za dwoje i już nie ma z czego.

Jest jeszcze ekonomia, o której w miłosnych opowieściach mówi się niechętnie, bo psuje nastrój. A przecież bardzo często to ona decyduje, czy człowiek w ogóle może odejść. Miłość ma swoje metafory, ale rozwód ma czynsz, ratę kredytu, alimenty, przedszkole, lekarza, benzynę i pytanie, kto zostaje w mieszkaniu.

Kobieta mówi: „Mecenasie, ja bym odeszła pięć lat temu, tylko nie miałam dokąd”. Albo: „Dopiero jak wróciłam do pracy, zobaczyłam, że dam radę”. Czasem pierwszym dokumentem rozwodowym nie jest pozew. Jest umowa o pracę.

Pieniądze potrafią zdemolować małżeństwo, lecz zwykle dlatego, że wcześniej ktoś zbudował z nich hierarchię i ktoś to zaakceptował.

Badania nad rozwodami potwierdzają intuicję z kancelarii: rzadko istnieje jedna przyczyna. Paul Amato, jeden z najczęściej cytowanych badaczy rozwodów, pisał, że w badaniach podłużnych powracają pewne czynniki ryzyka rozpadu: przemoc domowa, częsty konflikt, niewierność, liczba problemów dostrzeganych w relacji, słabe przywiązanie do małżeństwa, niski poziom miłości i zaufania między małżonkami.

To brzmi sucho, ale w życiu układa się w bardzo konkretny obraz. Najpierw ludzie nie ufają sobie w drobiazgach. Potem przestają mówić prawdę o większych sprawach. Potem zaczynają osobno przeżywać lęk, osobno wydawać pieniądze, osobno odpoczywać, osobno marzyć. Zdrada, która w pozwie wygląda jak bomba, bywa w rzeczywistości tylko głośnym hukem po długim osuwaniu się gruntu.

W języku pism procesowych najczęściej pojawia się pojemna formuła „niezgodności charakterów” – najczęściej oznacza lata lekceważenia, samotność, seks zamieniony w obojętność albo brak seksu zamieniony w argument, sarkazm, pogardę, niewysłuchanie, upokorzenia podawane w żartach.

Miłość i statystyka

W ostatnich danych statystycznych najwięcej rozwodów dotyczy małżeństw ze stażem 5-9 lat, potem 10-14 lat. W 2024 roku było to odpowiednio blisko 12 tys. i 10,8 tys. par. Najrzadziej rozpadają się małżeństwa ze stażem 25-29 lat.

Pierwsze lata często jeszcze trzymają się siłą projektu: mieszkanie, kredyt, dziecko, remont, praca, wspólne święta, oczekiwania rodziców, zdjęcia z wakacji, które trzeba pokazać światu. Potem przychodzi codzienność, a wraz z nią prawda. W piątym, siódmym, dziesiątym roku ludzie zaczynają już wiedzieć, czy żyją z drugim człowiekiem, czy tylko obok niego.

Zmienia się też wiek rozvodu. GUS opisuje dziś statystyczną parę dość jasno: kobieta po raz pierwszy wychodzi za mąż około 28. roku życia, mężczyzna żeni się średnio około trzydziestki. Jeśli dochodzi do rozvodu, ona ma około 41 lat, on prawie 44. To jest opowieść o przesunięciu dorosłości: później ślubujemy, później rodzimy dzieci, później się rozstajemy.

W 1990 roku zawierano 6,7 małżeństwa na 1000 ludności. W 2024 roku – już tylko 3,6. Rozwody w tym samym czasie nie eksplodowały tak prosto, jak lubią opowiadać moralści. W 1990 było ich 1,1 na 1000 ludności, w 2024 – 1,5. Kochamy się więc niezmiennie, rzadziej legalizujemy miłość i ostrożniej wchodzimy w instytucję, która kiedyś była oczywistością.

To część większej europejskiej zmiany. Eurostat pokazuje, że w Unii Europejskiej od lat spada liczba małżeństw, a rozwód stał się jednym ze stałych elementów krajobrazu społecznego. W 2024 roku w UE zawarto 1,7 mln małżeństw i orzeczono około 0,7 mln rozwodów; współczynnik małżeństw wyniósł 3,9 na 1000 osób, a rozwodów 1,6.

Od 1964 roku surowy współczynnik małżeństw spadł w UE o ponad połowę, a współczynnik rozwodów mniej więcej się podwoił.

To nie znaczy, że Europa przestała tworzyć rodziny. Coraz częściej tworzy je inaczej: później, ostrożniej, czasem bez ślubu, czasem po jednym rozstaniu, czasem w rodzinach patchworkowych. Stary porządek lubił prostą mapę: ślub, dzieci, dom, starość. Nowy porządek przypomina raczej plan miasta po wielu przebudowach. Są na nim objazdy, ślepe uliczki, mosty tymczasowe i miejsca, w których ktoś próbuje zamieszkać po raz drugi.

W 2024 roku zawarto w Polsce około 135 tys. małżeństw, a rozwiodło się około 57 tys. par. To ważna proporcja, ale trzeba z nią uważać. Nie znaczy ona, że „prawie co drugie małżeństwo się rozpada”, bo po-

równuje się tu dwa różne roczniki: tych, którzy właśnie wchodzą w małżeństwo, z tymi, którzy kończą związki zawarte wiele lat wcześniej. Ale jako obraz epoki działa mocno: ślubów jest coraz mniej, rozwodów utrzymuje się dużo.

Dzisiejszy rozwodnik nie jest już koniecznie młodym człowiekiem po nieudanym eksperymencie.

Często ma ponad czterdzieści lat, kredyt, dziecko w szkole, starzejących się rodziców, konto w banku, historię chorób, wspólne wakacje zapisane w chmurze.

To nie jest więc opowieść o pochopności. To częściej opowieść o późnym przebudzeniu. O ludziach, którzy przez lata próbowali, czekali, naprawiali, negocjowali, milczeli, zdradzali siebie albo byli zdradzani, aż w końcu odkryli, że nie są już młodzi, ale jeszcze nie są martwi.

Największa zmiana nie polega jednak na tym, że ludzie częściej się rozstają. Polega na tym, że częściej uważają, iż mają do tego prawo.

**Namówił ją, żeby za jej zgodą
nieruchomości, które kupował,
wchodziły do jego majątku
odrębnego. Twierdził, że tak
będzie bezpieczniej, że tak
trzeba. Ufała mu.**

To jest chyba najważniejsza opowieść o współczesnych rozwodach: nie o rozwiązłości, nie o „upadku rodziny”, nie o tym, że ludzie przestali wierzyć w miłość. Raczej o tym, że przestali uznawać cierpienie za obowiązkowy koszt małżeństwa.

Spółczeństwo, które się rozwodzi, niekoniecznie jest społeczeństwem mniej moralnym. Jest społeczeństwem mniej cierpliwym wobec upokorzenia. Mniej skłonny do uznania, że przemoc, chłód, zdrada albo pogarda są „sprawą prywatną”. Bardziej podejrzliwym wobec zdań: „dzieci muszą mieć pełną rodzinę”, „dla dobra domu trzeba wytrzymać”, „on już taki jest”, „ona przesadza”. Te zdania przez lata działały jak domowy knebel.

Dawniej wiele małżeństw trwało nie dlatego, że były szczęśliwe, ale dlatego, że nie było wyjścia.

Kościół, rodzina, mieszkanie, dzieci, zależność ekonomiczna, wstyd, strach przed opinią sąsiadów, przekonanie, że „każdy tak żyje”. Kobiety zostawały, bo nie miały własnych pieniędzy. Mężczyźni zostawali, bo dom działał. Dzieci zostawały w środku, ucząc się napięcia jak języka ojczystego.

Można oczywiście udawać, że kolejka do sądu ratuje rodzinę.

Filipiny poza Watykanem to jedyny kraj na świecie, gdzie rozwody są zakazane. Spędziłem tam kilka miesięcy: chodziłem do azjatyckich przyjaciół na święta, bywałem na różnych uroczystościach rodzinnych. Zakaz nie uratował miłości. Ludzie budują relacje w nowych związkach, w nowych czterech ścianach z dziećmi z kolejnego związku, zapominając, że formalnie mają męża, żonę.

Najbardziej trująca jest pogarda

Potrzeba było lat, żeby zobaczyć, jak to, co wydawało się niewinne w relacji, potrafi ją niszczyć.

Sarkazm jest jedną z najczystszych form przemocy, jakie zna klasa średnia. To czytelny objaw, który pokazuje, że coś się między ludźmi kończy. Człowiek niby jeszcze zachowuje formę, niby się uśmiecha, niby żartuje, ale w rzeczywistości podaje drugiemu truciznę na łyżeczce.

Psychologowie relacji od lat próbują nazwać to, co adwokaci widzą później w aktach. John Gottman, badając komunikację par, opisywał cztery szczególnie niszczące wzorce

rozmowy: krytykę, pogardę, obronność i mur milczenia. Najbardziej trująca jest pogarda, bo ona nie mówi już: „Zrobilesz coś złego”. Ona mówi: „Jesteś kimś gorszym”. Nie dotyka zachowania, tylko rdzenia osoby.

W sądzie te wzorce wracają jak refren. Ona nie mówi już: „Nie pomagał mi przy dziecku”, tylko: „On zawsze był egoistą”. On nie mówi: „Czułem się odrzucony”, tylko: „Jej nigdy nic nie wystarczało”. Niby to tylko język. Ale w małżeństwie język jest codziennym mieszkaniem. Można w nim postawić stół, zapalić światło, zrobić komuś miejsce. Można też przez lata wybijać szyby.

On drwi z jej seriali, z jej wzruszeń, z jej gustu, najlepiej przy innych. Ona wytyka mu niezdolność znalezienia się w tych wzruszeniach, jego napuszczoną powagę w rozmowach o polityce, jego dziecinność. Wszystko to podsyta pogardą. I nikt już nie pamięta, kiedy skończyła się rozmowa, a zaczęła licytacja na upokorzenia, które – to znamienne – z czasem nie robią już takiego wrażenia.

To właśnie wtedy coś pęka. Nie w chwili zdrady. Nie przy podpisywaniu pozwu. Nawet nie wtedy, kiedy pojawia się ktoś trzeci. Pęknięcie zaczyna się, gdy człowiek przestaje być tym, kim był dla kogoś, kogo kochał, a staje się jego publicznością, sędzią albo karykaturzystą.

I pomyśleć, że mówimy o ludziach, którzy szli ku sobie, czasem naprawdę z wielką odwagą. Zmieniali adresy, porzucali dawne przyzwyczajenia, przedstawiali całe swoje życie, żeby zrobić miejsce drugiemu człowiekowi.

Opowiadali sobie swoje dzieciństwo, swoje porażki, marzenia, wstydy, kompleksy. Byli dla siebie pierwszym czytelnikiem, pierwszym słuchaczem, pierwszym świadkiem. I może właśnie dlatego późniejszy rozpad bywa tak okrutny. Bo odchodzi jedyny świadek wspólnej drogi.

Opowiem o pewnym małżeństwie

Pewne małżeństwo – powiedzmy z Małopolski – zaczęło od niczego. Mieli tylko siebie, kredyt i małe dziecko. Potem jemu trafił się interes życia. Kupił tanio działki, sprzedał je sto razy drożej i przepadł. Wciągnął go sukces. Nie tyle pieniądze, ile stan, który pieniądze dają: poczucie mocy, wyższości, bezkarności.

Coraz częściej wracał do domu zniecierpliwiony. Żona siedziała z dzieckiem, nie miała własnych dochodów, nie miała właściwie żadnej samodzielności. A on coraz wyraźniej dawał jej do zrozumienia, że to on jest światem, a ona zaledwie dodatkiem do jego powodzenia.

Po wódce rozluźniał mu się język i miał jej coraz więcej do powiedzenia. Nie było to słowa mile. Że jest gruba. Że jest głupia. Że do czego się nie nadaje. Potem przyszła przemoc. Już nie symboliczna, nie językowa, tylko zwykła, fizyczna.

Spał z pistoletem. Robił awantury o pieniądze wydawane na dom. Twierdził, że za dwieście złotych dziennie można przecież utrzymać wszystko: dzieci, jedzenie, ogród, sprzętanie, całe życie. Sam żył coraz bardziej wystawnie i coraz brutalniej.

Kilka razy ją pobił. W międzyczasie namówił ją, żeby zgadzała się, by nieruchomości, które kupował, wchodziły do jego majątku odrębnego. Twierdził, że tak będzie bezpieczniej, że tak trzeba. Ufała mu. Nie wnikała. Jak wiele kobiet, które jeszcze wierzą, że małżeństwo nie jest polem minowym, tylko wspólnotą.

Z czasem mieszkali już właściwie osobno, choć pod jednym dachem. On rozbił się Mercedesem wartym prawie milion złotych. Ona modliła się, żeby stary, wysłużony Golf, którym jeździła, nie rozsypał się gdzieś po drodze. Upokarzał ją nie tylko w domu. Robił to także przy gościach, przy dzieciach, przy obcych. Odbierał jej godność drobnymi, powtarzalnymi gestami.

A jednocześnie panicznie bał się, że odejdzie. Bywa tak, że człowiek brutalny nie jest człowiekiem silnym. Przeciwnie – często jest wewnątrznie przegrany. Kiedy mówiła

o odejściu, groził, że odbierze sobie życie. To była kolejna forma przemocy.

Spotkała się wiele razy z adwokatem. Przychodziła, opowiadała, wracała do tego samego, wahała się, ale w końcu doszło do rozvodu. I rzeczywiście było to przedstawienie, tyle że bardzo smutne. Przychodzili świadkowie i opowiadali, jak ten człowiek się zachowywał. A on nie potrafił znieść prawdy o sobie. Robił na sali dokładnie to samo, co wcześniej robił w domu: próbował zakrzyczeć, obrazić, upokorzyć, zagłuszyć cudzy głos własnym wrzaskiem. Dostał kilka grzywnien porządkowych i przegrał.

Ona – z alimentami, z częścią majątku, z odzyskanym spokojem – ułożyła sobie życie od nowa.

Po rozwodzie mogłoby się wydawać, że wszystko wreszcie powinno zacząć się układać. Że kiedy człowiek wychodzi z przemocy, odzyskuje wolność, oddech, własny rytm, to życie zaczyna oddawać dług. W jej przypadku tak się nie stało.

Kilka miesięcy po rozwodzie, właśnie wtedy, kiedy w zasadzie powinna była zacząć cieszyć się spokojem, przyszła choroba. Najpierw serce, potem tarczycza, cukrzyca. Organizm zaczął wystawiać rachunki za lata bycia żoną tego człowieka. Jakby ciało zwolnione z obowiązku walki upomniało się o wszystko naraz.

Kiedyś ludzie się nie rozwodzili

Nie chcę z tej historii robić taniej psychologii. Ale i psychologia, i medycyna dają dziś wystarczająco dużo powodów, by sądzić, że długotrwałe napięcie, strach, upokorzenie i życie w przemocy odkładają się w człowieku głęboko.

Prawo jest wobec takich sytuacji bezradne. Potrafi policzyć alimenty, podzielić majątek, wymierzyć grzywnę za awanturę na sali rozpraw. Nie potrafi jednak osądzić tego, że ktoś przez lata niszczył drugiego człowieka po cichu, systematycznie, dzień po dniu. Sprawcy takich cichych zabójstw na raty bardzo często pozostają bezkarni.

A żyjemy przecież w czasach, w których niemal wszędzie mówi się o jakości relacji, o zdrowiu psychicznym, o granicach, o przemocy emocjonalnej, o wpływie bliskich na codzienność. Ale nasz system prawny jest głuchy wobec tych „odkryć”.

Myszę czasem o tych, którzy się nie rozwiedli. O naszych rodzicach, sąsiadach, wujkach, ciotkach, znajomych z dzieciństwa. O domach, w których alkohol, chłód, złośliwość albo przemoc emocjonalna były zasypywane obiadem, frankami, świętami, czystą łazienką i udawaniem, że wszystko jest w porządku.

Wielu z nich dotrwało. Nie zawsze dlatego, że wybaczyli. Czasem dlatego, że nie mieli języka, żeby nazwać własną krzywdę. Czasem dlatego, że starość przyszła szybciej niż odważyła. Czasem dlatego, że choroba zmieniła tyrana w pacjenta, a pacjentowi łatwiej podać herbatę, niż postawić zarzuty.

Mam dla takich historii dużo szacunku i dużo nieufności. Szacunek – bo ludzie potrafili przejść przez życie mimo wszystko. Nieufność – bo zbyt łatwo robi się z tego cnotę.

Dlatego, gdy ktoś mówi, że „kiedyś ludzie się tak nie rozwodzili”, mam ochotę odpowiedzieć: oczywiście. Kiedyś wielu ludzi także nie mówiło, że są nieszczęśliwi. Nie zgłaszało przemocy. Nie leczyło depresji. Nie opowiadało dzieciom prawdy o domu. Nie miało własnego konta, własnego pokoju, własnego prawa do końca.

Nie idealizuję rozwodów. Widziałem w nich za dużo małości, zemsty, chciwości, teatralnego cierpienia, okrucieństwa wobec dzieci, fałszywych oskarżeń i prawdziwych krzywd używanych jak broń. Ale widziałem też ludzi, którzy po latach wracali do własnego imienia. Kobiety, które pierwszy raz od dawna mówiły pełnym głosem. Mężczyźni, którzy dopiero po rozpadzie uczyli się być ojcami. Dzieci, które po rozwodzie rodziców wreszcie przestały zasypiać w napięciu.

Rozwód nie jest piękny. Ale czasem jest mniej brzydki niż trwanie. ●

KRAJ

WIEM, CO TO ZNACZY
*być bucem
i arogantem*



Marszałek Sejmu dla „Wyborczej”:
Ludzie, cywilizacje, narody muszą mieć przywódców i autorytety, które określają pojęcie dobra i zła

• **Włodzimierz Czarzasty na klatce schodowej w Sejmie. 6.11.2024 r.**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z MARSZAŁKIEM SEJMU
WŁODZIMIERZEM CZARZASTYM
ROZMAWIAJĄ **AGATA KONDZIŃSKA | IWONA SZPALA**

Trafia pana czasem?

– Nie rozumiem.

Cholera, szlag?

– Nie.

A jak ambasador USA Tom Rose mówi, że jest pan zagrożeniem dla relacji polsko-amerykańskich i się temu nie dziwi, bo Czarzasty to komunistyczny aparatczyk?

– Trzymam dystans. Trzeba mieć właściwy, dobry stosunek do narodu amerykańskiego, do Stanów Zjednoczonych, bo to jest interes Polski. I nie przejmować się za bardzo ludźmi, którzy pojawiają się w tej historii. Jedni są rozsądniejsi, innym rozsądku nieco brakuje.

Dzisiejsza Ameryka nie jest dla mnie problemem. Prezydent, niezależnie kto nim jest, musi pamiętać, że każdy dzień to upływająca kadencja. A że demokracja w Stanach mocno stoi na instytucjach, wydaje mi się, że przeżyjemy każdego prezydenta. Nawet tego, który chciałby dostać pokojową nagrodę Nobla...

...Której pan mu nie chciał podziwować.

– Bo bałem się, że jak już podziwuję pokojowego Nobla – wystąpi o Nobla z literatury. A to już ściśle wiąże się z moim zawodem, przez lata byłem przecież wydawcą. Uznałem, że trzeba szybko położyć temu kres, żeby potem się nie tłumaczyć dwa razy.

A jak PiS krzyczy „precz z komuną”?

– To nie robi już na nikim żadnego wrażenia.

Na PiS robi.

– Czyli krzyczą dla siebie. Transformacja, notabene udana, to czas, w którym umowna komuna miała wielki udział. Mówię o Okrągłym Stole. Bez rozsądku obu środowisk nie doszłoby do dialogu. Możliwa alternatywa? Wariant bałkański, czyli bardzo krwawy. Paradoks polega na tym, że dziś o Lechu Wałęsie ja mówię dobrze, a strona solidarnościowa – źle.

Część strony.

– Tak, oczywiście. Ale postawię inne pytanie: czy PiS i Platforma, które przecież wyszły ze strony solidarnościowej, byłyby w tej chwili zdolne zorganizować sobie okrągły stół? Czy jednak łatwiej było o dialog między tak zwaną komuną i stroną solidarnościową?

Po swoim dotychczasowym życiu mogę powiedzieć tak: absolutnie przyznaję rację Solidarności, chwaleb Wałęsę, ale też wiem, co Polscy zrobili Aleksander Kwaśniewski, Stanisław Ciosek, Włodzimierz Cimoszewicz, Tomasz Nałęcz.

Przechodzi pan polityczną weryfikację jak debiutant, a jest pan na scenie od dekad.

– Bo ja młodniej jako polityk dojrzały.

Aha, młodnieje, a poza tym?

– Jak się młodnieje? Cudownie. Zyskałem w rankingach zaufania, na rozpoznawalności.

Ludzie nie żyją podziałami sprzed 1989 roku. Są nowe. Polaryzacja między stroną rządzącą i opozycją, postrzeganie Unii Europejskiej, praw wolnościowych, demokracji i jej instytucji – Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa czy samej konstytucji. Jeżeli ktoś chce budować terazniejszość w oparciu o to, co wydarzało się przed trzydziestu laty – oczywiście może. Ale to nie jest politycznie skuteczne, dlatego takie hasła padają coraz rzadziej.

Szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki nigdy w Sejmie nie pomija komunisty Czarzastego. Oraz oczywiście Tuska, który bratał się z Putinem na sopockim moście.

– No właśnie przestał o tym wspominać. I Tuski, i mnie ostatnio tego brakuje.

Bo zmienił pan regulamin Sejmu i ograniczył występy ministra Boguckiego.

– Nie ja zmieniłem, tylko Sejm, demokratycznie, wniosowała o to komisja regulaminowa.

Tak zupełnie przypadkowo?

– Nie, nie przypadkowo, tylko z powodu wykonywania luk starego regulaminu do prowadzenia pustej bijatyki sejmowej. I tu jest dobry moment, by wspomnieć o wecie marszałkowskim.

Ogłosił je pan w czasie pierwszego orędzia. I wywołał polityczne zamieszanie.

– Walczymy z populizmem, który nie służy Polsce. Jeśli prezydent proponuje projekt za umowne sto miliardów złotych rocznie, a w rubryce „źródła finansowania” pojawia się hasło: niech rząd na to znajdzie pieniądze, to go pytam niezłośliwie, ale w sposób odpowiedzialny: skąd pan chce, żeby te pieniądze przyszły? Może ze służby zdrowia? Wtedy będzie jasne, prezydent uważa, że z 260 miliardów rocznie zabieramy 100. A może z obrony narodowej? Niech pan powie ministrowi Kosiniakowi-Kamyszowi: nie robimy dronów, nie kupujemy czołgów, zabieramy 100 miliardów.

Dwa lata temu uważałem, że lepiej nie tworzyć ustaw, które pójdą pod weto. To było głupie. Trzeba tworzyć ustawy wzmacniające poszczególne grupy społeczne I jeżeli prezydent będzie blokował, to mówić tym ludziom – było rozwiązanie, którego Nawrocki wam odmówił

Nie ma prezydenta, który to powie.

– Ale są politycy odpowiedzialni, bez względu na to, czy piastują funkcję prezydenta. Więc albo pan podchodzi odpowiedzialnie do swojej roboty, albo chce wrzucić ustawę tylko po to, by weszła na trzy godziny pod obrady Sejmu, co pozwoli ministrowi Boguckiemu przyjść, opłuć Tuska i Czarzastego, a na puentę bliski panu klub mógł powiedzieć: „my jesteśmy do brzy, a wy źli”. To nie jest poważna debata polityczna. Stąd weto marszałkowskie z przesłaniem: nie będę procedował pod pana polityczne show, panie prezydencie.

Krytycy mówią, że to nie jest pana rola, że pan cenzuruje i ogranicza debatę, niech decyduje Sejm, nie marszałek.

– A zwolennicy mówią: świetnie pan to robi.

Mówimy o krytykach...

...a wiecie, na czym polega demokracja? Wy wiecie swoje, ja wiem swoje: zero populizmu w Sejmie. Prezydent przyjął model konfliktu, podważania systemu funkcjonowania państwa.

Teraz Karol Nawrocki chce zmieniać konstytucję, choć wszyscy racjonalnie myślący wiedzą, że to nie jest moment. Trzeba mieć dwie trzecie głosów w Sejmie, a dziś taki układ sił nie tworzy się nawet w marzeniach żadnej z partii. Więc co robić z człowiekiem, który przyszedł rozwalać system?

Jako marszałek nie przekraczam żadnych granic. Mówią: prezydenckich projektów nie ma w Sejmie. Ja, jak każdy przygotowuję się do wywiadów...

...będzie statystyka?

– Będzie trochę faktów. Mamy dwadzieścia projektów prezydenckich: jeden uchwalony, jeden odrzucony, siedem w komisjach, trzy czekają na pierwsze czytania na sali posiedzeń, trzy zwrócone z prośbą o uzupełnienie

uzasadnienia, kilka w konsultacjach społecznych, kilka w opiniowaniu przez prawników lub organizacje samorządowe. Jeden przekazany Komisji Weneckiej. Więc to nie tak, że wszystko idzie gdzieś do kosza. Jest poważna rozmowa.

Który z projektów był największym zaskoczeniem?

– Ten, który posłałem do Komisji Weneckiej – w sprawie sędziów, by nie stosowali prawa Unii Europejskiej, nie wykonywali wyroków międzynarodowych sądów pod groźbą więzienia. To coś więcej niż pojedynczy skandal. To sytuacja, którą trzeba wpisać w szerszą perspektywę – pojmowania instytucji państwa. Pomówmy o Trybunale Konstytucyjnym.

Pan Nawrocki uważa, że Trybunał powinien być jego, gotowy do wykonywania poleceń i realizacji planu politycznego. A ja pa-

sami wybraliśmy członków KRS, ale teraz ustawa nam się już nie podoba, to konstytucja jest zła i ją zmienimy?”. No nie. Nie dajmy się zwa-riować.

Nie ma zgody Lewicy na jakąkolwiek zmianę konstytucji. Bo są jeszcze inne powody, żeby konstytucji nie ruszać.

Jakie?

– Art. 75 – Władze publiczne prowadzą politykę sprzyjającą zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych obywateli. Art. 71. – Państwo w swojej polityce społecznej i gospodarczej uwzględnia dobro rodziny. Rodziny znajdujące się w trudnej sytuacji materialnej i społecznej, zwłaszcza wielodzietne i niepełne, mają prawo do szczególnej pomocy ze strony władz publicznych. Matka przed urodzeniem dziecka ma prawo do szczególnej pomocy władz publicznych.

To punkty wprost z lewicowego programu.

– Otóż to.

Prawicowi zwolennicy nowej konstytucji akurat tych punktów nie chcieliby zmieniać.

– A skąd wiecie? Ultraliberal Mentzen raczej by chciał.

Bo to są też założenia z ich programu. PiS to nie Nowa Nadzieja Mentzena, nie są wolnorynkowymi radykałami. Gra idzie o model ustrojowy państwa.

– Jeżeli da się komuś palec, będzie chciał rękę.

Będę cytował dalej: konstytucja gwarantuje prawo do nauki do osiemnastego roku życia, powszechną ochronę zdrowia, minimalną wysokość wynagrodzenia za pracę.

Myślicie, że liberałowie będą chcieli, aby płaca minimalna była nadal obwarowana konstytucyjnie? Ja i Lewica jesteśmy od tego, by bronić dorobku socjaldemokracji.

Dzisiejsza Koalicja Obywatelska to nie jest Platforma Obywatelska sprzed dwóch dekad. Mocno przesunęła ku centrum, zyskała wizerunek partii bardziej wrażliwej społecznie.

– Nic się nie przesunęło. Pod względem obyczajowym liberałowie nie są liberałami i w sprawach wolnościowych mają niestety inne poglądy niż Lewica. Dlatego kobiety wciąż nie mają pełni praw, środowiska LGBT podobnie. Ale w tej ostatniej sprawie, dzięki naszemu uporowi dokonał się mały, ale ważny krok – małżeństwa jednopłciowe zawarte za granicą, będą w Polsce wreszcie legalne. Idziemy ku pełnemu równouprawnieniu miłości.

To jeszcze raz wrócę do konstytucji. Kobieta i mężczyzna mają szczególne prawo do kształcenia, zatrudnienia i awansów, do jednakowego wynagrodzenia. Państwo jest świeckie. Rozumiecie, do czego zmierzam. Obawiam się, że jak ruszymy kwestie sprawiedliwości społecznej, równości, praw mniejszości, to upadną nawet te umiarkowane swobody, które mamy, a prawica może chcieć skończyć ze świeckim państwem

Ale czym się martwić? Przecież chyba nikt po waszej stronie nie chce siedzieć i rozmawiać o konstytucji z Karolem Nawrockim.

– Jeszcze tego nie konsultowałem z kolegami i koleżankami. Ale skonsultuję, wszystko przecież konsultujemy.

Jak na radzie liderów koalicji? Po której Polska 2050 wychodzi i mówi, że chce podwyższenia drugiego progu podatkowego, a minister finansów na to, że nie ma takiego planu.

– O naszych koalicjantach mówię tylko dobrze.

To jest trudny rząd, patchworkowa koalicja. – Proszę, nie wrzucajcie mnie w jakieś klimaty, których nie tworzę. Bo jak zaczynam odbierać sytuację jako atak, to się zmieniam.

W koalicji zrobiliśmy bardzo dużo dobrego. Wspólnie udało się nam załatwić wiele spraw, jestem zadowolony.

miętam, jak za prezesury Andrzeja Zolla Trybunał zajmował się sprawą aborcji i uznał, że nie można przerwać ciąży z przyczyn społecznych. Nie zgadzałem się z tym orzeczeniem, ale je respektowałem. Nigdy bym nie wpadł na pomysł, że profesor Zoll ze względu na swoje poglądy coś wywalił do kosza. Tylko że wtedy Trybunał był instytucją państwową, nie partyjną. A dziś to jest prosta historia: nie oddamy wam władzy ani w Trybunale, ani w Krajowej Radzie Sądownictwa. Trzymamy na tym łapę i wara. A my jako koalicja chcemy przywrócić obu instytucjom ich właściwą rolę. By społeczeństwo miało sędziów, którzy orzekają niezależnie, interpretując konstytucję, opierają się na prawdzie i uczciwości.

Wybrani przez Sejm sędziowie, od których prezydent nie odebrał sędziowskiej roty, wciąż nie są dopuszczeni do orzekania.

– Sędziowie zostali wybrani prawidłowo. Mają mandat do tego, żeby zacząć wykonywać swoje obowiązki. Przestrzegam polityków, w tym siebie, przed jakąkolwiek ingerencją. Sejm zrobił swoje. Rola polityków się zakończyła. Za chwilę Sejm wybierze kolejnego sędziego, proces już się zaczął.

Czy to, co się teraz dzieje na linii Pałac – koalicja, nie jest pretekstem, po który sięga prezydent, gdy mówi: tak się dłużej nie da, trzeba nam nowej konstytucji?

– Ludzie rozsądni uważają, że ta konstytucja jest dobra, wystarczy jej przestrzegać. A do obecnego miszmaszu prawnego doprowadziła ekipa, z której wywodzi się pan Nawrocki.

Czy jako marszałek mam poważnie traktować polityków PiS, którzy najpierw wybierają według własnej ustawy swoich przedstawicieli, na przykład do KRS, a potem tę swoją ustawę skarżą do Trybunału jako niekonstytucyjną? Ludzi, którzy mówią: „w związku z tym, że zanegowaliśmy własną ustawę, według której

Razem chyba trochę mniej

– Różnica między mną i Adrianem Zandbergiem, z którym się przyjaźnię, jest taka, że 95 procent programu obu naszych partii jest zbieżne. Różni nas podejście do tej koalicji. On bardziej nie znosi Platformy niż PiS.

On jest w opozycji, a pan rządzi.

– Mógł rządzić, nie chciał. Jest krytyczny do rządowej większości. Ja także bywam, ale załatwiam sprawy. Jestem skuteczny. On nie. Lewica ma się czym chwalić. Renta wdowia, największy program mieszkaniowy po transformacji, „Aktywny rodzic”, in vitro w formie ustawy, wolna Wigilia, zmiana definicji zgwałcenia, podwyżka zasiłku pogrzebowego. Dalej – ustawa o wliczeniu do stażu pracy działalności gospodarczej i umów cywilno-prawnych. Reforma Państwowej Inspekcji Pracy. 1000 złotych dodatku do pracowników socjalnych. Dłuższy urlop dla rodziców wcześniaków. Program wsparcia inwestycji w domy studenckie. Największy w Europie pilotaż skróconego czasu pracy. 13 ustaw lewicowych. Jesteśmy w trakcie prac nad projektem ustawy o związkach partnerskich, wchodzi w maju na drugie czytanie i trzecie czytanie...

Tylko chyba nie słyszał pan wicemarszałka Zgorzelskiego, który mówi, że to dzięki pani Urszuli Pasławskiej i PSL jest ta ustawa.

– Chwaliłem bardzo mocno naszych przyjaciół z PSL, bez nich byśmy tego nie zrobili. Właśnie tak trzeba działać.

Tylko czy wyborcy widzą te sukcesy. Albo czy widzą je jako również wasze. Bo w sondażach lewica ma 7 procent.

– Trzeba starać się jeszcze bardziej, pracować jeszcze ciężiej, wprowadzać swoje ustawy. W tym roku, dzięki lewicowemu programowi budowy mieszkań, jest budowanych jest około 20 tysięcy mieszkań, w następnym 25 tysięcy, w kolejnym 30 tysięcy. Rentę wdowią w tej chwili odbiera 1,6 miliona ludzi. Jeżeli chodzi o staż pracy, to zarejestrowało się 600 tysięcy

osób. Teraz będziemy walczyli ze śmieciówkami w tych miejscach, gdzie utrzymuje się patologia. Dzięki obecności Lewicy nikt w tym rządzie już nie dyskutuje o ograniczeniu praw pracowniczych. Podobnie jak o wyrzuceniu związków zawodowych z zakładów pracy. A gdybyśmy nie upominali się o prawo kobiet do aborcji, nikt by tego tematu nie podnosił.

Może rolą Lewicy w Polsce jest to, żeby przesuwać granice co rok o 5, 10 centymetrów. Gdyby Robert Biedroń się kiedyś nie wyautoował, to do tej pory wszyscy by uważali te obrzydlistwa, które uważali, na temat społeczności LGBT. Zmieniamy dyskusję, i rzeczywistość, jak wspomniana już transkrypcja. To się dzieje. Za wolno, ale się dzieje i nikt już tego nie zatrzyma.

Zadanie polega na tym, żeby przekonać ludzi, że korzystają z nowych możliwości również dzięki Lewicy. Mamy świadomość, że nie potrafimy do wszystkich dotrzeć. Mamy dystans do siebie i zero arogancji, dojdziemy do tego, co robimy źle. Jeżeli Koalicja Obywatelska utrzyma obecny kurs, podobnie jak Lewica, będziemy na mocnej pozycji. Mamy półtora roku. Jak będziemy mądrzy, to w 2027 roku doprowadzimy do wspólnej większości z KO. Trzymam kciuki za Władka Kosiniaka-Kamysza, żeby odnalazł swoją drogę i żeby do tej grupy doszedł, wtedy będzie super.

Jedna lista? Donald Tusk mówi, że jest otwarty, ale nie będzie nikogo przymuszał

– Już raz poszliśmy z Platformą i z PSL, do eurowyborów, i dostaliśmy w d...

A w 2015 roku Lewica poszła sama. Nie weszła do Sejmu i kto wówczas wygrał wybory?

– A czy wyobrażacie sobie Romana Giertycha na jednej liście z Lewicą?

Nie.

– A dlaczego sobie nie wyobrażacie? Bo jest olbrzymia różnica między Platformą Obywatelską a nami.

Ale ilu Giertychów jest w Platformie?

– Nie o niego samego chodzi, to figura. Dlaczego minister Kierwiński zastanawiał się tak długo nad tym, czy podpisać rozporządzenie formalizujące status par jedнопłciowych? Dlaczego Fundusz Kościelny nadal funkcjonuje? To są różnice między nami, podobnie jak podejście do państwa świeckiego, do spraw wolnościowych.

Zastanawiamy się, która partia bardziej odpowiada na oczekiwania społeczne, skoro Lewica ma 7 procent poparcia, a KO – 31.

– A może jest tak, że jedna partia jest dominująca, a druga nie jest.

A kiedy ostatnio Lewica rządziła w Polsce?

– Lewica nie rządziła przez 18 lat, bo nie zawsze, była mądra. Wypadła z Sejmu przez własne błędy, między innymi tu siedzącego Czarzastego. Ale potrafiła wrócić do Sejmu i wejść do trudnego rządu. To znaczy, że Lewica mądrzej, czy głupiej? Że jest samokrytyczna czy zadufana?

Gdy lewica jest rozsądna – ideowa, realistyczna i niepodzielona – bierze 14 procent. A przecież jest jeszcze umiejętność większego zmobilizowania elektoratu, czego na razie nie bardzo umiemy. Potencjał Lewicy w Polsce to 20 procent. A my wiemy, że możemy być lepsi, że czegoś nie umiemy, szukamy swoich błędów, mamy zdolność ich naprawiania. Gdy w 2015 roku wypadliśmy z Sejmu, byliśmy po eksperymencie z Magdaleną Ogórek i mieliśmy 2 procent. W tej chwili, bez względu na to, jak na nas patrzycie, mamy wicepremiera i ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego, mamy świetną ministrę pracy i rodziny Działową, mamy ministra nauki Marcina Kulaska, sekretarzy, podsekretarzy stanu, wojewodów. Mamy marszałka Sejmu. Ekipę sprawdzoną, rozsądną.

I opozycję na samej lewicy...

– I bardzo dobrze. Bo lewica jest wielobarwna, dlatego są takie partie, jak Razem, jest pani Senyszyn – osobowość wybitna, jest PPS, Unia Pracy, są organizacje pozarządowe,

są różne środowiska i są związki zawodowe...

Potrzebna wam jedna lewicowa lista?

– Tak. Trzeba zrobić wszystko, żeby się dogadać, przeprosić za to, za co przeprosić trzeba, podać sobie rękę, zrozumieć historię. Trzeba rozmawiać, przekonywać, dzwonić do siebie i zwyczajnie uśmiechać ... To jest droga najbliższa mojemu lewicowemu sercu.

Które bije w piersi pochłaniacza książek, ornitologa, akordeonisty, niespełnionego aktora, szklarza nawet...

– Normalnego faceta, który chodził różnymi drogami, raz głupimi, raz mądrymi. Byłem szklarzem przez rok. Kiedyś chciałem iść na biologię i zostać ornitologiem. To pasja, której do tej pory poświęcam dużo czasu. W terenie głównie wiosną, dokształcam się cały czas, jestem członkiem Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków. Lojalnym, oczywiście płacę składki. Natomiast całe życie byłem wydawcą, kocham książki, to jest moje życie. O książkach mogę opowiadać godzinami, robiłem to ostatnio w programie „Kwiatki Polskie” w TVP.

Słabo wyszło...

– To narracja TV Republiki.

Nie tylko. Ten patos, egzaltacja, odśpiewanie marszałkowi „sto lat” na urodziny przy akompaniamentcie orkiestry...

– Mi tam było po ludzku miło. I nie była to żadna ustawka.

I wydawca, i ornitolog, i bardzo zabiegany polityk często muszą być w drodze. To jak pan sobie radzi bez prawa jazdy? Ponoć przed laty instruktor jazdy pana porzucił. Co się zdarzyło?

– Szczerze? Nie byłem najzdolniejszy. Jechałem za autobusem, zacząłem wyprzedzać, a z przciwka drugi autobus. I ten instruktor, zamiast zatrzymać samochód – przecież miał to instrumentarium – spanikował. Jakos cudem nie wjechałem pod ten drugi autobus, stanąłem prze-

Sylwetka Włodzimierza Czarzastego

Od PZPR przez Márqueza i Rywina do drugiej osoby w państwie

Rocznik 60 roku, absolwent dziennikarstwa i nauk politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, do polityki wszedł we wczesnej młodości jako lider Zrzeszenia Studentów Polskich, studenckiej przybudówki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w 1983 roku zapisał się do PZPR, był członkiem partii władzy do samego końca PRL.

Po 1989 roku i przemianie ustrojowej nie wypierał się peerelowskiej przeszłości i nie zmienił środowiska politycznego. Po krótkim epizodzie w ROAD (Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna), ugrupowaniu założonym przez autorytety lewego skrzydła antykomunistycznego podziemia – m.in. Adama Michnika, Władysława Frasyniuka i Jacka Kuronia – wystartował do Sejmu w 1997 roku z list SLD. Bez powodzenia.

Równolegle działał w biznesie. Zebrał doświadczenia menedżerskie jeszcze u schyłku PRL jako szef Alma-Art, dużego – formalnie studenckiego – państwowego koncernu wydawniczo-rozrywkowego, wszedł do wydawnictwa Muza. Był jej współwłaścicielem i prezesem. Oficyna zasłynęła, osiągając na trudnym, konkurencyjnym, zdominowanym przez thrillery, romanse i sensację rynku finansowy sukces dzięki ambitnej ofercie. Muza potrafiła zarabiać i na klasykach literatury w rodzaju Márqueza, Cortázar, Llosy czy Hemingwaya, i na podsuwaniu polskim czytelnikom najgorętszych nazwisk z zachodniego rynku, takich jak Amélie Nothomb czy Arturo Pérez-Reverte, i na ambitnej socjolo-



gii czy antropologii – kultowa dziś seria Spekttrum, a w niej między innymi Fukuyama, Huntington, Benjamin Barber.

Jednocześnie wciąż pozostaje w orbicie polityki. Rządzi SLD, a Czarzasty w 1996 roku idzie do rady nadzorczej Polskiego Radia, trzy lata później prezydent Aleksander Kwaśniewski wysłał go do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji jako swojego przedstawiciela.

Cieniem na jego politycznej reputacji położyła się tak zwana afera Rywina, czyli propozycja korupcyjna złożona przez słynnego producenta filmowego Lwa Rywina kierownictwu Agory. Spółka wydająca „Wyborczą” planowała wówczas zakup Polsatu, a oferta Rywina brzmiała: rezygnacja z rozważanego zapisu w ustawie medialnej uniemożliwiającego posiadanie gazet i telewizji przez jeden podmiot w zamian za prowizję od wielomilionowej transakcji. Sejmowa komisja śledcza badająca aferę wskazywała, że Rywina wysłała tak zwana „grupa trzymająca władzę”, do której mieli należeć: wiceministra

kultury Aleksandra Jakubowska, szef TVP Robert Kwiatkowski i – zdaniem niektórych członków komisji – Włodzimierz Czarzasty z KRRiT. On sam broni się, że nigdy nie spotkał Rywina, nie dostał zarzutów. Afera Rywina okazała się tą, która – obok afery orlenowskiej – na początku nowego stulecia przeorała młodą polską scenę polityczną, marginalizując SLD, jedną z dwóch najważniejszych wtedy partii, i dając paliwo świeżo powstałemu, obiecującemu uzdrowienie kraju PiS-owi.

To też czas działania w stowarzyszeniu Ordynacka. Gromadziło polityków, działaczy, ludzi mediów i nauki wywodzących się z pezetpeerowskiej liberalnej „młodzieży” w rodzaju Marka Siwca, Ryszarda Kalisza, Piotra Gadzinowskiego, Marka Belki.

W 2012 roku Czarzasty wchodzi do polityki. Wpierw zostaje szefem partii na Mazowszu, początek roku 2016 to awans na szefa całego SLD. Dzieje się to tuż po porażce zjednoczonej lewicy, która w 2015 roku nie wchodzi do Sejmu. Choć pod jednym szyldem szły Sojuszy, partia Janusza Palikota, Zieloni i mniejsi lewicowi gracze w rodzaju zasłużonego PPS, zjednoczony blok nie przekracza 8-procentowego progu wyborczego. Bo – komentują politolodzy – partia Razem wystawia osobną listę, która zagospodarowuje 3,6 procent głosów. Zaczynają się rządy PiS. Porażka lewicy daje Kaczyńskiemu samodzielną większość.

Przed kolejnymi wyborami w 2019 roku polityczny krajobraz po lewej ubarwia jesz-

cze Wiosna Roberta Biedronia. By nie powtórzyć klęski sprzed czterech lat, Czarzasty, Biedroń i Adrian Zandberg idą na jednej liście. Zgarniają ponad 12 procent głosów, w Sejmie mają pokazny klub. Czarzasty zostaje wicemarszałkiem, a lewica wraca do gry jako część demokratycznej opozycji przeciwko Zjednoczonej Prawicy.

Po lewej stronie dochodzi do fuzji. SLD i Wiosna łączą się pod jednym szyldem Nowej Lewicy. Razem idzie swoją drogą, lecz w przełomowych wyborach 2023 roku znów wystawiają jedną listę. Nowa Lewica wchodzi do rządu Tuska, Razem odmawia, zostaje na parlamentarnym zapleczu. Po czym wymawia posłuszeństwo Koalicji 15 Października i przechodzi do opozycji. Czarzasty pół kadencji spędza w fotelu wicemarszałka Sejmu, by w listopadzie zeszłego roku przejąć łaskę marszałkowską od Szymona Hołowni. W Nowej Lewicy wygrywa wybory na lidera.

Ciąg dalszy nastąpi? ●

Cała biografia polityczna i osobista marszałka Sejmu na Wyborcza.pl w sylwetce Piotra Gtuchowskiego „Wilki już nie gonią. Upadki i wloty Czarzastego”, wywiadzie Tomasza Kwaśniewskiego „Dzisiaj pewnie do PZPR bym się nie zapisał” i analizie Dominiki Wielowieyskiej „Czarzasty przeszedł metamorfozę. Już nie atakuje, tylko odwraca argumenty przeciwnika”. To i kulisy afery Rywina opisują Agnieszka Kublik z Tomaszem Nałęczem w wywiadzie „»Mówił, że przychodzi w imieniu premiera Millera«. Ta afera uskrzydliła Ziobrę”.

rażony. On otwiera drzwi i spieprza z tego auta. Pamiętam, złapałem go prawą ręką i mówię: „gdzie ty uciekasz”, chociaż nie byłem z nim na „ty”. Zobaczyłem jego przerażone oczy i tak się skończył mój kurs.

Na Maluchu czy jakimś innym peerelewskim samochodzie?

– Na Maluchu na pewno nie, ale na jakim, proszę nie pytać, pamiętam tylko, że samochód też był przerażony. Nie mam do tego w ogóle zacięcia.

Ale łódź motorową pan ma.

– Nie mam, bo właśnie ją sprzedałem.

To musi pan wykreślić z oświadczenia majątkowego.

– Wziąłem za nią bodajże 21 tysięcy złotych, więc to nie była potężna motorówka, formalnie to był jacht. A że w oświadczeniu majątkowym trzeba wpisać nazwę, no to wpisałem: jacht coś tam. Wkrótce dzwonią znajomi: Ty masz jacht? Jaki jacht – teraz ja się dziwię. Oni, że czytali o moim jachcie w gazetach. Tak się rodzą legendy o zbytkach i luksusach dzięki polityce. A gdyby paparazzi się przyłożyli, to by legendy nie było, bo jachtem nie da się robić tego, co robił mój syn. Jest po AWF, ma niesłychane zdolności i wszystkie patenty dotyczące śniegu i wody. Szalał tą motorówką...

Gdzie tak szalał?

– Mazury. Moja ojcowizna jest pod Przasnyszem, ale na Mazurach mam masę rodziny, do której jako dzieciak i chłopak jeździłem. Stąd moja miłość do Mazur, do jezior, do ptaków, które tam żyją.

A teraz, po tym wszystkim, jest pan marszałkiem Sejmu, drugą osobą w państwie, o jedno uderzenie serca od prezydenta, jak to ujmuje Karol Nawrocki.

– To akurat nie było planowane. Wyszło w negocjacjach koalicyjnych.

A skąd wyszedł styl marszałkowania, tak różny od poprzednika?

– Wszyscy widzieliśmy, jaką linię przyjął prezydent. Postawił na urok człowieka z ustawek, z pałką w ręku. Nie na państwowca. Mnie się dobrze współpracuje z panem Tuskiem, źle współpracuje z panem Nawrockim i tyle. Nie widzę w tym żadnych nadzwyczajnych historii.

A ta z wirówką, czyli weryfikacją dającą dostęp do tajnych informacji, nie była nadzwyczajna? Na początku kadencji zapisał się pan do sejmowej komisji do spraw służb, ale nie poddał weryfikacji.

– Może nie byłem ciekawy? Bo co się takiego wydarzyło?

Był pan bohaterem Rady Bezpieczeństwa Narodowego, a prezydent chciał znać pana rzekome rosyjskie powiązania.

– No dobrze, i w czym jest problem?

W tym, że ktoś idzie do komisji, która ma się zajmować supertajnymi rzeczami, ale nie zgłasza do wirówki. I nie wiemy dlaczego. Bo mu się nie chce? Ale jak mu się nie chce, to po co idzie do komisji? Nie przechodzi weryfikacji, bo chce coś ukryć? A jak nie chce, to czemu nie poddaje się sprawdzeniu przez służby?

– Ludzie nie muszą pamiętać, że lata temu przeszedłem postępowanie o dopuszczenie do tajemnic, gdy byłem w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Przyznaję, że to był błąd, że nie poddałem się tej procedurze w komisji do spraw służb. Ale po historii z Rosjanką bizneswoman, którą starano się do mnie przyszyć i pociągnąć nitki do Putina, służby sprawdziły i prześwietliły wszystko – na mój wniosek. Raport poszedł do prezydenta. Prezydent go przeczytał, raport leży u niego od dwóch miesięcy. Nie zajął stanowiska, bo wie, co jest tam napisane. Ja też wiem, bo znam swoje życie. Okazało się, że jestem człowiekiem czystym jak lza.

Kaczyński jest konserwatystą, który oczywiście w rozumieniu demokratów zrobił bardzo wiele złego, ale zwrócę uwagę, że jak Kaczyński traci władzę, to ją oddaje. Nie jestem przekonany, czy Braun w takiej sytuacji postąpiłby podobnie

Wszystko było więc chucpą. Prezydentowi zatem podpowiadam, że też może się przeświecić. Wystarczy napisać pismo, zwrócić się do służb albo do ministra Siemoniaka. Niech Nawrocki zrobi to z taką odwagą, jak ja. Niech sprawdzą charakter pracy młodego pana Nawrockiego w hotelu w Sopocie, kwestie związane z sutenerstwem, historię przejęcia mieszkania od starszej osoby. Są też inne wątki. Pan Nawrocki może powiedzieć panu Siemoniakowi: bywałem w Rosji. Bardzo serdecznie proszę, panie ministrze, niech pan sprawdzi wszystkie te osoby, z którymi się kontaktowałem, i napisze raport. I może powiedzieć: korzystałem z apartamentu wynajmowanego przez moją firmę Muzeum II Wojny Światowej, chociaż mieszkałem kilka kilometrów.

Zakładam, że wszystko tam jest czyste i pan Nawrocki nie ma czego się obawiać.

Za to my możemy obawiać się środowisk jeszcze brutalniejszych. Czy dopuszcza pan scenariusz, by do Lewicy i KO w rządzie w 2027 roku dołączyła Konfederacja, jeśli alternatywą byłby rząd Kaczyński-Braun-Bosak-Mentzen?

– Znam lepszą drogę. Powtórne wybory.

Czyli nie robić rządu mniejszego zła, żeby zatrzymać większe?

– Z Konfederacją? Z tymi ludźmi, którzy uważają, że kobiety nie powinny wychodzić z kuchni? Z tymi, którzy uważają, że Unia Europejska jest zła i chcą polexitu? Którzy mówią, że można nie płacić podatków i nazywają się odpowiedzialnymi?

Lepiej nie mieć władzy niż rządzić bez nadziei i wbrew swoim wartościom, i interesom Polaków. Jesteśmy formacją propaniństwową i odpowiedzialną. Uczyli nas tego Józef Oleksy, Aleksander Kwaśniewski, Włodzimierz Cimoszewicz. W tych kategoriach nie mieści się współrządzenie z Braunem, Mentzenem czy Bosakiem.

Może oni i tak będą rządzić. Bo Kaczyński wydaje się najsłabszy w historii.

– Teraz, to znaczy w śróde? Jarosław Kaczyński jest bardzo ciekawym przypadkiem człowieka pracującego w polityce. To jedyna osoba, która wskazała w Polsce trzech prezydentów. Nikomu innemu się to nie udało, w związku z tym rekomendowałbym naprawdę rozsądny dystans do pochopnych teorii na jego temat. Kaczyński jest konserwatystą, który oczywiście w rozumieniu nas – demokratów zrobił bardzo wiele złego. Zwrócę jednocześnie uwagę, że jak Kaczyński przegrywa wybory, to władzę oddaje. Nie jestem przekonany, czy Braun w takiej sytuacji postąpiłby podobnie. Kaczyński, kiedy rządził, mimo całej retoryki Polski z Unii Europejskiej nie wyprowadził. Warto o tym pamiętać. Są bardziej radykalne nurty i ich naprawdę trzeba się obawiać.

On jest zakładnikiem tych nurtów. I choć Polski z Unii nie wyprowadził, to jego zaśpiew o zlej Unii, który ciągle słyszymy, powtarzany i powtarzany, może stworzyć podatny grunt.

– Byłem niedawno na spotkaniu szefów europejskich parlamentów w Kopenhadze. Wszy-

scy dostrzegamy problem radykalizujących się społeczeństw. To oczywiście skutek błędów władz w poszczególnych krajach, zwłaszcza w Niemczech i we Francji, ale też polityki Trumpa, który destabilizuje Unię Europejską i NATO. Jej skutek jest prosty: państwa i narody czują się w tej chwili mniej bezpiecznie niż dwa lata temu. Powstaje samonapędzający się mechanizm, radykalizmy wychodzą ze wszystkich nor, a proste, populistyczne hasła do przestraszonych ludzi trafiają coraz szybciej.

Prawicowi radykałowie mają na wszystko odpowiedzi.

– Proste odpowiedzi, ale takich nie ma. Natomiast my możemy i musimy dawać proste nazwy. Mówić jasno, co jest dobre, a co jest złe. Ludzie, cywilizacje, narody muszą mieć przywódców i autorytety, które określają pojęcie dobra i zła.

Podobno tak kiedyś powiedział panu Tusk... – ...ze dwa, trzy lata temu...

...a pan mu, że każdy myśli po swojemu.

– Tak, ja bardziej różnobarwnie, a on białoczarno. Była taka rozmowa, którą zapamiętałem. I powiem tak, bo to jest ważne: jeżeli umie się nazwać, co jest dobrem, co jest złem, to wtedy nie ma relatywizmu przy określaniu rzeczy, które zdarzają się po drodze.

Na przykład?

– Putin jest złem, niezależność Ukrainy jest dobrem. Kierunek w stronę zjednoczonej Europy jest dobrem, kierunek na geopolityczny wschód jest złem. Dlatego, jeśli ktoś uważa się za prezydenta stojącego po stronie dobra, to nie jedzie się do Orbana wiedząc, że on za kilka dni wizytuje Putina.

Jest łatwiej, jak się ma latarnię morską, a te powinni stawiać politycy. Powinni tworzyć autorytety.

Z autorytetami generalnie jest marnie.

– To trzeba budować nowe, trzeba ludzi przekonywać, również po naszej demokratycznej stronie. Czy to umiemy? Nie do końca. Bo mielibyśmy naszego prezydenta i bezpieczną przewagę nad cynicznymi populistami.

Ale właśnie dlatego jesteśmy lojalnymi partnerami w rządzie. Bo uważamy, że alternatywą jest koalicja zła. Taka, która będzie chwiał Europą, bezkrytycznie podchodzić do Trumpa, szukać rozwiązań i oparcia na wschodzie, wzmacniać strukturę państwa nie po to, by lepiej działało, ale żeby trzymać je za pysk, podobnie jak obywateli.

Więc gdy ktoś mnie pyta, dlaczego głosuję za ministrami zdrowia, to odpowiadam: dlatego że jest w rządzie, który daje stabilizację Polsce.

Ale pretensje do zarządzania w ochronie zdrowia macie.

– Pewnie, że jest masę do zmiany. Premier dobrze o tym wie i dobrze to czuje, bo zna się na polityce. W służbie zdrowia zgodzimy się na wszystko, co może przynieść poprawę sytuacji pacjentów, byleby to nie było związane z prywatyzacją, bo 90 procent ludzi w Polsce nie stać na prywatną służbę zdrowia. I to jest znowu kategoria prosta dobra – zła.

Lewica ma też swoje propozycje. Chcecie 12-procentowego podatku na zdrowie od podstawy PIT/CIT zamiast składki zdrowotnej, podatku tłuszczowego od niezdrowej żywności i części dochodów z akcyzy na alkohol. Ale prezydent już zawetował jej podwyżkę.

– Tak naprawdę 5 procent – dla większości obywateli i polskich firm. 12 procent ma obowiązywać dla korporacji zarejestrowanych za granicą i najbogatszych Polaków.

Dwa lata temu uważałem, że lepiej nie tworzyć ustaw, które pójdą pod weto. Zmieniłem podejście, to było głupie. Właśnie trzeba dawać ustawy wzmacniające poszczególne grupy społeczne. I jeżeli prezydent będzie blokował, to będzie można mówić tym ludziom – było rozwiązanie, którego Nawrocki wam odmówił.

Czyli znów filozofia dobra i zła. Jak z kryptowalutami. Rząd mówi do ludzi, którzy inwestowali w kryptoaktywa swoje majątki, oszczędności: nie róbcie tego. Część się uratowała. Następnie rząd mówi: damy wam ustawę, która was wzmocni, zabezpieczy. Nawrocki zablokował ją dwa razy, wbrew interesowi zwykłych ludzi. Jeżeli dzięki tej dyskusji niektórzy zaczęli się zastanawiać nad inwestowaniem w krypto – uważam, że robota nie poszła na marne.

Szymon Hołownia mówi, że to nie jest dobre dla koalicji, gdy publicznie pokazuje się swoją słabość, bo przegrzywa się głosowanie o odrzuceniu prezydenckiego weta.

– Mam zdystansowaną formułę odnoszenia się do swoich przyjaciół politycznych. Spotkanie koalicyjantów to jest właściwe miejsce, żeby zgłaszać uwagi.

Środowisko Hołowni załatwia wszystko publicznie.

– Trzeba im tłumaczyć, przytulać, mówić co robią nierozważnie. Taka jest rola odpowiedzialnego polityka.

Czyli byłoby jeszcze gorzej, gdyby pan nie przytulał?

– Moja rola wcale nie jest taka duża.

Ale owszem, mam bardzo złe doświadczenia ze sobą i ze swoim postępowaniem sprzed lat dwudziestu, trzydziestu. Wiem, co to znaczy być bucem i arogantem. Z czasem zaczyna się rozumieć, że skuteczność i zasady w polityce są bardzo ważnymi rzeczami, wtedy wyrasta się z takich postaw.

Uważam, że sprawy koalicyjne i trudne muszą być dyskutowane za zamkniętymi drzwiami, bo wyborcy oceniają nas również za sposób naszej współpracy. Lecz każdy ma swój styl.

I dlatego przy wotum nieufności, które jest w politycznym elementarzu stanowi podstawowy test jedności, wychodzi Polska 2050 z publicznymi pretensjami do konstytucyjnego ministra? To się ciągnie trzy tygodnie, cztery tygodnie...

– Ale potem przychodzi piąty tydzień. Jaskółki przylatują, czajki zakładają gniazda. Składają cztery pięknie nakrapiane jajeczka do tych gniazd. Języki wracają. Nie ma problemu.

Tak, wiemy. W polityce jest element animalny, jak mawiał Kaczyński, choć co innego miał na myśli, są jastrzębie i gołębie, są delfiny.

– A wiecie, co się dzieje z delfinami? Wyskakują z wody, fruną, ale spadają. Dobrze pamiętać o tym fakcie z biologii.

Ludwik Dorn, jeden z najciekawszych druhów Kaczyńskiego, do czasu jego przyjaciół, powiernik i doradca, mawiał, że jak ktoś wystaje lekko ponad wodę, to Jarosław wypycha mu tę głowę z powrotem

– Nigdy nie rozmawiałem z panem Kaczyńskim. Z panem Dornem też nie.

Hołownia porozmawiał raz z Kaczyńskim u Bielana i stało się, jak się stało, kryzys w koalicji, spadki popularności Polski 2050, a w finale bonus dla przeciwników politycznych.

– To sprawa Szymona. Ja rozmawiałem raz z panem Morawieckim i nie oceniam tej decyzji z mojej strony jako rozsądnej.

To był rok 2021 i głosowanie nad ratyfikacją Krajowego Planu Odbudowy. Wtedy rządził PiS, ale potrzebował głosów opozycji, bo Ziobro się stawiał. U pana w klubie też były emocje, gdy postanowił pan poprzeć rząd Morawieckiego.

– Głosowaliśmy za pieniędzmi dla Polski. Nie wyobrażam sobie, żeby formacja, która wprowadziła Polskę do Unii Europejskiej, była przeciw. Ta decyzja była bezsprzecznie słuszną. Gdybyśmy się wtedy zachowali jak Platforma Obywatelska, to byśmy tych pieniędzy nie mieli. Liczyliśmy, że część tych pieniędzy pójdzie na ważne dla lewicy cele – mieszkania, szpitale. Do tego momentu w sprawie KPO wszystko było rozsądne. Ale potem padł pomysł, żeby spotkać się – zaznaczam, w Sejmie, a nie u ponoć najsprytniejszego ze spin doktorów PiS Adama Bielana – z premierem Morawieckim, i to na głosnić. To nie było przemyślane, słusznie dostaliśmy po nosie.

Padły oskarżenia o współpracę z PiS

– Bo jako Lewica mamy najbardziej antypisowski elektorat. Z tej perspektywy oceniam, że to był błąd. Głosowanie za KPO – tak, zgłoszenie szpitali oraz mieszkań – tak, spotkanie z Morawieckim – nie.

Umiejętność przyznania się do błędu jest dobrą cechą.

Ale bęcki pan dostał

– Bęcki dobrze znoszę. Rośnie mi rozpoznawalność, zaufanie.

Wtedy chyba było inaczej.

– Tak, zaufanie do mnie spadło i słusznie. Byłem najbardziej doświadczony z grupy, która poszła do Morawieckiego. Powiniennem słuchać ludzi, którzy to odradzali. Na przykład Tomasz Treli.

Był wiceprezydentem Łodzi, aktywnego posła, który potem miał z panem niezłe przejścia w partii, był na wylocie. To był czas łączenia z Wiosną Roberta Biedronia, Trela był wśród buntowników, którzy oprotowali zasady aliansu

– To jest partia, a nie Stowarzyszenie Umarłych Poetów. Podejmuje się decyzje, są ich konsekwencje. W SLD były dwie frakcje, należałem do tych, którzy chcieli połączenia z partią Biedronia. I ta frakcja wygrała, sięgając po metody takie, jakie się stosuje w partiach, wykorzystując wszystkie zapisy statutowe.

Zamykanie ludzi w pokojach, sprawa sądowa o bezprawne zawieszenie w partii, sporo obyczajówek.

– Kolorytu. Było również zawieszenie dziewięciu wiceprzewodniczących. Tak, to wszystko prawda. Tylko że w tej chwili ci wiceprzewodniczący, to są nasi wiceministrowie – spraw wewnętrznych Wiesław Szczepański i rolnictwa Jacek Czerniak, to wicewojewoda podkarpacki Wiesław Buż. A poseł Trela jest pierwszym wiceszefem naszego klubu, wiceprzewodniczącym Nowej Lewicy, liderem w łódzkim i moim przyjacielem.

Wtedy dał się pan poznać jako brutalny polityk

– Jako lider. A myślicie, że pan Kaczyński, pan Tusk, pan Kosiniak to są pachnące zajęczki?

Od tamtego kryzysu już nie pierzeć tak głośno partyjnych brudów.

– Nie ma brudów.

Zawsze są. Na przykład w grudniowych wyborach szefa partii. Byli chętni, ale cofnęli się, bo w ostatniej chwili powiedział pan, że jednak startuje.

– Krzysztof Gawkowski, pierwszy wiceprzewodniczący Nowej Lewicy, jest bardzo dobrym wicepremierem. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, też wiceprzewodnicząca i szefowa od spraw strategicznych w partii, to genialna ministra. Cała sfera społeczna idzie przez jej resort. Umiejętność, nie moja, ale wszystkich w Lewicy, polegała na tym, że usiedliśmy razem i powiedzieliśmy: przed nami wybory w partii, jest trudny rząd, w związku z tym trzeba się dogadać.

Więc po co pan mówił, że nie startuje, potem, że jednak tak?

– To rzecz osobista, ale opowiem. Byłem bardzo poważnie chory. Półtora roku temu nie wyobrażałem sobie, że uda mi się to wszystko pociągnąć. Bardzo dużo jeżdżę po Polsce, lubię ludzi, to mam po Kwaśniewskim. Jest ideałem niedościgłym. Nie mówię tego cynicznie. Kwaśniewski jest geniuszem polityki, takich ludzi rzadko spotyka się w Europie i na świecie.

Tata nie żyje, miał 96 lat jak umarł, mama ma 97. Babcia umarła, gdy miała 99. – To pan dociągnie do setki? – Ja nie chcę umrzeć

Więc chorowałem, miałem operację, w szpitalu leżałem półtora miesiąca. Leczenie trwało długo, wyszedłem z tego. Postanowiłem sporo zmienić w sobie, widzicie, jak wyglądam, a jak wyglądałem. Nie mówię o tym, że jestem ładny, tylko że chudszy o 14 kilo. Złapałem nową energię i pewnie też zmądrzałem.

Czyli chodziło o egzystencjalną przemianę, a nie o obawę, że odda pan partię, a ona skończy podzielona jak Polska 2050?

– Nie, Lewica jest poukładana. Kto rządzi tak naprawdę w tej chwili Lewicą? Młodzi ludzie. Jest stabilność, ale też odrobina szalenstwa i takiego wolnomyślicielstwa. Wnoszą je ewidentnie Magda Biejat, Anna Maria Żukowska, Dziedmianowicz-Bąk, Joanna Scheuring-Wielgus, Katarzyna Kotula i wiele innych, młodszych ode mnie osób. To jest taka ekipa, która się uzupełnia. Nikt nie jest idealny, ale każdy każdemu jakoś pomaga.

I tego samego życzę nam wszystkim w koalicji. Trzeba robić wszystko, żeby PSL nie był pod progiem, dobrze mu życzyć. Są w tej chwili trzy stabilne środowiska i jest środowisko Szymona Hołowni, które przeżywa kryzys. Czy będą potrafili z tego wyjść, nie wiem. Jeśli sobie poradzą, będą się cieszyć. Jak im się nie uda, będą się martwić.

Są przyjaciele w polityce?

– Oczywiście.

A tacy, którzy stają się później wrogami?

– Też.

Kto jest u pana takim?

– To kwestia dość osobista. Choć mam nieco zeszytów.

A w nich?

– ...

Niech będzie. I ma pan księgozbiór ogromny. Podobno nie tylko zgromadzony, również odziedziczony.

– Moi rodzice uważali, że trzeba czytać, więc kupowali dużo książek.

Tata nie żyje, miał 96 lat jak umarł, mama ma 97. Babcia umarła, gdy miała 99.

To pan dociągnie do setki?

– Ja nie chcę umrzeć.

Wszyscy umrzemy.

– No nie wiem. (*śmiech*)

Nie?

– Każdy niech ma swoje plany.

Jednak nurtują nas te zeszyty. Pisze pan dzienniki?

– Nie, ale dużo zostawiam notatek ze spotkań, z rozmów.

Czyli będą memuary?

– Nie będzie. Zeszyty mam, bo staram się prowadzić w miarę uporządkowane życie.

I pan pisze w nich to, czego nie mówi w wywiadach? Na przykład, gdy mówi pan nam: nie opowiadam o tym, jak się kłócimy w koalicji.

– Nie, to mam w głowie.

Zeszyty przydają się, bo jest dużo spraw związanych z marszałkowaniem. I choć wi-

działy gały, co brały, to jednak nie wiedziałem, że tak dużo. Posłowie i Kancelaria Sejmu to łącznie ponad dwa tysiące osób. To przecież wszystko trzeba obsłużyć, olbrzymi mechanizm. Ale pracuję z mocną, fantastyczną ekipą. Marszałkowie się zmieniają, władze się zmieniają, a ludzie w Kancelarii, to jest absolutnie wzór służby cywilnej.

Skoro jesteśmy przy służbie państwu. Niedawno Pałac Prezydencki wystąpił do marszałków Sejmu i Senatu o opinię w sprawie odtajnienia aneksu do raportu z likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych. To dzieło Antoniego Macierewicza ma blisko dziesięć lat.

– A ja mogę nie wydać opinii.

Opinia marszałków i tak nie jest dla prezydenta wiążąca.

– Owszem, ale jeśli powstanie.

Powstanie czy nie, będzie pan oskarżony, że blokuje aneks jako stary komunista. Wróci „Precz z komuną”. Sprawa WSI stanowi przecież jeden z mitów założycielskich PiS: oto w latach 90. za porażkami kolejnych projektów skłóconej prawicy stoją machinacje wojskowej agentury odziedziczonej przez PRL.

– W 2007 roku, kiedy raport z likwidacji stał się publiczny, kilku studentów z krajów arabskich, którzy wrócili do siebie i współpracowali z polskimi służbami, straciło życie. I tu wracamy do części poważnej rozmowy, do pojęcia dobra i zła, stabilności państwa, silnych instytucji. Czy po publikacji aneksu służby innych krajów będą z nami chętnie współpracowały? Czy raczej będą zadawa-

ły sobie takie pytanie: damy Polakom wszystkie informacje, a u nich zmieni się ekipa i za cztery lata wszystko ujawnią?

Prezydent mówi, że aneks jest mocno zanonimizowany.

– Czyli zakładamy, że służby innych krajów nie umieją się poruszać w kontekstach, wiązać nitki.

To dlaczego Karol Nawrocki upiera się przy tym? Nawet Kaczyński jest przeciw.

– Bo mamy inne pojęcie dobra. I dlatego trzeba z nim walczyć.

By było jasne. To poważna sprawa. BBN podrzucił nam swoiste jajko z niespodzianką – wór dokumentów, bez żadnego pisma, bez wyjaśnienia. Szef Kancelarii wysłał pismo z prośbą o wyjaśnienie. Czekamy na odpowiedź.

Jaki pan stosuje klucz, jeżeli chodzi o wybór wet do głosowania w Sejmie?

– Kieruję się rozumem. Swoim i ekspertów sejmowych.

I emocjami społecznymi.

– Emocjami rzadko.

Pan nie jest emocjonalny?

– Nie w pracy.

Wszystko na chłodno?

– Wraz z liczbą przeczytanych książek, przeżytych żyć, przysłowiowym „ile beczek soli zjadłeś”, człowiek spokojnieje. Ma większy dystans, chłodniejszą głowę.

A pan Nawrocki wetuje wiele rzeczy emocjonalnie, robiąc na złość komuś, nie czemuś. Nie zjawiskom. I sam zastawia na siebie siła, gdyż mówi: prezydent wsłuchuje się w głosy Polaków i jest skuteczny. Ale skoro jest skuteczny, to ile własnych ustaw, panie prezydencie, przeprowadził pan przez Sejm? No, żadnej, bo jest tam zły Czarzasty? To znaczy, panie prezydencie, wziął pan ponad 10 milionów głosów, a Czarzasty tylko 20 tysięcy – i nie potrafił sobie pan sobie z nim poradzić? A może chodzi o bezradność, bezmyślność i prezydencką linię walki z rządem za wszelką cenę? Bez sensu, ale głośno i z przytupem.

Ale wyborcy mogą w przyszłym roku postawić inne pytanie: jeżeli państwo ma być skuteczne, to zostawimy ten rząd, któremu Pałac będzie sypał piach w tryby, czy zmieniamy na taki, który będzie współpracował z prezydentem? A ten prezydent ma przed sobą dużo czasu na urzędzie.

– Prezydent sypie piach w tryby sam sobie oraz obywatelom, a rząd tryby oliwi – i ludzie to widzą. Prezydent zawetował SAFE, czyli 184 miliardy dla polskiego wojska – a rząd właśnie podpisał umowę z Komisją Europejską. Gdyby połowę czasu, jaki poświęcił obronie cwaników z Zondycrypto, poświęcił dobru polskiej armii, SAFE ruszyłby wcześniej i łatwiej. Czyli prezydent się skompromitował, bo przez jego blokadę 12 tysięcy zakładów w Polsce nie miałyby roboty. I pokazał, że jeśli jest w czymś skuteczny, to w opóźnianiu spraw, które i tak realizujemy.

No nie do końca. Wymiar sprawiedliwości wciąż czeka na naprawę. A rozliczenia najgrubszych afer finansowych i zamachów na ustrój pozostają bez finału. Ziobro właśnie pozdrawia z USA, Marcin Romanowski, jego prawa ręka od przelewów z Funduszu Sprawiedliwości gdzie się zawieruszył.

– Według mnie Ziobro wróci do Polski, niekoniecznie z własnej woli. Rozliczenia w demokracji zawsze są wolniejsze niż oczekiwania. Również moje.

Polityka to walka. Kto umie dobrze przedstawić swoje interesy i swoje racje, ten zwykle zwycięża. Jeżeli w koalicji robimy to źle, to musimy to robić lepiej. Jutro jadę w teren. ●

MÉNAGE À TROIS

**Polska sprawnie wykorzystuje głęboką osobistą niechęć między Trumpem i Macronem.
Zmuszamy głównego sojusznika do większej dbałości o polskie względy**



• Premier Donald Tusk i prezydent Emmanuel Macron w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku, gdzie odbyło się wręczenie Nagrody im. Bonisława Geremka, 20.04. 2026 r.

FOT. OMAR MARQUES/GETTY IMAGES

Z **DR. ALEKSANDREM OLECHEM**, SZEFEM WSPÓŁPRACY MIĘDZYNARODOWEJ DEFENCE24, WSPÓŁPRACOWNIKIEM NATO, ROZMAWIA **DOROTA ROMAN**

Artykuł 5 traktatu północnoatlantyckiego to wciąż twarda gwarancja bezpieczeństwa czy obecnie jedynie deklaracja polityczna podlegająca kalkulacji kosztów i zysków?

– Artykuł 5 oraz współpraca z USA pozostają wiarygodne, tyle że obecnie istnieje zasadnicza różnica między militarno-obronnym sojuszem z USA a wiarygodnością NATO jako całości.

Jeśli artykuł 5 ma być czymś więcej niż tylko papierowym zapisem, musi przestać być postrzegany wyłącznie jako mechanizm wymuszający interwencję Ameryki. Prawdziwym testem dla NATO jest nie lojalność Waszyngtonu, lecz to, czy w razie zagrożenia Paryż, Berlin czy Madryt zaryzykują życie swoich żołnierzy dla ochrony wschodniej flanki. Czy Europejczycy są gotowi do wzajemnej obrony i ponoszenia ofiar, by budować spójność NATO niezależnie od zaangażowania amerykańskiego partnera.

Wiemy już, że Stany Zjednoczone nie zamierzają przejmować pełnej odpowiedzial-

ności za obronę Europy. Waszyngton oczekuje, że to Europejczycy jako pierwsi wykażą inicjatywę obronną. To kluczowa zmiana – amerykańskie wsparcie jest dziś uzależnione od realnej i natychmiastowej reakcji samej Europy.

Innymi słowy, Amerykanie oczekują, że my, Europejczycy, zareagujemy pierwsi.

– Ryzyko polega na tym, że jeśli kraje takie jak Wielka Brytania, Francja czy Holandia w razie czego będą zwlekaly czy angażowały się na pół gwizdka, Stany Zjednoczone mogą uznać, że koszt interwencji przewyższa ich własny interes. Brak jednolitej militarnej wewnątrz Europy Zachodniej staje się dla Waszyngtonu sygnałem do ograniczenia ich własnej obecności. A treść artykułu 5 pozostawia Amerykanom bezpieczną furtkę. Zapis o pomocy, którą każde państwo podejmuje, „uznając ją za konieczną”, sprawia, że nie jest to gwarancja dla każdego kraju członkowskiego w takim samym stopniu.

W praktyce o uruchomieniu pełnej machiny wojennej USA decyduje nie sam traktat, lecz polityczna ocena zaangażowania innych sojuszników – jeśli Europa Zachodnia nie wy-

każe woli walki, Waszyngton może skorzystać z tej interpretacyjnej swobody, by ograniczyć własne ryzyko.

Artykuł 5. w mojej ocenie nie jest dla każdego. Na ten moment jest dla Polski – patrząc na liczbę naszych żołnierzy, zbrojenie się i gigantyczny budżet na obronność. A przede wszystkim na amerykańskie zakupy zbrojeniowe. I na pewno dla Rumunii.

Amerykanom dosłownie oplaca się nas bronić – bo jesteśmy nie tylko cennym sojusznikiem, ale i cennym klientem?

– Amerykańska interpretacja artykułu 5 sugeruje, że nie jest on bezwarunkowym przywilejem, to gwarancja, na którą się zapracowuje konkretnym potencjałem: Polska dzięki dynamicznej rozbudowie armii oraz Rumunia z powodu swojego strategicznego położenia stają się naturalnymi priorytetami dla USA. Zupełnie inaczej wygląda to w przypadku państw takich jak Francja czy Włochy – tam, gdzie brakuje militarnej determinacji lub panują napięcia polityczne z Waszyngtonem, Amerykanie mogą wykorzystać traktatową niejednoznaczność, by każdorazowo ważyć stopień swojego zaangażowania.

Czy w razie ataku na nas USA wstrzymają się z interwencją do czasu, aż realne zaangażowanie militarne wykażą najpierw mocarstwa europejskie, takie jak Francja, Niemcy czy Wielka Brytania?

– Stany Zjednoczone chciałyby jasnej deklaracji: skoro Paryż chce Europy niezależnej militarnej, to jak zamierza ją chronić bez amerykańskiego potencjału? To pytanie uderza centralnie we francuską koncepcję autonomii strategicznej. Choć Francuzi mają własną wizję Europy broniącej się bez Ameryki, realna obecność wojskowa USA na kontynencie jest wciąż tak ogromna, że każda próba samodzielności bez amerykańskiego zaplecza wydaje się dziś jedynie ryzykownym teoretyzowaniem.

Amerykanie żądają konkretów, bo wiedzą, że bez ich wsparcia koncepcje Paryża są obecnie niewykonalne. Kluczowe pytanie brzmi: czy Francja jest w stanie zaoferować Europie cokolwiek poza teorią? Plan Francji zakłada budowę europejskiej autonomii strategicznej, w której Europa przejmuje od USA ciężar obrony konwencjonalnej i wywiadowczej. Kluczowym elementem tej wizji jest rozszerzenie francuskiego parasola nuklearnego na sojuszników, aby uniezależnić bezpieczeń-

stwo kontynentu od politycznych decyzji Waszyngtonu. Kluczowym celem USA jest wymuszenie na Europie, a zwłaszcza na Francji, zdolności do natychmiastowej reakcji militarnej, tak aby ciężar pierwszych dni konfliktu nie spoczywał wyłącznie na silach amerykańskich. Waszyngton daje jasno do zrozumienia, że nie zamierza szafować życiem swoich żołnierzy w obronie sojuszników, którzy sami nie są gotowi do podjęcia błyskawicznej walki i przetrwania własnych wojsk na zagrożoną flankę – na przykład w nasz region.

Amerykane oczekują odpowiedzialności, bo militarna reakcja Francuzów na atak na kraj bałtycki czy Polskę zajmowałaby kilka dni – czyli przetrwanie wojska, zaangażowanie się, wysłanie myśliwców. Amerykanie chcieliby mieć pewność, że cała odpowiedzialność w takiej chwili nie spadnie na nich. Po prostu nie chcą, żeby ginęli tylko ich żołnierze.

Inna rzecz, że ryzyko klasycznej wojny schodzi na dalszy plan wobec wojny cienia, którą Rosja już prowadzi przeciwko wschodniej flance. Naszym największym problemem są nie czolgi, lecz systematyczne uderzenia w infrastrukturę krytyczną, sabotaże, cyberataki oraz działania dywersyjne mające paraliżować państwo od wewnątrz.

Nasza sytuacja kraju bezpośrednio zagrożonego atakami Moskwy łączy się z francuską koncepcją obrony bez udziału USA ogniskującą się wokół Morza Bałtyckiego, które Paryż postrzega jako najbardziej prawdopodobny teatr bezpośredniej rosyjskiej agresji. Francuzi uważają, że bliskość geograficzna krajów bałtyckich, Finlandii i Szwecji stwarza idealne warunki do zmasowanych ataków rakietowych i działań hybrydowych prowadzonych bezpośrednio z akwenu, z rosyjskich okrętów, oraz z Kaliningradu. W tej wizji to nie lądowa inwazja, lecz paraliz regionu z morza i powietrza jest wyzwaniem, na które Europa musi odpowiedzieć sama, nie czekając na wsparcie zza oceanu.

Ciasny i płytki Bałtyk może się okazać dla wielkich jednostek US Navy pułapką, więc będą czekać na ruch europejskich sił. A po wejściu Finlandii i Szwecji do NATO – co Rosja uznaje za zagrożenie egzystencjalne – Bałtyk stał się miejscem, gdzie najłatwiej o taką prowokację, na którą Amerykanie nie zareagują.

– Tak, w scenariuszu ataku rakietowego na Bałtyku USA uzależnią interwencję od skali natychmiastowej odpowiedzi Europy właśnie ze względu na ryzyko operacyjne dla własnej floty. To sprawia, że artykuł 5 staje się w praktyce naciskiem na europejską solidarność: musimy budować silne relacje z kontynentalnymi sąsiadami, ponieważ tylko ich zdecydowana reakcja skłoni Amerykanów do włączenia się do walki.

Tylko czy USA nie wpadły we własną pułpkę: z jednej strony kategorycznie naciskają na Europę, by przejęła odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo, a z drugiej obawiają się momentu, w którym Francja, Niemcy i Wielka Brytania staną się na tyle samodzielne, by prowadzić politykę niezależną od linii Waszyngtonu?

– Przekaz Trumpa dla Paryża, Berlina i Londynu jest krótki: „Chciecie niezależności, to pokażcie, że potraficie bić się sami”. USA nie chcą już rozmawiać o strategiach. Konsultacje są ucinane krótkim: „Pokażcie, co zbudowaliście, zaprezentujcie gotowe linie produkcyjne amunicji, wtedy pogadamy o gwarancjach”. Waszyngton oczekuje twardych dowodów, że Europa ma własne dywizje i zapasy amunicji gotowe do walki na pełną skalę, tak aby amerykańscy żołnierze nie musieli być jedyną siłą powstrzymującą atak w pierwszych, najbardziej krwawych dniach wojny.

To oczekiwanie wynika nie tylko z pobudek, nazwijmy to, etycznych, poczucia sprawiedliwości, ale również z twardej matematyki wojskowej: liczba amerykańskich żołnierzy

stacjonujących na flance wschodniej jest ograniczona i wystarczy jedynie na pierwsze starcie, a nie na samodzielne prowadzenie długotrwałej wojny bez masowego wsparcia mocarstw europejskich. Amerykańskie siły w Polsce pełnią funkcję politycznego i militarnego bezpiecznika, ale sam Waszyngton ostrzega, że ich liczebność nie pozwala na pełnowymiarową obronę kontynentu. A co, gdyby Rosjanie zaatakowali na kilku różnych frontach? Amerykanie oczekują, że to Europa wystawi główne siły, ponieważ ich zasoby są zbyt rozproszone, by samodzielnie zabezpieczyć każdy odcinek. Problemem jest nie tylko sama liczba żołnierzy i sprzętu, ale również przetrwanie ich, zapewnienie im amunicji, napraw, żywności, paliwa, rotacji rannych... Jeśli mocarstwa europejskie nie będą miały zaplecza logistycznego pozwalającego utrzymać stały most powietrzny i lądowy, ich pomoc szybko wygaśnie, co postawi pod znakiem zapytania determinację USA. Bo Amerykanie nie będą chcieli samotnie finansować i zasilać wielomiesięcznego konfliktu w Europie.

Doświadczenia z Ukrainy pokazują, że wojna kosztuje miliardy dolarów miesięcznie. Jeśli USA poczują, że Europa odpuszcza logistycznie po pierwszym kwartale, w Waszyngtonie natychmiast pojawią się głosy, by ograniczyć wsparcie dla Polski i szukać dyplomatycznego wyjścia z konfliktu, żeby nie drenować własnych zasobów potrzebnych na Pacyfiku?

– Samotna walka USA u boku Polski jest scenariuszem, którego każda administracja w Waszyngtonie będzie starała się uniknąć. A przetrwanie wojsk to początek; utrzymanie ich w walce wymaga infrastruktury, a Europa Zachodnia obecnie nie ma jej na tyle sprawnej i dużej, by obsłużyć front wielkości całej wschodniej Polski.

Prawdziwe pytanie o wiarygodność sojuszników dotyczy nie pierwszego dnia wojny, lecz tego, jak długo ich pomoc będzie trwać w obliczu przedłużającego się konfliktu. A historia wsparcia dla Ukrainy pokazała, że zachodnie mocarstwa potrafią zwlekać z kluczowymi decyzjami aż do momentu krytycznego zagrożenia stolicy. Wielkie mocarstwa europejskie uruchomiły realną pomoc dopiero wtedy, gdy Kijów stał nad przepaścią. Istnieje realne ryzyko, że Europa i USA zareagują natychmiastowo jedynie symbolicznie, a na wielką pomoc trzeba będzie czekać zbyt długo, co stawia Polskę w roli kraju, który musi nie tylko przyjąć pierwsze uderzenie, ale też samodzielnie wytrwać do czasu pełnej mobilizacji sojuszniczego zaplecza.

Wojna to nie sprint, lecz maraton.

– Nie możemy bać się pytań o termin przydatności artykułu 5: czy sojusznicza reakcja to tylko jednorazowy gest, czy gwarancja długofalowego wsparcia? Na szczęście widać wyraźnie, że w przypadku wojny hybrydowej to Europa, a nie Ameryka, reaguje szybciej i bardziej namacalnie – czego dowodem jest obecność wojsk francuskich, włoskich czy niemieckich w Polsce. To dowodzi, że bezpieczeństwo flanki wschodniej zależy nie tyle od artykułu 5, ile od sprawnego uruchamiania mechanizmów konsultacyjnych i mniej znanego artykułu 4 traktatu północnoatlantyckiego.

To mechanizm formalnych konsultacji sojuszniczych. Państwo członkowskie może go uruchomić, gdy uzna, że jego integralność terytorialna, niezależność polityczna lub bezpieczeństwo są zagrożone. Ale choć wspólne omówienie sytuacji jest obowiązkowe, to podjęcie konkretnych działań już nie i zostaje decyzją wypracowaną w toku rozmów.

– Do tej pory artykuł 4 był uruchamiany osiem razy, w tym trzykrotnie przez Polskę. Po raz pierwszy w marcu 2014 roku w odpowiedzi na rosyjską agresję na Ukrainę i anek-

sję Krymu. Następnie – wspólnie z grupą państw wschodniej flanki – w lutym 2022 roku, natychmiast po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Ostatni przypadek odnotowano we wrześniu 2025 roku, kiedy Polska wniosła o konsultacje po masowym naruszeniu krajowej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony.

Sytuacja zagrożenia wówczas może – choć nie musi – spowodować podjęcie decyzji lub wspólne działanie państw Sojuszu.

W Waszyngtonie rozumują prosto: to nie Amerykanie, a Hiszpanie i Francuzi powinni pierwsi umierać za Tallin, Wilno czy Białystok

– Stąd wynikają naciski strony polskiej do precyzowania artykułu 4, aby lepiej dostosować go do realiów wojny hybrydowej. Warszawa dąży do tego, by konsultacje sojusznicze uruchamiały automatyczne i konkretne procedury odpowiedzi na zagrożenia poniżej progu otwartego konfliktu zbrojnego.

Kluczowe jest pytanie: jak długo USA i Europa będą w stanie przesyłać realną pomoc, a nie tylko wyrazić solidarność?

– Skoro wspomina pani o solidarności... Obecnie głównym powodem irytacji Waszyngtonu jest brak zaangażowania Europy na Bliskim Wschodzie – Amerykanie uważają, że sojusznicy oczekują ochrony na wschodniej flance, a unikają odpowiedzialności za stabilizację kluczowych dla USA regionów. W ich optyce to poważnie nadwyręża zaufanie i wiarygodność artykułu 5.

Dla administracji Trumpa sojusz to transakcja. Amerykanie pytają: „Dlaczego mamy ryzykować wojnę z Rosją o kraje bałtyckie czy Polskę, skoro Francja, Niemcy czy Włochy odmawiają wysłania swoich okrętów do ochrony szlaków handlowych na Morzu Czerwonym czy wsparcia operacji związanych z Iranem?”

Polska ma unikalną pozycję: nikt nie żąda od nas misji w odległych regionach, bo sami jesteśmy kluczowym bastionem NATO. I mamy mocną polisę, czyli gigantyczny program zbrojeniowy. Stajemy się sojusznikiem zbyt cennym i ekonomicznie, i militarnie, by Waszyngton mógł nas porzucić lub zarzucać pretensjami jak pasywną część Europy.

– To coś więcej niż pretensje. Relacje USA z Paryżem, Rzymem i Berlinem wchodzą w fazę głębokiego kryzysu, który wykracza poza zwykłe dyplomatyczne spory. Gdy Europa Zachodnia próbuje budować własne koncepcje bezpieczeństwa, administracja Trumpa odpowiada brutalnym „sprawdzam” – bo

Dr Aleksander Olech

• szef współpracy międzynarodowej portalu i think tanku Defence24, wykładowca na Baltic Defence College w Estonii. Były wiceszef Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Zajmuje się obronnością i dyplomacją.



tym jest zapowiedź zmniejszenia liczby żołnierzy w Niemczech. To sygnał, że amerykański parasol nad Berlinem czy Rzymem staje się kartą przetargową w grze o lojalność i wydatki zbrojeniowe.

Wycofywanie żołnierzy z Niemiec otwiera drogę do historycznego przesunięcia środka ciężkości NATO: Amerykanie widzą dla nich miejsce wyłącznie w Polsce lub Rumunii. Waszyngton czyni z Warszawy i Bukaresztu główne centra amerykańskiej obecności wojskowej na kontynencie.

Ale wycofanie wojsk z Niemiec paradoksalnie osłabia zdolność USA do szybkiego wsparcia Polski. Bez baz w Niemczech logistyka w naszej części Europy staje się koszmarem.

– To prawda, nawet przy największej sympatii Trumpa do Warszawy bez niemieckich baz i linii kolejowych wsparcie Polski staje się niemożliwe. W tym scenariuszu to postawa Berlina i Paryża – a nie tylko wola Waszyngtonu – zdecyduje o tym, czy wschodnia flanką przetrwa. To moment prawdy dla kontynentu – jeśli Trump rzeczywiście zredukuje kontyngent w Niemczech, okaże się, czy Europa jako wspólnie działająca całość potrafi przejąć rolę sprawnego zaplecza, czy też narodowe interesy sparaliżują pomoc dla wschodu.

Bo przeniesienie nie tylko żołnierzy, ale też całej potężnej infrastruktury wojskowej z Niemiec do Polski to logistyczna i ekonomiczna mrzonka. Bazy takie jak Ramstein to samowystarczalne enklawy z gigantycznym zapleczem biznesowym i socjalnym, których nie da się odtworzyć w polskich warunkach bez doprowadzenia budżetu narodowego do bankructwa.

– Zapowiedzi Trumpa dotyczące relokacji wojsk należy traktować jako element negocjacji, a nie gotowy plan operacyjny. To klasyczna metoda sprawdzania granic i elastyczności sojuszników – podobnie jak w przypadku Grenlandii prezydent operuje szantażem i obietnicą, by wymusić ustępstwa, wiedząc, że połowa tych gróźb jest technicznie lub finansowo niewykonalna. Uderzenie w Niemców właśnie teraz, gdy zaczęli się zbroić, to także demonstracja siły – prezydent chce pokazać, że żadna europejska strategia nie jest dla niego wiążąca, a obecność wojsk USA to przywilej, który może odebrać w każdej chwili jednym podpisem.

Ale Trump niszczy poczucie naszej solidarności.

– Sama solidarność to za mało – Europa musi zrozumieć, że bez armii i masowej produkcji broni jej wartości nie mają znaczenia. Liczą się tylko czyny, a konkretnie: tempo i skala zbrojeń, które pokażą światu, że kontynent jest gotowy bronić swojego stylu życia nie tylko słowem.

Amerykane w Polsce: czego się spodziewać?

– Amerykanie będą zmniejszać liczbę żołnierzy również w Polsce – to fakt, o którym wiedzieliśmy od dawna. Nie nastąpi nagłe wycofanie tysięcy ludzi, ale stopniowe wygaszanie kolejnych jednostek o 200 czy

500 osób. Waszyngton regularnie przypomina nam o swoich planach, więc zamiast udawać zaskoczenie, musimy wyciągnąć z tego jedyny logiczny wniosek: era bezwarunkowej i stałej ochrony USA właśnie ustępuje miejsca epoce, w której to my musimy się stać głównym gwarantem własnego bezpieczeństwa.

Dlatego Rumunia postawiła na twardą technologię jako nowe spoiwo relacji z USA. Przez masowe zakupy systemów dronowych i anty-dronowych oraz wejście do elitarnego amerykańskiego rynku technologii C-UAS – Counter-Unmanned Aircraft Systems – czyli światowego lidera obrony przeciw bezzalogowcom, Bukareszt buduje nową formę obecności Stanów Zjednoczonych. Żołnierzy łatwo przenieść, a głęboka integracja technologiczna i przemysłowa czyni ten kraj niezbędnym ogniwiem w systemie obronnym samej Ameryki.

Amerika na naszym bezpieczeństwie po prostu zarabia miliardy dolarów.

– Dalsze zwiększanie liczebności wojsk USA w Polsce traci sens ekonomiczny i operacyjny. Nasz budżet, obciążony gigantycznymi zakupami sprzętu, nie udźwignie kosztów utrzymania kolejnych tysięcy Amerykanów, którzy w obecnej konfiguracji nie pełnią zadań frontowych. Polska osiągnęła punkt, w którym dokładanie kolejnych jednostek USA staje się nieefektywne. Przy obecnych 9 tysiącach żołnierzy dodatkowy kontyngent nie zmieni naszego potencjału obronnego, a drastycznie wydrenuje budżet potrzebny na modernizację własnych sił. To polski żołnierz bierze na siebie ciężar ochrony granic i codzienną służbę na pierwszej linii. A rola USA powinna się ograniczać do dostarczania technologii i wsparcia strategicznego. Wydaliśmy już miliardy na amerykański sprzęt, budując trwałą więź technologiczną, więc zamiast walczyć o fizyczną obecność Amerykanów u nas, powinniśmy polegać na istniejącej architekturze NATO, w której to Niemcy pełnią funkcję gospodarza dla amerykańskiego arsenału nuklearnego, zapewniając parasol dla całego regionu.

Tyle że gdy relokacja wojsk będzie li i wyłącznie kwestią decyzji politycznej Trumpa i politycznej odpowiedzi Warszawy, wyliczenia ekonomiczne i analizy wojskowych nie będą miały znaczenia.

W przypadku Polski nie ogłoszono dotąd żadnych wiążących decyzji o zmniejszeniu kontyngentu.

– Stopniowa redukcja amerykańskiej obecności w Polsce jest nie sygnałem kryzysu, lecz naturalną konsekwencją sukcesu naszej modernizacji.

Czyli powinniśmy się cieszyć?

– Należy oddać wielkie uznanie polskiemu społeczeństwu, które z pełną świadomością akceptuje rekordowe wydatki na zbrojenia kosztem innych potrzeb. Ta dojrzałość i zgoda na wyrzeczenia finansowe to nasz najsilniejszy atut.

Ale?

– Paradoksalnie wysoki poziom wyszkolenia polskiego żołnierza i wzorowa współpraca z USA ułatwiają Amerykanom decyzję o redukcji wojsk. Waszyngton argumentuje, że skoro polska armia stała się nowoczesną i samodzielną siłą, to wycofywanie swoich jednostek stanowi naturalny etap przekazywania odpowiedzialności za bezpieczeństwo regionu w ręce profesjonalnie przygotowanego sojusznika.

Ale musimy spojrzeć prawdzie w oczy: obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce ma charakter czysto transakcyjny. To my przez gigantyczne zakupy uzbrojenia finansujemy tę demonstrację siły, traktując ją jako element szerokiego kontraktu z Waszyngtonem. Obecność wojskowa USA jest usługą bezpieczeństwa, którą Polska kupuje za miliardy dolarów, aby zmanifestować światu trwałość sojuszu z mocarstwem.

• **Amerykańscy i brytyjscy żołnierze w czasie ćwiczeń altryeryjskich Grupy Bojowej NATO w Polsce, 3. 11. 2022 r.**



Dalsze zwiększanie liczebności wojsk USA w Polsce traci sens ekonomiczny i operacyjny. **Nasz budżet, obciążony gigantycznymi zakupami sprzętu, nie udźwignie kosztów utrzymania kolejnych tysięcy Amerykanów**

W rozmowie z „The Financial Times” premier Tusk podważa automatyzm sojusznicy, pytając, czy Waszyngton faktycznie zaryzykuje wszystko w obronie Europy. Jak interpretować jego słowa o rosyjskim ataku możliwym w ciągu miesięcy, a nie lat, w kontekście jego jednoczesnego przyznania, że era bezwarunkowego liczenia na amerykański ratunek właśnie się skończyła?

– Premier Tusk przejął metodę Trumpa, który używa mediów jako narzędzia dyplomatycznego. Przez nie sonduje, naciska, sugeruje. Celowe użycie pojemnego słowa „atak” zamiast precyzyjnych terminów militarnych pozwoliło mu wywołać maksymalny rezonans i sprawdzić granice wytrzymałości sojuszników. To klasyczna gra na emocjach i niepewności, która ma wymusić reakcję sojuszników, zanim rozpocznie się twardy konflikt.

Dziesięć lat temu połączenie ataków na infrastrukturę krytyczną, prób zabójstw i presji na granicach uznałoby się za jednoznaczny sygnał wybuchu wojny. Obecnie takie akty agresji stały się naszą codziennością. To do prowadzi, że klasyczna definicja wojny przestała wystarczać – konflikt już trwa, ale odbywa się w sferze, na którą tradycyjne mechanizmy obronne wciąż reagują zbyt opieszale. Wywiad Tuska to strategiczne „sprawdzam” wysłane pod adresem całego Zachodu: przypomnienie Ameryce o jej długach, a Europie o konieczności wspólnej walki o amerykańską obecność. Premier wykorzystał rozgłos, by z polskiego bezpieczeństwa uczynić publiczny test lojalności.

W obliczu rosyjskich prowokacji Polska nie może się zadowolić raz danym słowem;

oczekujemy jasnego komunikatu przy każdym ataku. To minimum, którego wymagamy od sojusznika – by w ślad za każdą agresją szło natychmiastowe i głośne potwierdzenie, że Waszyngton stoi po naszej stronie.

Ale Ameryka nie zauważyła słów Tuska.

– Brak głośnej reakcji na słowa premiera wynika z faktu, że Waszyngton przestał przywiązywać wagę do dyplomatycznych rytuałów, skupiając się na pragmatyzmie. Amerykanie, nauczeni doświadczeniem z Ukrainy, unikają konkretnych obietnic, nie chcą wiązać sobie rąk deklaracjami, których realizacja w godzinie próby mogłaby się okazać zbyt kosztowna. Skoro żołnierze fizycznie są na miejscu, USA uznają to za wystarczający sygnał, unikając słownych zobowiązań.

W tym wszystkim jest jeszcze nasza wdzięczność za uwolnienie Andrzeja Poczobuta.

– Amerykański plan odwilży z Białorusią nabiera tempa. Litwa pod naciskiem Waszyngtonu deklaruje gotowość do wznowienia współpracy z Mińskiem, co stawia polski rząd w defensywie przed nadchodzącym cyklem spotkań na szczycie. Zapowiadane rozmowy w formacie Polska – Litwa – USA oraz zapowiadane bezprecedensowe spotkanie Trump – Łukaszenka mogą zmusić Warszawę do akceptacji nowej rzeczywistości, na którą nie jesteśmy przygotowani. Ciągłe podtrzymywanie kontaktów na linii Waszyngton – Mińsk sprawia, że nasza polityka twardej izolacji może się okazać niemożliwa do utrzymania.

Amerykański nacisk na odwilż z Mińskiem opiera się na kuszącej, ale ryzykownej logice: „Zamknijcie problem Białorusi, by skupić się na Ukrainie”? Dla Polski to pułapka – Waszyngton chce nam sprzedać wizję spokoju na granicy w zamian za polityczne ustępstwa, podczas gdy my nie mamy gwarancji, że Amerykanie faktycznie są w stanie trwale zdyscyplinować Łukaszenkę.

– Amerykanie będą nas przekonywać, że porozumienie z Białorusią to jedyna droga do likwidacji frontu wojny hybrydowej i odciążenia naszych sił. To będą skrajnie trudne negocjacje, bo choć USA obiecują rozwiązanie naszych problemów na granicy białoruskiej, musimy zachować sceptycyzm co do trwałości takiego uspokojenia reżimu. Musimy natychmiast wypracować ponadnarodową koncepcję rozmów i przekonać do niej Amerykanów, zanim duet Trump – Łukaszenka postawi nas przed faktami dokonanymi, których koszty poniesie wyłącznie Warszawa.

Amerykańska odwilż z Białorusią rozkręci się w najgorszym możliwym momencie – w samym środku polskiej kampanii wyborczej. Nasza uzasadniona wdzięczność wobec Waszyngtonu za uwolnienie Poczobuta stanie się dla Amerykanów kartą przetargową.

– Wybory parlamentarne i dług wdzięczności za Poczobuta to idealna okazja dla USA, by wymusić na nas układ z Białorusią. Czekają nas potężne zawirowania polityczne – będziemy musieli wybierać między asertywnością a lojalnością wobec Ameryki, która chce zakończyć konflikt naszym kosztem.

Rosja nie musi wysyłać czołgów, by wpłynąć na wynik wyborów – wystarczy, że skutecznie podsyci lęk przed wojną, cenami energii czy odwilżą z Białorusią.

– Każdy ruch rządu w stronę Białorusi opozycja nazwie „zdradą”, a każdy brak ruchu – „psuciem relacji z USA”. To paraliżuje decyzyjność.

Nadchodzące wybory odbędą się pod totalną presją Rosji, która zepnie wszystkie nasze kryzysy – wojny kulturowe, polityczne, podziały społeczne – w jedną, niebezpieczną kłamrę. Rosyjska obecność to już nie tylko front w Ukrainie czy Białoruś, ale też potężna machina dezinformacji uderzająca w polską opinię publiczną. Wyzwanie polega na tym, by w ferworze walki wewnętrznej politycy nie dali się wciągnąć w rosyjską grę, która podsyci nasze podziały. Bo kiedy Amerykanie pojawiają się z ofertami skrojonymi pod konkretne obozy polityczne, Rosja otrzyma idealne pole do popisu. Jeśli damy się podzielić ofertami zza oceanu – czy to w sprawie relokacji amerykańskich baz w Europie, czy odwilży z Mińskiem – przestaniemy być partnerem, a staniemy się terenem operacyjnym.

Trump po dwóch latach prezydentury będzie twardo meblował Europę, świadom, że im bliżej końca kadencji, tym mniejszy będzie miał posłuch i wśród słabszych partnerów, i we własnej administracji, a Francja wiosną 2027 roku po swoim wyborczym przełomie zacznie szukać nowej roli. W tym zamęcie Rosja zrobi wszystko, by polska kampania nie była rozmową o Polsce.

Jeśli tematem numer 1 w kampanii wyborczej będzie Rosja, to znaczy, że Putin już kontroluje naszą agendę narodową.

A Ukraińcy ciągle będą ginąć.

– Wojna w Ukrainie nie zakończy się szybko, ponieważ nawet ewentualne porozumienia pokojowe Rosja potraktuje instrumentalnie – jako proces celowo rozciągany w czasie. Ta taktyka naciągania ustaleń i odwlekania realizacji porozumień da Moskwie czas na odbudowę potencjału i umożliwi szantażowanie Zachodu przy zachowaniu pozorów dyplomacji, co czyni trwałą pokój w najbliższych latach niemal niemożliwym.

Gdy front stoi, Rosja może przekierować wszystkie fundusze z amunicji, paliwa, żelaza na dywersję w Polsce i Europie. Pokój w Ukrainie to dla nich zielone światło do pelzającej wojny w Europie Zachodniej.

– Trump i liderzy europejscy będą chcieli ogłosić sukces. Rosja to wykorzysta – będzie łamać ustalenia po trochu, wiedząc, że nikt nie wznowi wielkiej wojny z powodu „małego naruszenia”, które oni będą „wyjaśniać” miesiącami. Rosyjska strategia naciąganego pokoju opiera się na psychologicznym paraliżu Zachodu: im bliżej jesteśmy porozumienia, tym brutalniejszych sabotaży może się dopuszczać Kreml, mając pewność, że liderzy w Waszyngtonie czy Berlinie przymkną oko w imię wyższego celu. To tragiczna pułapka, w której bliskość pokoju staje się dla Rosji licencją na bezkarnie ataki – nikt nie odważy się zerwać negocjacji z powodu „incydentu” na polskiej granicy czy w krajach bałtyckich, gdy na szali kładzie się koniec wielkiej wojny.

Im bliżej sojusznicy są ogłoszenia sukcesu dyplomatycznego, tym więcej są w stanie wybaczyć agresorowi, byle tylko nie wrócić stolika.

– Rosyjska strategia zakłada, że pragnienie świętego spokoju na Zachodzie stanie się kłębem dla krajów frontowych. Gdy porozumienie będzie na wyciągnięcie ręki, Rosja udźwignie naszą infrastrukturę, wiedząc, że usłyszymy: „Wytrzymajcie, nie psujcie tego teraz, niech ukraiński żołnierz już nie ginie”.

Jeśli Zachód nie zareaguje na sabotaż u nas, by ratować porozumienie, to Rosja wygra kolejną wojnę – o naszą izolację wewnątrz NATO.

– Ataki hybrydowe to rosyjski sposób na sprawdzenie, gdzie kończy się zachodnia cierpliwość. Rosja naciska zasady i eskaluje dywersję, by się przekonać, jak wiele sabotaży jesteśmy w stanie przelknąć w imię ratowania pozornego spokoju. Będzie atakować tak długo i tak mocno, aż napotka fizyczny opór.

Po zapowiadanych redukcjach wojsk USA i zmianie retoryki na transakcyjną Rosja wcześniej czy później sprawdzi, czy Ameryka Trumpa w ogóle chce się zajmować jakimś plonącym magazynem w Polsce. Rosja odcina plasterki po plasterku naszą pewność siebie. I osiąga efekt przyzwyczajenia: skoro nie zareagowaliśmy twardo na drony nad lotniskami czy podpalenia, to takie działania stają się nową normą, która nie wymaga odpowiedzi z artykułu 5.

To jak wiele sabotaży jesteśmy w stanie przelknąć?

– Dla USA sabotaż w Polsce to incydent w Excelu; dla nas to zagrożenie życia obywateli i stabilności państwa. Działanie samodzielne jest ryzykowne, ale historia – choćby blokada granicy z Białorusią – pokazuje, że tylko twarde fakty dokonane zmuszają sojuszników do brania naszych interesów pod uwagę.

Rosja liczy się tylko z tymi, którzy potrafią oddać. Jeśli będziemy czekać na pozwolenie z Waszyngtonu, Rosja będzie bić nas tak długo, aż Biały Dom może pozwoli nam się zasłonić. Amerykanie szanują partnerów, którzy mają własne pazury. Jeśli Polska zareaguje twardo sama, postawi USA przed faktem dokonanym – wtedy Waszyngton będzie musiał nas wesprzeć, by nie stracił twarzą jako lider sojuszu.

Ale większym wyzwaniem dla Polski będzie zmuszenie Europy do przejścia od słów do czynów. Oburzenie liderów Unii Europejskiej nie zatrzyma rosyjskich rakiet ani dywersantów – do tego potrzeba realnej obecności wojskowej sojuszników. Jeśli w obliczu sabotażu lub ataku europejscy liderzy zawahają się przed demonstracją siły, cała koncepcja autonomii strategicznej kontynentu legnie w gruzach.

Czyli czeka nas scenariusz: Europa będzie zwlekać z ruchem wojsk, dopóki nie zobaczy, co robi Waszyngton. Jeśli Trump powie „czekamy”, Paryż i Berlin użyją tego jako wymówki do bierności.

– Transakcyjna Ameryka Trumpa, Polska w cieniu kluczowych wyborów 2027 roku, Unia Europejska określająca się na nowo, brak zdecydowanego lidera w Europie oraz Rosja, która bezkarnie testuje granice naszej wytrzymałości – to wszystko sprawia, że nadchodzący czas będzie ekstremalną próbą.

Kluczowa jest konkretyzacja artykułu 42.7 traktatu UE, który stanowi, że w przypadku zbrojnej agresji na terytorium jednego z państw członkowskich pozostałe kraje mają obowiązek udzielenia pomocy i wsparcia wszelkimi dostępnymi środkami. To zobowiązanie wiążące dla wszystkich państw członkowskich, które jednocześnie nie narusza neutralności niektórych z nich ani zobowiązań wynikających z członkostwa w NATO.

– Ataki hybrydowe to rosyjski sposób na sprawdzenie, gdzie kończy się zachodnia cierpliwość. Rosja naciska zasady i eskaluje dywersję, by się przekonać, jak wiele sabotaży jesteśmy w stanie przelknąć w imię ratowania pozornego spokoju. Będzie atakować tak długo i tak mocno, aż napotka fizyczny opór.

Europa ma obecnie realnego lidera zdolnego do utrzymania jedności w kwestii bezpieczeństwa?

– Europa wchodzi w rok strategicznego klin-czu. Emmanuel Macron jest w ostatnim roku prezydentury, co osłabia jego zdolność do narzucania wizji. Chce odejść jako de Gaulle XXI wieku, ale ma na to tylko rok i gorączkę wyborczą na plecach. Prawdziwe przywództwo przenosi się do Niemiec, bo to one mają pieniądze na realne dozbrajanie Europy. Tyle że kanclerz Friedrich Merz stawia na realizm i naprawę gospodarki, nie wykazując ambicji bycia liderem zbrojeń dla całej Europy. Chciałbym wierzyć w stu procentach, że Niemcy nie powrócą do współpracy energetycznej z Rosją, a jednocześnie nie zmienimy geografii i musimy zaakceptować fakt, że Berlin staje się zbrojeniowym liderem regionu.

Niemcy pod przywództwem Merza zerwały z wieloma tabu, ale w Polsce wciąż żywa jest obawa, że to tylko przeczekanie trudnych czasów.

– To, że Niemcy inwestują dziś rekordowe sumy w armię, jest rzeczywistością, której nie możemy ignorować ze względu na sąsiedztwo, jednak polska dyplomacja musi zachować czujność. Naszym celem jest upewnienie się, że niemiecki zwrot militarny jest trwały i nieodwracalny, że to nie jest jedynie przerwa przed powrotem do polityki „business as usual” z Rosją.

Silna Polska i silne Niemcy to nowa dynamika w Europie. Jeśli oba kraje będą się zbroić, nie ufając sobie nawzajem, zamiast wspólnie odstraszać Rosję, wejdziemy w fazę regionalnego wyścigu zbrojeń i wzajemnych podejrzeń.

A inne kraje?

– Włochy mimo własnej koncepcji strategicznej pozostają najsłabszym ogniwem w wyścigu o przywództwo obronne Europy. Choć rząd Giorgii Meloni deklaruje wsparcie dla unijnej autonomii, to brak realnej determinacji finansowej i konieczność ratowania krajowej gospodarki sprawiają, że Rzym pozostaje jedynie pasywnym obserwatorem dozbrajania kontynentu.

Mamy w Europie wizję i mamy pieniądze, ale dramatycznie brakuje nam kogoś, kto to wszystko mądrze połączy w jeden spójny system obronny. Mimo rekordowych wydatków na zbrojenia kontynent wciąż nie ma jednego ośrodka decyzyjnego, co Rosja z pewnością wykorzysta do testowania naszych granic.

A Polska?

– Mimo statusu lidera wschodniej flanki i imponujących inwestycji w bezpieczeń-

stwo wciąż boryka się z deficytem wpływów w Brukseli. Jesteśmy liderem w wielu aspektach, tylko nie mamy siły przebicia w Unii.

Francja chce Europy samodzielnej – często przeciw USA, Niemcy chcą Europy płacącej – by utrzymać USA, a Polska chce Europy walczącej. Nikt nie potrafi stworzyć z tego jednej oferty.

– Problem polega na tym, że każde z tych państw inaczej definiuje bezpieczeństwo. Dla Francji to prestiż i niezależność od Waszyngtonu, dla Niemiec to spokój ekonomiczny za cenę opłacania amerykańskich baz, a dla Polski to fizyczna zdolność do odparcia agresji tu i teraz. Niemcy nie ufają francuskim ambicjom mocarstwowym, Francuzi obawiają się niemieckiej dominacji finansowej, a Polska się obawia, że oba kraje w krytycznym momencie wybiorą dyplomację zamiast walki.

Zbrojeniowa potęga Niemiec budzi skrajne emocje nie tylko w Polsce, ale i w Europie – od nadziei na silny europejski filar bezpieczeństwa po historycznie uzasadnione obawy przed dominacją Berlina.

– Część państw członkowskich obawia się, że Niemcy zyskają swobodę decydowania o bezpieczeństwie kontynentu bez oglądania się na mniejszych partnerów. To naturalne, że w Polsce i Europie Środkowej obawy przed powrotem niemieckiej hegemonii militarnej są wciąż żywe. Gwałtowne zbrojenia Niemiec stają się poważnym wyzwaniem społecznym i politycznym nie tylko w naszej części kontynentu. Budzą niepokój choćby w Paryżu. Choć oficjalnie sojusznicy dążą do wzmocnienia Europy, pod powierzchnią wybrzmiewa głębokie niezadowolenie z faktu, że Berlin – dysponując potężnym budżetem – może zdominować architekturę bezpieczeństwa kontynentu, marginalizując interesy Polski i dotychczasowe przywództwo Francji.

Prawdziwym wyzwaniem jest nie samo dozbrajanie się Niemiec, lecz ich aspiracje do roli lidera Europy przy jednoczesnym braku pełnego odcięcia od rosyjskich surowców. Fakt, że rosyjskie węglowodory – nawet jeśli przez prywatnych pośredników – wciąż płyną do niemieckiej gospodarki, stawia pod znakiem zapytania moralne i strategiczne prawo Berlina do przewodzenia obronności kontynentu. Nasza racja stanu zależy od odpowiedzi na pytanie: czy niemiecki rząd faktycznie trwale odciął się od Rosji, czy też pod presją kosztów gospodarczych spróbuje wrócić do współpracy z Kremlem, odbudowując jednocześnie dawną potęgę militarną? A tej odpowiedzi nie znamy, dlatego Polska musi kontynuować rekordowe zbrojenia, bo to jedyny pewny gwarant własnego bezpieczeństwa.

Choć przy odrobinie wysiłku możemy zyskać drugi. Mam na myśli oś Północ – Południe. Kraje nordyckie – Finlandia, Szwecja, Norwegia i Dania – to sojusznicy idealni: podzielają naszą diagnozę zagrożeń ze strony Rosji i oferują realną współpracę energetyczną oraz militarną, od tej na Bałtyku poczynając. Ich rosnąca rola to dla Polski dziejowa szansa na stworzenie nowej architektu-

Problem polega na tym, że każde z kluczowych państw Europy inaczej definiuje „bezpieczeństwo”.

Dla Francji to prestiż i niezależność od Waszyngtonu, dla Niemiec to spokój ekonomiczny za cenę opłacania amerykańskich baz, a dla Polski to fizyczna zdolność do odparcia agresji tu i teraz

ry bezpieczeństwa. Szwedzi, Finowie, Norwegowie i Duńczycy widzą świat tak samo jak my – bez złudzeń wobec Kremla – a to pozwala nam patrzeć z mniejszym niepokojem na zachodnią granicę. Budowanie relacji z Finlandią, Szwecją i Norwegią to jedyny sposób, by zrównoważyć brak jednoznacznego przywództwa w reszcie Europy.

Co prawda najbardziej zdeterminowanymi sojusznikami są Bałtowie, którzy płacą za bezpieczeństwo najwyższe ceny, ale ich PKB stawia nieprzekraczalne bariery. Małe gospodarki Litwy, Łotwy i Estonii nie są w stanie samodzielnie zbudować potencjału militarnego zdolnego długotrwale powstrzymać Rosję, co czyni je całkowicie zależnymi od szybkości reakcji Polski i sojuszników z Północy.

Dopełnieniem nowej europejskiej architektury bezpieczeństwa jest Turcja, która prowadzi politykę skrajnie pragmatyczną, ale coraz silniej skłania się ku współpracy z Europą. Z Ankarą, która ma potężny przemysł obronny i strategiczne położenie, można budować relacje oparte na twardych interesach, co dobrze uzupełni idealizm unijnych traktatów.

Zbliżenie Ukrainy z Arabią Saudyjską i Katarom to dziś jeden z najbardziej optymistycznych akcentów na mapie globalnej polityki. Podpisane umowy obronne nie tylko zmieniają dynamikę bezpieczeństwa w Zatoce Perskiej, ale też redefiniują rolę Kijowa – z odbiorcy pomocy w dostawce unikalnych technologii antydronowych. Polska i Europa nie zamrują tej okazji?

– Polska, szukając alternatywnych sojuszy, musi wykorzystać ten moment, w którym świat arabski aktywizuje się w stabilizacji regionu i tym samym uderza w rosyjską strategię izolowania Zachodu oraz manipulowania rynkiem surowców.

Sojusz demokratycznego świata rośnie w siłę również dzięki przełomowej zmianie polityki Japonii, która otwiera się na eksport broni i zacieśnia współpracę z Europą. A że do tego dochodzi potężny potencjał Korei Południowej, to Azja, nie Ameryka, może się stać kluczowym zapleczem technologicznym dla Starego Kontynentu. Dla Polski to historyczna szansa. Możemy budować bezpieczeństwo w oparciu o partnerów, którzy nie tylko dysponują najnowocześniejszym sprzętem, ale też – w przeciwieństwie do niektórych europejskich stolic – nie boją się twardej konfrontacji z autorytaryzmem.

Może to i lepiej wobec tego, że Europa nie ma jednego lidera – nikt nie ma monopolu na rację.

– Brak lidera bywa korzystny, bo wymusza szukanie kompromisów zamiast ulegania ambicjom jednego państwa, ale stwarza ryzyko niespójności. Naszym priorytetem jest dopilnowanie, by mechanizmy takie jak program SAFE trwale związały największe gospodarki, jak Francja czy Niemcy, uniemożliwiając im ciche wycofanie się z inwestycji obronnych w imię doraźnych oszczędności.

A czy w obliczu postępującego izolacjonizmu Trumpa – rzecz jasna izolacjonizmu atlantyckiego, bo na swojej półkuli zaczyna prowadzić imperialną politykę w stylu przełomu XIX i XX wieku – Polska nie powinna dokonać zwrotu strategicznego w stronę Francji?

– Odpowiedzią mogą być liczby: kontyngent amerykański w Polsce liczy ponad 9 tysięcy żołnierzy, gdy obecność francuska ogranicza się do kilkuset osób, choć należy odnotować zapowiedzi zwiększenia liczebności wojsk francuskich, co może sygnalizować nową dynamikę w europejskim modelu. Niemniej amerykański parasol nuklearny jest już fizycznie obecny w Niemczech, zaś francuskie propozycje pozostają w sferze idei. A Polsce chodzi nie o puste deklaracje, lecz o konkretną obecność: chcemy, aby francuskie myślnice zdolne do przenoszenia ładunków jądrowych

regularnie operowały nad naszym terytorium.

Sojusznicza obecność wojskowa w Polsce opiera się na jasnej hierarchii: Amerykanie stanowią fundament i główną siłę odstraszania, Francuzi pełnią funkcję strategicznego uzupełnienia.

– To zestawienie pozwala Polsce korzystać z potęgi USA, jednocześnie budując z Francją nowe, europejskie kompetencje, które czynią nasz system obronny bardziej odpornym na ewentualne zmiany polityczne w Waszyngtonie.

Relacje między Macronem a Trumpem cechuje głęboka osobista niechęć, a to trwale paraliżuje współpracę na szczycie NATO. Amerykanin nie szczędzi Francuzowi publicznych kpin, co sprowadza dyplomację mocarstw do poziomu personalnych uszczypliwości. Polska musi nawigować w tej rzeczywistości – ale ten problem jest zarazem szansą. Bo świadomość, że ci dwaj liderzy się nie porozumieją, otwiera przed Warszawą szansę na budowanie unikalnych relacji z każdym z nich z osobna.

Polska wykorzystuje komplementarność sojuszy, budując w Waszyngtonie nie tylko au-

ochrony nuklearnej, by utrzymać Rosję w stanie ciągłej niepewności. W przeciwieństwie do sztywnych struktur NATO francuska doktryna dopuszcza prawo do pierwszego uderzenia ostrzegawczego, o czym Paryż i Warszawa celowo przypominają półgębkiem.

Tusk i Macron grają z Rosją jej własną kartą, czyli niepewnością?

– To porzucenie retoryki czerwonych linii na rzecz strategicznej mgły sprawia, że Rosjanie nie mogą skalkulować ryzyka, co czyni polskie niebo znacznie bezpieczniejszym niż w przypadku publicznie ogłoszonych traktatów.

Ale jaką mamy gwarancję, że w godzinie próby Francja nie schowa się za brakiem czerwonych linii, tłumacząc bierność potrzebą ratowania globalnego pokoju?

– To jest pytanie za miliard euro. Rok 2027 będzie dla Polski krytyczny, bo to wtedy kończy się era Macrona. Jeśli wybory wygra ktoś z obozu obecnego prezydenta lub umiarkowanej prawicy, model komplementarności zostanie utrzymany. Nowy prezydent będzie chciał zachować wpływy w Polsce, by mieć argumenty w rozmowach z USA.

Amerykański plan odwilży z Białorusią nabiera tempa. Litwa, pod naciskiem Waszyngtonu, deklaruje gotowość do wznowienia współpracy z Mińskiem, co stawia polski rząd w defensywie. Zapowiadane bezprecedensowe spotkanie Trump–Łukaszenka może zmusić Warszawę do akceptacji nowej rzeczywistości, na którą nie jesteśmy przygotowani

tentyczne zaniepokojenie, ale i ciekawość. Pytania Amerykanów o siłę relacji Tusk – Macron czy francuskie aspiracje w sektorze jądrowym dowodzą, że nasza strategia działa. Tworzymy układ, w którym współpraca z USA i Francją uzupełniają się na każdym poziomie – od energetyki po naukę – zmuszając głównego sojusznika do większej dbałości o polskie względy. Mimo że emocje wokół francuskiego parasola nuklearnego nieco przeszarżowano, sama obecność tego tematu w debacie jest dla nas korzystna. Pokazujemy Amerykanom, że chętnie otwieramy drzwi innym, co zmienia Polskę z lojalnego klienta w pożądanego partnera, o którego względy trzeba zabiegać.

Nie jest pan za dużym optymistą?

– Przez lata przyzwyczailiśmy Amerykanów do statusu naszego jedyne i bezwarunkowego sojusznika. To, że Polska zaczyna realnie szukać alternatyw i uzupełniających partnerstw, budzi zdziwienie w Waszyngtonie.

Czy głośno omawiany francuski parasol nuklearny to realne wzmocnienie polskiego bezpieczeństwa, czy jedynie PR i dyplomatyczna gra pozorów?

– On już istnieje. To konkretne maszyny Rafale, które w razie rosyjskiego ataku mogą się pojawić nad Polską z ładunkiem nuklearnym. Obecnie stacjonują u nas trzy takie myślnice, co na laikach może nie robić wrażenia, ale dla wojskowych i polityków stanowi jasny sygnał: system jest aktywny. Uczestnictwo Polski we francuskich manewrach sił strategicznych otwiera drogę do scenariusza, w którym myślnice Rafale z ładunkiem nuklearnym pojawiają się w naszych bazach w ramach rutynowej współpracy. Takie oswojenie obecności francuskiego potencjału atomowego na wschodniej flance jest najsilniejszym komunikatem dla Rosji: Polska przestaje być strefą bezatomową, staje się operacyjnym zapleczem dla najpotężniejszej broni, jaką dysponuje Europa.

Nie dziwi też, że Polska i Francja świadomie rezygnują z doprecyzowania warunków

Ale że następny prezydent Francji to wielka niewiadoma, Polska musi wykorzystać ostatni rok Macrona, by zamienić jego wizję w twarde fakty wojskowe i gospodarcze. Chodzi o to, żeby odpowiedź na pytanie: „Czy Francja pomoże?”, brzmiała nie: „Tak, bo są traktaty”, ale: „Tak, bo musi we własnym francuskim interesie”. Musimy stworzyć takie więzi – od energetyki jądrowej po wspólne procedury atomowe – by dla każdego następcy Macrona porzucenie Polski było politycznie i ekonomicznie nieopłacalne. Nasze ćwiczenia nuklearne i wspólne projekty będą kowalnicą, która nie pozwoli nowej ekipie łatwo się wycofać z obietnic Macrona.

W Europie jest strach przed wojną? Nie taką możliwą kiedyś, tylko teraz, zaraz?

– Francja oswaja się z wizją konfliktu przez misje w krajach bałtyckich, jednak ich optyka wciąż różni się od naszej – dla Paryża to kwestia przygotowań, dla nas to walka o przetrwanie.

W tym kontekście pojawia się nowa linia napięcia między Bałtami a Ukrainą. Liderzy z Wilna, Tallinna, Rygi dają Zelenskiemu do zrozumienia, że ciągle kwestionowanie gwarancji NATO, dopytywanie i alarmowanie przez kraj spoza Sojuszu, czy można im ufać, jest przeciwnokuteczne. Kraje bałtyckie mówią: „Rozumiemy ukraińskie pobudki, ale podważanie artykułu 5 przez Kijów uderza rykoszetem w bezpieczeństwo tych, którzy pod tym parasolem się znajdują”. A choć państwa nordyckie i bałtyckie oceniają ryzyko otwartej inwazji przed końcem 2027 roku jako niskie, alarmują o drastycznej intensyfikacji rosyjskich działań w szarej strefie.

Rosja wykorzystuje czas na odbudowę sił konwencjonalnych, jednocześnie terroryzując Europę sabotażem, dezinformacją i demonstracjami atomowymi na Białorusi. Horyzont 2027 roku nie jest zatem końcem zagrożenia, lecz datą, do której Kreml zamierza osiągnąć pełną gotowość do ewentualnego testowania spistości NATO.

Premier Tusk ostrzega, że narastające pęknięcia w relacjach transatlantyckich mogą

sprawić, że Amerykanie skupią się na innym regionie świata, zostawiając Europę w fazie przejściowej. To właśnie w tej szczelinie Rosja może upatrywać szansy na uderzenie, licząc, że zanim Zachód się zreorganizuje, fakty dokonane na wschodniej flance będą już nieodwracalne.

Rosja cierpliwie czeka na swoje okienko – czas, w którym USA zostaną sparaliżowane własnymi problemami lub innym konfliktem globalnym. Europa musi być gotowa na natychmiastowe wypełnienie tej luki.

Ale czy to wystarczy? Oprócz twardej danych jest jeszcze psychologia – wyobrażenia, stereotypy, przekonania – które też wpływają na kalkulacje przeciwnika. Amerykanie mimo swoich problemów udowodniali w ostatnich dekadach, że potrafili i chcą się bić. Europa tymczasem kojarzy się Rosji głównie z dobrobytem i pobrzękiwaniem szabelką na defiladach. Rosjanie mogą uznać, że zaryzykują, bo za nowoczesnym sprzętem nie musi iść determinacja tych europejskich dekadentów.

– Europejscy żołnierze, w tym szczególnie polscy, uczestniczą w misjach wojskowych na całym świecie pod egidą NATO, Unii oraz ONZ. Europa nie jest militarnie martwa – jej armie hartowały się w misjach w regionie Sahelu, Afganistanie oraz na Bliskim Wschodzie.

To, że europejskie wojska nie biorą bezpośredniego udziału w wojnie w Ukrainie, wynika nie tylko z nieangażowania się NATO bezpośrednio w konflikt Moskwy z Kijowem, ale również z jego specyfiki. Ukraina w dużej mierze nie operuje w standardowych systemach NATO. Nawet masowo wykorzystywane przez nią drony to często rozwiązania niezależne od struktur Sojuszu. Za to dysponuje dziś wiedzą, której nie ma żadna inna armia, co czyni ją dla nas kluczowym partnerem. Polska odgrywa tu rolę pomostu: z jednej strony szkolimy ukraińskie siły, z drugiej – wspólnie rozwijamy nowe technologie obronne wypracowane w realiach frontowych.

Potwierdzeniem tej współpracy są wspólne ćwiczenia NATO i Ukrainy na poligonach w Estonii i Francji. Zacieśnianie relacji z państwami nordyckimi i bałtyckimi pokazuje, że mimo trudnej sytuacji geopolitycznej standardy operacyjne Sojuszu stale rosną, a interoperacyjność z ukraińską armią staje się faktem.

Tylko co z tego, skoro nasze armie są postrzegane jako wyćwiczone, na papierze gotowe do walki, ale nieostrzelane?

– Owszem, sam nowoczesny sprzęt nie wystarczy Rosji, jeśli na Kremlu panuje przekonanie, że europejskie społeczeństwa nie zaakceptują powrotu żołnierzy w workach. Rosja kalkuluje psychologicznie: uważa, że Europejczycy są „miękczy”, bo cenią komfort ponad ideę. Dlatego samo posiadanie czołgów to za mało – kluczowa jest demonstracja determinacji politycznej.

Europę przed wizerunkiem teoretyka ratuje obecna współpraca z Ukrainą. Dzięki niej europejskie dowództwa przechodzą brutalny kurs rzeczywistości. Rosja widzi, że Europa nie tylko daje sprzęt, ale też błyskawicznie adaptuje ukraińskie wnioski, na przykład o dronach czy artylerii. To sprawia, że Europejczycy przestają być żołnierzami z defilad, a stają się zapleczem najnowocześniejszej myśli wojennej.

Rosyjskie doświadczenie bojowe opiera się często na ogromnych stratach i brutalności. Europejski wyćwiczony żołnierz to żołnierz działający w systemie, gdzie liczą się precyzja i przewaga technologiczna, która ma minimalizować kontakt bezpośredni. Rosja może lekceważyć Europę, ale technologia – jeśli zostanie użyta zdecydowanie – potrafi zniwelować brak ostrzelania, co pokazały pierwsze miesiące wojny na Ukrainie, gdzie nowoczesna broń defensywna zatrzymała zreorganizowaną, doświadczoną w mniejszych konfliktach armię. ●

Kwiatki i kaszanka

Nie rozumiemy, jak działa populizm. Taki żart jest odbierany jako pogarda, bo dotyka sfery bliskiej ludziom: codziennych przyjemności, poczucia bycia u siebie.



Marcin Matczak

Ostatnio w wywiadzie zapytano mnie, czy rzeczywiście polska elita gardzi zwyczajnym człowiekiem, czy może jest to populistyczny wymysł. Który to już raz trudno nam uwierzyć, że pogarda funkcjonuje w elitach, jak nie przymierzając, strukturalny rasizm – nieświadomiany sposób myślenia o innych?

Spójrzcie na aferę „Kwiatków polskich” z Rejtanem i kaszanką w rolach głównych. 3 maja aktor odgrywający Rejtana tarza się po podłodze przed obrazem Matejki i wiąże wolności konstytucyjne ze świętym prawem Polaków do grillowania. Mówi, że w obronie tego prawa pozwoli ze swojej krwi zrobić kaszankę.

Nasza elita naprawdę nie rozumie populizmu. Widać to szczególnie w artykule, w którym autorzy programu odnieśli się do krytyki, która na nich spadła (OKO Press). Bo jeśli żart o kaszance był słaby, to oni w tym artykule piszą: „Potrzyj mi piwo”, jak to na grillu wypada.

Piszą o „terrorze prymitywnego patriotyzmu”, któremu ulegają także liberalne media, o tym, że przez to uleganie „strona liberalna na własne życzenie dostaje łomot”, że zostali zaatakowani, bo rzecz dotyczyła „świętości”. „Czy rzeczywiście koleś rozprawiający o grillu na tle obrazu Matejki coś fundamentalnego w Waszym patriotyzmie narusza?” – pytają.

Nie o patriotyzm tu chodzi, ale o kaszankę. O kpinę z gustów zwykłego człowieka. O to, że wielka historia i wielki gest zostają sprowadzone do poziomu brzucha, obżarstwa i stereotypu majówkowego Polaka.

Dowód na istnienie warszawki

Ta kielbasa robiona z krwi, „bez bakłażana, papryki i innych »weganistycznych świństw«” to sygnał, że sposób życia, który dla wielu osób jest normalny i naturalny, nasza elita uznaje za niegodny. To kontynuacja żartów z Janusza i Grażyny, kielbasy wyborczej i piwa z Biedronki, regularnie wykorzystywanych przez polityków prawicy jako dowód na istnienie warszawki, która gardzi Polską powiatową.

Nie rozumiemy, jak działa populizm. Taki żart jest odbierany jako pogarda, bo dotyka sfery bliskiej ludziom: codziennych przyjemności, poczucia bycia u siebie. Gdy normalnie ktoś uznaje za wstydlive, ludzie czują się upokorzeni. A populistyczna prawica natychmiast pokazuje to jako akt kulturowej dominacji elity i stawia się w roli obrońcy zwyczajnego człowieka.

Mówi im: „Oni gardzą wami i waszym sposobem życia. Ja was szanuję. Ja nie będę wam mówił, co macie jeść i jak macie żyć”. Populista nie tylko nie gardzi gustem zwykłego człowieka, ale też ten gust afirmuje. Czy naprawdę sądzicie, że disco polo było ulubioną muzyką Jacka Kurskiego, kiedy promował ją w TVP za czasów PiS? To był akt uwznioślenia gustu zwyczajnego Polaka. Podobnie telewizja Erdogan promuje muzykę arabesk (miks tradycyjnej muzyki arabskiej z tureckim popem

i folkiem), aby symbolicznie dowartościować tożsamość prowincji, nie metropolii.

To nie był Monty Python

To, co zrobiły „Kwiatki”, jest prezentem dla populisty, bo ten znowu może pokazać zwyczajnemu człowiekowi, że ktoś z wyższej klasy kulturowej uznał jego życie za żalosne.

Autorzy skeczu tego nie widzą. Uważają, że w tej całej sprawie „Chodzi o to, czy wiemy jeszcze, co znaczy słowo satyra”. Piszą, że skecz był w stylu Monty Pythona.

Nie był. Monty Python nigdy nie drwił ze zwyczajnego człowieka. Członkowie grupy kpili z wieśniaków, ale wyśmiewali ich udawane wyrefinowanie, nie prostactwo (Święty Graal i spotkanie króla Artura z chłopami, którzy mówią marksistowskim żargonem). Znacznie częściej natrząsał się z elity – jak w skeczu „Four Yorkshiremen”, gdzie bogaci faceci licytują się, kto miał gorzej w dzieciństwie.

Prawdziwie inteligencka satyra – na przykład Kabaretu Starszych Panów – nie była pogardliwa wobec zwykłego człowieka, raczej pełna czułości i melancholii w stosunku do kogoś, kto próbuje żyć godnie w absurdalnym świecie. Nie była skierowana w dół, raczej do góry lub do środka – na system, biurokrację, konformizm, absurdu PRL-u, ale też na ludzkie słabości ogólnie. Przybora i Wasowski nawet o zwykłym jedzeniu potrafili mówić z czułością, a nie z pogardą („Addio pomidory”). Oni kochaliby tego zwykłego człowieka – z jego kaszanką, majówką, sentymentalizmem i prostymi marzeniami. Byliby po jego stronie.

Sarkazm obronny

Albo Kabaret Dudek – słynny skecz o hydrauliku, z Kobuszewskim, Golasem i Michnikowskim („Wężykiem, Jasiu, wężykiem!”). Zwykły człowiek – hydraulik (Kobuszewski) jest tu głównym bohaterem pozytywnym. Jest kompetentny, rezolutny, ma zdrowy rozsądek i praktyczną wiedzę. Mówi prostym, ale celnym językiem, używa ludowych powiedzeń („Nie ucz ojca dzieci robić”, „Chamstwo i drobnomieszczactwo z pana wylazło”). Ale jest tym, który realnie coś potrafi i rozwiązuje problem, podczas gdy inteligent jest kompletnie bezradny. Klient (Michnikowski) jest pretensjonalny, bezradny w prostych sprawach domowych, mówi górnolotnie, ale nie potrafi sobie poradzić z ciekłym kranem. Ta satyra jest skierowana przeciwko elicie, nie przeciwko ludowi, mimo że, a może właśnie dlatego, że była robiona przez prawdziwą elitę.

Autorzy „Kwiatków” niestety tych problemów nie dostrzegają. „Nie owijają tej »kaszanki« w bawełnę”, co ma brzmieć dowcipnie, ale tak naprawdę sygnalizuje, że inni są śmieszni w swoim oburzeniu. Sarkazm jako narzędzie dominacji to zwyczajowy mechanizm obronny elity.

Nie tylko bronią swojego „żartu”, ale też jednocześnie dewaluują emocje i wartości tych, którzy się oburzyli. W ten sposób zwykły widz przestaje być partnerem w debacie publicznej – staje się obiektem analizy socjologiczno-psychologicznej jako ktoś, kto nie rozumie ironii i satyry. To klasyczny przykład elitaryzmu kulturowego.

W tekście znajdziemy także pouczenie, którego autorzy udzielają „tym swoim” – np. redakcji Onetu, która żart „Kwiatków” skrytykowała. Piszą: „Dziennikarz – ale zawód. To taka gra słów, wiesz? Żart”. Pewnie wiedzą. I pewnie chcieliby, abyście i wy wiedzieli, że jesteście ciągle obserwowani przez populistów, którzy każdy taki „żart” wykorzystają. I to dlatego, a nie przez krytykę tego skeczu, strona liberalna może dostać w najbliższych wyborach łomot. ●

Moralista

Dowiadujemy się, że zmiany w języku są „bardzo mocno sterowane”, „odgórnie zadekretowane” i że idą na nie „olbrzymie nakłady sił i środków”. Nie dowiadujemy się natomiast kto za nimi stoi.



Michał Rusinek

Najnowszy „Nasz Magazyn”, dodatek do „Naszego Dziennika”, poświęcony jest trosce o język. „Ideolodzy niszczą język”, „Słowna barbaria w natarciu”, „Nowomowa nas zniewala”, a my „Potrzebujemy wyrażać prawdę” – głoszą tytuły artykułów. Gdyby jednak ktoś chciał przeczytać coś więcej niż tylko tytuły, dowie się następujących rzeczy.

„W czasach komunistycznego zniewolenia mieliśmy do czynienia z nowomową, czyli zideologizowanym językiem propagandy podporządkowanym komunistycznej partii” – pisze Andrzej Kulesza i znajduje paralele we współczesnym życiu publicznym. „Ideologiczny język neomarksizmu zalewa nas i podobnie jak w czasach komunistycznych jest używany do budowy fałszywego obrazu świata”.

We współczesnej nowomowie pojawiają się takie określenia, jak „mowa nienawiści”, które służy „do ograniczania niewygodnych opinii”, próbuje się redefiniować pojęcie „rodziny”, a przeciwieństwo „oczywista i trwała wspólnota ojca, matki i dzieci” (co z matkami czy ojcami samotnie wychowującymi dzieci?), partie rządzące uzurpują sobie prawo do nazywania się „demokratycznymi”, opozycja zaś wyzywa się od „populistów” i „nacjonalistów”.

Red. Kulesza jest jednak dobrej myśli: Polacy odrzucili nowomowę komunistyczną, więc liczy na to, że odrzucą i „neomarksistowską”.

To był tylko wstępniak. Dalej Krzysztof Gajkowski rozmawia z ks. prof. Pawłem Bortkiewiczem „etykiem i moralistą”. Uczony ów informuje nas na początku, że mowa nienawiści to pojęcie, którym się obecnie „piętnuje” realizm poznawczy.

To zdumiewająca teza, bo co ma stanowisko filozoficzne – skądinąd już nieco skompromitowane – zakładające, że umysł ludzki jest w stanie poznawać rzeczywistość taką, jaka jest ona obiektywnie, do wypowiedzi rasistowskich, ksenofobicznych, szowinistycznych, seksistowskich i dotyczących światopoglądu religijnego?

Rozumiemy, że ksiądz profesor zastosował skrót myślowy: chciałby używać określeń typu „Murzyn”, „Cygan”, „głupia baba”, „pedał” czy „żydek”, jeśli spotyka odpowiednio czarnoskórego, Roma, kobietę, osobę homoseksualną czy Żyda, ale nie może, jeśli nie chce być oskarżony o posługiwanie się mową nienawiści.

Ogromnie mu współczujemy, bo domyślił się, jakie męki musi odczuwać powściągnięciem się od nazywania rzeczy w sposób jego zdaniem obiektywny. Przecież koń jaki jest – zgodnie z realizmem poznawczym – każdy widzi!

Cóż, osobliwe to podejście, zwłaszcza dla kogoś, kto zajmuje się etyką. Następnie dowiadujemy się, że zmiany w języku są „bardzo mocno sterowane”, „odgórnie zadekretowane” i że idą na nie „olbrzymie nakłady sił i środków”, nie dowiadujemy się natomiast kto za nimi stoi. Rzekomo jakaś „mniejszość”, ale nie zostaje ona określona.

Zmiany te są „rewolucyjne”, więc z pewnością mamy do czynienia z jakąś rewolucją: „rewolucja dąży do tego, abyśmy rzeczywistość opisywali nowymi słowami i pojęciami, które wywrócą tradycyjne myślenie o świecie”, a przecież tylko tradycyjne myślenie jest właściwe.

Wspomniana mniejszość chce zaprowadzić w naszym kraju kolejny totalitaryzm. Książę profesor ubolewa, że nie mówi się już „sztuczne zapłodnienie” czy „sztuczna technologia in vitro”, ale po prostu „in vitro”, co jest, jego zdaniem, karygodną manipulacją. Słowo „technologia” brzmi przecież adekwatnie złowieszczą do opisu tego „procederu”.

Celowo wykluczane jest dziś ze słowników słowo „grzech” i zastępowane pojęciami psychologicznymi, które „rzeczywistość religijną i moralną przesłaniają”. U psychologa co najwyżej możemy poprawić swoje samopoczucie, a w konfesjonale – mogliśmy się „przyznać do zła”, dostalibyśmy pokutę, rozgrzeszenie i zwiększylibyśmy swoje szanse na zbawienie.

Krótko mówiąc, te wszystkie językowe i pojęciowe zmiany powodują „określoną skalę emocji, które przekładają się na konkretne decyzje” – konkluduje ksiądz profesor z troską.

To, że ksiądz profesor nie rozumie postmodernizmu i mówi o „dekonstrukcji prawdy” – jakoś nas nie dziwi. Dziwi natomiast, że z jednej strony broni on racjonalizmu mówiąc, że „trzeba przekonywać w sposób intelektualny, racjonalny, odwołując się do stanu rzeczywistości”, a z drugiej – źródła wszelkiego zła upatruje w oświeceniu, które rozpoczęło „procesy niszczące cywilizację zachodnioeuropejską”. Przecież ksiądz profesor musi wiedzieć, że to właśnie w oświeceniu rozwinął się jego ulubiony realizm poznawczy.

Poznawczy mamy więc głównie dysonans czytając „Nasz Magazyn”. Kiedy już jednak bliżej jesteśmy obłądu, ksiądz profesor Bortkiewicz wskazuje nam lekturę obowiązkową, z której czerpać możemy jedyną prawdziwą wiedzę o świecie i która „porządkuje poznanie rzeczywistości”. Jest to „Katechizm Kościoła Katolickiego”. Może być on odtrutką na „współczesną zmanipulowaną nowomowę”, ponieważ język, którym się posługuje, jest „uniwersalny i na jego płaszczyźnie można rozmawiać twórczo i dosłownie z każdym człowiekiem”. Czy chodzi o rozmowę dosłowną, czyli pozbawioną figur retorycznych, czy też słowo „dosłownie” oznacza tu „bez wyjątku”? Te go się nie dowiadujemy.

Dowiadujemy się natomiast – z artykułu Gajkowskiego, który podsumowuje rozmowę – że język inkluzywny to przemoc wobec tych, którzy „nie podporządkowują się napędzającym go ideologiom”. Opreśja wobec bowiem osób wykluczanych jest niczym wobec „atakowania i obrażania tych”, którzy nie mogą sobie swobodnie atakować i obrażać. Moralista ks. prof. Bortkiewicz pewnie by wiedział, że to się nazywa „moralność Kalego”. ●



FOT. HALPOINT IMAGES/GETTY IMAGES

NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT...

...gdybym tylko wreszcie przestał gapić się na ten nieszczęsny ekran.

Z **PROF. MIROSLAWEM FILICIAKIEM***,
KULTUROZNAWCĄ I MEDIOZNAWCĄ
ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

Rządzący myślą nad zakazem korzystania z telefonów w szkołach podstawowych. Czy to dobra decyzja?

– Na tak zadane pytanie nie da się w prosty sposób odpowiedzieć. Są różne perspektywy.

Kiedy myślę o zakazie jako rodzic nastolatka, to jestem skłonny zgodzić się z politykami, którzy chcą zakazać korzystania z telefonów w szkołach. Zrobimy coś wreszcie z dziećmi, które spędzają połowę życia w komórkach, mają problemy ze skupieniem uwagi, są narażone na przemoc w sieci. Nawet za cenę rozwiązania złożonego problemu za pomocą siekiery. Rodzice tacy jak ja obawiają się, że bez radykalnych rozwiązań państwo w zamian nie zrobi nic.

Ale równocześnie jako badacz wiem, że sprawa jest skomplikowana, a myślenie, że jeśli znikną telefony, to w ich miejsce magicznie pojawią się wspaniałe rzeczy, jest naiwne. To wymaga jakiegoś planu, infrastruktury, refleksji nad tym, co w zamian – i jak w lepszy sposób wypełnić ten czas bez ekranów. Zresztą: co znaczy lepszy? Dla kogo?

To, niestety, nie jest prosta dyskusja, a paradoks polega na tym, że także poprzez to, jak dziś wyglądają ekosystem medialny i scena polityczna, straciliśmy umiejętność prowadzenia zniuansowanej rozmowy. Choć jedno jest jasne: za bardzo oddaliśmy kontrolę nad przestrzenią komunikacyjną wielkim korporacjom technologicznym.

No właśnie, znamy badania, które wprost opisują szkodliwy wpływ portali społecznościowych na dzieci. To nie tylko rozproszenie, brak koncentracji, przemoc, ale też poważne problemy psychiczne, alienacja, myśli samobójcze.

– Tak, choć szkodzą w różny sposób różnym dzieciom. Nie mamy precyzyjnych badań, które wprost udowodniłyby, że TikTok szkodzi

dziewczynkom do 13. roku życia, a Instagram starszym nastolatkom.

To kłopot związany między innymi z tym, że łatwiej nam dziś śledzić kanały przekazywania treści niż to, z czego realnie za ich pośrednictwem korzystamy. Big techy bronią się przed zwiększeniem transparentności tej sfery.

Pewną nadzieję dla badaczek i badaczy stanowią unijne regulacje zapewniające nowe sposoby dostępu do tych informacji, jeśli będziemy w stanie dobrze uargumentować, że dotyczą działań generujących ryzyko społeczne. W Polsce jednak unijny „Akt o usługach cyfrowych” zawetował prezydent Karol Nawrocki.

Co przynosi kolejną refleksję: patrząc na rozwój polskich mediów, ich historię, a także prawo, które je ograniczało, musimy powiedzieć, że aż do czasu pojawienia się internetu nasze gazety, telewizje i radia były mocno regulowane. Internet w tej opowieści jest dzieckiem neoliberalizmu, fantazji o końcu historii.

I tego, że internet będzie poszerzał naszą świadomość i umacniał demokrację. Co dzisiaj wydaje się utopią.

– Jasne, choć 30 lat temu internet był zupełnie innym miejscem, więc mogliśmy o nim myśleć idealistycznie. Był czymś oddolnym, zdecentralizowanym, a dzisiaj jest w rękach kilku gigantycznych korporacji amerykańskich i chińskich, które optymalizują swoje produkty, a więc social media, platformy strumieniowe takie jak Netflix czy sklepy pod kątem zysku, a nie pod kątem dobra społecznego.

Można powiedzieć, że tak działa kapitalizm, ale jednak w kapitalizmie podobno jest miejsce na konkurencję – a dziś mamy raczej oligopol potężnych korporacji przejmujących na siebie coraz więcej funkcji państwa, ale działających nieprzejrzysto.

Wniosek jest jeden: kontrola nad wspólnym internetem jest słaba. A równocześnie gama i skala oferowanych przezeń usług sprawia, że mają one realny wpływ na życie społeczne – bo przecież np. działanie aplikacji randkowych wyłącznie pogłębia rosnące na-

pięcie między kobietami a mężczyznami. Kilka firm zarabia krocie, problem mamy wszyscy.

Podaję ten przykład, ponieważ chciałbym umieścić dyskusję o szkole w szerszym kontekście społecznym, kulturowym i politycznym. Zauważ, że w Polsce po 1989 roku sporo się udało – mamy dobre drogi, administracja publiczna jest raczej sprawna, a instytucje kultury coraz lepsze. Ale edukacja powinna być wyrzutem sumienia kolejnych rządów.

Rozumiem, że przy okazji zmienia się sposób komunikacji między ludźmi, informacje nie pojawiają się w gazetach, tylko na Facebooku, a szkoła za tym kompletnie nie nadąża. Tak więc zakaz korzystania z telefonów nie za wiele zmieni? Politycy twierdzą, że te kilka godzin bez smartfonów pomoże nawiązywać dzieciakom nowe relacje i skupić się na nauce.

– Opowiem nieco naokoło. Już teraz nie we wszystkich szkołach dzieci mogą robić z telefonami wszystko, co chcą, choć dotyczy to głównie szkół prywatnych. Co umacnia i utrwała różnice klasowe i nierówności w Polsce.

Nauczyciele zadają sobie więc ważne pytanie: w jaki sposób egzekwować zakaz? Ale też: Czy taki gwałtowny ruch nie wygeneruje nowych problemów, bo – jak wspominałem – widzia, w której nagle wszyscy zaczynają czytać książki albo spędzać czas na zabawie z innymi, jest mało realistyczna. I jeśli dokładniej się temu przyjrzymy, to może się okazać, że telefony – z którymi sam miewam problem jako rodzic, ale i prowadzący zajęcia – nie są wcale najważniejszym wyzwaniem.

Spółczesność nie docenia nauczycieli, programy nauczania są przeladowane, korepetycje są czymś powszechnym. Wierzę w potrzebę regulacji mediów, ale równocześnie wiem, że „wszystkiemu winny telefon” to zbyt prosta figura.

Ona zresztą wpisuje się w typową dla kultury terapeutycznej wizję, w której problem zawsze jest indywidualny – i wszystko byłoby świetnie, gdybym tylko wreszcie przestał gapić się na ten nieszczęsny ekran.

A jak można by przeprowadzić te zmiany porządnie?

– Ja wiem, że w dzisiejszej sytuacji trudno dyskutować z tym, że państwo wydaje dużo na helikoptery i czolgi, ale odporność społeczna polega też na tym, że ludzie potrafią sobie radzić z dezinformacją, rozumieją działanie systemów, potrafią krytycznie myśleć.

Dlatego myślę, że za promil innych wydatków można byłoby przesunąć i zamówić badania pilotażowe oraz opracować zasady dla różnych grup wiekowych. Solidnie przyjrzyć się problemom, ale też temu, jak proponowane rozwiązania realnie działają.

Odpowiedzialne państwo poczekałoby dwa lata z wprowadzeniem pełnego zakazu i opracowało zmiany systemowe uwzględniające wnioski z badania.

Politycy obawiają się jednak, że rozmowa o telefonach skręci w dyskusję o niedofinansowanej szkole, starzejących się, przemęczonych nauczycielach, klasie średniej wysyłającej dzieci wyłącznie do prywatnych szkół czy po prostu rodzicach traktujących edukację jak każdy inny towar. Dyskusję o systemie, który zamiast wyrównywać szanse, pogłębia nierówności.

Ale na poziomie polityki ten zakaz zadziała. Koalicja rządząca pochwali się, że uratowano dzieci i zrobiono porządek w szkołach.

– Tak, choć jednocześnie zakaz we wszystkich szkołach wiązałby się z odważnym i dużym eksperymentem społecznym, którego konsekwencje trudno przewidzieć.

Możemy powoływać się na australijski przykład, gdzie zakazano dzieciom do 15. roku życia korzystania z platform społecznościowych, ale przecież nikt jeszcze na świecie nie zbadal, czy odcięcie dzieci od social mediów i telefonów w szkołach niesie ze sobą wyłącznie pozytywne skutki.

Oczywiście: duże firmy technologiczne są problemem, trzeba im dokręcić śrubę. Zmiany prawne powinny więc pójść w kierunku większej kontroli big techów.

Ale pakowanie do jednego worka wszystkich młodych ludzi i zakładanie, że na pew-

no zachowują się nieodpowiedzialnie i niebezpiecznie w internecie, jest niesprawiedliwe.

Zdaję sobie też sprawę, że wciąż pojawiają się nowe wyzwania. Ja sam jako ekspert jestem związany z PEGI – europejską organizacją zajmującą się oznaczaniem gier. Przez dwie dekady jej zadania były relatywnie proste: pokazujemy rodzicom, czy w grze jest przemoc, seks, sugerujemy wiek gracza, niech ludzie przy zakupach podejmują świadomą decyzję.

Ale dziś to znacznie trudniejsze, bo nie sposób w pełni kontrolować gry, jeśli zawiera ona funkcje online – nie wiemy, kto co komu w tej przestrzeni powie. W wielu grach internetowych działają mechanizmy hazardowe. W realnym świecie nikt nie wpuści 12-latka do kasyna, ale przecież nie wszyscy rodzice śledzą dokładnie, jak działają poszczególne tytuły.

A równocześnie największe platformy sprzedające gry wprowadzają własne regulacje, bo zachowują się nie jak uczestnicy rynku, tylko jak całe rynki. Jak dotrzeć do ludzi ze skomplikowanym i w gruncie rzeczy nieatrakcyjnym przekazem? Bo oto, świecie pełnym problemów, mówimy ci, że masz kolejny, ale też, że nie da się go prosto rozwiązać, bo sytuacja jest złożona.

No dobrze, to w jaki sposób to wszystko uporządkować?

– Nikt tego nie wie, ponieważ żadne państwo na świecie kompleksowo nie zajęło się regulacją internetu. To jednak nie znaczy, że nie powinniśmy nic robić. Unia Europejska pozostaje w awangardzie zmian legislacyjnych, bo w tle mamy chiński model oparty na inwigilacji i amerykański pozostający bez żadnej kontroli w imię zasady: teraz róbmy kasę, a potem zastanowimy się nad konsekwencjami.

Modele, którymi zresztą szantażuje się europejską narrację, bo to całe gadanie o prawach i bezpieczeństwie osłabia naszą przewagę konkurencyjną...

Unia próbuje chronić obywateli, dlatego niebawem powinien zostać wdrożony nowy internetowy system weryfikacji wieku. To rozwiązanie wydaje się niezbędne, choć obawy budzi bezpieczeństwo danych – mam nadzieję, że uda się to zrobić porządnie, bo bez tego cały pomysł może zostać skompromitowany.

Jak wspominałem, musimy też być w stanie solidnie prześwietlać przestrzeń dużych platform medialnych, przede wszystkim mediów społecznościowych – obligacja big techów do dzielenia się danymi to ruch w dobrą stronę, podobnie jak wiele innych wymogów, przed którymi stają największe platformy.

W sierpniu z kolei powinniśmy zobaczyć wdrożenie kolejnej paczki wymagań wynikających z AI Act – bo przecież zalew generowanych automatycznie treści to też zjawisko, które należy skutecznie uregulować.

I jeszcze jeden element: dzieci w szkołach nie uczą się świadomego korzystania z telefonów, weryfikacji informacji. Czy nie należałoby zakaz poprzedzić wprowadzeniem lekcji cyfrowych?

– Mam problem z figurą „dziecka”. Kimś innym jest młody człowiek z Mokotowa, a inną historię, kapitał kulturowy, dostęp do instytucji ma dziewczyna z małej wioski na Pomorzu. Te różnice nie determinują wszystkiego, ale mają wpływ na style życia.

Młodzi oglądają te same rolki, ale przecież nikt nie jest w stanie w subtelny sposób przekazać wiedzy w 30-sekundowym filmiku.

Nastolatek z Mokotowa pójdzie na korepetycję, znajomi zabiorą go na dyskusję do lewicującego klubu, a dziewczyna z Pomorza zostanie sama z filmikiem.

A wracając do twojego pytania – rozmowa o edukacji medialnej ciągnie się co najmniej od 2000 roku, przynajmniej na tę jej odsłonę ją się załapałem. Żaden rząd nie był w stanie jej wprowadzić w wydaniu innym niż zapisy pełniące funkcję listka figowego – bo jak już sobie powiedzieliśmy, polska szkoła ma masę problemów, a trudno zajmować się nimi oddzielnie.

Gołym okiem widać, że od czasów pandemii eksplodowały problemy psychiczne młodych ludzi oraz znaczenie platform społecznościowych. Państwo mogłoby wyciągnąć wnioski.

Zakazując korzystania z TikToka i Instagrama osobom poniżej 15. roku życia?

– Być może – ale nie od razu, budując też w międzyczasie inne przestrzenie komunikacji. Może wystarczy też poddanie tych starszych silniejszej kontroli – poczekajmy, zobaczymy, jakie efekty przyniesie DSA. Bo przecież to nie jest tak, że tymi kanałami nie da się oddziaływać pozytywnie, po prostu to nie jest wartość, której promowanie się oplaca. Trzeba więc sprawić, by pogoń za oglądalnością za wszelką cenę była obarczona ryzykami kar, które ten bilans skomplikują.

Mamy też młode osoby transseksualne, dla których portale społecznościowe to jedyne miejsca, gdzie mogą czuć się bezpiecznie. Im też należałoby odebrać dostęp do Facebooka?

– Zwłaszcza że ten przykład dotyczy różnych mniejszości: możesz być gejem z małej miejscowości albo osobą przewlekle chorującą. Wiadać wyraźnie, ile sfer – za sprawą technologii – uległo prywatyzacji.

Nie warto idealizować: 30 lat temu te osoby nie poszłyby na kółko teatralne. Ale po raz kolejny dotykamy wymiaru klasowego, ponieważ młoda osoba trans w Warszawie z klasy średniej szybciej znajdzie zrozumienie i wsparcie niż jej rówieśniczka spod Głogowa.

Nastolatka mieszkająca na wsi nie pójdzie do biblioteki, w której może wypożyczyć poradnik dla osób poszukujących tożsamości seksualnej, ponieważ w jej sąsiedztwie nie ma żadnej wypożyczalni albo progresywnych publikacji naukowych napisanych prostym językiem.

Nie dostanie się do psychologa, ponieważ w najbliższej okolicy nie ma ani jednej publicznej przychodni ze specjalistami.

Cały czas mówimy o tym samym mechanizmie: czym państwo polskie może wypełnić pustkę po wprowadzeniu zakazu korzystania z portali społecznościowych?

A rodzice?

– Historycznie technologia odgrywała też rolę punktu odniesienia dla praktyk rodzicielskich. Czy dziecko nie siedzi za długo przed telewizorem? Dziś w tę przestrzeń wszedł telefon. Ale nie spychajmy znów wszystkiego na jednostki, bo nie wszystkie mają czas, kompetencje, pieniądze, żeby sobie z tym radzić.

Taksówkarz powiedział mi ostatnio o swojej nastoletniej córce, której odebrał telefon. Po miesiącu dziewczyna była w stanie przeczytać książkę. Po dwóch – emocjonalnie się uspokoiła. Ale kiedy rodzice zapytali, czy chciałaby odzyskać telefon, odpowiedziała twierdząco. „Bo wszystkie moje koleżanki mają telefon i omija mnie wiele informacji, o których dowiaduję się dopiero w szkole”, odpowiedziała.

– Można więc zadać przewrotne pytanie: skoro wszyscy to robią, to po co wprowadzać zakazy?

A ty zakazujesz swoim dzieciom korzystania z telefonów?

– Nie potrafię nad tym w pełni zapanować i miewaliśmy trochę konfliktów na tym tle. Sam też dużo siedzę w ekranach, co skutkuje poczuciem winy i postanowieniem, że nie powinienem tyle korzystać z telefonu, skoro zależy mi na tym, żeby dzieci zachowywały się inaczej.

No ale znów: mam rachunki do zapłacenia, bardzo dużo pracy, a ta jest związana z siedzeniem przed ekranami. Ta rozmowa nie dotyczy więc technologii, która w jakiejś mierze jest przyczyną konfliktów z dziećmi, ale i symptomem innych mechanizmów.

Niektóre dzieciaki mówią tak: relacja na portalach społecznościowych są przedłużeniem relacji ze szkoły i podwórka. Poza

tym są tym, czym dla naszego pokolenia była telewizja albo gry komputerowe.

U mnie w domu było sporo telewizji i gier i czy to sprawiło, że nie potrafię nawiązywać kontaktów z innymi? No nie. Więc – mówią młodzi – nie reagujcie zbyt histerycznie?

– Musimy zapomnieć o kategoriach „dobro-zło” i skupić się na badaniach, ale też dyskusji o tym, co jako społeczeństwu wydaje nam się ważne i potrzebne. Jak na nowo ułożyć internet, żeby w konsekwencji ludzie byli w stanie czytać ze zrozumieniem także długie teksty – bo nie wszystko da się powiedzieć krótko i prosto – a portal X pokazywał różne strony sceny politycznej.

Największym problemem nie jest to, że młodzi ludzie kłócą się z rodzicami o social media, tylko to, że państwo wycofało się z wielu obszarów życia społecznego. Mamy z jednej strony neoliberalny model państwa, które cię obsługuje, a z drugiej – model nacjonalistyczny i prawicowy, który żongluje pojęciami z przeszłości o dumie narodowej.

W obu modelach państwo kapituluje z kontroli nad siecią – i nie chodzi mi tu o żonglowanie symbolami, tylko realny wpływ na infrastrukturę. A tak naprawdę każdy może na własne oczy zobaczyć, do czego prowadzi sojusz technologicznych oligarchów i prawniczych polityków w Stanach Zjednoczonych.

■

Nikt jeszcze na świecie nie zbadał, czy odcięcie dzieci od social mediów i telefonów w szkołach niesie ze sobą wyłącznie pozytywne skutki

Co przekłada się nie tylko na decyzje geopolityczne, ale wpływa na życie wielu ludzi, ponieważ nowe media umacniają w nas poczucie, że wszystko zależy od nas, pogłębiają kulturę indywidualizmu.

Co widać w popularności psychologii.

– To oczywiście kłopotliwy temat, bo kultura terapeutyczna w naszym kraju jest też elementem zrywania z toksyczną „kulturą zapierdolu”, wprowadzania myślenia, że jednak od czasu do czasu warto zadbać o swój dobrostan. Ale język poppsychologii, która stała się nową ezoteryką, jest podstawową formą opowieści o sobie samym i o świecie, a to nie pomaga myśleniu wspólnotowemu.

Media coraz częściej stają się nie narzędziem zdobywania wiedzy o świecie i wymiany informacji, ale samoregulacji, pracy nad swoimi emocjami. Także: performowania siebie w sieci, co oczywiście cieszy zbierające dane o nas big techy.

To jeszcze inaczej: 19-letnia dziewczyna stwierdziła ostatnio w rozmowie z ojcem, że mu zazdrości, ponieważ miał wybór i mógł zdecydować, czy założyć konto na Facebooku. „Ty w moim wieku nie byłeś uwiązany do social mediów, to musiało być super. A my już nie mamy wyborów”, dodała.

– Cóż, Komisja Europejska przeora tę perspektywę, ponieważ korzystanie z platform społecznościowych będzie utrudnione i kontrolowane. Już teraz możesz zdepersonalizować feed, czyli widzieć coś innego, niż podpowiada ci algorytm.

A może trzeba w ogóle wyłączyć sociale, które – co tu dużo mówić – raczej szkodzą demokracji, niż jej pomagają.

– W Chinach kilka lat temu gracze jednej z gier po spędzeniu przed komputerem kilku godzin z rządu zaczęli tracić punkty, zamiast je zdobywać. To niewygodny przykład, ponieważ Chiny kojarzą się nam z ograniczaniem wolności obywateli.

To raz. Dwa – w Polsce historycznie nie ufamy państwu, więc jakkolwiek dyskusja o ogra-

niczeniu mediów społecznościowych dla dorosłych napotka opór.

Trzy – social media już dawno pełnią funkcję infrastruktury tam, gdzie nie dostarczyło jej państwo. Prowadząc badania, wiele razy rozmawiałem z ludźmi, którzy chcieli ograniczyć np. liczbę komunikatorów, ale w przedszkolu u córki mamy grupę na WhatsAppie, a o prezentach na zakończenie roku syna rozmawiamy na Messengerze.

Ale te media mogą działać inaczej, podobnie jak inny mógłby być społeczny bilans zysków i strat – obejmujący także obciążenia podatkowe świetnie radzących sobie finansowo platform.

Wierzysz, że regulacje coś zmienią?

– Dzisiaj platformy społecznościowe ważą więcej niż portale, gazety, telewizja i radio. A te pierwsze są kontrolowane przez algorytmy, bez udziału państwa, co jest feudalnym modelem zależności między nami a prywatnymi korporacjami.

Dlatego nowe regulacje unijne dadzą nam wgląd w algorytmy i nałożą na social media kaganiec. Polska powinna na tym skorzystać, ponieważ jesteśmy w stanie wojny hybrydowej z Rosją, cały czas tradycyjne media informują o farmach moskiewskich botów mających wpływ na opinię publiczną, i jako państwo nie mamy obecnie wielu narzędzi kontrolnych.

Mnie ciekawi, kto miałby to wszystko robić, czyli sprawdzać social media, weryfikować treści pod kątem wygenerowania przez sztuczną inteligencję, nie wpuszczając dzieci z telefonami na teren szkół. Przecież do tego wszystkiego potrzeba armii urzędników.

– Rozumiem, że brzmi to onieśmielająco, ale przecież ten budowany system ma wiele warstw – od poziomu krajowych organów nadzorczych przez unijne instytucje po AI Office. Nie zapominajmy też o stronie społecznej, organizacjach pozarządowych takich, jak choćby Panoptikon, które wykonują wielką pracę, żeby te wątki nie zniknęły ze sfery publicznej.

Bo oczywiście ważny jest też kształt lokalnych wdrożeń i stosunek społeczeństwa do nich. Niestety, to znów niełatwe, bo ujmując rzecz w największym skrócie: trudno krytykować platformy internetowe w świecie, w którym głównym narzędziem komunikacji są platformy internetowe. Ale jaka jest alternatywa?

Bo oczywiście możemy znów opowiedzieć sobie historię o powolnym unijnym molochu, który popełnia błędy – bo na pewno jakieś popełni. O sprytnych biznesmenach, którzy grają instytucjom na nosie i którzy dla wielu osób są atrakcyjniejszymi bohaterami, niż – dajmy na to – urzędniczka z Urzędu Komunikacji Elektronicznej, nawet jeśli to ona działa w interesie obywateli, a on maksymalizuje zyski. Albo o technologii, za którą prawo nigdy nie nadąży. Tylko czy to przybliży nas do rozwiązania chociaż kawałka problemów, o których rozmawiamy? ●



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Prof. Mirosław Filiciak

• jest dyrektorem Instytutu Nauk Humanistycznych Uniwersytetu SWPS. Zajmuje się wpływem mediów cyfrowych na uczestnictwo w kulturze. Bada internet, gry komputerowe, przemiany telewizji oraz nieformalny obieg treści i kulturę współczesną. Autor książek: „Wirtualny plac zabaw. Gry sieciowe i przemiany kultury współczesnej”, „Media, wersja beta” oraz wspólnie z Alkiem Tarkowskim „Dwa zero. Alfabet nowej kultury i inne teksty”. Zastępca redaktora naczelnego kwartalnika „Kultura Popularna”.



MOJĄ PRACĘ OCENIAŁA SALÓWA

Pacjenci wkładają mnóstwo energii w ustalenie, kto jest dobrym lekarzem.
Tę wiedzę zdobywa się pocztą pantoflową.

Z **DR N. MED. ŁUKASZEM RAKASZEM***,
NEUROCHIRURGIEM
ROZMAWIA **KATARZYNA STASZAK**

Od ponad dwóch lat pracujesz w Polsce. Kiedy ostatnio widziałeś coś, co nie zdarzyłoby się w Wielkiej Brytanii?

– Dzisiaj, gdy przyjmowałem pacjentów w poradni. Wchodzi rodzic z dzieckiem i mówi, że był już u trzech lekarzy, a ja jestem czwarty. Zaufanie do lekarzy jest w Polsce mniejsze niż w Wielkiej Brytanii.

Z czego to wynika?

– W dużej mierze z braku wspólnych standardów leczenia. Chodzi o to, żeby leczyć ludzi tak samo w Warszawie, w Płocku czy w Białymstoku. A Polacy wiedzą, że oferowane terapie mogą się różnić w zależności od miejsca i od lekarza. Dlatego nieustannie się konsultują. Zbierają opinie i mają mętlik w głowie.

W Wielkiej Brytanii lekarze kierują się standardami, które dostarcza NICE, czy-

li Narodowy Instytut Doskonałości w Zdrowiu i Opiece. To wiedza oparta na dowodach naukowych i aktualnych wytycznych towarzystw medycznych. Uwzględnia też finansowe możliwości systemu zdrowia.

Większość pacjentów pozytywnie zareaguje na standardową terapię, a dla osób, które wymagają niestandardowego działania, można je ustalić. Można w szpitalu zwołać zespół różnych specjalistów i wspólnie zaplanować leczenie.

Gdyby ludzie w Polsce wiedzieli, że lekarze trzymają się tych samych standardów leczenia, czyli że kolejni doktorzy powiedzą im to samo, przestaliby konsultować się w tyłu miejscach.

Teraz pacjenci wkładają mnóstwo energii w ustalenie, kto jest dobrym lekarzem. Tę wiedzę zdobywa się pocztą pantoflową.

Ktoś opowiada, że doktor Kowalski dobrze wyleczył nogę żonie kuzyna. Ale czy to na pewno oznacza, że jest dobrym lekarzem? Czy uczy się nowych rzeczy? Czy jest

dobrze oceniany przez współpracowników? W Wielkiej Brytanii to ma znaczenie. Lekarz musi co pięć lat odnawiać prawo wykonywania zawodu. W Polsce takiej kontroli jakości nie ma.

Jak to kontrolowanie lekarzy wygląda w praktyce? Co musiałeś robić, żeby nie wylecieć ze szpitala w Newcastle?

– Monitorowanie pracy lekarzy odbywa się stale i na wielu poziomach. Są ankiety pacjentów, oceny od szefów, ale też od współpracowników. Moją pracę oceniali nawet salowa i to było dobre. Widzi przecież, jak pracuję, czy mam empatyczne podejście do pacjentów i ich bliskich.

Dostawałem więc nie tylko opinię o mojej wiedzy medycznej, ale też o zachowaniu, komunikacji z pacjentami i innymi osobami pracującymi w szpitalu, bez których system zdrowia nie działa.

Te oceny naprawdę zmieniają świadomość, przypominają, że lekarze są dla pacjentów. Proste, ale kluczowe.

Co roku trzeba zbierać te wszystkie oceny i dodać na swoje elektroniczne konto, trzeba też wykazać udział w konferencjach i szkoleniach. Na podstawie tej dokumentacji co pięć lat następuje rewalidacja, czyli potwierdzenie prawa wykonywania zawodu. Zajmuje się tym The General Medical Council, czyli Generalna Rada Lekarska.

To odpowiednik naszej Naczelnej Izby Lekarskiej. Ale cele mają nieco inne. Brytyjska Rada, po pierwsze, „wspiera dobrą i bezpieczną opiekę nad pacjentami”. A w zadaniach polskiej Izby słowo „pacjent” w ogóle się nie pojawia.

– Brytyjczycy założyli sobie, że chcą być leczeni przez dobrych lekarzy. Nie chcą w tym zawodzie ludzi, którzy się do tego nie nadają. Polacy też muszą odpowiedzieć sobie na pytanie, jakich chcą lekarzy.

A co działo się z oceną twojej pracy, gdy zabieg nie poszedł zgodnie z planem?

– Operacje wiążą się z ryzykiem. W medycynie mówimy o zdarzeniach niepożądanych. Każde takie zdarzenie jest w brytyjskich szpitalach omawiane i analizowane przez cały zespół. Ten zwyczaj przyszedł do medycyny z lotnictwa. To eksperci od latania dowiedli, że im lepsze masz procedury, tym mniejsze ryzyko zdarzeń niepożądanych. Omawia się szczegółowo kolejne działania, żeby wyciągnąć z tej sytuacji wnioski i żeby się czegoś nauczyć. To system oparty na kulturze bezpieczeństwa.

W polskich szpitalach unika się rozmów o błędach, czyli nie mamy kultury bezpieczeństwa.

– Nie mamy, ale musimy mieć takie systemowe rozwiązanie. Rozmawianie o błędach jest częścią pracy lekarza. Jeśli ktoś mówi, że nie popełnia błędów, to znaczy, że albo nic nie robi, albo kłamie.

Nigdzie na świecie system zdrowia nie jest idealny, każdy kraj ma jakieś swoje problemy. W Polsce naprawianie systemu trzeba zacząć od większej transparentności. To oznacza jawność, otwartość i uczciwość.

To teraz otwarcie powiedz, dlaczego wyjechałeś z Polski.

– Skończyłem studia w Warszawie i miałem zacząć specjalizację. Od szefa oddziału usłyszałem, że mogę z nim pracować, ale operować do ukończenia specjalizacji nie będę. A ja chciałem być neurochirurgiem, tego uczy się na sali operacyjnej. Wyjechałem, bo w Wielkiej Brytanii praktyczne kształcenie lekarzy to systemowy wymóg. Nikt nie podpisze ci dokumentu, że coś robiłeś, jeśli nie robiłeś.

A dlaczego wróciłeś do Polski?

– Szpital dziecięcy na ul. Niekańskiej w Warszawie szukał ordynatora neurochirurgii. Szpital jest na Pradze-Południe, w tej samej dzielnicy, co Saska Kępa, gdzie się wychowałem. Warszawa jest świetnym miejscem do życia, czystym, ładnym, bezpiecznym, bogatym. A zarobki lekarzy są w Polsce bardzo dobre.

Kiedy zaczynałeś pracę jako ordynator, powiedziałeś, że chcesz zmniejszyć kolejki w poradni. Udało się?

– Tak. Czeka się teraz trzy miesiące zamiast dwóch lat.

Trzy miesiące czekania na konsultację jest w porządku?

– Tak, jeśli chodzi o przypadki, które nie są pilne. Moja praca w poradni polega często na mówieniu rodzicom, że nie ma powodów do obaw. Chodzi na przykład o dzieci, które mają małą torbiel. Oglądam wyniki badań, tłumaczę, że to sprawa do obserwacji i że spotkamy się kontrolnie znowu za jakiś czas. Przychodzą też dzieci na kontrolę po leczeniu.

Jeśli dziecko ma nagle jakieś objawy, jest przyjmowane na szpitalnym oddziale ratunkowym albo przywozi je do nas karetka. Wtedy dostaje pomoc natychmiast.

Operujesz tak samo, jak to robiłeś w Wielkiej Brytanii? Nie ma różnic w wyposażeniu szpitala?

– Sprzęt jest świetny. Słyszę, że w niektórych szpitalach nowego sprzętu jest wręcz za dużo. Ale jedna rzecz zupełnie nie działa: nie mam dostępu do poprzednich badań radiologicznych pacjentów.

Przyjeżdża dziecko, boli je głowa, wymiotuje. Słyszę, że kiedyś miało jakąś zmianę w mózgu, ale nie mogę szybko sprawdzić, czy ta zmiana się odnowiła lub powiększyła. Nie mogę porównać z tym, co teraz widzę w tomografii, bo na koncie pacjenta nie ma badań radiologicznych.

W najlepszym wypadku dostaję od rodziców płytę CD i wgrywam ją 15 minut na komputerze. Tak jest też w poradni. Dlaczego system wymaga od pacjentów chodzenia z płytami, choć od lat nikt ich w normalnym ży-

ciu nie używa? Nawet trudno kupić komputer z czytnikiem CD.

W Wielkiej Brytanii wszystkie wyniki badań są przypięte do konta pacjenta. Obojętnie, w jakim mieście miał badanie, mogę je zobaczyć.

To zaniedbanie, bo Polska jest przecież świetnie scyfryzowana. Mnóstwo urzędowych rzeczy da się załatwić online. Zabrakło chyba priorytetyzacji spraw, nie było oceny, co warto zrobić najpierw, bo jest ważne. Są rzeczy, które da się wprowadzić relatywnie prosto, a efekt dla systemu zdrowia będzie ogromny. To jedna z takich rzeczy.

Robisz więcej operacji planowych czy tych z powodu wypadków?

– Więcej jest wypadków. Chyba od czasu, gdy popularne stały się hulajnogi elektryczne. To jest duży problem nie tylko w naszym oddziale, ale w całej Polsce.

Czujesz, że doświadczenia z pracy za granicą to twoja zaleta?

– Uniknąłem efektu gotującej się żaby.

Nie przyzwyczaiłeś się do patologii?

– Patologie nie są dla mnie normą. Jeśli dojrzewasz zawodowo w jakimś systemie, to możesz uznać go za normalny. Ja wiem, że jednak może być inaczej.

A co w Polsce wyjątkowo dobrze działa?

– Rozwiązywanie problemów, które tworzy system. Jesteśmy świetni – i jako lekarze, i ja-

I masz uraz głowy.

– Czasem po wypadku od razu wiadomo, że potrzebny jest zabieg. Często tego od razu nie wiemy, musimy diagnozować, monitorować stan mózgu i ocenić konsekwencje urazu. Nie każdy uraz głowy skończy się na sali operacyjnej. Może jednak pozostawić długoterminowe skutki, np. w postaci padaczki. Po wypadku musimy ocenić, czy w mózgu nie doszło do pęknięcia naczynia krwionośnego. Krwiak to zagrożenie życia.

Jeśli uderzymy się w rękę, to podskórny krwiak widzimy jako siniak. Znika sam, bo organizm radzi sobie w tym miejscu z takim urazem. Ale głowa to przestrzeń ograniczona przez czaszkę. Krwiak może uciskać na struktury nerwowe.

Dzieci ranne w wypadkach to oczywiście tragedia rodziców. Ale jest to też tragedia policjantów i osób z innych służb, które działają na miejscu wypadku. Wracają do swoich domów i też to przeżywają.

To dlatego walczyłeś o zapisanie w prawie obowiązku noszenia kasku przez dzieci do 16. roku życia? Udało ci się przekonać Ministerstwo Infrastruktury, posłów i senatorów. Prawo wchodzi w życie 3 czerwca. Za brak kasku u dziecka, które jedzie rowerem, na hulajnodze czy na innym „urządzeniu transportu osobistego”, grozi rodzicom mandat w wysokości 100 zł.

– Nic tak nie zmieniło wyników leczenia urazów głowy, jak wprowadzenie kasków.

W Wielkiej Brytanii lekarz musi co pięć lat odnawiać prawo wykonywania zawodu. W Polsce takiej kontroli jakości nie ma

ko pacjenci – w szukaniu rozwiązań. Jest dużo rozwiązań, które działają „na papierze”, a tak naprawdę nie funkcjonują, świetnie nauczyliśmy się obchodzić takie wyzwania.

Masz na myśli na przykład dostęp do najnowszych terapii?

– Wszystko. Lekarze wiedzą, jak sobie radzić, i pacjenci też. Jeśli słyszą, że do neurologa dziecięcego na NFZ czeka się 2,5 roku, szukają lekarza prywatnie. A kto czeka w długiej kolejce na jakąś operację, myśli: „Pójdę prywatnie, może poznam kogoś, kto pomoże mi dostać się do szpitala”.

Ty nie przyjmujesz prywatnie?

– Przyjmuję w prywatnej przychodni sportowej. Mam dużo pracy w publicznym systemie. Robię zabiegi planowe u dzieci, a po wyjściu ze szpitala jestem pod telefonem. Jak dostaję sygnał, że jedzie dziecko z wypadku, w ciągu pół godziny mogę być na sali operacyjnej. W tym czasie już odbywają się badania, pacjent ma goloną głowę.

Poza tym dwa dni w tygodniu przyjmuję pacjentów w szpitalnej poradni. Jestem ordynatorem oddziału i uczę lekarzy w trakcie specjalizacji.

Pamiętasz pierwsze dziecko, które zoperowałeś w Polsce?

– Oczywiście. Potracony przez samochód 17-latek. Był w bardzo ciężkim stanie, miał urazy wielonarządowe. Do wypadku doszło niedaleko naszego szpitala, więc karetka wybrała nasz zespół.

Prawdziwą plagą są elektryczne hulajnogi. Potwornie szybkie, a mają małe kółka, nie ma żadnego efektu żyroskopowego. Wystarczy mały kamyk i leżysz.

Nie możemy uniknąć wypadków, ale możemy minimalizować ich konsekwencje. Dlatego przy każdej okazji przypominam: zakładajmy kask, gdy wsiadamy na rower czy hulajnogę.

Jeśli dziecko po wypadku na hulajnodze nie odzyska pełnej sprawności, nigdy nie pójdzie do pracy, to jest to problem całego społeczeństwa. Pytanie więc brzmi, czy my, jako społeczeństwo, możemy sobie pozwolić na jazdę bez kasku. Moim zdaniem nie możemy sobie na to pozwolić.

Zajmowałem się dziećmi po upadkach na hulajnodze i myślałem, że uratowałbym więcej dzieci, gdybym powalczył o obowiązkowe kaski. Mam nadzieję, że właśnie taki będzie efekt nowego prawa: mniej ofiar.

Nie czujesz się po tych dwóch latach w Polsce sfrustrowany wadami naszego systemu zdrowia?

*Dr n. med. Łukasz Rakasz

• od lutego 2024 r. jest ordynatorem Oddziału Neurochirurgii w Szpitalu Dziecięcym przy ul. Niekańskiej w Warszawie. Walczył o obowiązek noszenia kasków do 16. roku życia w czasie jazdy rowerem, na hulajnodze elektrycznej i innych „urządzeniach transportu osobistego”. Przez 15 lat pracował w Wielkiej Brytanii i Nowej Zelandii. Medycynę studiował w Warszawie, specjalizację z neurochirurgii dorosłych i dzieci zrobił w Wielkiej Brytanii. Jego ojciec jest Węgrem, a żona – Szwedką.

– Nie, czuję się pełen energii, lubię wyzwania. Kaski zostały zapisane w prawie i wtedy pomyślałem, że może jeszcze coś udałoby się zmienić.

Pracowałem w różnych systemach opieki zdrowotnej i wiem, że można działać inaczej. Żeby poprawić mechanizmy zakorzenione w naszym systemie, trzeba stworzyć szczegółowy plan reform. Zmieniać poszczególne elementy od fundamentów. Plan muszą stworzyć eksperci, politycy są potrzebni, żeby go wdrożyć.

Zebrałem grupę specjalistów, mają doświadczenie pracy w różnych obszarach systemu zdrowia, w ubezpieczeniach i biznesie. Tworzymy plan zmian. Nie zbiór hasel, tylko dokładnie rozpisany plan działań, który uwzględnia choćby KPI.

Key Performance Indicators, czyli kluczowe wskaźniki efektywności. To wartości, którymi można zmierzyć, czy osiąga się zamierzone cele. Stosują je korporacje.

– Systemy zdrowia też. Musisz wiedzieć, czy pieniądze, które wydajesz, przynoszą zamierzony efekt, i czy możliwości twojego zespołu są dobrze wykorzystane. Musisz sprawdzać, czy zmierzasz do wyznaczonego celu, czy zmiany są dobrze zaprojektowane, musisz swoje działania cały czas sprawdzać i obiektywnie mierzyć.

Dzisiaj polski system zdrowia radzi sobie jak może, ale czy ten sposób działania jest na pewno najbardziej efektywny? Wątpię.

Liczmy dziś wykonane procedury, porady, badania, hospitalizacje, zabiegi. Pacjenta nie interesuje jednak to, ile system wykonał czynności. Interesuje go, czy po leczeniu żyje dłużej, funkcjonuje lepiej, cierpi mniej, krócej czeka na pomoc, ma mniej powikłań i nie zostaje sam po wypisie ze szpitala.

Nikt nie analizuje wyników szpitali ani poszczególnych oddziałów w tym obszarze, nie możemy dwóch wybranych placówek ze sobą porównać, bo za mało o nich wiemy. Potrzebujemy procesów, z których dostaniemy raporty.

Nie chciałabyś dostawać z NFZ informacji o wynikach poszczególnych szpitali? Mogłabyś podpowiedzieć ludziom, gdzie naprawdę warto się leczyć.

Chciałabym. A najlepsze szpitale chciałyby pewnie dostawać premię za swoje wyniki.

– Lepsze finansowanie za wyniki może być jednym z narzędzi poprawy jakości. Nie jest jednak cudownym lekiem na niewydolność systemu. Źle zaprojektowane może pogłębiać nierówności, karać placówki, które leczą najtrudniejszych pacjentów. Wizja premii może zachęcać do selekcji chorych, może tworzyć iluzję reformy.

Wiele krajów wprowadziło różne modele nagradzania za wyniki. Pouczające są przykłady niepowodzeń. Choćby amerykański program ograniczania ponownej hospitalizacji. Rzeczywiście zmniejszył liczbę powrotów do szpitala, ale pojawiły się niepokojące sygnały o wzroście śmiertelności u pacjentów z niewydolnością serca.

Może tego wzrostu by nie było, gdyby te osoby były ponownie przyjęte? Poza tym finansowo ukarane zostały szpitale, obsługujące biedniejsze populacje. W tej grupie więcej było chorych, którzy wymagali ponownej hospitalizacji.

Wniosek: liczby mogą się poprawiać, ale system niekoniecznie staje się przez to bardziej sprawiedliwy i bezpieczny.

Łatwo więc rzucić atrakcyjne hasło: „Płaćmy za wyniki”. Trudniej zbudować mechanizmy, które w takim systemie zadbają o pacjentów. Najbardziej stabilne pozytywne doświadczenia pochodzą nie z systemów, które od razu płaciły za wynik, lecz z tych, które najpierw przez lata budowały sposoby zbierania danych, udzielania informacji zwrotnej, tworzyły rejestry, zaufanie i kulturę audytu klinicznego.



FOT. KRZYSZTOF CWIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prawdziwą plagą są elektryczne hulajnogi. Potwornie szybkie, a mają małe kółka, nie ma żadnego efektu żyroskopowego. Wystarczy mały kamylk i leżysz

Czyli ocena lekarzy, o której opowiedziałeś, musi być częścią zmian?

– Nie wyobrażam sobie sprawnego systemu zdrowia bez oceniania lekarzy, ale musimy wymyślić, jak to wprowadzić. Dzisiaj w Polsce pisanie opinii o pracy kolegi kojarzy się z pisananiem donosów.

W naszej kulturze wciąż jest pewna podejrzliwość wobec prawa. Z historii wiemy, że prawo było nam często narzucane. W krajach zachodnich ludzie raczej rozumieją, że prawo powstaje dla nich, żeby żyło im się lepiej.

Żeby naprawdę zmienić jakiś system, trzeba zmieniać go nie od góry, tylko oddolnie, z udziałem wszystkich osób, które go tworzą. Oczywiście te osoby muszą chcieć się zaangażować. Czasem jest z tym trudno, zwłaszcza jeśli ktoś pracuje w pięciu różnych miejscach i do każdego wpada tylko na chwilę.

Przeglądamy się systemem zdrowia na świecie i chcemy się inspirować dobrymi rozwiązaniami, ale to nie znaczy, że możemy je po prostu skopiować. Tak się nie da.

Powiesz, kto jest w zespole do spraw reformy systemu zdrowia?

– To grupa specjalistów, z ogromnym doświadczeniem w służbie zdrowia i w zarządzaniu. Każda osoba, która odpowiada za konkretny obszar do poprawienia, ma swoją grupę ekspertów. Jeśli ktoś ma pomysł, jak usprawnić mechanizmy opieki zdrowotnej, to zapraszam do współpracy. Muszę zaznaczyć, że działamy bez zewnętrznego finansowania.

Dla chwały?

– Dla satysfakcji, bo nam zależy. Wierzymy, że Polskę stać na lepszy system zdrowia, przede wszystkim bardziej wydajny i transparentny. Cytując klasyka: „ludzi dobrej woli jest więcej”

Plan naprawy systemu zdrowia powstaje z myślą o konkretnej partii?

– Nie, bo to plan na długie lata. Ma działać niezależnie od tego, kto rządzi, i ma się dosto-

sowywać do zmian technologicznych i społecznych. Zapewne zdarzą się rzeczy, których dziś nie potrafimy przewidzieć. Ulepszenie systemu zdrowia wymaga więc pracy ponad podziałami partyjnymi. Wymaga patrzenia daleko w przód – nie do następnych wyborów, ale do następnych pokoleń. Potrzebna jest odważa polityczna i porozumienie.

Nic nie powiedziałaś o pieniądzach, które Polska powinna wydawać na zdrowie.

– Każdą kwotę można wydać na zdrowie. Chodzi o to, żeby mieć system, który dobrze działa w ramach środków, którymi dysponuje. Decyzję, czy wydamy 8, 10, czy 12 proc. PKB, podejmują politycy.

Zła ocena systemu zdrowia w zdecydowanej większości przypadków nie ma związku z brakiem pieniędzy, tylko z brakiem właściwej komunikacji i transparentnym alokowaniem funduszy. Ludzie oczekują od systemu zdrowia pomocy w chwili, gdy są najbardziej bezsilni. A wtedy okazuje się, że system to chaos.

Chore osoby są zagubione, bo nie mają jasnej ścieżki postępowania. Te niekończące się wizyty u prywatnych lekarzy to często próba ustalenia, co należy zrobić.

Mamy różniące się opinie lekarzy. Brak empatii. I brak osoby, która koordynuje kompleksową opiekę. Chciałoby się, żeby lekarz podstawowej opieki zdrowotnej koordynował nasze leczenie, ale musiałyby mieć dostęp do konsultacji ze specjalistami. Jeśli lekarz z przychodni POZ ma jakieś pytanie z zakresu neurochirurgii,

to lepiej, żeby zapytał mnie, niż odsyłał pacjenta do poradni neurochirurgicznej. Do tego też są potrzebne ścieżki, jakimi będzie mógł to zrobić.

W wielu przypadkach sprawdzilyby się multidyscyplinarne spotkania – różni specjaliści oceniający problem pacjenta i ustalający najlepszą dla niego ścieżkę postępowania. Pacjent nie miotałby się w systemie, chodząc od specjalisty do specjalisty, tylko system wskazywałby mu, co powinien zrobić.

Nie chodzi o to, żeby pojedynczy lekarz był gotów porozmawiać z innym lekarzem. Chodzi o to, żeby taki sposób działania stał się częścią systemu zdrowia. I żeby system doceniał także ten rodzaj pracy lekarzy.

Na pewno powinniśmy też więcej uwagi poświęcać profilaktyce. Jeśli świadomość na temat wirusa HPV i szczepień będzie większa, będzie mniej osób z rakiem wywołanym przez tego wirusa. A to oznacza mniejsze koszty dla systemu zdrowia.

To dotyczy wszystkiego: zakładania kasków, zdrowego odżywiania, zachęcania do aktywności fizycznej czy badań profilaktycznych.

Podobno aż 800 tys. Polaków nie ma szczoteczki do zębów. To całe duże miasto.

Prewencja jest jednak zupełnie nieatrakcyjna z punktu widzenia systemu zdrowia, bo wydajesz pieniądze dzisiaj, a efekty zobaczysz najwcześniej za pięć lat. Ale ostatecznie to bardzo się opłaca.

Nie boisz się, że lekarze przestraszą się pomysłu oceniania ich pracy? Może będą przekonywać polityków, żeby takie oceny zablokowali?

– Myślę, że wszyscy lekarze szli na medycynę z potrzeby pomagania ludziom. Jeśli system dobrze działa, to wciąż pamiętamy, że jesteśmy w pracy dla pacjentów.

Politycy nie chcą narażać się lekarzom, bo boją się, że nas zabraknie. Nie zabraknie. Polska kształci obecnie wielu lekarzy. A w najbliższych latach sztuczna inteligencja będzie lekarzy coraz bardziej odciążać.

Twoi koledzy, lekarze w Polsce, są ze swojej pracy zadowoleni?

– Przy takich zarobkach powinni być zadowoleni, ale ważną kwestią jest nastawienie do pracy. Czy masz satysfakcję z tego, co robisz, i czy chcesz to robić jak najlepiej?

Pan, który robił u mnie remont łazienki, krzywo przykleił kafelki na podłodze. Niesamowicie się tym przejął, myślałem, że dostanie zawału. To była aż przesadna reakcja, ale właściwie o to chodzi, żebyśmy wszyscy się starali.

Uczę ludzi tuż po studiach medycznych. To generacja Z, jeszcze nieskażona patologią systemu. Trzeba działać szybko, żeby tak zostało. ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wielirski;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

Dodatek specjalny JASKRA

Rodzaje jaskry, leczenie, lasery, krople, zabiegi

Poradnik

Czy ubrania z lumpeksu są bezpieczne dla zdrowia?



Mentalny Blitzkrieg

BASF, Bosch, Siemens, Volkswagen, Mercedes zostawiły w Rosji fortunę.
Czy pojawi się pokusa, by odrobić straty?

Piotr Buras



• Rosja zawsze miała magnetycznym wpływ na niemiecką duszę. Obopólny sentyment mimo wojny w Ukrainie pozostaje. Na zdj. Rosjanin przygotowuje swojego mercedesa do Rajdu Samochodów Zabytkowych „Stolica”. Moskwa, 23.04. 2023 r.

FOT. SERGEI ILNITSKY/
PAP/EPA

Lapowiedź wycofania 5 tysięcy żołnierzy amerykańskich z Niemiec i niemal pewne wstrzymanie rozmieszczenia tam pocisków Tomahawk to czytelny sygnał, że Europa wkracza w nową erę. Sojusz transatlantyczny może i przetrwać Trumpa, ale jego natura się zmienia.

Amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa przestają być twarde jak skała, a stają się zależne od doraźnych interesów, kaprysów polityków i transakcji wymiennych. Europa musi sobie wykuścić amerykańską polisę ubezpieczeniową i pogodzić z masą spisanych na niej małym druczkiem zastrzeżeń.

To dlatego oczy Europejczyków zwrócone są na Niemcy – największą europejską potęgę, która w dodatku głosi, że do końca dekady zbuduje najsilniejszą armię konwencjonalną Europy.

Autorzy niedawnego tekstu w prestiżowym magazynie „Foreign Affairs” nie mają złudzeń: przyszłość bezpieczeństwa Europy zależy będzie nie od jakiejś armii europejskiej czy unijnych struktur, lecz od koordynacji współpracy czterech krajów – Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec i Polski – przy czym to Berlin i Warszawa odgrywać będą kluczową rolę z punktu widzenia bezpośredniej obrony przed Rosją.

● Ale oparcie bezpieczeństwa Europy o Niemcy jest obwarowane szeregiem niepewności.

Niemcy nie tylko wykorzystały po wojnie militarystyczny, ale odczuły się także myślenia strategicznego i traktowania wojska jako jednego z instrumentów polityki.

Czy są w stanie szybko nadrobić tę lekcję? I czy na pewno starczy im impetu i determinacji, by zrealizować szumne plany postawienia na nogi ogołoconej przez dekady oszczędności Bundeswehry? Czy znajdująca się w kryzysie gospodarka używne te ambicje? Inni z kolei boją się, że jeśli ten plan się powiedzie, to Niemcy staną się znowu wojskowym hegemonem w Europie, przywołując koszmary z przeszłości. I tak źle, i tak niedobrze.

Największe wątpliwości, jakie mają zwłaszcza obserwatorzy w Polsce i naszej części Europy, dotyczą politycznej wiarygodności Niemiec jako filaru europejskiej obrony. Chodzi o przyszłość ich polityki wobec Rosji.

Przez lata mantrą niemieckiej polityki było założenie, że bezpieczeństwo w Europie nie da się zbudować przeciwko Rosji, a tylko razem z nią. Temu służyć miało partnerstwo strategiczne z Moskwą, konstruowane wbrew logice i sąsiadom, przynoszące jednak wymierne korzyści gospodarcze. Nawet po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 roku Niemcy brnęli dalej w gazowy sojusz, budując Nord Stream 2 i osiągając niespotykany – blisko 60 proc. – poziom uzależnienia od dostaw tego surowca z Rosji. Dzisiaj listy niemieckich bestsellerów okupują książki dokonujące wiewsekcji „faska” tej polityki.

● Atak na Ukrainę w 2022 roku wielu uznało za efekt tej fatalnej pomyłki Berlina, bo omotawszy największy kraj w Europie, Putin mógł zakładać, że nie pospieszy Ukrainie na ratunek.

Wojna otworzyła oczy niemieckim decyzyjnym, którzy zaczęli głośno mówić o błędach, zainicjowali polityczny zwrot (*Zeitenwende*) i zaczęli zbroić się na potęgę.

Ogłoszona pod koniec kwietnia pierwsza w historii strategia wojskowa Niemiec odmienia definicję Rosję jako główne, jeśli nie jedyne, źródło zagrożenia dla Europy. Ale wojna kiedyś się skończy, a Rosja ze swoimi surowcami, wielkim rynkiem i magnetycznym oddziaływaniem na niemiecką duszę pozostanie.

W badaniach opinii publicznej przeprowadzonych przez Instytut Zachodni pod koniec 2025 roku 44 proc. Polaków zgodziło się ze stwierdzeniem, że „Polska widzi zagrożenie w Rosji, a Niemcy nadal liczą na odbudowę relacji z Rosją”. Tylko 19 proc. miało przeciwnie zdanie. Były szef dyplomacji Zbigniew

Rau z PiS-u w lutym br. wskazywał w Sejmie na długoletnią zażyłość niemiecko-rosyjską i przestrzegal, że „obecne deklaracje Berlina rozczarowania Rosją nie anulują zasadności stawiania pytań. Na ile te deklaracje są trwałe i na ile wiarygodne?”.

Te wątpliwości to nie tylko domena zajadłe antyniemieckiej prawicy. Na moje pytanie o perspektywę polsko-niemieckiej współpracy obronnej wysoki rangą polityk Koalicji 15 Października od razu odpowiedział pytaniem o grożący powrót do *business as usual* w relacjach niemiecko-rosyjskich.

Ten *business as usual* to nie tylko fantazje o modernizacji Rosji na wzór zachodni, dążenia do budowy Europy od Lizbony po Władywostok i lekceważenie Europy Środkowo-Wschodniej, które przez lata napędzały niemiecką Ostpolitik. To także biznes przez duże B.

Jak mówił mi jeden z polityków rządu Olafa Scholza, „błędem było nie to, że sprowadzaliśmy gaz z Rosji, lecz to, że wpuściliśmy Rosję do naszego systemu”.

Fakt, że Gazprom był nie tylko dostawcą energii, lecz także właścicielem magazynów gazu, jego dystrybutorem, a Rosneft udziałowcem rafinerii, ważył politycznie nie mniej niż długoterminowe kontrakty i ogromne wolumenty surowca z Rosji. Kluczowe elementy niemieckiej infrastruktury energetycznej znalazły się w rękach reżimu. W 2022 roku okazało się, że kontrolowane przez Gazprom magazyny gazu są prawie puste, a Rosja zakreśliła kurek na Nord Stream, jeszcze zanim we wrześniu tamtego roku doszło do uszkodzenia gazociągu za sprawą tajemniczego wybuchu.

Na tę niemiecko-rosyjską symbiozę składały się też ogromne inwestycje największych niemieckich firm w Rosji, na przykład BASF, Volkswagena czy Uniperu oraz także ich liczne powiązania kapitałowe, udziały w złożach gazu i wielki majątek ulokowany na terytorium Federacji Rosyjskiej.

W świadomość publiczną wrył się obraz helmów przekazywanych przez Niemcy walczącej Ukrainie jako potwierdzenie słuszności rosyjskich kalkulacji i niemieckiego zagubienia.

Ale to było cztery lata temu i Schadenfreude wywołana tamtymi wydarzeniami jest nie na miejscu. Niemcy nie poddały się szantażowi Putina, a z biegiem czasu stały się krajem udzielającym Kijowowi największego wsparcia.

Według Ukraine Support Tracker Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii łączna wartość ich pomocy wyniosła 44 miliardy euro w latach 2022-25, z czego 25 miliardów to pomoc bilateralna, a 19 to udział w pomocy unijnej. Znaczenie tej pomocy rośnie, w miarę jak maleje zaangażowanie innych krajów, w tym naszego regionu.

Szczególną wagę w pomocy wojskowej mają systemy obrony przeciwrajetowej (w tym 5 baterii Patriotów), których Niemcy dostarczyły w sumie 19 sztuk na sumę ponad 4,2 miliarda euro – więcej niż USA.

Rakiet dalekiego zasięgu Taurus nie chciał wprawdzie dostarczyć ani rząd Scholza, ani – wbrew wcześniejszym zapowiedziom – Friedricha Merza, lecz Niemcy jako kraj pozbawiony broni atomowej traktują je jako ostateczny argument w ewentualnym konflikcie z Rosją.

A Berlin zainwestował w produkcję takiej broni na terytorium samej Ukrainy. Także dzięki temu Kijów może teraz trafiać w cele oddalone od ukraińskich granic o setki kilometrów.

Bodaj najważniejszym sygnałem, że rosyjski szantaż na Berlin nie działa, była ogłoszona w wrześniu 2025 roku tekstem kanclerza Merza na łamach „Financial Times” decyzja o poparciu Berlina dla użycia zamrożonych aktywów rosyjskich na potrzeby zabezpieczenia unijnego kredytu dla Ukrainy. Niemcy długo tego nie chcieli, m.in. ze względu na możliwość odwetu Moskwy. Aktywa niemieckich firm nadal pozostających na terytorium Rosji mogą mieć wartość nawet 100 miliardów euro.

Merz ze swoim pomysłem się nie przebił, ale gotowość podjęcia takiego ryzyka pokazała, gdzie leżą priorytety Berlina.

Pożegnanie z Rosją

100 mld euro

• mogą wynosić aktywa niemieckich firm pozostających w Rosji

6,3 mld euro

• kosztowało niemieckich podatników przejęcie niemieckiej spółki Gazpromu zarządzającej infrastrukturą krytyczną

35 proc.

• wynosi rosyjski podatek od przymusowej sprzedaży aktywów przez zagraniczne firmy chcące wycofać się z Rosji

Za 125 mln euro

• sprzedał Volkswagen fabrykę w Rosji, w którą zainwestował 1 mld euro

Do 9,4 mld euro

• spadł niemiecki handel z Rosją z 60 mld euro w przedwojennym roku 2021

Na 45 z 13 miejsca

• przed wojną spadła Rosja w niemieckich statystykach handlowych

51 proc.

• Niemców jesienią 2025 było zdania, że ich kraj prowadzi za mało asertywną politykę wobec Rosji

Od 75 do 85 proc.

• Niemców wymienia Rosję wśród krajów, które „w najbliższych latach będą największym zagrożeniem dla pokoju na świecie”

12 proc.

• Niemców ufało Rosji w marcu 2026. W marcu 2018 – ufało jej 40 proc.

● Wróćmy do biznesu, bo on przez lata oliwił maszynę niemieckiej Ostpolitik. 100 miliardów euro niemieckiego majątku w Rosji działa na wyobraźnię, ale ostatnie cztery lata to historia demontażu wznoszonej przez dekady konstrukcji partnerstwa gospodarczego.

Zaczął się od nacjonalizacji – kosztem 6,3 miliarda euro – przez rząd federalny niemieckiej spółki Gazpromu zaraz po wybuchu wojny, by odzyskać kontrolę nad infrastrukturą krytyczną. Od stycznia 2023 roku Niemcy nie sprowadzają żadnych paliw kopalnych z Rosji – to wynik sankcji unijnych i decyzji samego Berlina.

Niemcy na gwałt zbudowały całą infrastrukturę do sprowadzania gazu płynnego, który kupują głównie w Stanach Zjednoczonych. Rząd Merza przeciął w maju 2025 roku spekulację o wznowieniu importu gazu za pomocą nieuszkodzonej nitki Nord Stream 2.

A pojawiły się one nie tylko za sprawą apeli w samych Niemczech – ze strony Alternatywy dla Niemiec, ale także niektórych polityków koalicji rządzącej – lecz przede wszystkim doniesień, że uruchomieniem Nord Streamu może być zainteresowany biznes amerykański bliski Trumpowi.

W obecności Wołodymyra Zełenskigo w Berlinie kanclerz opowiedział się przeciwko temu i oświadczył, że jego rząd „zrobi wszystko, aby Nord Stream 2 nie został ponownie uruchomiony”. Niedługo później Niemcy poparły wprowadzenie unijnych sankcji na gazociąg, które uniemożliwiają jego naprawę, certyfikację i uruchomienie.

Ale sankcje trzeba co pół roku odnawiać, a weto choćby jednego rządu może je zniwelować. Dlatego o większe znaczenie ma podję-

ta na początku 2026 roku przez Unię Europejską z poparciem Berlina, decyzja o pełnym zakazie importu gazu z Rosji, który wchodzi w życie etapami do jesieni 2027 roku.

Bo to jest już część prawa unijnego, które zmienić można tylko z inicjatywą Komisji Europejskiej, przy poparciu przynajmniej 15 krajów i za zgodą Parlamentu Europejskiego. Regulacje unijne dają najsilniejsze gwarancje, że powrót do *business as usual* jest mrzonką.

Swoje zrobiła także sama Rosja. Ostatnie cztery lata były okresem eksodusu biznesu niemieckiego. Owszem, wiele mniejszych firm zostało. Ale z rynku rosyjskiego wycofały się te największe. Niegdyś dominowały tam przedsiębiorstwa z branży motoryzacyjnej, energetycznej i maszynowej, obecnie to głównie firmy z branży detalicznej, farmaceutycznej i rolniczej, spośród których największą jest sieć supermarketów Metro.

Wycofanie się z rynku rosyjskiego było proste tylko w pierwszych miesiącach po inwazji. Te przedsiębiorstwa, które zwlekały z decyzją, szybko stanęły wobec poważnych dylematów. Wprowadzone przez Rosjan w pierwszym roku wojny roku regulacje zakładały, że warunki sprzedaży aktywów przez firmy zagraniczne musiały być uzgadniane z rządową komisją ds. inwestycji zagranicznych. Ale nawet uzyskanie zgody oznaczało poważne straty – kwota transakcji nie może przekroczyć 40 proc. wartości wyceny przedsiębiorstwa, w dodatku firmy muszą zapłacić od niej podatek sięgający 35 proc.

Zwłaszcza małe i średnie przedsiębiorstwa decydowały się w tej sytuacji na strategię „głębokiego snu” lub kontynuowania działalności dla uniknięcia gigantycznych kosztów czy wręcz bankructwa. Co wcale nie oznacza, że zarabiają, tylko że unikają strat – bo zyski i dywidendy firm zagranicznych są gromadzone na specjalnych rachunkach, do których firmy te nie mają dostępu.

● Ale najwięcej waży to, że niemieckie giganty, takie jak BASF, Bosch, Siemens, Volkswagen, Mercedes czy Uniper, opuściły Rosję. To one stanowiły siłę napędową partnerstwa niemiecko-rosyjskiego, dlatego ich decyzje mają kluczowe znaczenie.

Wiele z nich poniosło ogromne straty i uwikłało się w spory prawne z państwem rosyjskim. Koncern Uniper, który był największym importerem i dystrybutorem rosyjskiego gazu w Niemczech, został uratowany przez rząd federalny poprzez nacjonalizację. Operacja ta kosztowała niemieckiego podatnika 14 miliardów euro.

W związku z tym, że to Gazprom wstrzymał w 2022 roku dostawy gazu do Niemiec, łamiąc obowiązujący kontrakt, Uniper wystąpił o odszkodowanie przed międzynarodowym sądem arbitrażowym w Sztokholmie. Ten przyznał koncernowi rację, zasądając odszkodowanie – 14 miliardów euro. Ale Rosja – po raz kolejny łamiąc zasady – nie uznała wyroku. A rosyjski sąd nakazał w odwecie Uniperowi wypłatę odszkodowania w podobnej wysokości na rzecz Gazpromu.

Bodaj największe znaczenie ma wycofanie się firmy Wintershall. Firma-córka koncernu chemicznego BASF była filarem współpracy energetycznej z Rosją i głównym partnerem Gazpromu. Kilka lat temu BASF i rosyjska firma wymieniły się aktywami w ramach transakcji wartej 12 miliardów euro: niemiecki koncern otrzymał licencje na wydobycie na Syberii, za co Gazprom przejął udziały w prowadzonej odtąd wspólnie działalności w zakresie obrotu i magazynowania gazu ziemnego w Niemczech. Dla Wintershalla Rosja była najważniejszym obszarem wydobycia, a ze złóż gazu na Syberii pochodziła połowa produkcji firmy. Także jako akcjonariusz spółki Nord Stream 2 Wintershall był najważniejszym orędownikiem bliskiej współpracy energetycznej z Rosją.

Decyzję o wycofaniu się firma ogłosiła w styczniu 2023 roku, powołując się na nie-

możność pogodzenia „wojny napastniczej prowadzonej przez Rosję z jej wartościami” i krytykując jej „faktyczne wyłączenie” przez Rosję. BASF stracił z tego tytułu 7,3 miliarda euro. Tymczasem państwo rosyjskie, podobnie jak w przypadku Uniperu, podało Winterhall do sądu i samo domaga się od niego odszkodowań.

Ostatni przykład to koncern samochodowy Volkswagen, który miał w Rosji dwie fabryki, w tym zakład w Kaludze, wzorcowy przykład zachodniej polityki przemysłowej w Rosji. Inwestycja kosztowała ponad miliard euro. W kwietniu 2023 roku fabryka została sprzedana rosyjskiej firmie Ailon, według nieoficjalnych doniesień za jedyne 125 milionów.

Po tych doświadczeniach trudno sobie wyobrazić wejście wielkiego niemieckiego biznesu do tej samej rosyjskiej rzeki. Także hojne państwowe gwarancje kredytowe dla firm inwestujących w Rosji trudne są do wyobrażenia w przewidywalnej przyszłości po tym, jak Niemcy podatnicy muszą płacić miliardy euro odszkodowań dla firm takich jak BASF, które utraciły w Rosji majątek.

Mit Rosji jako wiarygodnego partnera ekonomicznego został przez nią samą rozbity w puch, a jej atrakcyjność jako miejsca robienia biznesu długo nie zostanie odbudowana.

W ubiegłym roku niemiecki handel z Rosją spadł z 60 miliardów euro w przedwojennym roku 2021 do 9,4 miliarda. Rosja zajmuje obecnie 45 miejsce w niemieckich statystykach handlowych – w 2021 roku była na 13 miejscu.

Dzisiaj rynek wschodni to dla niemieckiej gospodarki coraz bardziej Ukraina. Z Komisji Wschodniej (Ostauschuss), przez lata głównego lobby prorosyjskiego, około sto firm, głównie tych inwestujących w Rosji, wypowiedziało członkostwo. W tym samym czasie przystą-

piła do niej podobna liczba nowych członków, w tym wielu rozpoczynających aktywność właśnie w Ukrainie.

Mimo wojny w 2024 roku Ukraina po raz pierwszy wyprzedziła Rosję, zajmując 39 miejsce na liście niemieckich partnerów handlowych – nie tylko ze względu na dostawy broni, lecz także inwestycje producentów materiałów budowlanych, przedsiębiorstw energetycznych i koncernów rolniczych.

Cztery lata po wybuchu pełnoskalowej wojny nastawienie niemieckich elit do Rosji naznaczone jest przede wszystkim obawą o bezpieczeństwo Europy i Niemiec, a nie chęcią odbudowy relacji.

Jednocześnie stosunek do Rosji stał się jednym z najważniejszych wyznaczników sporu politycznego.

Dla partii głównego nurtu (CDU/CSU, SPD, Zieloni) *Zeitenwende* i wsparcie Ukrainy, ma charakter tożsamościowy i odróżniający je od adwersarzy ze skrajnej prawicy, czyli AfD. To element nie tylko strategii polityki zagranicznej, lecz także światopoglądu. Powoduje to, że zasadnicza zmiana linii, powrót do *business as usual* lub *status quo ante*, byłaby decyzją wymagającą szczególnego uzasadnienia i budzącą kontrowersje.

A społeczeństwo popiera ten kierunek. W październiku 2025 ponad połowa Niemców – 51 proc. – była nawet zdania, że rząd prowadzi za mało asertywną politykę wobec Rosji, zaś tylko 19 proc. uważa ją za zbyt asertywną (sondaż na zlecenie monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa). 42 proc. Niemców uważa z kolei, że reorientacja w polityce bezpieczeństwa nie idzie dostatecznie daleko.

Od początku rosyjskiej wojny w corocznym sondażu instytutu Allensbach od 75 do 82 proc. respondentów wymienia Rosję wśród krajów, które „w najbliższych latach będą stanowiły największe zagrożenie dla pokoju na

Niemcy nie tylko wykorzeniły po wojnie militarystkę, ale odczyły się także myślenia strategicznego i traktowania wojska jako jednego z instrumentów polityki

świecie”. W 2025 roku odsetek ten wyniósł 81 proc.

W październiku 2025 roku 48 proc. ankietowanych uważało pełnoskalową agresję ze strony Rosji na kraj NATO za możliwą lub bardzo prawdopodobną w przeciągu 5 lat.

Nic dziwnego, że wg badania ARD Deutschlandtrend zaufanie do Rosji marcu 2026 roku wyrażało tylko 12 proc. mieszkańców Niemiec – gdy w marcu 2018 aż 40 proc.

Game changerem nie tylko w podejściu do Rosji, ale w większości kluczowych aspektów, łącznie z systemem demokratycznym i orientacją proeuropejską, byłoby przejście władzy przez AfD. Na szczęście, mimo ostatnich względnych sukcesów tej partii w wyborach landowych – około 20 proc w Badenii-Wirtembergii i Nadrenii-Palatynacie – i utrzymującego się wysokiego poparcia na szczeblu federalnym, taki scenariusz jest mało realistyczny.

Dzisiaj to nie pokusa odbudowy partnerstwa, lecz poczucie niepewności związane z kryzysem w relacjach transatlantycznych może obudzić w Berlinie przekonanie o konieczności jakiegось dogadania się z Rosją.

Po ostatnich sygnałach z Pentagonu, że rakiety Tomahawk mogą nie znaleźć się w Niemczech, podniosły się znowu głosy zwolenników umiarkowanej polityki i rozbrojenia, jak ten Rolf

Mützenicha z SPD. To margines, lecz deal amerykańsko-rosyjski ponad głowami Europejczyków i wycofywanie się USA z Europy lub ze wsparcia Ukrainy mogłyby dodać mu skrzydeł.

Wyraźny strach przed Rosją oraz względny brak wiary we własne i europejskie zdolności obronne mogą wystawić Niemcy na rosyjski szantaż i przynieść wzrost nastrojów sprzyjających „pozbawionej alternatywy” polityce ustępstw.

Najlepszą gwarancją, żeby tak się nie stało, jest wzmacnianie europejskiej obrony razem z Niemcami i oplatanie ich siecią powiązań, które spowodują, że siła niemieckiego Guliwera służyć będzie całej Europie.

Polsko-niemiecka obronna, której podpisanie planowane jest w tym roku, to jeden z kroków w tym kierunku. Innym sposobem trwałego odwrócenia wektora niemieckiej polityki wschodniej będzie zaangażowanie Niemiec w Ukrainie.

Im bardziej niemieckie polityka i biznes zaangażują się w procesie jej odbudowy oraz w powojenne gwarancje bezpieczeństwa dla Kijowa, tym mniejsze prawdopodobieństwo zwrotu ku Moskwie. Bo suwerenna, zakotwiczona w Europie Ukraina jeszcze długo pozostanie w konflikcie ze strategicznymi interesami Moskwy – a więc bliskie relacje z oboma krajami będą się więc wykluczać.

Ten kierunek niemieckiej polityki leży więc też w interesie Polski, nawet jeśli będziemy jednocześnie konkurować, rozwijając stosunki gospodarcze i polityczne z Ukrainą.

Obawa przed niemiecko-rosyjskim porozumieniem nie bez powodu rządzi polską wyobraźnią polityczną. Dzisiaj mamy jednak historyczną możliwość realnego wpływu na to, by postępująca reorientacja niemieckiej polityki okazała się trwała. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34433644

DO 23 MAJA

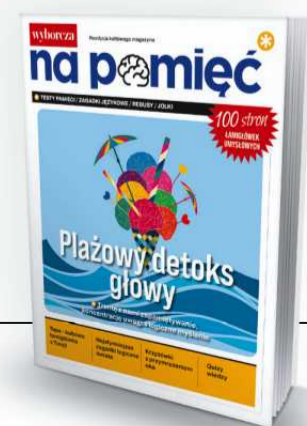
Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej” — na czerwiec 2026 u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do wyborcza.pl**
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



**CENA
199,99 zł****
**OSZCZĘDZISZ
CO NAJMNIEJ
46 zł**

***W prezencie
książka „Na pamięć”**



*Książka do odbioru od 18 czerwca w punkcie sprzedaży **Aby otrzymać dostęp do Klubowego pakietu prenumeraty Wyborcza.pl oraz do archiwum tekstów „Wyborczej”: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. ***Cena sugerowana. Kwota oszczędności wynika z różnicy ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.



• Tradycyjne łodzie (moliceiros) zacumowane przy Kanale Centralnym w Aveiro

Z RONALDO NA BURCIE

„Latem jest tłum. Ale zimą? Wtedy to znowu jest nasze miasto. Bez kolejek, bez hałasu. Wtedy widać, czym Aveiro było kiedyś”

Tomasz Skowronek

Od zawsze funkcjonowało na granicy lądu i morza. Rozciąga się na lagunie Ria de Aveiro i jest pocięte kanałami, mostami, małymi portami. Dlatego często bywa nazywane „Wenecją Portugalii”, ale mieszkańcy nie lubią tego porównania. Bo dla nich Aveiro nie jest kopią żadnego innego miasta. Ma swoją długą historię związaną z morzem, produkcją soli i ciężką pracą. – Poza tym u nas na pewno jest taniej – dodają.

Krajobraz z moliceiros

Łódź sunie po spokojnej wodzie między mostami, a turyści podnoszą telefony, żeby uchwycić odbicie kolorowych domów w kanałach. Przewodnik mówi o tradycji, o przeszłości, o tych łodziach, które od wieków były częścią krajobrazu Aveiro. Ta opowieść wydaje się uporządkowana, estetyczna, gotowa do zapamiętania.

Ale jeszcze nie tak dawno te łodzie – *moliceiros* – nie były taką atrakcją, tylko narzędziem codziennej pracy. Mieszkańcy wypływali nimi na lagunę, żeby zbierać *molico* – glony, których używano jako nawozu na polach. Zresztą to od nich łodzie wzięły nazwę. Wtedy życie toczyło się wokół soli, ryb i handlu a Aveiro nie przypominało pocztówki.

Moliceiro od XIX wieku było podstawą lokalnej gospodarki. Dopiero w latach 60. XX wieku, wraz z upowszechnieniem się na-

wozów sztucznych, jego pierwotna funkcja zaczęła zanikać.

Łodzie jednak nie zniknęły, tylko zmieniła się ich rola. Dzisiaj starannie odmalowane są jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli Aveiro.

Mają charakterystyczne panele – na dziobie i rufie – a na burtach wymalowane różne scenki z życia codziennego, czasem motywy religijne, roślinne albo humorystyczne. Te malunki potrafią być jednocześnie naiwne, symboliczne i zaskakująco prowokacyjne.

Na tych bardziej współczesnych często obok np. postaci świętych pojawiają się ikony popkultury, takie jak chyba najbardziej znany Portugalczyk, piłkarska gwiazda Cristiano Ronaldo. Dawniej te obrazki na łodziach pomagały rozpoznać właściciela, dziś są częścią tutejszego spektaklu.

Moliceiros budują z sosnowego drewna rzemieślnicy mieszkający w okolicy, choćby w niedalekiej Murtozie czy Ilhavo, a wiedza o ich konstrukcji przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Kształt tych łodzi łączy w sobie wiele tradycji – od weneckich gondoli po łódki i czółna znane z innych części świata np. z Senegalu czy Bangladeszu. Ich wygląd wynika więc raczej z długiej ewolucji niż tylko jednego projektu.

– To nasza tożsamość. Jesteśmy ludźmi ziemi i ludzi morza – mówi dziewczyna zachęcająca turystów do wejścia na pokład jednej z *moliceiros*. Po chwili odwraca się i dodaje wskazując na kanał: – Latem jest tłum. Ale zimą? Wtedy to znowu jest nasze miasto. Bez kolejek, bez hałasu. Wtedy widać, czym było kiedyś.

Właśnie na przykładzie łodzi najlepiej widać przemianę, jaka zaszła w mieście. Aveiro przestało żyć z wody w dosłownym sensie. Zaczęło żyć z tego, jak ją turystom pokazuje.

Między miastami

Aveiro leży niedaleko Coimbrzy (58 km) i Porto (68 km), dwóch ważnych ośrodków Portugalii. Przez wieki pozostawało w ich cieniu, choć jego znaczenie historyczne było większe, niż mogłoby się wydawać.

Od początku istnienia było miastem morskim, a w XVI wieku ważnym portem, ale ocean stopniowo się od niego oddalał. Potężne

sztormy (np. ten z 1575 r.) i nanoszone osady powoli zmieniały sytuację – ujście rzeki zostało zamulone, a miasto odcięte od bezpośredniego dostępu do oceanu. Dopiero w XIX wieku zaczęto budować system kanałów, który przywrócił mu kontakt z wodą. Nie był to już kontakt naturalny – lecz inżynierski, zaplanowany, sztuczny. I bardzo potrzebny.

Największą współczesną nobilitacją był dla Aveiro fakt, że znalazło się wśród czterech portugalskich miast walczących o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2027 roku. I choć ostatecznie zwyciężyła Évora, to rząd Portugalii postanowił wykorzystać potencjał trzech innych kandydatów i reaktywował program Portugalskich Stolic Kultury. W 2024 roku stolicą było Aveiro, w 2025 roku – Braga, a w 2026 roku – Ponta Delgada.

W tym programie z grubsza chodzi o to, żeby promować „wszystko co poza Lizboną i Porto”. Każde z miast mogło więc realizować przygotowany już całoroczny, autorski program kulturalny, oparty na zaangażowaniu w wydarzenia lokalnej społeczności i partnerów regionalnych. Każdą edycję wspierano z kasy publicznej i np. Aveiro w 2024 roku dysponowało budżetem ok. 8 mln euro – część pochodziła z Ministerstwa Kultury i funduszy regionalnych.

Secesja na zmianę

Większość turystów swoją przygodę z Aveiro zaczyna na nadmorskim promyście pokrytym niebiesko-białymi *azulejos* – ceramicznymi płytkami przedstawiającymi sceny z życia regionu: rybaków, łodzie, fale, codzienność.

Dworzec jest pierwszą lekcją miasta. Pokazuje, że tutaj historia nie jest zamknięta w mu-



© GAZETA WYBORCZA, MAPA: JOANNA PATYK



• Costa Nova. Dawniej wioska rybacka, dzisiaj osiedle kolorowych, pasiastych domków wakacyjnych



zeach – jest na ścianach, w przestrzeni publicznej, w przejściach między ulicami i budynkami. Z dworca rozciąga się długa główna arteria Aveiro – *Avenida Dr. Lourenço Peixinho* – skupiająca wszelkiego rodzaju biznesy: spektakularne piekarnie, sklepy, butiki oraz najpopularniejsze restauracje i bary. Reprezentacyjna aleja prowadzi do historycznego centrum, które nocą zachwyca światłami odbijającymi się w wodzie kanałów. Tam miasto zaczyna zmieniać swój rytm.

Naprzeciwko kanałów wyrasta zupełnie inny świat – rząd budynków, które nie mają już nic wspólnego z ciężką pracą na lagunie. Kamienice w stylu portugalskiej secesji (*Arte Nova*) przyciągają wzrok kolorowymi fasadami, falującymi liniami i balkonami z kutego żelaza, jakby ktoś próbował zatrzymać w architekturze ruch wody i odbijające się w niej światło.

Secesja w Aveiro nie jest ani przypadkiem ani tylko dekoracją. To symbol zmiany, kiedy miasto na nowo definiowało swoją tożsamość – przekształcając się z portu i ośrodka pracy w przestrzeń bardziej elegancką, nowoczesną, reprezentacyjną. Styl inspirowany naturą idealnie pasował do laguny. Płynność architektury odbijała płynność wody. W *Arte Nova* ta zmiana znalazła swój język.

Dlatego Aveiro bywa nazywane „żywym muzeum secesji” – mniejszym i mniej oczywistym niż np. Barcelona czy Ryga, ale dzięki temu bardziej kameralnym i spójnym. Tutaj nie trzeba szukać pojedynczych ikon architektury jak np. w Glasgow – wystarczy iść przed siebie a detale same przyciągną uwagę.

Na tle przykładów lokalnej secesji szczególnie wyróżniają się *Casa (dom) do Majora Pessoa* (od 2008 r. to *Museu Arte Nova*) czy słynne kamienice przy ulicy *Rossio (Cais do Rossio nad kanałem Centralnym)*, gdzie ornamenty na fasadach zdają się opowiadać własne historie. Nawet miejsca związane z codziennością, jak tradycyjna cukiernia *Casa Ovos Moles*, czy przestrzenie wokół Parku Miejskiego *Infante D. Pedro*, noszą ślady tej estetyki.

Fundament z soli

Jednak prawdziwa historia miasta zaczyna się od soli. Liczne kanały (naturalne i sztucz-

ne) wijące się wzdłuż laguny Ria de Aveiro powstały nie tylko po to, by kontrolować poziom wody, ale by ułatwić żeglugę i transport towarów takich jak sól do portu, a potem dalej w głąb kraju i poza jego granice. Produkowano ją w dokach nad Ria lub na wysepkach rozsianych wzdłuż jej brzegów.

Sól była tu tak ważna jak woda. W płytkich basenach laguny odparowywano ją powoli, w rytmie słońca i wiatru. Bo te cierpliwie zbierane kryształki przez stulecia decydowały o znaczeniu miasta.

Jak głosi stare portugalskie przysłowie: „*onde há sal, não há podridão*” – gdzie jest sól, tam nie ma gnicia. W tym jednym zdaniu zawiera się cała jej dawna potęga.

Bez soli nie byłoby przechowywania żywności co umożliwiało długie podróże morskie. Załogi statków gromadziły zapasy solonych ryb, mięsa czy suchych wypieków zastępujących chleb – słynnych *bolachas marinheiras*.

Portugalską sól, szczególnie tą z Aveiro, uważano za jedną z najlepszych w Europie, dlatego stała się ważnym towarem eksportowym. Odegrała kluczową rolę w gospodarce morskiej, która napędzała epokę wielkich odkryć geograficznych. Sposoby jej pozyskiwania dotarły tam, gdzie docierali Portugalczycy: do Brazylii, Afryki Zachodniej, Azorów i na Goa, wpływając na lokalną gospodarkę.

To sól pozwalała konserwować ryby i wysyłać je dalej. Bez niej nie byłoby portugalskiego *bacalhau* (solony dorsz), a bez *bacalhau* trudno wyobrazić sobie portugalską kuchnię.

Kampania dorszowa

Zgodnie ze statystykami Portugalia należy do krajów o najwyższym spożyciu ryb w Europie, a według „*Diário de Notícias*” roczna konsumpcja sięga tu 55–57 kg na osobę, co plasuje ją w światowej czołówce, obok Islandii i Japonii. Szczególne miejsce w statystykach zajmuje dorsz – portugalska kuchnia odpowiada za 1/5 całego światowego spożycia tej ryby.

Paradoks polega na tym, że dorsz, tak ważny kulinarnie dla Portugalczyków, nie występuje naturalnie w tutejszych wodach – przez wieki łowiony był daleko od wybrzeży kraju. Portugalczycy znaleźli dorsza w XVI wieku, kiedy podczas wypraw w poszukiwaniu drogi morskiej do Indii, trafili na jego ogromne łowiska w rejonie Kanady i Grenlandii. Był idealny dla żeglarzy – po wyczerpaniu i nasoleniu mógł przerwać długie miesiące bez chłodzenia.

W Ílhavo, na południe od Aveiro, znajduje się Muzeum Morskie, które opowiada historię portugalskiego rybołówstwa dalekomorskiego i ludzi, którzy dla oceanu ryzykowali zdrowie i życie. Dużo miejsca poświęca się zwłaszcza połowom dorsza. Znajduje się tu m.in. replika trawlera, który pływał aż do Nowej Fundlandii i wracał z ładowniami pełnymi ryb.

Przywiązanie do tej tradycji *bacalhau* przez wieki było starannie pielęgnowane. W XX wieku, w okresie dyktatury Antónia Salazara [1932-68], organizowano nawet specjalne wyprawy rybackie – tzw. kampanię dorszową – a spożycie *bacalhau* znacząco wzrosło. *Bacalhoeiro*, czyli rybak łowiący dorsza, był wtedy zawodem szczególnie cenionym. Mężczyźni, którzy go wykonywali uważano za spadkobierców dawnych żeglarzy, byli nawet zwalniani z obowiązkowej służby wojskowej.

Industrializacja i nowe metody przechowywania żywności osłabiły pozycję zawodu oraz soli jako strategicznego surowca używanego do konserwacji. Dziś dorsze sprowadza się tu głównie z Norwegii, ale nie zmieniło się to, że Portugalia nadal produkuje w Aveiro wysokiej jakości sól morską.

Słodkie ovos moles

W Portugalii trzeba spróbować jednego z codziennych rytuałów – sięgnąć po kieliszek schłodzonego białego wina porto z tonikiem albo małą, mocną kawę. Do tego obowiązkowo coś słodkiego, najczęściej *pastel de nata*. Jednak w Aveiro zamiast tych lizbońskich tartinek pojawiają się *ovos moles*.

Nazwa znaczy dosłownie „miękkie jajeczka” i dobrze oddaje ich charakter. To delikatna masa z żółtek i cukru zamknięta w cienkiej, oplatkowej skorupce, najczęściej w kształcie muszli, ryby lub kraba. Sprzedaje się je także w niewielkich drewnianych baryłkach (*barricas*), zdobionych wzorami inspirowanymi *azulejos*.

Stworzenie deseru przypisuje się zakonnikom z klasztoru Jezusa w Aveiro, tak około XVI-XVII wieku. Zresztą podobny klasztorowy rodowód ma wiele charakterystycznych portugalskich słodkości. Wtedy w klasztorach wykorzystywano białka jaj m.in. do usztywniania i prasowania habitów czy klarowania wina, a ponieważ nic nie mogło się zmarnować to żółtka w dużej ilości trafiały do kuchni. Z kolonii (głównie z Brazylii) sprowadzano cukier trzcinowy, który był tańszy i powszechnie dostępny. I mieszanie tych prostych składników – żółtek i cukru – stało się podstawą całej klasztornej tradycji cukierniczej (*doçaria conventual*).

– Są bardzo słodkie – mówi z uśmiechem sprzedawczyni w jednej z cukierni układając kolejne porcje *ovos moles* w małych pudełkach. – Nie wszyscy są na to gotowi za pierwszym razem. Ale to smak, do którego się wraca.

A jak narodził się deser *ovos moles*? Według lokalnych opowieści jedna z zakonnic wyjątkowo lubiła kremowe desery czym naraziła się przeoryszy, więc ta bacznie ją obserwowała. Żeby ukryć podjadanie siostra zamykała więc słodką masę w oplatku. Z czasem oplatki przybrały bardziej finezyjne kształty – wspomnianych już ryb i muszli, a dziś *ovos moles* to jeden z symboli Aveiro, podobnie jak kanały i łodzie.

Costa Nova i horyzont

Konieczność trzeba też odwiedzić Costa Nova, oddalone zaledwie o kilka kilometrów od Aveiro, żeby zobaczyć znane z pocztówek i charakterystyczne dla portugalskiego wybrzeża kolorowe, pasiaste domy rybaków – *palheiros*. Kiedyś rybacy przechowywali w nich sprzęt. Dziś służą jako domy wakacyjne. I prezentują się wyjątkowo malowniczo.

Laguna kończy się tam, gdzie zaczyna się ocean. Wiatr staje się silniejszy, światło ostrzejsze, a przestrzeń bardziej otwarta. To dobre miejsce, żeby zrozumieć portugalskie słowo *saudade* – tęsknotę bez jej konkretnego obiektu, emocję zawieszoną między pamięcią a brakiem. Często tłumaczone jako „radosny smutek”, oznacza uczucie trudne do uchwycenia w innych językach. To jednocześnie brak i pamięć, ból po kimś lub czymś, co kiedyś dawało szczęście – ale też tęsknota za czymś, co nigdy się nie wydarzyło i być może nigdy się nie wydarzy. Portugalczycy mówią, że *saudade* jest nieprzetłumaczalne – a potem i tak próbują je tłumaczyć.

Jeśli więc na plaży ktoś siedzi odwrócony w stronę oceanu. Bez telefonu, bez ruchu. I trudno powiedzieć, czy na coś czeka, czy po prostu patrzy...to słowo *saudade* do tej sytuacji pasuje idealnie. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Tomasz Skowronek

• Dziennikarz i publicysta, absolwent stosunków międzynarodowych (Wyższa Szkoła Administracji w Bielsku Białej). Podróżuje i pisze – najchętniej o Europie Południowej i regionie śródziemnomorskim. Pisze także o światowym handlu narkotykami, globalnej przestępczości geopolityce. Jego teksty ukazywały się m.in. w „Gazecie Wyborczej” i „Newsweeku”.

• Ściany dworca kolejowego ozdobione niebiesko-białymi azulejos, które opowiadają o historii miasta i życiu jego mieszkańców

FOT. GETTY IMAGES



• Ovos moles de Aveiro. Masa z żółtek i cukru zamknięta w skorupce z oplatka. Tutejszy specjal, którego trzeba spróbować

FOT. GETTY IMAGES/STOCKPHOTO

POZNAJMY NASZĄ EUROPE

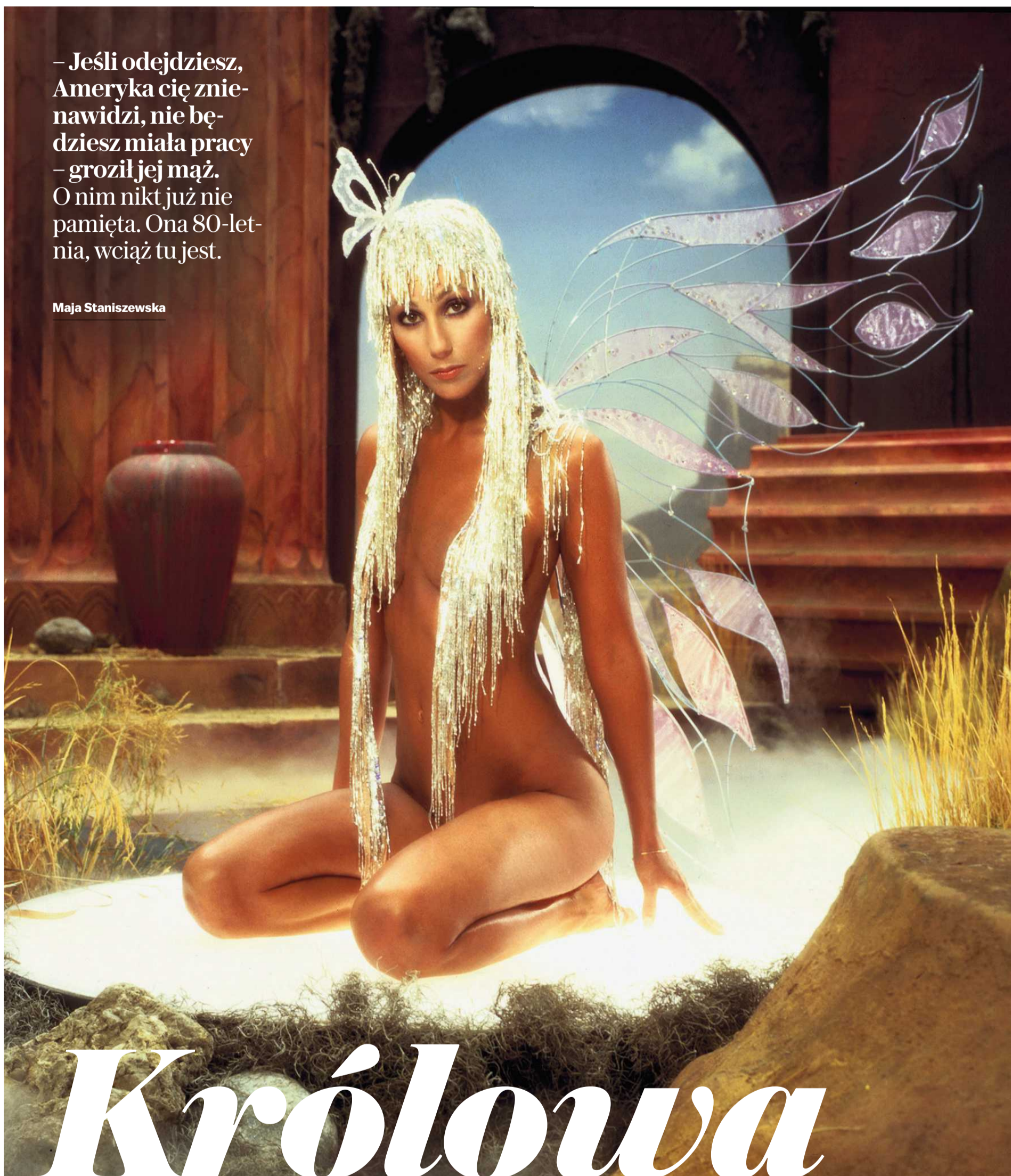


• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



– Jeśli odejdziesz,
Ameryka cię znie-
nawidzi, nie bę-
dziesz miała pracy
– groził jej mąż.
O nim nikt już nie
pamięta. Ona 80-let-
nia, wciąż tu jest.

Maja Staniszevska



Królowa przetrwania

Podobno wycięła sobie dolne żebra, żeby tak wyglądać – pamiętam z dzieciństwa rozmowę mamy i sąsiadki, oglądających w telewizji teledysk Cher do piosenki „If I Could Turn Back Time”.

Był przełom lat 80. i 90., a ja patrzyłam z nimi na szczupłą jak trzcina piosenkarkę, która ubrana w dwa paski czarnej skóry i kombinezon z czarnej rajstopy (oraz skórzaną kurtkę, która jednak nie zasłaniała jej praktycznie nagich pośladków) śpiewa wielkim głosem piosenkę na pokładzie amerykańskiego okrętu wojennego. A potem siada okrakiem na jednym z dział, a wokół gromadzą się młodzi marynarze.

To był pierwszy teledysk, którego zakazano w MTV – za dużo gołizny, za dużo prowokacji. My oglądaliśmy go w polskiej telewizji. Wtedy Cher była doskonale znana i mojej mamie, i sąsiadce. Dziś znają ją moje dzieci.

Cher. Oryginalny kameleon

Gwiazdy pojawiają się, blakną i spadają (a czasem eksplodują), a ona trwa. Siódmą dekadę. Ma na koncie ponad 100 mln sprzedanych solowych płyt i prawie wszystkie możliwe w showbiznesie nagrody od Oscara i nagrodę dla najlepszej aktorki festiwalu Cannes, przez Złoty Glob i Emmy po Grammy i zaproszenie do Rock and Roll Hall of Fame. Jest ikoną mody i ikoną gejów. Jest Cher.

Zanim pojawiła się Madonna-kameleon i na długo przed narodzinami nie tylko kolejnych „er” ale i samej Taylor Swift, Cher była mistrzynią wymyślania się na nowo.

Dziewczyna z chórków, hipiska czasu kontrkultury, gwiazda telewizyjnego wieczornego show, mroczna dama śpiewająca melancholijne piosenki, rockmenka, diwa electropopu lat 90., „bogini popu”.

To wszystko to jedna osoba, urodzona 20 maja 1946 roku w małym kalifornijskim miasteczku przy granicy z Meksykiem, Cheryl Sarkisian.

Dzieciństwo jak z Dickensa

Jej ojciec, kierownik ciężarówki John Sarkisian, był Ormianinem, którego rodzicom udało się przetrwać ludo-bójstwo w Imperium Osmańskim i uciec do Stanów.

Matka, Georgia Holt, później aktorka i piosenkarka, klasyczna blondwłosa i słodka „piękność z Południa”, miała korzenie zachodnioeuropejskie i, jak twierdziła, czirokeskie. Cher napisze później piosenkę „Half-Breed” – mieszaniec – o dziewczynie mającej czirokeską matkę i białego ojca. W filmie promującym utwór (był rok 1973, więc jeszcze przed erą teledysków) wystąpi na koniu w czirokeskim stroju, co do dziś wywołuje kontrowersje.

Sarkisian, hazardzista i heroinista, rychło zostawił żonę i córkę. Holt wędrowała więc z Cheryl przez Amerykę, szukając zajęcia. By pracować, musiała nawet na jakiś czas zostawić córkę w sierocińcu w Pensylwanii. Mogła ją odwiedzać raz w tygodniu, a gdy chciała zabrać, zakonnicie nie chciały jej oddać córki.

Holt wychodziła za mąż jeszcze sześć razy, w tym raz ponownie za Sarkisiana, ale Cheryl i jej przyrodnia siostra Georganne wychowywała praktycznie jako samotna matka. Zjeżdżili z nią kraj od Kalifornii przez Teksas po Nowy Jork.

W wydanym w 2024 pierwszym tomie wspomnień (bo, jak stwierdziła, jej życie jest zbyt złożone i bogate na jedną książkę) zatytułowanych po prostu „Cher. Autobiografia. Część I” pisze, że jej rodzinna historia przypomina powieść Dickensa. Nie ma w tym wiele przesady.

O losach dziadków ze strony ojca już wspomniałam. Z kolei pradziadek ze strony matki pracował na kolei, ale nie był w stanie utrzymać swoich dzieci, więc jej babcia została wysłana do krewnych. Matkę Cher urodziła mając 13 lat.

– Zdolność podnoszenia się jest w moim DNA – pisze.

Dzieciństwo matki przypadło na czasy Wielkiego Kryzysu, więc gdy tylko Cher na coś się skarżyła, ta znajdowała własną historię, by ją przebić. Były biedne, Cher nosiła buty, które trzymały się tylko dzięki gumkom recepturkom.

Cheryl nie lubiła swoich ciemnych włosów – wszystkie gwiazdy kina były przecież blondynkami, a brunetki obsadzano w rolach czarnych charakterów – a ona chciała zostać aktorką. Albo Elvisem Presleyem (on akurat był brunetem), którego razem z mamą oglądały zachwycone w telewizji, ale i na koncertach. Koleżanki jej zazdrościły, bo ich mamy Elvisa nie znosiły, uważały, że jest wulgarny. Po latach Cher nawet będzie się za króla rock’n’rolla przebierać. I śpiewać jego piosenki.



• Za film „Wpływy księżycy” (1978), w którym partnerował jej Nicolas Cage, dostała Oscara za najlepszą rolę żeńską

Przekraczałam granice, które sama chciałam przekroczyć. Czulałam, że wyglądam tak, jak chciałam i robienie tego, co chciałam, dodawało mi siły. Kobiety zawsze były obiektami seksualnymi i nie jest to nic nowego, zawsze nimi będą - mówiła w wywiadzie dla „Guardiana”

Cher spotyka Sonny'ego

W 1962 roku mieszkała akurat z matką i jej kolejnym mężem w Los Angeles i chodziła na zajęcia z aktorstwa, gdy w kawiarni zobaczyła Sonny'ego Bono, muzyka śpiewającego w chórach w wytwórni Phila Spectora. Zaiskrzyło. 16-lletnia Cher rzuciła szkołę, w której z powodu dysleksji i tak sobie nie radziła i zamieszkała z 11 lat starszym mężczyzną.

Sonny namówił ją, żeby zrezygnowała z aktorstwa i zajęła się śpiewaniem. Na początku to też były chórkę, ale nie były takie: „Be My Baby” The Ronettes czy „Christmas (Baby Please Come Home)” Darlene Love (po latach nagrały ją ponownie na ostatni – jak na razie – album Cher „Christmas” z 2023 roku). Głos miała tak mocny, że Spector kazał jej się odsuwać od mikrofonu, żartowano, że jeśli zrobi jeszcze jeden krok, wyładuje w studiu obok.

Spector był kobieciarzem (zmarł w więzieniu, odsiadując karę za morderstwo aktorki, którą poznał ledwie kilka godzin wcześniej) i oczywiście składał oferty Cher, ale ona odpowiedziała mu, że zrobiłaby to tylko dla pieniędzy. Nie zgodziła się też szpiegować jego gwiazd, które były jej przyjaciółkami.

To Spector wyprodukował jej debiutancką solową piosenkę, wykorzystującą popularność Beatlesów „Ringo, I Love You”. Stacje radiowe odmawiały jej puszczania, bo charakterystyczny głęboki kontralt Cher dla wielu brzmiał jak głos męski i DJ-e myśleli, że to mężczyzna wyznaje miłość angielskiemu perkusiście.

Superpara Sonny & Cher

Dwa lata później Sonny & Cher zadebiutowali piosenką „I've Got You Babe”, która nieoczekiwanie stała się wiel-

kim hitem. – Byliśmy dziwnym połączeniem: ja byłam początkowo okropną wokalistką, a Sonny śpiewał po prostu przerażająco, za to był świetnym kompozytorem – mówiła w wywiadzie „Guardianowi”.

Sonny Bono, obdarzony sycylijskim temperamentem i piekielnie zazdrosny, coraz bardziej osaczał Cher, ale ożenił się z nią dopiero w 1969 roku, gdy okazało się, że jest w ciąży. Chastity urodziła się w tym samym roku. Później przejdzie tranżycję i wybierze imię Chaz.

Gdy Sonny podniósł na Cher rękę, zagroziła odejściem. Była bita w dzieciństwie, stwierdziła, że nie pozwoli, by to się powtórzyło. Sonny wybrał więc znęcanie się psychiczne. Zazdrosny o innych mężczyzn, nie pozwalał jej nie tylko na zajęcia aktorskie czy lekcje tenisa, ale i na spotkania z przyjaciółmi. Zabronił nawet używania perfum. Kontrolował kalendarz, nie zostawiając dużo wolnego czasu. Miała pracować i zarabiać. On zabierał całe pieniądze.

Niemale. Po sukcesie ich singla „I Got You Babe” z 1965 roku, zrobili błyskawiczną karierę. Spędzali czas z Rolling Stones i Beach Boys, Salvadorem Dalím i Francisem Fordem Coppolą. Kupili rezydencję należącą wcześniej do Tony'ego Curtisa. Dla Cher to był moment niczym z „Przeminęło z wiatrem”, gdy Scarlett O'Hara przysięga sobie samej: „Już nigdy nie będę głodna”.

Ale życie nie było wcale różowe. Sonny „zapominał” o płaceniu podatków, kilka razy wydał prawie wszystko, co mieli. Czasy hippisów się kończyły, ich gwiazda zaczęła blednąć. W trakcie występów w nocnym klubie ktoś z publiczności zaczął ich obrażać. Cher nie została mu dłużna. Sonny kazał jej przestać, na co zwyzywała i jego. Publiczność była zachwycona. Powtarzali więc ten numer co jakiś czas.

Zaczęli nową karierę, w telewizji jako gospodarze programu rozrywkowego. Idealna para – małżeństwo gwiazd, które się przekomarza, ale i śpiewa, rozmawia z zaproszonymi gośćmi. Cher w komediowych skeczach mogła szlifować warsztat aktorski. Ale też mogła wyglądać. To w telewizji zaczęła nosić charakterystyczne błyszczące – lamę, cekinami, kryształkami – odsłaniające brzuch stroje projektanta Boba Mackiego. Twierdzi, że jest pierwszą kobietą, która pokazała pępek w amerykańskiej telewizji.

Na wizji świeciła triumfy, w domu rozważała, czy nie rzucić się z balkonu. W końcu postanowiła odejść.

Aktorka Lucille Ball, którą zapytała o radę, powiedziała jej: „niech Sonny się wali, w tym duecie to ty masz talent”. To dodało odwagi.

Sonny zareagował po swojemu: – Jeśli odejdziesz, Ameryka cię znienawidzi, nie będziesz miała pracy – straszyl. Nie uległa.

Złodziej i aktorka

Uwolnienie się od męża okazało się jednak skomplikowane, bo miał kontrakt na podstawie którego mógł zabrać 95 proc. jej przychodów (pozostałych 5 proc. szło do jego prawnika). Oficjalny rozwód nastąpił więc dopiero kilka lat po rozstaniu, gdy Cher udało się wywalczyć połowę tantiem z ich wspólnej pracy.

Sonny został politykiem i kongresmanem z Kalifornii. W 2016 roku wdowa po nim uznała, że nie musi się już z Cher tantiemami dzielić, ale po kilku latach przegrała w sądzie.

Kilka dni po rozwodzie w 1975 roku Cher ponownie wyszła za mąż za muzyka Gregga Allmana z The Allman Brothers, z którym ma syna Elijah. Jego uzależnienie od heroiny okazało się jednak silniejsze, niż ich związek. Rozwiedli się w 1979 roku i Cher już nigdy więcej nie wyszła za mąż.

Wśród jej partnerów byli m.in. Tom Cruise, którego umieściła na liście pięciu najlepszych kochanków, Val Kilmer, Warren Beatty, Tommy Lee. Jeśli wybierała kogoś, kto nie był sławny, szybko się sławny stawał.

Na przełomie lat 70. i 80. skupiła się na tym, żeby w końcu spełnić marzenie z dzieciństwa i zostać aktorką. Miała już na koncie występy w trzech głupiutkich filmach w latach 60., ale teraz zapragnęła zacząć się aktorstwem serio. I jak to ona, jak postanowiła, tak zrobiła.

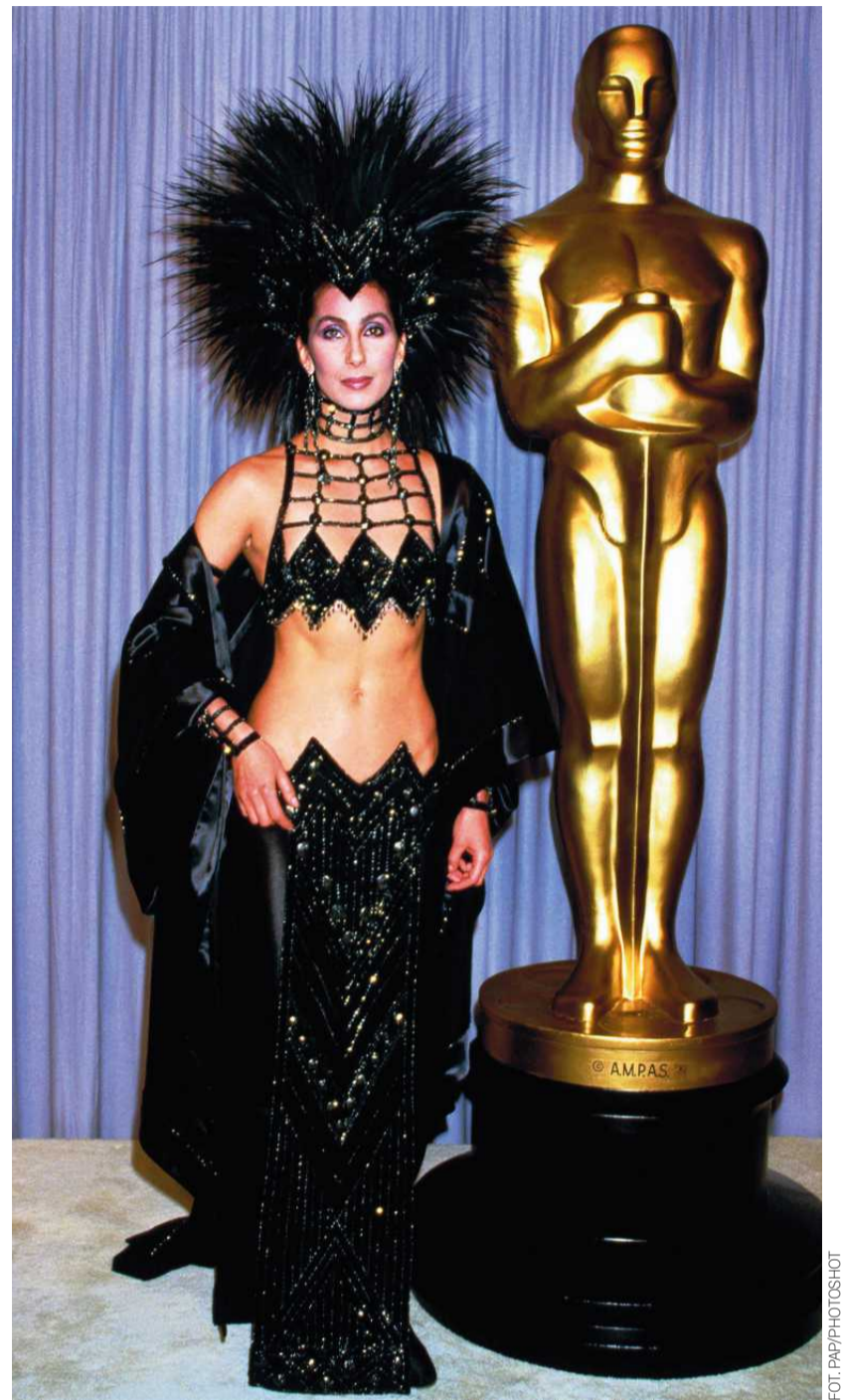
W 1982 roku wystąpiła na Broadwayu w sztuce „Wróć, Jimmy Dean”, którą reżyserował Robert Altman, rok później zaś w ekranizacji, którą nakręcił. W 1983 roku grała z Meryl Streep w „Silkwood” Mike'a Nicholasa, gdzie wcieliła się w lesbijkę, przyjaciółkę tytułowej bohaterki. Dostała za tę rolę nominację do Oscara. Okazało się, że sceniczna diwa o niskim głosie, nie raz wyśmiewana przez krytyków czy krytykowaną przez publiczność z powodu kiczowatych piosenek i równie kiczowatych strojów, jest naprawdę dobrą ak-



• Z Sonnym Bono, człowiekiem, który odkrył jej talent, a potem zgotował piekło



• Dla obecnego partnera, Alexandra Edwardsa, zdecydowała się pozostać w USA



• „Suknia zemsty”, którą założyła na oscarową galę w 1986 roku, rozżalona, że pominięto ją przy nominacjach, spełniła swoje zadanie

torką. Ostatnie słowo należało i wciąż należy zawsze do niej.

Za rolę w „Masce” Petera Bogdanovicha dostała z nagrodę dla najlepszej aktorki na festiwalu w Cannes w 1985 roku. Gdy nie przyszła nominacja do Oscara, na galę założyła kreację z wielkim pióropuszem, by i tak wszyscy mówili tylko o niej. W końcu jednak zasłużyła i na Oscara, rolą charyzmatycznej, niedającej sobie w kaszę dmuchać włoskiej, nowojorskiej wdowy w komedii romantycznej „Wpływ księżycy” Normana Jewisona. To jej zdecydowanie najlepsza kreacja, ale też film, którego urok działa mimo upływu 40 lat.

Zagrała jeszcze kilka ról, w tym matki Winony Ryder i Christiny Ricci w komedii „Sireny” (spróbujcie powstrzymać się od zanużenia „The Shoop, Shoop Song”), czy właścicielki klubu w filmie „Burleska” z Christiną Aguilera. A także cudownie campowy epizod matki Meryl Streep w filmie „Mamma Mia! Here We Go Again”. I nie, nie przeszkadzało jej, że jest zaledwie trzy lata starsza od przyjaciółki. Zresztą na ekranie wyglądała na kilka dekad młodszą.

Mężczyźni jako deser

Tak jak nie zlamano jej trudne dzieciństwo, Sonny Bono i żaden inny mężczyzna, czy krytycy, tak nie jest w stanie złamać jej upływ czasu.

Powiedziała kiedyś, że mężczyźni nie są koniecznością, są luksusem, jak deser, a ona uwielbia desery. Gdy jej matka powiedziała jej, żeby znalazła sobie bogatego męża odpowiedziała:

„To ja jestem bogatym mężem”.

David Lettermana, gwiazdę late show, który w latach 80. słynął z seksistowskich wywiadów z kobietami, w jego własnym programie nazwała dupkiem. Jej cięty dowcip i bezpośredniość, a także szczerze wyrażane poglądy uczyniły z niej paradoksalną ikonę feminizmu.

Paradoksalną, bo Cher w swoich odważnych strojach wielu kojarzyła się z seksualizacją kobiet. – Przekraczałam granice, które sama chciałam przekroczyć. Czulałam, że wyglądanie tak, jak chciałam, a robienie tego, co chciałam, dodawało mi siły – mówiła w „Guardianie”. Stwierdziła, że „kobiety zawsze były obiektami seksualnymi i nie jest to nic nowego – zawsze nimi będą”.

Ale zawsze walczyła o prawa kobiet. Została adwokatką społeczności LGBT i to na długo, zanim ten skrót pojawił się w świadomości ogółu.

Występując latami w Las Vegas doskonale знаła kulturę drag queens i była pierwszą gwiazdą, która zatrudniła dwie z nich jako tancerki w swoim show. Jej kreacja z „Silkwood”, gdzie grała lesbijkę po prostu, bez przerysowania czy stereotypizacji, zwróciła uwagę i zebrała pochwały.

Odkąd jej syn Chaz wyoutował się jako osoba trans, Cher walczy o widoczność i prawa tej mniejszości.

Nie zniknęła nawet po tym, gdy jej rockowe wcielenie z lat 90. poniosło porażkę. Wróciła jako gwiazda electropopu w klubach, w których tłumy tańczyły do „Believe”, piosenki, którą reanimowała karierę w wieku 52 lat. W prasie nazwano ją wtedy „najbardziej dramatycznym comebackiem, jaki widziało Hollywood”.

Cher vs. Donald Trump

W XXI wieku Cher stała się jedną z ulubionych gwiazd Twittera, gdzie, zawsze z włączonym capslockiem i z dodatkiem licznych emoji, pisała bez filtra. Na przykład co sędzi o Donaldzie Trumpie i polityce jego rządu w trakcie pierwszej kadencji, zwłaszcza w kwestii ograniczania praw kobiet i mniejszości.

Nie raz mówiła, że ma wrażenie, że Trump cofa cały postęp, jaki w ostatnich dekadach udało się wywalczyć. Nie myliła się. Protesty, w tym udział w Marszu Kobiet w Waszyngtonie, w którym szła m.in. z Madoonną, na niewiele się jednak zdaly.

Przewidziała wydarzenia z 6 stycznia 2021 roku, kiedy podburzony przez przegranego Trumpa tłum szturmował Kapitol: ledwie kilka tygodni wcześniej stwierdziła w wywiadzie, że „jeśli Trump nie będzie mógł zostać w Białym Domu, to go spali”.

Jego druga kadencja była dla niej ciosem. Była przekonana, że Trump trafi do więzienia, a ona zatańczy z radości. – Nienawidzę go – powiedziała „Guardianowi”. – A w całym życiu nigdy nikogo nie nienawidziłam. Nie lubiłam Busha, gdy zaczynał swoje wojny, ale wiem, że on kocha Amerykę. Trump nie. On nie ma w sobie krztyny dobra.

Zapowiadała nawet, że wyjedzie ze Stanów, jeśli Trump zostanie znów wybrany. Nie zrobiła tego jednak, by nie kazać wybierać swojemu 40 lat młodszemu partnerowi, producentowi Alexandrowi Edwardsowi, między nią a synem z poprzedniego związku, nad którym Edwards dzieli opiekę.

Trzcina się gniewa, ale nie łamie

Wciąż smukła jak trzcina, jest jak trzcina mocna – może się giąć, ale się nie łamie. Nigdy się nie uzależniła, choć otaczali ją uzależnieni. Nie załamała się, gdy Sonny Bono wszystko jej zabrał. Walczyła o syna, który opadł w nałóg, wspierała drugiego w tranzycji.

Czy pokona ją czas? Z jego upływem zmagala się za pomocą operacji plastycznych (stąd w 1988 roku plotka o usunięciu żeber opublikowana przez „Paris Match”) i nie zamierza za to przeproszać. Twierdzi jednak, że nigdy nie chciała poprawiać wyglądu tak, jak robią to współczesne kobiety – powiększać ust czy pośladków. Po prostu chciała zahamować czas. Ale też całe życie pracowała nad sobą. Już po siedemdziesiątce z dumą mówiła, że są dwudziestoletnie dziewczęta, które nie byłyby w stanie zrobić tych ćwiczeń, co ona.

– Co mam powiedzieć? Że to lubię? No nie – powiedziała zapytana przez dziennikarkę „Guardiana”, czy starzenie ją martwi. I posłała jej mordercze spojrzenie. – Każda szczerą kobietą powie, że dziś to nie jest frajda. Nie lubię teraz wychodzić, bo każdy ma aparat i nie jest to bezpieczne. Ludzie cię przepychają i nie wiesz, czy chcą cię zabić, czy zrobić zdjęcie.

Jej matka zmarła w wieku 96 lat, ciotki w wieku 101 i 104 lat, więc gwiazda liczy, że będzie mogła jeszcze długo pracować. – Barbra Streisand zapytała mnie kiedyś, dlaczego wciąż pracuję – stwierdziła w „Guardianie”. – Odpowiedziałam: bo pewnego dnia nie będę już w stanie, więc tak długo, jak mogę pracować, będę. ●

SPORT.PL+

**WIĘCEJ
NIŻ WYNIK**



**Poznaj
nas lepiej**



sport.pl/plus

A white handwritten signature of Lukasz Piszczek, written in a cursive style.

Łukasz Piszczek

Staram się poruszać powoli i unikam kolekcjonowania wrażeń.

Z **TOMASZEM STAWISZYŃSKIM**,
FILOZOFEM I PISARZEM,
ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Lubisz wracać tam, gdzie byłeś już?

– Nie tylko lubię wracać do miejsc, w których byłem, ale i nie przepadam za podróżowaniem w miejsca nieznane. Zamiast nieustannie szukać nowości, wolę pogłębiać relację z miejscami, z którymi związał mnie los, świadomie w nie wrastać.

Z biegiem lat stało mi się to szczególnie bliskie – wracam do jednego, dwóch czy trzech ulubionych miejsc, poznawać ludzi, którzy tam żyją, obserwować krajobraz, to, jak zmienia się w czasie i jak ja zmieniam się razem z nim.

Nie twierdzę, że to, co robię, jest lepsze od eksplorowania nowych miejsc. Doskonale rozumiem ludzi, którzy spełniają się właśnie w ciągłym odkrywaniu świata.

Mnie bliższa jest raczej postawa opisana w pięknym wierszu Konstandinosa Kawafisa „Miasto”. Grecki poeta rozprawia się w nim z przekonaniem, że zmiana miejsca może odmienić los. Przesłanie tego utworu jest dokładnie odwrotne: gdziekolwiek pojedziemy, zabieramy ze sobą całe nasze życie.

Zawsze trafisz do tego miasta. Będziesz chodził po tych samych ulicach

Nie ma dla ciebie okrętu – nie ufaj próżnym nadziejom – nie ma drogi w inną stronę

Jakieś swoje życie roztrwonil w tym ciasnym kącie, tak je w całym świecie roztrwonileś
(przel. Zygmunt Kubiak).

Twoja ostatnia książka „Czynnik alchemiczny” pewnie nie powstałaby bez tej „filozofii powrotów”. Korfu jest przecież miejscem, do którego wracasz od wielu lat.

– Pojechałem tam po raz pierwszy 20 lat temu śladami Lawrence’a Durrella, jednego z moich ulubionych pisarzy. Chciałem zobaczyć dom, w którym mieszkał.

I wydarzyło się coś trudnego do racjonalnego wyjaśnienia – po prostu poczułem z tą wyspą jakąś łączność, poczułem, że chcę tam wracać.

Myślę, że wielu z nas zdarzają się takie tajemnicze relacje z miejscami, które nas do siebie w dziwny sposób przyciągają, a może się przed nami otwierają, nie do końca wiadomo dlaczego. Czasem trafiamy gdzieś po raz pierwszy, a jednak mamy wrażenie, jakbyśmy byli u siebie. Jakby to miejsce w jakiś sposób do nas należało.

Książka faktycznie narodziła się z tych powrotów i fascynacji Korfu, ale jest fikcją literacką. Postacie, które się w niej pojawiają, mają pewne korelaty w rzeczywistości, ale są tworem wyobraźni, to nie jest reportaż, tylko proza.

Wyjątkiem jest postać Costasa Bellosa, który prowadzi wspaniałą restaurację Klimataria w miejscowości Benitses, jego historię opowiedziałem dość wiernie, choć także przez literacki pryzmat. Zasadniczo tylko to, co dotyczy wyspy, jej topografii i historii, to prawda.

No i oczywiście istnieją pojawiające się w „Czynniku alchemicznym” wspaniałe restauracje i tawerny: oprócz Klimataria jeszcze Aegli, Eucalyptus.

W ostatniej historii pojawia się motyw takiego szczególnego miejsca na świecie, które być może każdy z nas ma, tylko nie każdy zdążył je odnaleźć.

Kiedy trafiasz do nowego miejsca ten pierwszy raz, jak je oswojasz? Co właściwie sprawia, że jakieś miejsce pasuje?

– Nie lubię gwałtownego zanurzenia, adaptuję się powoli i ostrożnie. Najchętniej przez... jedzenie, lokalną kuchnię.

Od lat stosuję zasadę, że w podróży należy jeść wyłącznie potrawy regionalne. Nigdy

ŻEBY DUSZA NADAŻYŁA ZA CIAŁEM



• W podróżowaniu faszynujące jest zagłębienie od zaplecza, przez strefy pomijane, nieoczywiste, czasem wręcz zaniedbane. Na zdj. balkony w stolicy wyspy Korfu mieście Korfu (Kerkyra)

nie jadam dań uniwersalnych, takich, które można dostać wszędzie.

Razem z moją żoną Cvetą Dimitrovą szukamy zawsze miejsc odwiedzanych i polecanych przez lokalsów. Nie ma, myślę, lepszego sposobu, żeby nawiązać kontakt z jakąś kulturą niż właśnie przez kuchnię.

Staram się poruszać powoli i unikam kolekcjonowania wrażeń. To jest współcześnie bardzo rozpowszechniony mit: że oprócz przedmiotów trzeba kolekcjonować również wrażenia, że trzeba mieć ich jak najwięcej, bo inaczej życie umyka.

Otóż wydaje mi się, że ono umyka właśnie tym szybciej, im bardziej gonimy za wrażeniami – co oczywiście usłudźnie podsuwa nam rynek. Powolność i niespieszność – to mi zawsze w podróży przyświeca.

Pamiętam też, że kiedy bywałem w wielkich amerykańskich metropoliach, często się bałem, że się zgubię. Unikałem więc nadmiernego przemieszczania i ograniczałem się raczej do niewielkiego fragmentu miasta: okolic hotelu albo trasy, którą już wcześniej zdążyłem oswoić. To było bardzo ciekawe.

Mam wrażenie, że właśnie takie dobre rozpoznanie niewielkiego wycinka miasta – siedzenie w jednej kawiarni i obserwowanie życia wokół pozwala niekiedy zajrzeć głębiej niż gorączkowe przemieszczanie się od atrakcji do atrakcji.

Też powiem banał: wyobrażam sobie bardzo pogłębione zwiedzanie, które ma formę całodziennego siedzenia przy kawie na rogu dwóch ulic.

– Absolutnie się zgadzam! W ogóle jest mnóstwo rozmaitych sposobów zwiedzania. Pamiętam, że ogromne wrażenie zrobił na mnie kiedyś podróżniczy cykl Michaela Palina z Monty Pythona – grupy, którą skądinąd wielbię.

Oglądałem go chyba pod koniec lat 90. albo na początku XXI wieku. Na tamte czasy było to coś bardzo nowatorskiego. Palin odwiedzał miasta uznawane za ikony światowej kultury, ale pokazywał je od zupełnie innej strony: od zaplecza, przez strefy pomijane, nieoczywiste, czasem wręcz zaniedbane.

Na przykład Wenecję zwiedzał nie od strony pięknych zabytków, urokliwych zaułków i widoków z gondoli, ale śmietnisk czy wąziutkich uliczek. To rzuciło zupełnie nowe światło na doświadczenie podróży. Taka perspektywa jest mi bardzo bliska.

Ydaje mi się po prostu, że istnieje bardzo wiele sposobów podróżowania, natomiast współczesność ma tendencję do narzucania jednej obowiązującej wersji: że trzeba zobaczyć jak najwięcej, wejść jak najwyżej. A przecież równie interesujące oraz ekscytujące może być siedzenie w hotelu i czytanie o miejscu, w którym się jest.

I ludzie, przede wszystkim ludzie.

Łatwo nawiądujesz relacje w podróży?

– Henryk Elzenberg, wybitny polski filozof, nauczyciel Zbigniewa Herberta, twierdził, że ludzie dzielą się na tych, którzy mają poczucie losu, i tych, którzy go nie mają. Tych pierwszych nazywał tychnikami. Chodziło mu o różnicę pomiędzy tymi, którzy sądzą, że swoje życie tworzą, są jego kowalami, a tymi, którzy uważają, że je odkrywają, bo ich życie jest stopniowym odsłanianiem się losu.

Ja zdecydowanie jestem tychnikiem. Mam wrażenie, że raczej odkrywam swoje życie, niż je projektuję czy konstruuje.

Podobnie jest z ludźmi spotykanymi w podróży. Raczej otwieram się na to, co może się wydarzyć, niż aktywnie organizuję relacje czy sytuacje.

Pewne osoby po prostu pojawiają się w orbicie, zawiązują się jakieś znajomości, a niekiedy przyjaźnie, z innymi łączy nas jedynie na moment koincydencja czasu i miejsca.

I zdecydowanie masz rację – relacja z miejscem, do którego chce się wracać, nie dotyczy samej przestrzeni. Jest związana z ludźmi, którzy to miejsce współtworzą

i są jego częścią. Zresztą opowieści z „Czynnika alchemicznego” są właśnie efektem takich niezaaranżowanych, niezainscenizowanych spotkań oraz wyobraźni, która wokół nich buduje alternatywne scenariusze, domniemania i skojarzenia, pozwala sobie na niezobowiązujący dryf.

Powroty na Korfu są dla mnie powrotami do ludzi. Wracamy do miejsc, które dobrze znamy, spotykamy te same osoby, pojawia się poczucie zakorzenienia, czegoś trwałego, stabilnego, powtarzalnego. Oczywiście wszystko się zmienia i wszyscy przemijamy, ale mimo to istnieją w tym doświadczeniu pewne ciągłości i porządek.

Stajemy się częścią historii miejsca, wpisujemy się w nią. Mam wrażenie, że dziś bardzo za tym tęsknimy, bo żyjemy w świecie coraz bardziej niestabilnym i przyspieszonym, w którym trudno przewidzieć, co wydarzy się za chwilę.

Pamiętam, że kiedyś zmienił się skład kelnerski w jednej z naszych ukochanych tawern na Korfu. Wydarzenie niby banalne. No ale przez lata wizyta w tym miejscu była niczym powtarzalny rytuał związany z konkretnymi ludźmi, których znaliśmy i którzy znali nas.

Jeden z kelnerów kiedyś mnie ochrzanił – zresztą słusznie! – za to, że chciałem zamówić frytki zamiast ziemniaków do kultowego lokalnego dania o nazwie bianco. Takie drobiazgi tworzyły atmosferę tego miejsca, daleką od turystycznego amoku serwowanego nam przez kapitalizm doświadczeń. Dlatego kiedy nagle pojawili się tam nowi pracownicy, jakaś ciągłość została zerwana, coś nieodwołalnie się skończyło.

Kapitalizm doświadczeń i globalizacja sprawia, że lecimy do Wiednia, Berlina, Barcelony i w pewnych miejscach czujemy się dokładnie jak w Warszawie, bo deptak ze sklepami po obu stronach zupełnie się nie różni. Myślimy: „Jak to? Miało być inaczej, a jest tak samo!”

– Myślę, że największym niebezpieczeństwem współczesnej turystyki jest ujednolicenie świata. Od pewnego momentu naprawdę jest w zasadzie wszystko jedno, gdzie jesteś. Wsiadasz do samolotu, lecisz kilka godzin i nagle się okazuje, że wszędzie widzisz bardzo podobny krajobraz: ten sam deptak, te same sklepy, te same kawiarnie, te same szklidy i logo.

I dlatego nie dziwię się temu pojawiającemu się coraz częściej poczuciu rozczarowania. Jestem przekonany, że to musi być też bardzo trudne dla ludzi, którzy funkcjonują w miejscach turystycznych na co dzień.

Oczywiście wiele regionów żyje z turystyki, Korfu jest tego dobrym przykładem, więc mieszkańcy czerpią z niej korzyści. Ale jednocześnie mam wrażenie, że w ostatnich latach intensywność stała się tak ogromna, że nawet dla lokalnych staje się to powoli nie do wytrzymania.

To jest naturalnie symptom tego, o czym już mówiliśmy: przymusu gorączkowego konsumowania doświadczeń, w którym chodzi przede wszystkim o to, żeby jak najwięcej ludzi przewinęło się przez dane miejsce, kupiło bilety, noclegi, loty i atrakcje. W tym wszystkim zanika możliwość budowania bardziej intymnej, głębokiej relacji z miejscem.

Coraz więcej miast i regionów próbuje limitować masową turystykę. Barcelona ogranicza najem krótkoterminowy i walczy z overtourismem, Wenecja wprowadziła opłaty za wjazd do historycznego centrum, a Amsterdam ogranicza promocję turystyki imprezowej i ruch lotniczy. Podobne działania pojawiają się na Majorce, w Lizbonie czy na Hawajach, gdzie rośnie presja na ochronę lokalnej społeczności i przestrzeni przed nadmiernym ruchem turystycznym. Będą następne turystyczne bany.

– Ten poziom intensywności staje się po prostu destrukcyjny zarówno dla mieszkańców, jak i dla samego dziedzictwa tych miejsc. Jestem przekonany, że w znacznej mierze nie wynika z autentycznej potrzeby eksploracji świata.

Frenetyczne przemieszczanie się stało się dziś domniemanym remedium na zmęczenie, przebudźcowanie, potrzebę wyrwania się i ucieczki z miejsca czy pracy, która męczy. Ale de facto tylko pogłębia wszystkie te bolączki.

Im łatwiej podróżować, tym trudniej o autentyczne przeżycia?

– Nie ma, myślę, takiej ścisłej zależności. To się może raczej wiązać z prędkością dzisiejszych peregrinacji. Współczesne podróżowanie, zwłaszcza samolotem, ta błyskawiczność przemieszczania się, wywołuje pewien rodzaj dezorientacji poznawczej.

Nie chcę mówić, że jest to „nienaturalne”, bo to niebezpieczne słowo, ale z pewnością jest w tym coś, za czym nasza psychika nie do końca nadąża. Jest w tym coś fundamentalnie dziwnego: rano pijesz herbatę na jednym końcu świata, a kilka lub kilkanaście godzin później jesz kolację już we własnym domu.

Od lat stosuję zasadę, że w podróży należy jeść wyłącznie potrawy regionalne

I jednocześnie masz przy sobie przedmioty przywiezione z tamtego miejsca, jakby dwie rzeczywistości nagle zlały się w jedną. Mam poczucie, że taka szybkość przemieszczania się w jakiś sposób zakłóca nasze doświadczenie ciągłości świata i własnego życia. Może dezorientować i wprowadzać w nie do końca nawet uświadomiane pomieszczenia.

Carl Gustaw Jung nie lubił podobno latać samolotami, często powtarzał historię zasłyszaną od pewnego rdzennego Indianina, który twierdził, że podczas lotu dusza „nie nadąża” za ciałem, jej fragmenty odrywają się i pozostają w powietrzu.

Oczywiście my możemy traktować to wyłącznie metaforycznie, ale jest w tym jakaś psychologiczna intuicja: kiedy przemieszczamy się zbyt szybko, tracimy poczucie ciągłości doświadczenia. Warto zauważyć, że klasycznej literaturze podróżniczej, np. u Nicolasa Bouviera czy Blaise’a Cendrarsa, podróż oznaczała powolne osvajanie przestrzeni, uważność, wchodzenie w relację z miejscem i samym doświadczeniem drogi.

Dzisiaj bardzo często nie mamy już na to czasu. Towarzyszą nam smartfony, nieustanny przepływ informacji, ciągła obecność świata online. A przecież, powtórzę jeszcze raz, prawdziwe wejście w relację z miejscem wymaga czasu, skupienia i pewnego rodzaju wewnętrznego wyłączenia się z tego nieustannego pośpiechu

Czytasz o podróżach?

– Nigdy nie byłem wielkim fanem literatury podróżniczej, ale mam kilku autorów, do których regularnie wracam. To wspomniany Nicolas Bouvier i jego „Oswajanie świata”, książka absolutnie kanoniczna, jedna z najważniejszych opowieści o podróży, jakie powstały w XX wieku.

Bardzo ważny był dla mnie także Blaise Cendrars, którego odkryłem jeszcze dzięki wydawnictwu Noir sur Blanc pod koniec lat 90. I Bruce Chatwin, zwłaszcza jego pierwsza

książka – „W Patagonii”. Chatwin, pracownik domu aukcyjnego Sotheby’s, któregoś dnia zostawił w pracy kartkę z informacją, że wyjeżdża do Patagonii i zaczął nowe życie jako pisarz-podróżnik.

Bardzo lubię również książki braci Durrellów. Lawrence Durrell pisał wspaniale o Grecji i Korfu (m.in. „Prospero’s Cell”), a Gerald Durrell stworzył przepiękną „Trylogię z Korfu”. Co ciekawe, niedawno ukazała się książka „The Durrells: A History of the Family”, napisana przez Richarda Bradforda, brytyjskiego profesora literatury i biografę, który wcześniej pisał m.in. o George’u Orwellu czy Patricii Highsmith.

Otóż przez kilkaset stron Bradford próbuje udowodnić, że Durrellowie swoje książki podróżnicze w znakomitej mierze zmyśli. Rozkłada je na części pierwsze, sprawdza każdy szczegół, tropi nieścisłości i pokazuje, że wiele z tych historii zostało literacko wykreowanych.

Robi to także w duchu oskarżania ich o wszelkie współczesne grzechy przeciwko jedynej słusznej słuszności, co i rusz zarzuca im polityczną niepoprawność, z „kolonialnym stosunkiem” do ludności tubylczej na czele.

Abstrahując jednak od tej irytującej, ahistorycznej, ideologicznej ortodoksji, którą nie ma sensu w ogóle się przejmować, po skończeniu lektury zacząłem się zastanawiać, czy wierność faktom w ogóle ma dla mnie w tego typu literaturze jakiegokolwiek znaczenie.

Przecież te książki są po prostu piękne: pełne życia, atmosfery, wysublimowanego języka. Co mnie to obchodzi, czy opisane tam historie zdarzyły się te kilkadziesiąt lat temu naprawdę, czy też powołał je do istnienia wyłącznie talent autora? Najważniejsze, że istnieją w tekście, nic im więcej nie potrzeba.

Ze współczesnych autorów bardzo cenię Piotra Kępińskiego, z którym się zresztą od lat przyjaźnimy. Mam poczucie, że stworzył własny gatunek pisania o podróży: coś pomiędzy esejem, reportażem i literacką impresją. Fascynujące jest u niego to, że miejsce nigdy nie istnieje wyłącznie jako geografia czy historia. Zawsze przenikają je literatura, sztuka, wcześniejsze opowieści.

Sam zresztą miałem podobnie z Korfu. Moje doświadczenie tej wyspy od początku było filtrowane przez książki Durrellów, Henry’ego Millera i jego „Kolos z Maroussi”. Ilekroć lądowałem na wyspie, miałem poczucie, że podróżuję nie tylko w przestrzeni, ale także w literaturze, która już wcześniej nadała temu miejscu pewien sens i wyobrażeniowy kształt.

Literatura może bardzo mocno wpływać na sposób, w jaki doświadczamy miejsc. Dlatego gdy się gdzieś jedzie, warto czytać nie tylko przewodniki, ale też w ogóle różne książki związane z danym miejscem: literaturę, eseje, wspomnienia. One uruchamiają wyobraźnię i sprawiają, że przestrzeń zaczyna mieć dodatkowy wymiar.

Dlaczego to samo wino smakuje inaczej w Warszawie, a inaczej na greckich wyspach?

– Ha, no właśnie, oto jest pytanie! Potrawy jedzone w miejscu, z którego pochodzą, na-

prawdę smakują inaczej niż gdziekolwiek indziej, prawda? Nawet jeśli użyjemy dokładnie tych samych składników i odtworzymy przepis, efekt nigdy nie będzie identyczny. Metafizyka – nic innego!

No bo przecież to się wymyka racjonalnemu wyjaśnieniu. Ujawnia się tu jakiś wymiar istnienia, który podpowiada, że świat nie daje się sprowadzić wyłącznie do technicznej powtarzalności.

Są takie aspekty rzeczywistości, związane z atmosferą miejsca, pamięcią, światłem, temperaturą, emocją czy samym kontekstem przeżycia, których nie da się nigdzie przenieść.

Mam wręcz wrażenie, że wino produkowane w miejscu swojego pochodzenia nie tylko smakuje inaczej, ale też działa inaczej – jest jakby łagodniejsze, mniej dolegliwe dnia następnego, bardziej na swoim miejscu. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale od dawna mnie to fascynuje i mam poczucie, że kryje się w tym jakaś tajemnica doświadczenia, której do końca nie umiemy nazwać. Ten tytułowy czynnik alchemiczny, o którym traktuje moja najnowsza książka.

Co myślisz o podróżach do krajów rozwijających się? Czy powtarzana do znudzenia wciąż fraza: „Ludzie w Indiach żyją za dolara dziennie, ale są szczęśliwsi od nas” nie jest w istocie formą romantyzowania biedy i dość wygodną fantazją zamożnego Zachodu, który szuka w cudzym obywatwie utraconego sensu własnego życia?

– Wszystko zależy od tego, z jakim nastawieniem, celem oraz intencjami się podróżuje. Jeśli dlatego, że się tam właśnie odnalazło swoje miejsce – i postępuje się z szacunkiem wobec mieszkańców, z poszanowaniem ich zwyczajów, a także z gotowością do pomocy, jeśli jest potrzebna – nie widzę w tym nic problematycznego.

No ale zjawisko, o którym mówisz, też istnieje, nie da się ukryć. W ogóle dziś na różne sposoby tego utraconego sensu szukamy. Ale trzeba być przy tym bardzo ostrożnym, bo łatwo się dać uwieść różnym rynkowym oraz politycznym iluzjom, które świetnie na tej naszej potrzebie żerują.

Wydaje mi się, że właśnie dlatego najlepiej polegać na sposobach już sprawdzonych i przećwiczonych przez pokolenia. Ale to jest oczywiście temat na zupełnie inną rozmowę. ●



Tomasz Stawiszyński

• Rocznik 1978. Filozof, publicysta, autor książek poświęconych kulturze współczesnej, duchowości oraz kondycji człowieka we współczesnym świecie. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Napisał m.in. eseistyczno-literackie: „Potyczki z Freudem”, „Ucieczkę od bezradności”, „Reguły na czas chaosu”, „Ćwiczenia z dysonansu”. Prowadzi podcast „Skądinąd”, w którym rozmawia z filozofami, naukowcami, pisarzami i intelektualistami o współczesności, kulturze i ideach. Stały felietonista „Tygodnika Powszechnego”.

• 20 maja będzie miała premierę jego najnowsza książka: zbiór literackich opowieści z Korfu pt. **„Czynnik alchemiczny”** (wyd. Wielka Litera)





◀ W pawilonie austriackim Florentina Holzinger serwuje widzom Biennale diagnozy równie zabawne, co paskudne.

▶ Nie tylko w kanałach, ale i w sztuce. Polscy artyści zanurzali się pod wodę w poszukiwaniu superjęzyka

▶ W kolejce do austriackiego pawilonu trzeba było czekać ponad dwie godziny. Czas odmierzał dzwon, którego żywym sercem była performerka

• Biennale w Wenecji potrwa do 22 listopada br.



FOT. NICOLE MARIANA WYTZYK, ARCHIWUM ZACHĘTY

AQUAPARK WENECCJA

Jeśli tegoroczne Biennale w Wenecji uznać za powiedzenie świata sztuki „sprawdzam”, wnioski są nieszczerze wesołe. Obecność w programie Rosji i Izraela udowodniła, że w zderzeniu wartości i interesów te drugie poradzą sobie lepiej – i nie zmienią tego zaangażowane prace ani kuratorskie teksty o prawach człowieka, dekolonizacji, sprawiedliwości i równości.

Nie jest to wniosek zaskakujący. Świat sztuki – zwłaszcza w wydaniu tak wysokobudżetowym jak weneckie biennale – to nie tylko chwalebne idee i poruszające prace, ale też interesy. Ktoś się bogaci, ktoś ociepla sobie wizerunek. Gdyby wykluczyć wszystkie państwa, w których dochodzi do łamania praw człowieka, narodowych pawilonów zostałyby niewiele. W przypadku Rosji i Izraela sytuacja wygląda jednak inaczej.

Czym innym jest przymykanie oka na naruszanie konwencji praw człowieka, czym innym na zbrodnie wojenne i ludobójstwo. Przywódcy obu krajów objęci są nakazem aresztowania przez Międzynarodowy Trybunał Karny. Nic dziwnego, że otwarcie biennale nazaczyły protesty, manifestacje i strajki artystów.

Czy sama sztuka miała w tym wszystkim szansę wybrzmieć? Tak, choć z różnym skutkiem. Najlepiej wypadły nie te prace, które uciekały od politycznych i społecznych napięć, ale te, które dawały szansę spojrzeć na nie z szerszej perspektywy.

Austriacki dzwon

Biennale to eksces, nagromadzenie prac jest wyczerpujące intelektualnie i fizycznie. Samych pawilonów narodowych jest 100. Do tego gigantyczna, dwuczęściowa wystawa mię-

61. Biennale w Wenecji
zostanie zapamiętane przede wszystkim z powodu protestów i strajków, które były odpowiedzią na polityczne decyzje organizatorów. A jak wypadła sztuka?

Emilia Dłużewska

dzynarodowa, 31 oficjalnych wydarzeń towarzyszących i niezliczone towarzyszące biennale nieoficjalnie.

Przez cztery dni widziałam w Wenecji rzeczy przepiękne, nudne, głęboko poruszające, wybitnie idiotyczne i szalenie złożone. A także mewę, która postanowiła znieść jajo tuż przy schodach do polskiego pawilonu i szybko zyskała status celebrytki – niejeden odwiedzający w pierwszej chwili brał ptaka za część ekspozycji.

Jeśli z tego natłoku obrazów miałabym wybrać jeden, byłby to dzwon bijący przed austriackim pawilonem, który przygotowała choreografka i reżyserka Florentina Holzinger.

Jej „Seaworld Venice” z miejsca stał się sensacją tegorocznego biennale. W kolejce do pawilonu trzeba było czekać dwie-trzy godziny. Co godzinę z budynku wychodziła ubrana tylko w uprząż do wspinaczki performerka, podciągała się na linie do środka dzwonu i zawiązała głowę w dół. Kiedy dzwon zaczynał się huścić, kobieta stawiała się jego wydającym dźwięk sercem.

Holzinger mówi, że to dzwon bijący starym, konserwatywnym porządkom. Ale widok bezwładnie zwisającego ludzkiego ciała uderzającego o ściany dzwonu nie wydawał się triumfalny. Jeśli to koniec starego świata, to nowy rodzi się w bólach.

Cały „Seaworld Venice” to eksces w ekscesie: nazwa nawiązuje do parku rozrywki. Wewnątrz austriackiego pawilonu jest kobieta pływająca na rozpedzonym skuterze wodnym, brodzący w wodzie robotyczny pies, performerki wspinające się na gigantyczny wiatrowskaz i stojące godzinę nieruchomo w pełnym akwarium, oddychając przez maskę tlenową.

Jeśli brzmi efekciarsko, to dlatego, że nie chcę zdradzać wszystkiego – pawilon Holzinger warto zobaczyć, nie wiedząc, co nas czeka. Zapewniam, że poza efektownymi sztuczkami austriacka artystka serwuje widzom diagnozy równie brutalne, co trafne. I równie zabawne, co paskudne.

Pawilon z wielkiej płyty i pawilon – statek kosmiczny

Jest pewna ironia w fakcie, że to właśnie rozbuchane, teatralne „Seaworld Venice” podbiło biennale, którego hasłem jest „In Minor Keys”, w tonacji molowej. Kuratorka wystawy międzynarodowej Koyo Kouoh chciała dać widzom przestrzeń na wsłuchanie się w mniej słyszalne głosy, dostrojenie do opowieści wymagających skupienia, dostrzeżenie wspólnot radzących sobie na marginesach.

Kouoh zmarła nagle w maju zeszłego roku. Wystawę dokończył zespół jej współpracow-

niczek, ale jej myśl jest w niej bardzo wyraźna. Choć obie części wystawy są barwne i wypełnione pracami w wielkiej skali, to jednocześnie zostało w nich miejsce na subtelności: dużo tu grania cieniem, zapachów, poezji. Skupienia na mikrohistoriach, jak w pracy amerykańskiej artystki Rose Salane, która kupiła garść zgubionych w nowojorskim metrze pierścionków, po które nikt się nie zgłosił. Pokazuje je obok siebie: złoto, srebro, plastik. Cenne kamienie i barwione szkiełka. Wygrawerowane na nich daty, imiona, modlitwy.

O władzy kryjącej się w rzeczach małych przypomina Cziliżcyk Alfredo Jaar: w przestrzeni Arsenalu zaaranżował wypełnioną czerwonym światłem salę o kształcie kościelnej nawy. Na jej końcu, w gablocie, leży ciemny sześcian o wymiarach 4x4 cm. To sprasowane razem kobalt, pierwiastki ziem rzadkich, miedź, cyna, nikiel, lit, mangan, koltan, german i platyna – dziesięć kluczowych minerałów dla rozwoju współczesnej technologii. W niewielkiej kostce skoncentrowane są obiekty pożądania i ślady zbrodni współczesnego świata.

Koyo Kouoh zaznaczała, że niższa tonacja nie ma oznaczać rezygnacji z porozumienia; wyciszenie to nie brak głosu. Zmarła kuratorka chciała, by 61. Biennale „nie było litanią komentarzy do bieżących wydarzeń, ale nie było też ucieczką od nawarstwiających się współczesnych kryzysów”. Na wystawie międzynarodowej niewiele jest prac, które w jakiś sposób nie odnosiłyby się do współczesnych napięć. Wszystko jedno, czy to różowy koktajl Molotowa japońskiej artystki Yoshiko Shimady, uszyty przez Demonda Melanchona strój z piór i szklanych koralików noszony podczas karnawału w Nowym Orleanie, wpleciona w rzeźbę Guadalupe Maravilli czapeczka, jaką nosił



FOT. NICOLE MARIANNA WYTTCZAK

Liam Conejo Ramos, pięciolatek zatrzymany przez agentów ICE w Minnesocie, czy wiersz „If I Must Die” palestyńskiego poety Refata Alareera, który otwiera wystawę w Arsenale.

Tę samą metaforyzację napięć można znaleźć w wielu narodowych pawilonach. Niemiecki, obudowany mozaiką udającą wielką płytę, tropi pozostałości autorytaryzmów odbijających się w domowych wnętrzach – artystka Henrike Naumann, zamiast wymazywać nazistowską przeszłość wzniesionego w 1938 r. budynku, ozdobiła go firankami i bibelotami. Słoweński koncentruje się wokół pozostałości drewnianego meczetu, który na począt-

ku XX w. zbudowały w przygranicznym miasteczku austrowęgierskie wojska dla bośniackich żołnierzy i który ponad sto lat później został wydobyty spod zarastającej go łąki. Czilijski zachęca widzów do okrążania bryły przypominającej rozbity statek kosmiczny i zagładania przez małe otwory w postapokaliptycznej dioramie.

Taka jest też wystawa „Języki z wody” w pawilonie polskim, utopijna próba stworzenia superjęzyka pozwalającego porozumieć się mniejszości i większości, istotom ludzkim i nieludzkim. Szukająca tego, co pozwala ocalić rzeczom, pozornie skazanym na wyginię-

cie. W polskim pawilonie byłam kilkakrotnie, za każdym razem był pelen.

Tym absurdalnie wypadały w tym kontekście pawilony pozornie się od polityki odcinające. Nie tylko rosyjski, który przez kilka dni przed oficjalnym otwarciem oferował widzom głównie darmowy alkohol, ale i amerykański, wypełniony rzeźbami Almy Allena – wykonanymi z brązu, marmurów i innych drogich materiałów, równie gładkich i obłych, co kuratorski tekst o amerykańskiej wspólnotocie, „kolektywnym optymizmie” i spełnieniu.

Ukraina szuka radości

Ale czy taka polityczność – skonceptualizowana, wyrafinowana estetycznie, zamknięta w ramach wystawy – wystarczy w dzisiejszych czasach? Można się zastanawiać. Niskie tonacje i subtelne refleksje nie robią takiego wrażenia jak bezpośrednie akty protestu.

Nie muszą być masowe. W piątek w południe, gdy część artystów strajkowała, przed pawilonem izraelskim stał starszy mężczyzna w garniturze, powtarzający po angielsku i włosku: „Stop ludobójstwu” – spokojnie, lecz nieustannie. Obok niego stała kobieta w ciąży. Na ławce po drugiej stronie przejścia siedział młody chłopak co jakiś czas równie spokojnie powtarzający: „Wolna Palestyna”. Kontrast między nimi a kilkunastoma policjantami obstawiającymi pawilon był uderzający.

Po środowej akcji Pussy Riot takie mniejsze protesty odbywały się też w czwartek przed rosyjskim pawilonem: ktoś ustawił przed nim miniaturę zniszczonego w bombardowaniu bloku z napisem: „Za wybitne łamanie międzynarodowego prawa humanitarnego”. Ktoś rozłożył przed wejściem wielką strzałkę wskazującą na wschód z napisem: „Wojna, 926 km”. Elegancko ubrana kobieta stała przed wejściem z kominiarką Pussy Riot i napisem: „No Putin, no war” na marynarce; inna krążyła wokół niego w niebieskim swetrze z żółtym napisem: „Putin ty zaebał”. W sobotę protestujące dziewczyny ustawiły się pod rzeźbą jelenia ukraińskiej artystki Zhanny Kadyrovej. Na koszulkach miały napisy: „Rosyjski pawilon ufundowała wojna” i „Bucza. Mariupol. Wenecja?”.

Trudno jednak nie dostrzec dysproporcji – zdecydowana większość uwagi poświęcona była Palestynie. O to, by zespoły pawilonów narodowych wstrzymały się z akcjami protestacyjnymi przeciwko Rosji, mieli prosić sami Ukraińcy, niechętni karmić propagandy Putina. Ale na wielkiej manifestacji, która przeszła przez Wenecję w piątek, 8 maja, żółto-niebieskich flag również nie było widać. Ukraińska manifestacja w sobotę była dużo mniejsza, uczestniczyli w niej głównie mieszkający we Włoszech członkowie diaspory – i chyba poza nimi mało kto o niej wiedział.

Czy takie postawienie sprawy ma w ogóle sens? Ukraina i Palestyna nie rywalizują ze sobą w konkursie na nasze współczucie, nie muszą na nie PR-owo zapracować. Solidarność z jednymi ofiarami nie wyklucza solidaryzowania się z innymi. Nasza empatia i przyzwyczajenie nie są ograniczonymi zasobami. Ale nasza uwaga i odporność na widok cudzego cierpienia są.

Paradoksalnie to właśnie miejsce, gdzie język sztuki może się okazać potrzebny. Jedną z najbardziej poruszających wystaw, jakie widziałam w Wenecji, to ta zorganizowana przez Fundację Victora Pinchuka „Still Joy – From Ukraine Into the World”. Punktem wyjścia do niej były wywiady, które ukraiński weteran Hlib Stryzhko przeprowadził z innymi żołnierzami i żołnierzkami, w tym byłymi jeńcami rosyjskimi.

Stryzhko pytał ich nie o to, co było najstraszniejsze, ale o to, co daje im radość. Zebrał na wystawie prace ukraińskich i zagranicznych artystów to opowieść o najgłębiej ludzkim naddatku, której szukamy nawet w najstraszniejszych czasach. I którą nawet w tych czasach potrafimy się dzielić z innymi. Dzięki tej radości abstrakcyjna „walcząca Ukraina” znów staje się ludźmi, którym należy się solidarność. ●

■
*Świat sztuki – zwłaszcza
w wydaniu wysokobudżetowym
jak weneckie biennale –
to nie tylko chwalebne idee
i poruszające prace,
ale też interesy.
Ktoś się bogaci, ktoś ociepla
sobie wizerunek*



Diogenes z Grochorwa

Ornitologia, entomologia, ichtiologia to nauki, które Krzysztof Środa, podróżnik i pisarz, chętnie widziałby w programach akademii teologicznych

Zbigniew Mentzel*

Pisarz” – ciągle jeszcze nie potrafię tak o sobie mówić ani myśleć. On – chyba nie ma już z tym kłopotu. Pół serio, pół żartem opowiada, jak spotkaną na bezludziu kobietę, którą przestraszyło, że kucnął obok drogi, gryzmołąc w notesie, uspokajał: „Nie jestem wariatem, jestem pisarzem”.

Do tej pory napisał sześć książek. Przyjmowano je na ogół życzliwie. Dostał prestiżową nagrodę, otarł się o parę innych. Pod skrzydłami Wydawnictwa Czarne zdobywa entuzjastów, ale w szerszym kręgu czytających znają go nieliczni. Sam nie zabiega o rozgłos, stroni od medialnej menażerii i vice versa.

Kim jest, kim może być w literaturze polskiej Krzysztof Środa?

Na początek spróbujmy porównać go z Andrzejem Stasiukiem, pisarzem doskonale rozpoznawalnym, lubianym przez oddanych mu czytelników, których liczyć może w dziesiątkach tysięcy. Środa wspomina, że zachwycony jego „Zimą”, krótką książeczką, w której „nie dzieje się nic nadzwyczajnego”, napisał do autora list i dostał odpowiedź – było to początkiem ich zażyłej znajomości.

Duchowe powinowactwa Środy ze Stasiukiem zaznaczają się wyraźnie, widać je i w życiu, i w literaturze.

Obaj budzą zaufanie szczerością w stosunku do samych siebie; nie udają kogoś, kim nie byli i nie są. Obaj – prawie rówieśnicy, dziś po sześćdziesiątce – źle znosili życie wielkomiejskie z jego blichtrzem, pośpiechem, łapczywością. Obaj znaleźli dla siebie azyl na głębokiej pro-

wincji. Stasiuk zamieszkał w Beskidzie Niskim, Środa pomieszkuje w Puszczy Boreckiej.

Obaj wreszcie mają wspólną pasję: podróże – zazwyczaj samotne, samochodem, autobusem, pociągiem, jak najdalej od roju turystów, co obsiada modne kurorty i zabytki polecane w przewodnikach. Ciągnie ich do miejsc, które biura podróży zwykle pomijają w swojej ofercie.

Owszem, Środa, głównie z powodów rodzinnych, jeździ czasem do zachodnich metropolii - Paryża, Nowego Jorku, Chicago, Las Vegas. Ale w swoich książkach opisuje inne strony świata.

„Już dwa razy byłem w biurze podróży Orbisu, aby dowiadywać się o ceny połączeń kolejowych z Ulan Bator, Alma Atą, Tbilisi, Duszanbe”.

„Marzyły mi się – teraz cytuję Stasiuka – jakieś stepy odległe, Mongolia może albo jakaś przełęcz altajska, szerokie i puste niebo, usiane gwiazdami. I ja sam w tej nieskończoności, namiot, trochę wina...”

Byłby więc Środa epigonem – drugim, późniejszym Stasiukiem? Nie. Podobieństwa między nimi nie są większe niż dzielące ich różnice. Choć pełen respektu dla inteligencji Stasiuka i dla bractwa samouków, do którego należy, nie potrafię sobie go wyobrazić przy pracy nad doktoratem z fenomenologii Edmunda Husserla.

A tymczasem Środa taki doktorat napisał, obronił i przez kilka lat pracował w Polskiej Akademii Nauk, zafascynowany filozofem, który „myślał tak szybko, że chcąc nadążyć z robieniem notatek, opanował stenografię, a i tak nie udało mu się oprzeć ludzkiej wiedzy na niewzruszonych podstawach”.

Swoim wykształceniem historyka filozofii doktor Środa wydaje się nieraz zakłopotany, może nawet – zawstydzony. Przypuszczam, że bliska jest mu uwaga Kołakowskiego: „Filozof współczesny, który nigdy nie miał poczu-

cia, że jest szarlatanem, to umysł tak płytki, że dzieła jego nie są pewnie warte czytania”.

W książkach Środy, zwłaszcza najwcześniejszych, filozofia jest jednak wyraźnie obecna. Nie mam tu na myśli wzmianek o Platonie, św. Augustynie czy Wittgensteinie ani mimochodem rzucanych uwag o paradoksach czasu, „inicjacyjnej symbolice przejścia” itp. Myślę o pozornie naiwnych pytaniach, które wynikają ze zdziwienia światem i są fundamentem filozofii.

Środa, zadając takie pytania, zastanawia się, czy w ogóle warto je zadawać. Stasiuk nie robi tego wprost. „Opowiadam historie i doglądam swoich owiec” – mówi, udzielając wywiadów. Namysł nad sensem czy bezsenssem świata pozostawia czytelnikom.

Proza Środy, gatunkowo najbliższa dziennikowi podróży, ma charakter jawnie autobiograficzny. Portret piszącego, jaki się z niej wylania, przypomina lubianego przezeń kolegę ze szkoły:

„Mało wnikliwy obserwator uznałby błąkający się mu po ustach niepewny uśmiech za oznakę nieśmiałości, ale (...) był on przejawem bogatego życia wewnętrznego, które ocierało się o łagodne szaleństwo”.

W swoim życiu Środa zauważa zastanawiające zbiegi okoliczności, które – podobnie jak znaki czy symbole wszechobecne w Naturze i Historii – każą mu myśleć o Tajemnicy, Bogu, Absolucie. Z gruntu niepraktyczna fascynacja zapomnianymi językami i alfabetami, różnorodnością barw i kształtów fauny i flory jest dla niego „zakamuflowaną formą religijności”. Ornitologia, entomologia, ichtiologia to nauki, które chętnie widziałby w programach akademii teologicznych.

W najlepszej chyba książce, jaką napisał, „Projekcie handlu kabardyńskimi końmi”, przyznawał: „Zawsze bli-

scy byli mi filozofowie podejrzewający, że prawda ukryta jest głęboko pod warstwą zjawisk”. Z drugiej jednak strony, poszukując prawdy, zaczął się obawiać, że „ktoś lub coś” chce go uwikłać w daremne i niebezpieczne rozważania nad wzajemną relacją widzialnego i niewidzialnego.

Pokusy postrzegania świata jako tajemnego szyfru, który można złamać, trudno się wyzbyć, jest to pokusa narkotyczna. Środa z lekkim pisze o momentach lub miejscach „numinotycznych”, czyli o niezwykłym doświadczeniu sacrum, jednocześnie zachwycającym, nieodparcie kuszącym i przerażającym. Ten, komu się ono przydarza, dostępuje udziału we wtajemniczeniu, którego natury nie pojmują profani. Czasem płaci za to wysoką cenę.

Co do mnie, mimo wszystko, żałuję, że autor „Niejasnej sytuacji na kontynencie” w kolejnych swoich książkach coraz rzadziej powraca do wielkich metafizyków, zwłaszcza do Platona i Leibniza, przekonanych, że świat obecny w naszym doświadczeniu nie jest rzeczywistością ostateczną. „Muszę bardzo uważać – napomina się – żeby nie zrobić fałszywego kroku i nie przypisać znaczenia rzeczom, które być może zdarzyły się tylko po to, żeby się zdarzyć”.

Z uznaniem myśli o Diogenesie z Synopy i „szlachetnej odmianie obojętności, którą praktykował na swój własny sposób”. (Nawiasem mówiąc, z tym mieszkającym w becze abnegatem – dziś znanym głównie dzięki anegdocie o spotkaniu z Aleksandrem Wielkim, którego poprosił, aby nie zasłaniał mu słońca – mógłby chyba utożsamiać się i Stasiuk).

„Diogenes z Grochowa” – zdarza mi się myśleć o Środzie, który, znów podobnie do Stasiuka, spędzał dzieciństwo na tej prawobrzeżnej, niezbyt bezpiecznej dzielnicy Warszawy. Droga prowadząca tam przez opuszczone ogródki, droga, na której spotykał chuliganów i leżących w trawie pijanych mężczyzn, droga niezliczoną ilość razy przemierzana z domu do szkoły i z powrotem stała się dla niego archetypem wędrowania, „podróżą wszystkich podróży”.

Diogenes, grecki filozof ze szkoły cyników, głoszący ideał życia zgodnego z naturą, według innej, już mniej znanej anegdoty, przechadzał się w biały dzień po mieście z zapaloną latarnią, a ciekawym, dlaczego to robi, wyjaśniał: „Szukam człowieka”. Na podróże Środy można spojrzeć z takiej właśnie perspektywy.

Zastanawia, kim jest dla niego ów człowiek, PRAWDZIWIY człowiek, i dlaczego szuka go zazwyczaj w krajach z pogranicza Europy i Azji. Między pierwszą książką, którą napisał („Niejasna sytuacja na kontynencie”, 2003), a szóstą („Rzeczy zdarzające się w podróży”, 2025) minęło lat z górą 20. Dobrze wiemy, co zdarzyło się w tym czasie na olbrzymim terytorium państw powstałych w wyniku rozpadu Związku Radzieckiego. Dziś, w państwach tych polityk może okazać się terrorystą, biznesmen - gangsterem, wojenny weteran - nawiedzonym prorokiem.

Jak w tym świecie odnajduje się polski pisarz, intelektualista, doktor filozofii, który po upadku komunizmu zakładał agencję reklamową i prywatne wydawnictwo, grał na giełdzie i roił sobie, że majątek przyniosą mu śmiały projekty handlowe: import eukaliptusowego drewna, kabardyńskich koni, żywych cieląt z Libii, dońskich raków albo wody „Nowotierskiej” wydobywanej u stóp Kaukazu...

Tu dygresja: o Kaukazie Środa wiele mógłby się dowiedzieć od człowieka tak zagadkowego, „jak niektóre postacie z książek Johna Le Carré”. Człowiek ten, imieniem Mansur (czyli: „Niezwykły”), był niegdyś po prostu Maciejem. Maciejem Jachimczykiem z Krakowa, studentem księdza Józefa Tischnera, doktorantem w Oksfordzie, teologiem, znakomitym szachistą, jednym z pionierów pojednania polsko-żydowskiego.

Zatrudniony przez londyński bank inwestycyjny, trafił do jego oddziału w stolicy Rosji. Tam, po przejściu na islam, stał się prawą ręką Chodża Achmeda Nuchajewa, założyciela podziemnej organizacji na rzecz niepodległości Czeczenii, a zarazem ojca chrzestnego mafii kontrolującej rynek mieszkań w Moskwie.

O swoim spotkaniu z Mansurem Środa opowiedział w jednej z książek, niestety półgębkiem: „Kiedy już omówiliśmy najważniejsze tematy, skorzystałem z okazji i zapytałem, czy może mi coś poradzić w sprawie wyjazdu do Dagestanu”. Mansur oczywiście mógł, poradził więc Środzie, żeby w ogóle tam nie jechał, bo nieobliczalni wahabici poderzną mu gardło albo zażądają wysokiego okupu za jego życie.



• Krzysztof Środa

Jakie „poważniejsze tematy” omawiali i dlaczego Mansur, Piękny Umysł powołany do najwyższych zadań, zarządzał pieniędzmi człowieka, o którym mówiono, że „własnoręcznie” zabił wierzuszkę najgroźniejszych moskiewskich gangów – tego już dowiedzieć się z książki Środy niepodobna.

Ze swojej ojczyzny nie chce raz po raz wyjeżdżać ten, kto wśród rodaków czuje się o wiele lepiej niż wśród cudzoziemców, i razem z nimi patrzy optymistycznie w przyszłość. Kiedy w Polsce zbankrutował komunizm, Środa obchodził 30. urodziny. Przez następne dwie dekady pozostawał niepewną polską demokrację.

Doświadczeniem, które otworzyło mu na nią oczy, była katastrofa smoleńska. W rozmowie z redaktorem „Wyborczej” przyznał, że wśród ludzi, którzy na Krakowskim Przedmieściu stali nocą w gigantycznej kolejce do dwóch zamkniętych trumien, zobaczył cały przekrój społeczny Polaków. Widział go i później, pod Pałacem Prezydenckim wśród „obrońców krzyża”, który tam postawiono, i wśród „szyderców”, którzy krzyż wraz z jego obrońcami wysmiewali.

Wtedy, w kwietniu 2010 roku, na Krakowskie Przedmieście Środa chodził po kilka razy dziennie. Robił zdjęcia, czytał ulotki – „śmieszne, straszne, dziwaczne”, słuchał rozmów – „bezbieżnie głupich, obrzydliwych, obrzających” – i próbował zrozumieć ludzi przekonanych, że tragiczny wypadek lotniczy był zamachem, a oni, którzy znają prawdę, nigdy już nie będą bezpieczni.

Obcość. Wzajemna obcość. Środa czuł, że „obcy” jest dla nich, oni zaś są „obcy” dla niego. Rozumiałem go doskonale, czując dokładnie to samo.

Jak opisać taką obcość? Jak opowiedzieć tamto szaleństwo? Jaki język nie zakłamie prawdy o Polakach, których ogarnęło?

Zgadzam się ze Środą, że nie może to być język przesmiewczy, język zgrywy, która pozbawia ludzi godności i zamiast być objawem zdrowia społecznego okazuje się symptomem jego choroby. Rzecz znamienita: sceny, jakie po 16 latach nadal oglądamy podczas każdej „miesięcznicy” katastrofy smoleńskiej, są dla Środy „sporo powyżej” groteskowej twórczości Witkacego, Gombrowicza i Mrożka. Jeśli coś mu w sztuce przypomina, to malarstwo Hieronima Boscha, który genialnie pokazał różne odmiany ludzkiego nieszczęścia, potworności, pomieszania zmysłów.

Od takiego oto panoptikum, które podobnie jak Środa oglądałem perwersyjnie, bo wbrew sobie i z poczuciem traconego czasu; od zbiorowej hysterii i moralnego szantażu, że jesteśmy „obok” narodowej wspólnoty z jej martyrologią; ale też od jałowego szyderstwa z ludzi, którzy poczucie swojej wartości odzyskują dzięki urojonym spiskom – od tego wszystkiego chcieliśmy uciekać w bezpieczną normalność, czyli - dokąd?

Środa mimo dobrej znajomości języków, która pozwoliła mu przełożyć kilkanaście książek, nie wyjeżdżał na Zachód, by przynajmniej przez kilka miesięcy pobyc tam z daleka od spraw „śmiesznych, obrzydliwych, bezbieżnie głupich” i powrócić może do dawniejszych filozoficznych pasji, poszukując inspirujących kontaktów na kampusach uniwersyteckich. Nie, autor książki o niejasnej sytuacji na kontynencie woli podróżować na Wschód.

Czy robi to z niejasną intuicją, że tamtejsza cywilizacja mimo wszystko dostarcza nam przewag w konfrontacji ze światem zachodnim i że tylko tam może zdarzyć się jeszcze coś naprawdę ważnego dla przyszłości? Pora więc na kolejną wyprawę.

Diogenes z Grochowa unosi swoją latarnię. Jakich ludzi pod nią tym razem znajdzie? I czy znowu wśród mieszkańców Kazachstanu i Armenii, Rumunii i Egiptu, Maroka i Tunezji poczuje się lepiej niż z większością rodaków w Polsce?

Diogenes według anegdoty przechadzał się w biały dzień po mieście z zapaloną latarnią, a ciekawym, dlaczego to robi, wyjaśniał: „Szukam człowieka”. Tak samo można spojrzeć na podróże Środy

◀ **Diogenes z Synopy na obrazie Jean-Léona Gérôme'a z 1860 r. W swojej skromnej siedzibie – glinianej becze (pithosie) – zapala lampę w dzień**

FOT. WALTERS ART MUSEUM (BALTIMORE/MARYLAND/USA)



***Zbigniew Mentzel**

• Ur. w 1951 r., prozaik, eseista i krytyk. Wydał m.in. powieść „Wszystkie języki świata” (finał Nagrody Nike), dwa tomy rozmów z Leszkiem Kołakowskim „Czas ciekawy, czas niespokojny” i jego biografię „Kołakowski. Czytanie świata” wyróżnioną Nagrodą im. Jana Długosza za najlepszą książkę z zakresu humanistyki w roku 2021.

W galerii postaci, które Środa podczas swych podróży zapamiętał, nie brak oryginałów w rodzaju mężczyzny z dużym lustrem ustawianym przed kogutem, aby atakował własne w nim odbicie, albo kierowcy koparki, która obwozi po okolicy barana z czterema rogami („Unikalny czteryrożyj baran. Snimka 20 rubli”).

Ale największą ciekawość budzą w nim ludzie zwyczajni, niewyróżniający się od innych, spotykani pod sklepem, w restauracji albo na poboczu drogi, gdzie czekają na okazję – tych podwozi swoim samochodem, rozmawiając z nimi po rosyjsku albo w „improvizowanej krzyżówce wielu języków”.

Z dwóch co najmniej powodów ludzie ci są przeciwieństwem tego typu Polaka, który w naszym kraju trudny bywa do zniesienia.

Po pierwsze – niczym Benia Krzyk z opowiadań odeskich Izaaka Babla – mówią mało, ale mówią smacznie, człowiek ma ochotę, aby powiedzieli coś jeszcze.

Po drugie, mają radosną potrzebę życzliwego kontaktu, który szybko może przerodzić się w przyjaźń z nieznanym.

Charakterystyczna scena: „Wszedłem do małego sklepu, żeby spytać o drogę. Mężczyzna, który rozmawiał ze sprzedawcą, wyszedł ze mną na ulicę. Tłumacząc, któregoś powinienem pójść, chwycił moje ramię powyżej łokcia i odwrócił mnie lekko w prawo, żebym spojrzał od razu we właściwym kierunku. Mówił dalej i nie puszczał mojej ręki. Trzymał ją niezbyt mocno, ale też i nie bardzo słabo. I chociaż było jasne, że nie jest to dotyk kobiety, czuć było w nim – nie da się tego powiedzieć inaczej – delikatność. Przyjazną, bezinteresowną, całkowicie nieerotyczną”.

Delikatność... „Ty, Krzysztof, jesteś człowiekiem delikatnym” – mówi Środzie Aslam, jeden z polubionych przez niego Czeczenów. Tak, Środa z pewnością jest człowiekiem delikatnym i zapewne z tego właśnie powodu trudno mu przyjąć do wiadomości, że te same jasne, radosne i łagodne dusze ludzi, z którymi się zaprzyjaźnia, bywają zarazem mroczne, pełne okrucieństwa.

Na filmie, który obejrzał w internecie, a którego, jak twierdzi, „lepiej nie oglądać”, młody Czeczen znanym Środzie przyjacielskim gestem kładzie dłoń na ramieniu rosyjskiego jeńca, opeskają go: „Nie pierzeiwaj!” (Nie przeżywaj. Nie bój się. Nie martw), a potem przeciąga mu nożem po gardle.

O niektórych scenach w swoich książkach Środa mówi, że są „ordynarnie sentymentalne”. Ma świadomość, że granicę między głębokim współczuciem dla ludzkiej niedoli a płytką czułością zdarza mu się przekraczać. W zbrutalizowanym świecie delikatność jest zaletą. W literaturze, która świat ten opisuje – niekoniecznie.

Nie wydaje mi się jednak, że prawdziwym zagrożeniem dla pisarstwa Krzysztofa Środy jest przesadna uczuciowość. Znacznie bardziej zagraża mu sceptycyzm, do którego, jak przyznaje, ma „nadmierną skłonność”.

Kiedy czytam w jego książce: „Nie szukam odpowiedzi na pytania filozoficzne, bo wiem świetnie, że ich nie ma, albo jest ich kilka – zwykle wzajemnie sprzecznych”, wzruszam ramionami. „I skądże to czerpie najwyższą prawomocność ów werdykt, który zabrania nam takich poszukiwań?” – pyta Kołakowski. Jedynie stąd – odpowiada – że cywilizacja nasza, która w znacznym stopniu się ich wyrzekła, odniosła w pewnych dziedzinach ogromne sukcesy; „ale w wielu innych zawiodła z kretesem”.

Sceptycyzm Środy usprawiedliwia minimalizm naszych dążeń i ambicji, pociesza niespełnionych w pracy, miłości, sztuce. Jadąc do Synopy, miasta Diogenesa, pisarz notuje: „Trudno o lepsze miejsce do rozstawiania się z nazbyt szeroko zakrojonymi projektami. Można sobie wyobrazić, że w Synopie każdy akt rezygnacji nie tylko traci znamiona życiowej porażki, ale też od razu nabiera aspektu filozoficznego wyboru z natury rzeczy wolnego od rozterek i żalu”.

Domowym sposobem temperaturę wody można zbadać w miarę precyzyjnie, kiedy ma około 36 stopni. Zanurzając w niej rękę, nie czujemy wtedy ani ciepła, ani zimna, bo woda jest taka, jak nasze ciało – letnia. Twórczość literacka letnią być nie może, jeśli nie ma nas pozbawić żywszym uczuciu.

Sceptycyzm autora książek, sceptycyzm bez granic, najdalej idący, sprawia, że gdy nawet mają one z początku temperaturę wyższą niż przeciętna, zaczynają stygnąć, wtrącając nas w obojętność. Wyobrażając sobie wykres temperatury, jaką ma pisarstwo Środy od pierwszej

do ostatniej jego książki, myślę z niepokojem, czy nie staje się on płaski, właśnie na poziomie owych 36 stopni. Ale myślę też, a nawet jestem tego pewny, że tak stać się nie musi, że czytelnik tego, co jeszcze napisze autor „Srebra ryb”, może dostać silnej gorączki z przejęcia.

Skąd ta pewność? Wyjaśniam. Bez mała 40 lat temu Krzysztof Środa, młody wówczas pracownik Instytutu Socjologii i Filozofii PAN, zaczął pisać powieść zatytułowaną krótko „Goetz”. Początkowy jej fragment, dwa arkusze wydawnicze, ukazał się w dwumiesięczniku „Puls” (nr 50, maj-czerwiec 1991), triumfalnie anonsowany na okładce: „Uwaga na tę powieść!”.

Dzisiaj, oczywiście, mało kto już o tym poza mną pamięta. Fragment, który daje wyobrażenie o całości, przeczytałem ostatnio raz jeszcze i ani przez chwilę nie wątpię, że jest w nim zagadka polskiego „Imienia róży” albo „Kodu Leonarda da Vinci”, może „Tajemnicy tajemnic”. Czynniki takie porównanie, by samemu sobie uzmysłowić literacki (i filmowy!) potencjał utworu. Oczywiście, kiedy Środa zaczął „Goetza”, nie musiał fascynować się dziełem Umberto Eco, książek Dana Browna w ogóle jeszcze wtedy nie było.

Akcja powieści toczy się pod koniec lat 80. ubiegłego stulecia w Paryżu. Komunizm obumiera, ale myśl o nowej idei, która zapanuje nad światem, może znowu gdzieś się narodzić. Tytułowy bohater – Eugène Goetz, z pochodzenia Rosjanin – przez niektórych uważany za oblą-

kanego – pisze traktat rzucający nowe światło na historię cywilizacji. Jest człowiekiem starym i choć wie, że naraża go to na śmieszność, ma poczucie graniczącej z pewnością, że udało mu się odkryć coś o przełomowym znaczeniu dla ludzkości.

Narrator powieści – poznajemy tylko jego nazwisko: Frydler – podobnie jak Środa studiował filozofię w Uniwersytecie Warszawskim, niedawno obronił doktorat. Goetz, którego poznał w bibliotece, pożyczając książkę o Platonie i gnostykach, zaproponował mu pracę: na trzy miesiące ma zostać jego asystentem, tyle czasu jeszcze potrzeba, by ukończyć traktat.

Frydler propozycję przyjmuje. Każdego dnia spędza u Goetza wiele godzin. Porządkuje jego papiery, robi notatki. Goetz ma obsesję na punkcie Platona. Twierdzi, że w jego zaszyfrowanych listach zawarta jest idea nieśmiertelności, którą można wykorzystać dla zdobycia i utrzymania władzy.

Zapewne dlatego Goetzem interesują się tajne służby. Frydler, szantażowany od dawna przez bezpiekę, ma na niego donosić. Trudno mu uwierzyć, że wszystko, co spotyka go w Paryżu, wiąże się z historią sprzed ponad 70 lat.

Rok 1907. Rosja. Petersburg. „Nigdzie indziej i nigdy później nie zdarzyło się chyba, żeby tak wielu idealistów zostało agentami tajnej policji”.

Lew Nikolajewicz Z., zdziwaczały erudyta, uważający się za inkarnację Pitagorasa, zakłada tajne „kółko”. Otaczają go bogate, egzaltowane

kobiety, ekscentryczni studenci, spirytyści, miłośnicy antyku. Z. utrzymuje, że platońska koncepcja duszy, dzięki której zdobyć można polityczną skuteczność i rozległość wpływu, nie zrodziła się w Grecji ani w Egipcie, tylko w Tracji, na terenach obejmujących dzisiejszą Bułgarię, Rumunię, aż po Kaukaz... Tutaj drukowany w „Pulsie” fragment powieści się urywa. Ciąg dalszy do dzisiaj nie nastąpił.

●
Czy autor wróci do swego pomysłu sprzed 40 lat? O ile mi wiadomo, nigdy nie wypowiadał się na ten temat publicznie, skazani więc jesteśmy na domysły. Być może Środa doszedł do wniosku, że młodzieńczy utwór pisał w czasie, kiedy nie bronił się przed „chorobą”, która „każe ludziom poszukiwać wszędzie ukrytych znaków, a odczytaną mądrość szyfrować w jeszcze bardziej zawily sposób”. Teraz sceptycyzm pozwolił mu się na „chorobę” uodpornić. W końcu zresztą, powieść planowana z takim rozmachem, tak wielowątkowa i tak „gęsta”, wymagałaby ciężkiej pracy, której w swym obecnym wieku mógłby nie podolać. Cóż na to odpowiedzieć?

Diogenes z Synopy – czytamy w żywotach słynnych filozofów – namawiany, by na starość więcej odpoczywał, mówił: „Gdybym był zawodnikiem, to czy zbliżając się do mety, miałbym zwolnić kroku, czy raczej jeszcze bardziej przyspieszyć?”. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Marcin Świetlicki*

Kibole bez przydziału

*Kibole bez przydziału
w troszeczkę zużytej
odzieży patriotycznej
niczego nie kochają
i żadnej drużyny
w sercach nie mają
i żadnej ojczyzny
nie szeleszczą im suche
liście pod stopami
kiedy się przechadzają
kibole bez przydziału
i nie mają po co
maszerować
bo nie ma wroga
w zasięgu wzroku
bo już nic nie widać
bo żadnych widoków
i żadnej ojczyzny
wszystko wykradzione
i wszystko sprzedane
a kebaby smakują
jak tzy*

FOT. RAFAŁ MALIKO / AGENCJA WYBORCZA.PL



***Marcin Świetlicki.** Ur. w 1961 r., poeta, prozaik, autor powieści kryminalnych. Wokalista zespołów Świetlicki i Czarne Ciasteczka. Wiersz pochodzi z tomu „Wypisy”, Wydawnictwo a5, Kraków 2026



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414016





Wyjątkowy prezent na Dzień Matki

Roczna prenumerata wysokie obcasy extru

Zamów na: prenumerata24.pl

Polska nauczyła mnie buntu. Francja otworzyła na nowy świat

Stoi przed wami syn niepiśmiennej matki, która nauczyła się pisać i czytać po wojnie. Stoi przed wami syn dwóch ojczyzn, które dały mi to, co miały najlepszego

Andrzej Seweryn

Panie Prezydencie, Panie Premierze, Panie i Panowie Ministrowie, Panie i Panowie Parlamentarzyści, Pani Prezydent [Gdańska Aleksandro Dulkiwicz], Panie Prezydencie [skierowane do nieobecnego ostatecznie na uroczystości Lecha Wałęsy], Panie Administratorze Comédie-Française, mój drogi Clément [Hervieu-Léger], Panie i Panowie, Drodzy Przyjaciele.

Nie zdziwił was moje emocje, tak, jestem wzruszony. Nie zdziwił was moja duma, tak, jestem dumny, że mogę być tutaj, w Gdańsku, w mieście wolności, w Europejskim Centrum Solidarności, wraz z Panem, Panie Prezydencie, i z Panem, Panie Premierze, w dniu przyjaźni francusko-polskiej, w dniu waszego spotkania, tak ważnego dla Francji, dla Polski, a więc dla Europy.

Chciałbym oczywiście z głębi serca podziękować Fundacji Geremka za tę wspaniałą nagrodę, która sprawia, że jestem szczęśliwy, zaszczyca mnie [ona] i przede wszystkim zobowiązuje, aby kontynuować.

(Do tego miejsca przemówienie wygłoszone po francusku).

I teraz po polsku.

Stoi przed wami syn niepiśmiennej matki, która nauczyła się pisać i czytać po wojnie, po powrocie z Niemiec, dokąd razem z moim przyszłym ojcem byli wywiezieni na przymusowe roboty. Stoi przed wami syn dwóch ojczyzn, które dały mi to, co miały najlepszego.

Nie waham się nazwać Polski i Francji ojczyznami, bo ojczyzna to nie jest miejsce urodzenia. Ja urodziłem się w Heilbronn w Niemczech. Ojczyzna to wspólnota, która cię kształtuje, która wpisuje w siebie swoją tradycję, historię i etos, która daje ci bezpieczeństwo i schronienie, kiedy go potrzebujesz, która stwarza warunki, byś się rozwijał, wzrastał, odkrywał swoje możliwości i realizował potrzeby. Masz prawo ją wybrać. Ja wybrałem. Polska dała mi życiowych i zawodowych mistrzów, wskazała źródła, kulturę i historię, które są podwaliną mojej tożsamości.

Nie mogę nie przywołać tutaj moich rodziców z ich kultem pracy, ale i Jacka Kuronia czy Adama Michnika z ich globokim zaangażowaniem w budowę społeczeństwa demokratycznego.

Chcę też przywołać nazwiska wielkich polskich artystów, dzięki którym stoję tutaj, przed państwem. Mego ukochanego dyrektora Teatru Ateneum, jedyne teatru, w którym pracowałem w Polsce, Janusza Warmińskiego. Nie wahał się protestować, kiedy zostałem aresztowany w Warszawie w 1968 roku. Wielkie polskie aktorki jak Halina Mikołajska, Aleksandra Śląska, Antonina Gordon-Górecka czy Zofia Mrozowska. Aktorów takich jak Gustaw Holoubek, Jacek Woszczerowicz, Jan Świderski czy Zbigniew Zapasiewicz. Uczyli mnie oni wszyscy zawodu w czasie wspólnej pracy.

A jak nie wspomnieć o Andrzeju Żuławskim? A przede wszystkim o naszym, moim mistrzu Andrzeju Wajdzie, dzięki któremu znalazłem się w Paryżu w 1980 roku.

Polska nauczyła mnie, czym jest honor i godność. Jakże łatwiej dzięki temu zrozumieć mi świat Corneille'a, dzisiaj, kiedy nad nim pracuję. Nauczono mnie, jak pracować, ale również, jak się buntować. Każde nasze działanie było dla nas aktem politycznym, a jego cele wydawały się głęboko moralne. Nasza sztuka zawsze starała się być sztuką zaangażowaną, walczącą.

Do Francji jechałem w 1980 roku, pełen młodzieńczej energii, wierząc, że wspólnie z Andrzejem Wajdą i jego żoną Krystyną Zachwatowicz, a także z Wojtkiem Pszoniakiem mamy coś interesującego, wartościowego do zaoferowania nowemu światu. Chciałem czerpać z niego, co się tylko dało, i czerpałem.

Francja otworzyła przede mną nowy świat demokracji, niezwykle bogatej kultury, teatru, kina. Dała bezpieczeństwo w najtrudniejszych momentach. Pokazała, że wolnością można się cieszyć, a nie tylko o nią walczyć. Chociaż muszę wyznać, że już przed laty nasza przyjaciółka, wielka reżyserka, twórczyni Théâtre du Soleil Ariane Mnouchkine powiedziała mi kiedyś, że demokracji trzeba bronić każdego dnia w wie-



• **Prezydent Francji Emmanuel Macron i Andrzej Seweryn w czasie uroczystości w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku (20.04.2026)** FOT. MICHAŁ RYŃIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

lu komisariatów we Francji. Po latach okazało się, że w Polsce też.

Francja pozwoliła mi pracować z mistrzami, reżyserami, którym wiele zawdzięczam, takimi jak Claude Régy, dzięki któremu miałem dostęp do najnowszej europejskiej literatury teatralnej, Bernard Sobel, reżyser, dyrektor teatru w Gennevilliers, którego w czasie pierwszego naszego spotkania spytałem, czy nie przeszkadza mu jako komuniści, że jestem polskim katolikiem, i który odpowiedział mi: „Ja jestem demokratą, a poza tym twoja wiara przyda mi się. Ty rozumiesz pojęcie grzechu lepiej niż aktorzy francuscy...” - a przygotowywałem w tym czasie „Le Tartuffe'a” Moliere.

Jak Patrice Chéreau, z którym pracowałem przy „Peer Gynt” Ibsena, jak Antoine Vitez, reżyser, aktor, dyrektor Comédie-Française, który mówił mi, że choć nie jest wierzący, zna Biblię, ponieważ żyje w świecie, który z niej się również wywodzi.

Jak Jean-Pierre Vincent, który uzasadniał moim polskim doświadczeniem politycznym obsadzenie mnie w tytułowej roli w sztuce Gérarda de Nerval „Léo Burckart”. Jak Peter Brook, który zetknął mnie z wieloma kulturami, religiami całego świata i nauczył pokory. Jak reżyser Jacques Rosner, znający znakomicie polską literaturę, z którym zrealizowałem „Ślub” Witolda Gombrowicza w Comédie-Française, wprowadzając go do jej repertuaru.

Jak wreszcie mój ukochany Jacques Lassalle, dyrektor Comédie-Française, który znalazł polskie kino jak mało kto, a który obsadzając mnie w roli Don Juana w sztuce Moliere, otworzył nowy, 20-letni etap mojego życia, a który zresztą później, po latach, wyreżyserował u nas w Teatrze Polskim w Warszawie „Szkołę żon” i „Króla Leara”.

Los pozwolił mi pracować z wielkimi aktorami francuskimi, jak Maria Casares, Roland Bertin, Catherine Hiegel, Michał Piccoli czy Christine Fersen. Ileż ja się od nich wszystkich nauczyłem! W Comédie-Française wyreżyserowałem lekturę „Dziadów” Adama Mickiewicza, jednego z najważniejszych tekstów polskiej literatury.

Nigdy nie zapomnę słów Jean-Claude'a Carrière'a, scenarzysty Buñuela, Brooka czy Wajdy: „Jeśli chcemy zbudować Unię Europejską, europejską rodzinę, musimy się lepiej poznać”. Przez lata starałem się realizować ten apel we Francji, ale i w Polsce. W Comédie-Française zaprezentowałem także poezję Szymborskiej i Miłosza. Było to możliwe nie tylko dzięki zainteresowaniu ludzi kultury, ale i widzów. I tak dzieje się też w Polsce. Polski widz interesuje się kulturą francuską. Pragnę to podkreślić z całą mocą.

Jeszcze słowo o kinie francuskim. Ono też mnie przyjęło. Zabawne, że dwóch Robespierre'ów w dwóch ważnych filmach o rewolucji francuskiej grają polscy aktorzy: Wojtek

**Masz prawo wybrać Ojczyznę. Ja wybrałem.
Polska dała mi życiowych i zawodowych
mistrzów, wskazała źródła, kulturę
i historię. Z nich wyrosłem**

Pszoniak w „Dantonie” Andrzeja Wajdy i ja w „La Révolution française”, wyreżyserowanym przez Roberta Enrico i Richarda T. Heffrona.

Polska kultura teatralna pełna jest rewolucji francuskiej. Stanisława Przybyszewska, komunistka, zakochana w Robespierre, napisała „Sprawę Dantona”, na której jest oparty scenariusz filmu Wajdy, ale i „Thermidora”, wielką debatę między Robespierre'em i Saint-Justem w czasie obrad Komitetu Ocalenia Publicznego. Saint-Justa miałem zaszczyt grać przed laty w Teatrze Ateneum.

Nigdy nie czułem się we Francji obcym, wykluczonym. Przez siedem lat byłem profesorem sztuki aktorskiej w paryskiej szkole teatralnej Conservatoire de Paris. Moi uczniowie pracują dziś w Comédie-Française. Kiedy po 33 latach wróciłem do kraju, było dla mnie naturalne, aby teatr francuski był obecny w repertuarze Teatru Polskiego, którego dyrektorem byłem w 2011 roku.

Zaczęliśmy od „Końcówki” Becketta napisanej w języku francuskim, a potem był „Cyd” Corneille'a wyreżyserowany przez Ivana Alexandre, „Zwiastowanie” Paula Claudela w reżyserii Lembita Petersona czy „Szkoła żon”, o której już wspominałem.

Prezentowaliśmy teksty Natalii Sarraute. Marivaux jest na afiszu naszego teatru. Komedia Francuska odwiedzi nas w 2027 roku. Za kilka dni odbędzie się premiera „Horacjusza” Corneille'a w mojej reżyserii w tłumaczeniu Jerzego Radziwiłowicza [odbyła się 24 kwietnia]. Daję głos temu wspaniałemu poecie teatru, aby mówił nam o świecie wojny, o relacji władzy z jednostką, o zniszczeniu człowieka przez system polityczny, aby nas ostrzegał. Posłuchajcie.

Horacjusz ratuje Rzym, pokonując jego przeciwników. Niestety, chwilę później morduje swoją siostrę Kamilę, dlatego że ta przeklina Rzym. Prawo rzymskie każe śmiercią taką zbrodnię. Król wydaje wyrok na Horacjusza. Oto, co mówi (tekst wygłoszony po francusku):

*„I naturę obraża ten czyn popełniony
Prawie przy nas, i bogów. I że był przywiedziony
Do tej zbrodni szlachetnym serca poruszeniem,
Nie jest dla niego żadnym usprawiedliwieniem.
Tak mówią nasze prawa i najmniej surowe;
Jeśli mamy ich słuchać, powinniśmy dać głowę.
Jest winny strasznej zbrodni, lecz tej samej broni,
Którą jej dokonano, i tej samej dłoni
Zawdzięczam panowanie nad dwoma państwami.
To, że od dzisiaj Alby jesteśmy panami,
Dwa berła w moim ręku, moje dwie korony,
Wszystko żąda, by został on ulaskawiony.
Gdyby nie on wasalem był, bym cześć oddawał
Temu, któremu teraz ja dyktuję prawa.
Wielu dobrych poddanych do bogów kieruje
Modły za swoich władców, wielu ich miłuje;
Takich, którym by państwo tyle zawdzięczało,
Którzy takim dla niego są wsparciem, jest mało.
Bo niewiele takimi niebo obdarzyło
Przymiotami, by mogli korony być siłą
I podporą. I tacy ponad prawem stoją;
Niech zatem milczą prawa. Rzym niech przeszłość swoją
Wspomni i Romulusa: jak od urodzenia
Dźwiga na sobie ciężar tamtego brzemienia,
Niech i z tym się upora; ten, kto nowe życie
Dał mu, zasłużył na to tak jak założyciel.
Żyj zatem, Horacjuszu, żyj, by służyć Państwu”.*

Kiedyś, kilkadziesiąt lat temu, Jan Kott napisał książkę pod tytułem „Szekspir współczesny”. Mam ochotę powiedzieć: „Corneille współczesny”. Spotkanie naszych kultur jest dowodem bogactwa kultury europejskiej.

Niech żyje Polska! Niech żyje Francja! Niech żyje demokracja! Niech żyje wspólna Europa! ●

Przemówienie wygłoszone przez Andrzeja Seweryna 20 kwietnia 2026 roku w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku podczas uroczystości wręczenia mu nagrody przyjaźni francusko-polskiej im. Bronisława Geremka. Otrzymał ją z rąk prezydenta Emmanuela Macrona i premiera Donalda Tuska. Tytuł – „Wyborcza”.

• Hawana, początek 1959 roku, tłum fetuje obalenie dyktatury Fulgencio Batisty i czeka na przybycie do stolicy przywódcy rebelii Fidela Castro

FOT. LEE LOCKWOOD/GETTY IMAGES



Kuba

MIĘDZY MOCARSTWAMI

Po kryzysie rakietowym w 1962 roku Fidel Castro, choć nie mówił o tym publicznie, nieodwracalnie stracił zaufanie do Związku Radzieckiego jako sojusznika.

Zbigniew Marcin Kowalewski, Adrianna Nowak

Co może zrobić państwo w obliczu przynajmniej silniejszego mocarstwa, chcącego je podbić lub utrzymać nad nim dominację? Często musi zwrócić się o pomoc do innego, wrogiego tamtemu czy rywalizującego z nim mocarstwa lub zgola szukać schronienia pod jego parasolem. Często ryzykuje przy tym, że wpadnie z deszczu pod rynnę. Po drugiej wojnie światowej, do około 1990 roku, ryzyko było tym większe, że świat postrzegano jako dwubiegunowy, choć coraz więcej krajów zrywało się z orbit obu supermocarstw.

Ryzyko takie stało się udziałem Kuby, kiedy w wyniku castrystowskiej rewolucji wyłamała się z amerykańskiej strefy wpływów. W obliczu oblężenia ze strony wrogiego supermocarstwa rewolucja szukała desperacko i znalazła sojusznika w Związku Radzieckim. Szybko okazało się, że sojusz ten grozi utratą niezależności. O zachowanie jej Fidel Castro będzie walczył przez z górą 10 lat, balansując nieraz na granicy zerwania sojuszu.

„KOLONIA W REPUBLICIE”

Rewolucja była prawdziwa, jak jugosłowiańska, chińska czy wietnamska. A co więcej, w odróżnieniu od tamtych na Kubie nie „zrobili” jej komuniści, więc już z samej natury stawiała sowietyzacji silny opór. Nawet wtedy, gdy jej przywódcy postanowili sprzymierzyć się z miejscowymi komunistami, a nawet sami stać się komunistami, ale „nowymi”. Tylko sęk w tym, że „starzy”, z którymi sojusz „nowych” był tak nieunikniony jak sojusz tej rewolucji z ZSRR, trzymali z Sowietami, a to zamysł zachowania niezależności od międzynarodowego sojusznika podrywało od wewnątrz. Walka o nią musiała toczyć się zatem na dwóch powiązanych ze sobą frontach – zewnętrznym i wewnętrznym.

Zwycięska w styczniu 1959 roku rewolucja dokonała się w kraju, który pół wieku wcześniej uzyskał, co prawda w wyniku wojny wyzwoleniczej, niepodległość od Hiszpanii, ale popadł w głęboką zależność od Stanów Zjednoczonych. Amerykańska armia w tej wojnie interweniowała tak, aby na świecie przejąć po tym starym i upadającym mocarstwie niemal całą schedę kolonialną, w tym Kubę. Nawet po uchyleniu w 1934 roku tzw. poprawki Platt, która wiązała Kubę ręce i nogi i była ona – jak o takich państwach mówił XIX-wieczny kubański poeta i przywódca niepodległościowy José Martí – „kolonią w republice”. Kolonią tak bardzo, jak mało która republika w Ameryce Łacińskiej.

Rewolucja, która zaczęła się od walki z dyktaturą Batisty, szybko przekształciła się w konfrontację z interesami Stanów Zjednoczonych – ekonomicznymi i również politycznymi. Po dwóch latach wojny partyzanckiej Armia Powstańcza Fidela Castro zmusiła wojska rządowe do kapitulacji i zdobyła władzę, a rewolucja bardzo szybko zderzyła się z „kolonią w republice” i kolonię zmiołła. Ponieważ zaś „kolonią w republice” były przede wszystkim kapitały amerykańskie w gospodarce, rugując kolonię, obaliła szerokimi nacjonalizacjami sam kapitalizm. Rewolucja uczyniła to zupełnie już kilka miesięcy przed drugą rocznicą swojego zwycięstwa.

TRZEBA ZAŁATWIĆ TYCH PUCZYSTÓW!

Kim byli ci, którzy na przełomie 1956 i 1957 roku wznieśli wojnę partyzancką? Ernesto Che Guevara, pytany o to w obozie partyzanckim przez argentyńskiego dziennikarza Jorge Masetiego, wyjaśnił: „Politycznie można by uznać Fidela i jego ruch za »rewolucyjno-nacjonalistyczny«. Słusznie, z tym że to nie był nacjonalizm, tylko kubański, lecz również latynoamerykański, podobny do ówczesnego panarabskiego. »Ojczyzną jest Ameryka«, ta »nasza Ameryka«, jak nazywał ją Martí – Łacińska, a oni byli martianos: uważali się za ideowych spadkobierców tego bohatera wojny o niepodległość.

Czy mieli wtedy coś wspólnego z komunistami z Partii Ludowo-Socjalistycznej (PSP)? Najpierw nic. Kiedy 26 lipca 1953 roku Castro po raz pierwszy usiłował wzniecić powstanie przeciwko swojemu zainstalowanej dyktaturze Batisty, atakując ze swoimi ludźmi koszary w Santiago, partia komunistyczna ostro napiętnowała to jako „puczystowską awanturę”. To była wtedy kość niezgody – większa niż wszelkie inne rozbieżności ideowo-polityczne. Hasło z Moskwy skierowane do partii komunistycznych było jasne: pokojowa droga do



Zbigniew Marciniak Kowalewski bada ruchy rewolucyjne, w latach 1975-79 pracował na Kubie, wydał m.in. książki: „Guerrilla latynoamerykańska”, „Rap. Między Malcolmem X a subkulturą gangową. Naród Islamu w czarnej Ameryce”, „Ukraińskie rewolucje”, „To nie jest kraj dla wolnych ludzi. Sprawa polska w rewolucji haityńskiej”

sojalizmu... którą, ironizowali castrysty, podąża się *ad calendas Graecas*, tj. w polskiej łacinie kuchennej ad mortem usantium.

O tym, jak wielką kością niezgody z komunistami był etos insurekcyjny rewolucyjnych nacjonalistów i jakie nieraz miewała ona skutki, świadczy taki fakt. 13 marca 1957 roku, gdy w Sierra Maestra toczyła się już wojna partyzancka, 46 bojowców Dyktatoratu Rewolucyjnego, założonego przez przywódcę związku studentów José Antonio Echevarrię, wdarło się z nim na czele do pałacu prezydenckiego, aby zabić Batistę. Prawie wszyscy zginęli na miejscu. Czterech przeżyło i się ukryło, ale w wyniku donosu wykryła ich i zamordowała policja.

Siedem lat później okazało się, że wydał ich kolega z uniwersytetu, komunista, który na polecenie swojej partii infiltrował Dyktariat. Wyzna przed sądem, że uczynił tak z powodów ideologicznych, a konkretnie z powodu wrogości jego partii do takich – puczystowskich w jej oczach – metod walki.

REWOLUCJONIŚCI RÓWNINNI I GÓRSCY

„Równinny”, tj. podziemne miejskie skrzydło Ruchu 26 Lipca odnosiło się do komunistów bardzo nieufnie. Wielu działaczy tego ruchu głosiło, że ZSRR to

Komentując kryzys rakietowy z 1962 roku, Castro stwierdził: „Możliwość wycofania rakiet przez Związek Radziecki w ogóle nie przyszła nam do głowy”



Adrianna Nowak, filozofka i historyczka, jej praca magisterska na UJ dotyczy roli kobiet na Kubie z perspektywy feminizmu dekolonialnego. Pisała o Kubie w edycji polskiej „Le Monde diplomatique” i w „Gromadach”

mocarstwo imperialistyczne, podobnie jak USA. Inni, na przykład Armando Hart i syn imigrantów polsko-żydowskich Enrique Oltuski, na dodatek czytali z aprobatą pisma Trockiego o „zwyrodnieniu” państwa radzieckiego i w ogóle o stalinizmie w ruchu komunistycznym. Przy tym kierownikiem Krajowego Frontu Robotniczego Ruchu 26 Lipca był działacz trockistowski, kolejarz Nícor Torres. W Ruch 26 Lipca działali też dawni trockiści, którzy kiedyś dołączyli do rewolucyjnych nacjonalistów, zachowując jednak dotychczasowe poglądy polityczne.

W ostatnich miesiącach 1958 roku, kiedy Armia Powstańcza przeszła do ofensywy, komuniści zaczęli z nią współdziałać. Byli potencjalnie ważnym sojusznikiem, gdyż Ruch 26 Lipca nie miał takiej jak oni bazy społecznej w ruchu robotniczym. W „górskim”, tj. partyzanckim, skrzydle Ruchu 26 Lipca, w najbliższym otoczeniu Castro, dwóch spośród trzech pozostałych głównych komendantów – Raúl Castro, młodszy brat Fidela, oraz Guevara – reprezentowało poglądy prokomunistyczne i proradzieckie. Raúl należał wcześniej do młodzieżówki komunistycznej, a w Meksyku, kiedy Fidel organizował tam desant powstańczy na Kubę, to on zwerbował Argentyńczyka, kiedy okazało się, że ten podziela jego proradziecką orientację. Dążąc do tego, aby rewolucja stała się socjalistyczna, uważali, że bez komunistów ona się nie obejdzie, więc aby ich wciągnąć, obaj, jeszcze w partyzantce, wstąpili nawet do PSP, ukrywając to przed Fidelem.

Z powodu swoich poglądów Guevara miał wtedy zatargi polityczne z przywódcami „równinnego” skrzydła ruchu. Po roku walki zbrojnej w Sierra Maestra pisał do René Ramosa Latoura, krajowego szefa Akcji i Sabotażu Ruchu 26 Lipca: „Z racji swojego doświadczenia ideologicznego należę do tych, którzy uważają, że rozwiązanie problemów tego świata leży za tzw. żelazną kurtyną, natomiast ruch ten traktuję jako jeden z wielu wywołanych pragnieniem burżuazji, by zerwać kajdany gospodarce imperializmu. Zawsze uważałem Fidela za autentycznego przywódcę lewego skrzydła burżuazji, choć niezwykle zalety osobiste wynoszą go bardzo wysoko ponad własną klasę. Z takim nastawieniem zacząłem walkę, szcze-

rze mówiąc, bez nadziei na to, że wyjdziemy poza ramy wyzwolenia kraju i gotów odejść, gdy w fazie późniejszej warunki walki sprawią, że w całym swoim działaniu ruch skręci na prawo”.

Ramos Latour odpowiedział: „Chcemy silnej Ameryki [Łacińskiej], która byłaby panią swojego losu, Ameryki, która wzniosła stawi czoło Stanom Zjednoczonym, Rosji, Chinom lub jakimkolwiek mocarstwu, starającemu się zamachnąć na jej niezależność ekonomiczną i polityczną. Natomiast ci, którzy mają twoje przygotowanie ideowe, uważają, że podłanie naszym bolączkom polega na wyzwoleniu nas spod szkodliwego panowania »Jankesów« poprzez ustanowienie niemniej szkodliwego panowania »Sowietów«”.

ZA PLECAMI FIDELE

Wkrótce kierownictwo Ruchu 26 Lipca przeszło z rąk podziemia miejskiego, do którego Guevara odnosił się nieufnie, przekonany, że reprezentuje prawe, burżuazyjne skrzydło ruchu, w ręce dowództwa Armii Powstańczej. Ta zaś, zapewniał, „jest już pod względem ideowym proletariacka”, choć nigdy nie wyjaśnił, jak stała się taką, operując w Sierra Maestra, poza mglistym

stwierdzeniem, że był to wynik „procesu proletaryzacji naszej myśli, rewolucji dokonującej się w naszych nawykach i umysłach”.

Po zwycięstwie Fidela, zdając sobie sprawę z tego, że Guevara działa wraz z Raúl'em za jego plecami i że obaj obsadzają komunistami wiele stanowisk w aparacie władzy, faktycznie odsunął na jakiś czas Guevarę, posyłając go, jako przedstawiciela nowych władz Kuby, w długą podróż do państw Trzeciego Świata i do Jugosławii.

W końcu października 1960 roku, kiedy na Kubie obalenie kapitalizmu osiągnęło punkt bezpowrotny nie tylko z pełnym poparciem, ale wręcz pod przewodnictwem samego Castro, wydawało się, że on i Guevara oraz Raúl idą już zgodnie z tą samą drogą. Było to złudzenie, o czym wiadomo dziś, po otwarciu archiwów poradzieckich. Guevara, wtedy prezes banku centralnego, przybył w misji handlowo-gospodarczej do Moskwy, gdzie w towarzystwie sekretarza Biura Wykonawczego PSP, Anibala Escalante i Manuela Lusarda spotkał się z dygnitarzami KPZR – Susłowem, Kosyginem, Mikojanem i Ponomariowem. W oficjalnym radzieckim zapisie tych rozmów czytamy rzecz wcześniej w oczach historiografii rewolucji kubańskiej i biografów Guevary niewyobrażalną:

„Tow. Escalante prosi stronę radziecką, aby wzięła pod uwagę to, że może negocjować z tow. E. Guevarą poza prerogatywami misji handlowo-gospodarczej, ponieważ ostatnio tow. Guevarę wraz z tow. Raúl'em Castro awansowano do kierownictwa PSP, choć wie o tym bardzo niewielkie grono osób i jest to utrzymywane w tajemnicy przed Fidelem Castro”. I dalej: „Choć ten ostatni nie wie, że jego brat Raúl i Guevara są komunistami, bardzo dobrze wie, że pracują w ścisłym kontakcie z partią, a nawet żartuje nieraz, że są przedstawicielami PSP w rządzie rewolucyjnym”.

W tym samym czasie ambasador radziecki w Hawanie informował z niepokojem Kreml, że w stosunkach z Guevarą mocno iskrzy, gdyż gwałtownie krytykuje on latynoamerykańskie partie komunistyczne – twierdzi, że „nie wykorzystują sytuacji rewolucyjnej, zachowują się jak tchórze, nie idą w góry i nie wszczynają otwartej walki”, zbrojnej, rzecz jasna, na modłę kubańską.

MOSKWA PATRZY KRZYWO

W kwietniu 1961 roku Castro formalnie uświęcił obalenie kapitalizmu, proklamując socjalistyczny charakter rewolucji. Uczynił to dosłownie w przededniu desantu na plaży Girón wspieranej przez Stany Zjednoczone zbrojnej brygady uchodźców kubańskich, która miała iść na Hawanę. Po wylądowaniu poza plażę wyjść nie zdołała, gdyż najpierw zatrzymały ją na niej milicje robotnicze, studenckie i chłopskie, a następnie rozbiła nadal mała Armia Powstańcza. Zanim do tego doszło, obłożona i zdesperowana rewolucja zwróciła się do jedyne liczącego się realnie sojusznika, którego mogła znaleźć – Związku Radzieckiego. Drugie światowe supermocarstwo leżało bardzo daleko, na innej półkuli, więc Castro myślał, że uda mu się zawrzeć sojusz, zachowując niezależność – nie stając się satelitą, nie ulegając asymilacji strukturalnej, innymi słowy: sowietyzacji.

W prasie moskiewskiej z jednej strony sugerowano, że swoje zwycięstwo na plaży Girón Kuba częściowo zawdzięcza Sowietaom, a z drugiej pomijano deklarację socjalistycznego charakteru rewolucji, gdyż spotkała się ona na Kremlu z wyraźnie negatywną reakcją. Kuba śmiała uznać się za równą Sowietaom! Zgodnie z radzieckim kanonem nie mogło być nie tylko rewolucji socjalistycznej, ale nawet „ludowo-demokratycznej” tam, gdzie nie przewodziła jej niepodzielnie partia komunistyczna uznana w Moskwie za „swoją”. Tak jak naserowska w Egipcie, rewolucja castrowska zasługiwała w oczach radzieckich jedynie na najniższe w hierarchii miano „rewolucji narodowo-demokratycznej”. Ale przecież kubańska obaliła kapitalizm, rozumował Castro. W Moskwie nie to się liczyło. Znamienne, że kiedy był komendant partyzancki Faure Chomón, będąc ambasadorem Kuby w ZSRR, rzekł publicznie: „my, komuniści”, wywołało to tam oburzenie.

CASTRO ROBI PORZĄDEK

Latem 1961 roku z Ruchu 26 Lipca, Dyrektoriatu Rewolucyjnego 13 Marca i Partii Ludowo-Socjalistycznej Castro utworzył Połączone Organizacje Rewolucyjne (ORI) w perspektywie budowy jednolitej partii. A w końcu roku, starając się zaprowadzić w tym „nieładzie” nieco porządku zgodnie z obowiązującymi w świecie komunistycznym standardami, ogłosił, że jest marksistą-leninistą. Integracja organizacyjna i standaryzacja ideologiczna szybko zaowocowały potężnym kryzysem. Pod wodzą wspomnianego Anibala Escalante komuniści natychmiast wykorzystali swoje doświadczenie w budowie aparatów partyjnych, aby opanować aparaty ORI, za ich pośrednictwem obsadzić swoimi ludźmi instytucje państwowe, wyrugować tych, którzy rewolucję zrobili, i przygotować się do przejęcia władzy. Jeśli rewolucja jest socjalistyczna, a przecież sam Castro to ogłosił, to władza należy się teraz komunistom, natomiast jemu powinna przyspaść rola Kiereńskiego.

Oltuski będzie wspominał: „W obecności Che pewien ekstremista zaatakował Ruch 26 Lipca. Po dwukrotnym zastanowieniu się odważyłem się odpowiedzieć mu: to prawda, że nie znaleźliśmy się zupełnie na marksizmie i nie należeliśmy do partii, ale może właśnie dlatego obaliliśmy Batistę. Che przyznał mi rację”.

Teraz iskrzyło już bardzo nie tylko między Guewarą a partiami komunistycznymi w Ameryce Łacińskiej, ale również między nim a komunistami kubańskimi.

ORI istniały niespełna osiem miesięcy. W marcu 1962 roku Castro, nie atakując komunistów jako takich, ogłosił, że ORI opanowało „sekcjarstwo” pod wodzą Escalante, rozpędził dopiero co zbudowane aparaty, wymusił odwołanie ambasadora radzieckiego, którego uznał za współnika czy inspiratora „sekcjarstwa”, i zarządził budowę nowej Zjednoczonej Partii Rewolucji Socjalistycznej (PURSC). Jej kierownictwo obsadził swoimi ludźmi wywodzącymi się z partyzantki i z podziemia oraz dobranymi, uznanyymi za lojalnych komunistami. Escalantego zesłał do Moskwy.

Jeszcze tego samego roku zatarg Castro i byłych partyzantów z własnymi komunistami rozszerzył się gwałtownie na stosunki z samym strategicznym sojusznikiem. Stało się to podczas kryzysu różnie zwanego: październikowym, raketowym czy karaibskim.

RAKIETY NA KUBIE

Kryzys z 1962 roku miał swoje początki już osiemnaście miesięcy wcześniej, po klęsce brygady kontrrewolucyj-

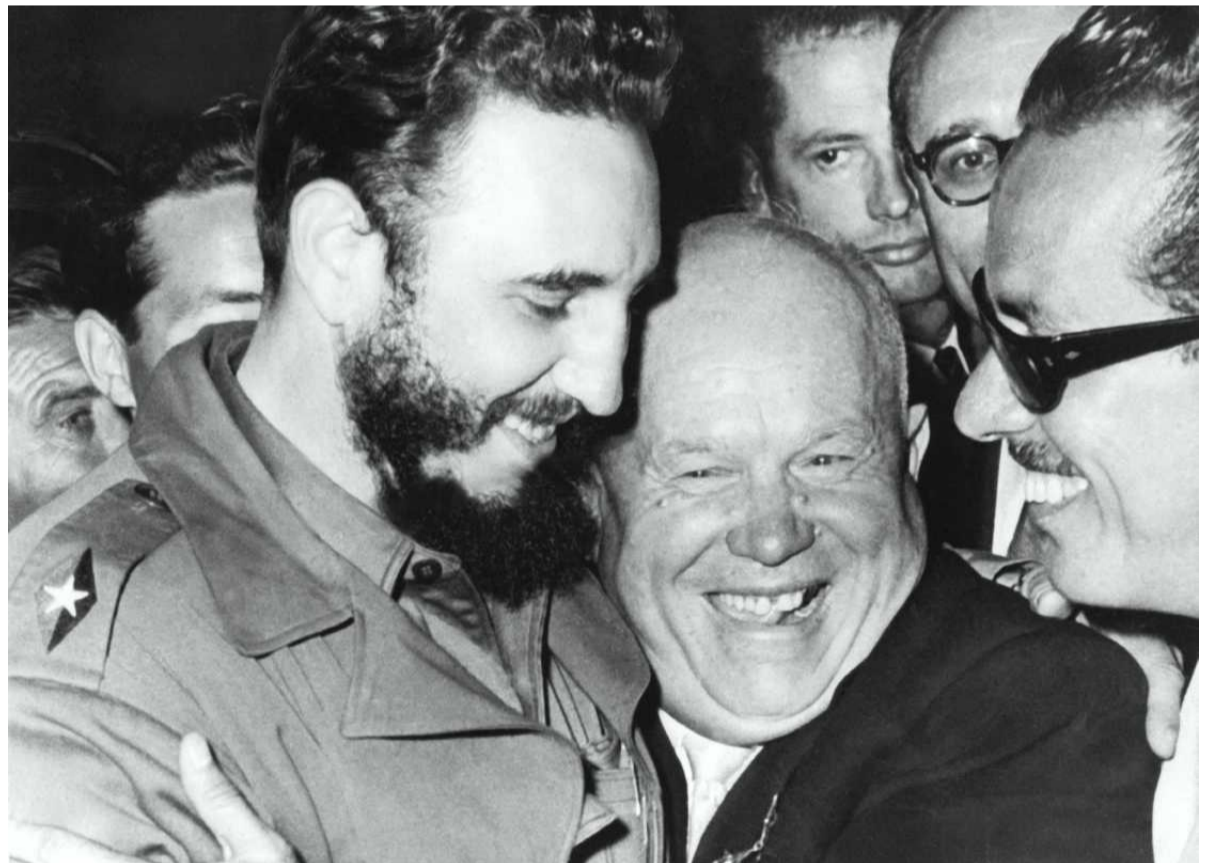


▲ Fidel Castro przemawia do tłumu w Santiago de Cuba w czerwcu 1964 roku. Na dole z lewej w czarnym berecie Ernesto Che Guevara

FOT. JUNG/ULLSTEIN
BILD/GETTY IMAGES

► Radosne powitanie przywódcy Związku Radzieckiego Nikity Chruszczowa i Fidela Castro, wówczas premiera Kuby, w siedzibie ONZ w Nowym Jorku 20 września 1960 roku

FOT. UNDERWOOD ARCHIVES/GETTY IMAGES



nej na plaży Girón. Paradoksalnie bowiem odniesione tam zwycięstwo zwiększyło po stronie kubańskiej poczucie zagrożenia, tym razem już bezpośrednią interwencją wojskową Stanów Zjednoczonych. Administrację Kennedy'ego uważano w Hawanie za otwarcie wroga rewolucji. Sojusz ze Związkiem Radzieckim uznano za jedyną realną gwarancję bezpieczeństwa, co w Moskwie wykorzystano do niezwykle posunięcia: Kubie zaproponowano rozmieszczenie na wyspie radzieckiej broni jądrowej.

Dziś wiadomo, że nie była to inicjatywa kubańska, lecz wynik geopolitycznych kalkulacji strategicznych Moskwy na polu supermocarstwowej rywalizacji. Kubańczycy zgodzili się, ale postulowali, aby uczyniono to jawnie, gdyż uważali, że tak będzie bezpieczniej. Nikita Chruszczow przeforsował jednak przeprowadzenie takiej operacji w ścisłej tajemnicy. Strona kubańska miała rację – kiedy wyszła ona na jaw, świat stanął na krawędzi wojny jądrowej.

Kennedy otrzymał niepodważalne dowody rozmieszczenia na Kubie radzieckich rakiet – wbrew wcześniejszym wielokrotnym zaprzeczeniom Moskwy. Teraz

więc Chruszczow utrzymywał, że mają one wyłącznie charakter obronny, apelując przy tym do Amerykanów o powściągliwość. Wywiad amerykański miał jednak słabe rozeznanie, o czym ówczesny sekretarz obrony Robert McNamara dowiódł się dopiero trzydzieści lat później w Hawanie, na zorganizowanej przez Castro konferencji poświęconej temu kryzysowi. Amerykanie myśleli, że głowice nuklearne dopiero płyną na Kubę, a one w liczbie 162 były już na miejscu zainstalowane wraz z 42 tysiącami żołnierzy radzieckich. Nie mając o tym pojęcia, zamierzali zaatakować Kubę.

W szczytowej fazie kryzysu Chruszczow zaproponował rozwiązanie: wycofanie rakiet w zamian za gwarancję nieagresji dla Kuby oraz wycofanie amerykańskich rakiet z Turcji. Negocjacje prowadzono bez udziału Castro, nie tylko pozostawiając go poza procesem decyzyjnym i sprowadzając kryzys do dwustronnego konfliktu między supermocarstwami, ale w ogóle nie informując go, że negocjacje się toczą. Postulaty Castro, aby kryzys rozwiązać, uzyskując od Amerykanów gwarancje zniesienia blokady Kuby, zaprzestania wobec niej działań sabotażowych i wojskowych oraz likwidacji amerykań-

skiej bazy wojskowej w Guantanamo zignorowano. Co więcej, doszedłszy do porozumienia z Kennedym, Chruszczow zarządził wycofanie rakiet i wojska z Kuby, również nie uzgadniając tego z Castro ani o tym go nie zawiadamiając. Kubańscy zobaczyli nagle, że Sowietci demontują wyrzutnie i opuszczają wyspę, co było dla nich szokiem.

Komentując wydarzenia październikowe 1962 roku kilka lat później, Castro stwierdził, „możliwość wycofania rakiet przez Związek Radziecki w ogóle nie przyszła nam do głowy”, a po kryzysie rewolucja kubańska „stała w obliczu sojusznika w stanie pełnej rejterady i niemal czegoś więcej niż rejterady – w stanie pełnej ucieczki”, przez co jej bezpieczeństwo wydawało się jeszcze bardziej niebezpieczne niż przed jego wybuchem. Choć nie mówił o tym publicznie, dziś wiadomo, że nieodwracalnie stracił zaufanie do Związku Radzieckiego jako sojusznika.

OSTRZEŻENIE DLA STARYCH KOMUNISTÓW

W Czechosłowacji kubańskie służby specjalne aresztowały studiującego tam Marcosa Rodrigueza, który w 1957 roku wydał w ręce baskowskiej policji czterech bojowców, uczestników ataku na pałac prezydencki. Chomón, były przywódca Dyrektoriatu Rewolucyjnego 13 Marca, ujawnił, że po ich wydaniu Rodrigueza, który wyjechał do Meksyku, chroniła przebywająca tam para wysoko postawionych w starej partii działaczy komunistycznych, a teraz jeszcze wyżej postawionych dygnitarzy. Oskarżył tę parę, że wiedziała, iż to Rodriguez wskazał kryjówkę bojowców.

Ta małżeńska para to faktyczna ministra kultury Edith García Buchaca i pierwszy wiceminister sił zbrojnych Joaquín Ordoqui. Castro wystąpił na procesie sądowym Rodrigueza, starając się stawić czoło groźbie przyływu w społeczeństwie w związku z tą sprawą fali wrogości do starych komunistów.

Zarazem sprawę wykorzystał, aby Garcíę i Ordoquiego usunąć ze stanowisk oraz aby zatamować napływ komunistów do aparatów władzy i sprowadzić ich obecność w tych aparatach do bezpiecznych rozmiarów.

Na podstawie dobrze spreparowanych przez amerykańskie służby specjalne donosów do służb kubańskich, Ordoquiego podejrzewano o współpracę z CIA, ale Castro miał mu ponadto za złe, że podczas kryzysu rakietowego trzymał politycznie nie z nim, lecz z Chruszczowem. Uznał go, prawdopodobnie słusznie, za najważniejszego i najgroźniejszego człowieka Moskwy w Hawanie. Pod zarzutem, że jest czy był kiedyś agentem CIA, chciał postawić go przed sądem, ale pod silną presją radziecką z tego zrezygnował. Kazał umieścić go jednak wraz z żoną w areszcie domowym, w którym Ordoqui umrze dziewięć lat po procesie Rodrigueza. Rozprawa z Ordoquim, a przy okazji z Garcíą, była bardzo poważnym ostrzeżeniem dla tych wszystkich wśród starych komunistów, którzy nie porzucili myśli o tym, że prędzej czy później Castro podzieli jednak los Kiereńskiego, a oni odegrają rolę bolszewików.

TOWARZYSZ CHE KRYTYKUJE SOWIETÓW

Guevara zerwał już ze swoją dawną orientacją proradziecką – nie tylko dlatego, że ZSRR nie wywiązywał się z wielu przyjętych zobowiązań gospodarczych czy dostarczał wyroby przemysłowe rażąco niskiej jakości. W 1964 roku, będąc wówczas ministrem przemysłu, pojechał do ZSRR na obchody rocznicy rewolucji październikowej. Opowiada jego meksykański biograf Paco Ignacio Taibo II: „Che nie może zrezygnować ze swojego krytycyzmu, który coraz bardziej się zaostrza. Zwiedza radziecką fabrykę, którą prezentuje mu się jako wzorcową i zgodnie

z relacją jednego z członków delegacji mówi, że przypomina ona fabrykę kapitalistyczną w rodzaju tych, które istniały na Kubie przed ich nacjonalizacją”, tj. w warunkach niedorozwoju kapitalizmu. „Obserwuje aberracje w dziedzinie planowania, pułapki współzawodnictwa pracy, ponieważ widzi, że planuje się tak, aby przekroczyć plan. Swoim towarzyszom z delegacji mówi, że pod panowaniem biurokratyzmu Sowietci brną w sferze gospodarczej w ślepy zaulek”.

Po powrocie oświadcza pracownikom swojego ministerstwa: „Wbrew temu, co się mówi, kraje bloku zachodnioeuropejskiego rozwijają się znacznie szybciej niż kraje bloku demokracji ludowej. Dlaczego?”. Opowiada, że w ZSRR biblią jest (stalinowski) podręcznik „Ekonomia polityczna”, a nie „Kapitał” Marksa, zaś jego, Guevarę, uważa się tam za trockistę. Choć trockistą nie był, do wszczętej przez siebie debaty ekonomicznej, która była lekko zawołowaną polemiką między rzecznikami radzieckiego modelu gospodarczego a jego krytykami, zaprosił belgijskiego ekonomistę marksistowskiego i czołowego działacza Czwartej Międzynarodówki Ernesta Mandela. Znany był on z druzgocącej krytyki radzieckiego planowania i zarządzania gospodarczego.

Guevara zerwał zupełnie z myślą, że „rozwiązanie problemów tego świata leży za żelazną kurtyną”, i uznał, że leży w rewolucjach w Trzecim Świecie. Sam, wraz z ponad setką wojskowych kubańskich, ruszył na odsiecz powstaniu lumumbistów w Kongu. Po niepowodzeniu, podczas potajemnego pobytu w Czechosłowacji w swoich, dziś znanych, „zeszytach praskich” skrytykował system radziecki, przewidując jego upadek. Jednocześnie wsparcie Kuby dla ruchów partyzanckich w Ameryce Łacińskiej doprowadziło do długotrwałego – z górą trzyletniego – napięcia w relacjach z Moskwą. Chyba nawet większego niż podczas kryzysu rakietowego.

CASTRO KONTRA MIKROFRAKCJA

Zaczęło się w 1966 roku od artykułu opublikowanego w centralnym kubańskim dzienniku partyjnym z okazji rocznicy rewolucji październikowej. Wezwano w nim „prawdziwych” komunistów latynoamerykańskich, aby poszli w ślady wenezuelskiego komendanta partyzanckiego Douglasa Bravo i jego towarzyszy. Tych usunięto wcześniej z ich partii komunistycznej za odmowę zaprzestania walki zbrojnej, ale Castro posłał im zaraz na pomoc kilkunastu swoich doświadczonych oficerów.

W lipcu 1967 roku powracający z Waszyngtonu premier Kosygin przybył na Kubę, gdzie oświadczył Castro, że Amerykanie mają dowody na to, iż Kuba wspiera partyzantów w co najmniej siedmiu krajach subkontynentu, i zażądał zaprzestania tego wsparcia pod groźbą zerwania sojuszu. Odpowiedzią Castro było jego przemówienie, drugie już z kolei, w którym poddał on gwałtownej krytyce Komunistyczną Partię Wenezueli za to, że porzuciła ruch partyzancki, który sama stworzyła i w poparcie którego zaangażowała Kubę.

W związku z Moskwą latynoamerykańskim ruchem komunistycznym i w samej Moskwie uznano te przemówienia za dowód, że Castro zrywa z komunizmem. Na Kubie, z poparciem bloku radzieckiego i pod kierownictwem Escalante, który powrócił z wygnania, ruszyła do walki część starych komunistów – tzw. mikrofrakcja. Oskarżała reżim castrowski, że jest drobnomieszczański, nacjonalistyczny, niemarksistowski, antyradziecki i w ogóle antykomunistyczny, nie uznaje przewodnictwa i hegemonii ZSRR, sojusz z ZSRR usiłuje zastąpić sojuszem z Francją, zamiast integrować się gospodarczo z blokiem radzieckim, stara się wiazać z gospodarkami zachodnimi, wbrew polityce partii komunistycznych, a zgodnie z (rzekomo) „trockistowską linią eksportu rewolucji” lansuje w Ameryce Łacińskiej walkę zbrojną.

W końcu roku Castro zarządził aresztowania wielu zaangażowanych w „mikrofrakcję” działaczy, a w styczniu 1968 roku ich proces sądowy. Podano do wiadomości publicznej cały szczegółowy raport Raúl'a Castro ze śledztwa, łącznie z nazwiskami bardzo wysokich wschodniemieckich i czechosłowackich dygnitarzy partyjnych, zaangażowanych w poparcie dla „mikrofrakcji”, a także obecnych na samej Kubie funkcjonariuszy radzieckich, którzy zapewniali „mikrofrakcję” o poparciu dla niej w Moskwie. Na posiedzeniu kubańskiego Komitetu Centralnego Castro wygłosił tajne, dziś częściowo odtajnione, dziesięciogodzinne przemówienie, w którym przedstawił i udokumentował historię stosunków kubańsko-radzieckich, a zwłaszcza kulisy kryzysu rakietowego i jego skutki dla tych stosunków.

POKONANI PRZEZ TRZCINĘ

Wydawało się, że stosunki z sojuszniczym supermocarstwem wiszą na włosku, kiedy pół roku później, ku zaskoczeniu nawet swoich najbliższych ludzi, Castro poparł interwencję wojskową Paktu Warszawskiego w Czechosłowacji. Uczynił to jednak tak dwuznacznie, że na Kremlu nie uznano tego za poparcie. O tym, że w stosunkach wzajemnych nic to nie poprawiło, świadczył fakt, że prawie rok później Kuba odmówiła udziału w międzynarodowej naradzie proradzieckich partii komunistycznych w Moskwie.

Dopiero w 1970 roku traumatyczne w skutkach dla władzy i dla społeczeństwa fiasko rekordowych, jak je woluntarystycznie zaplanowano, zbiorów trzciny cukrowej, które miały utorować drogę niezależnemu rozwojowi gospodarczemu Kuby, zmusiły Castro do pojednania z Moskwą. Ta postawiła sprawę jasno: albo przyjmie radziecki model zarządzania gospodarczego, albo ZSRR, a faktycznie cały blok przestanie udzielać jej szerokiej pomocy.

Tym razem Castro ustąpił – w 1971 roku Kuba przystąpiła do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG). Z udziałem 10 tysięcy specjalistów i doradców radzieckich kubańską gospodarkę zaczęto usilnie integrować z blokiem. Ta sowietyzacja gospodarcza pociągnęła za sobą sowietyzację kulturową oraz ideologiczną i polityczną. Pierwszą ofiarą sowietyzacji na tym polu padł pisarz Heberto Padilla, zmuszony do publicznej samokrytyki, przeciwko czemu protestowało na świecie wielu sympatyzujących dotychczas z rewolucją kubańską intelektualistów.

Kolejną ofiarą padł miesięcznik „Pensamiento Crítico” – wydawane przez młodych filozofów pismo postulujące alternatywę wobec radzieckiego „marksizmu-leninizmu”: marksizm otwarty – szeroko otwarty na marksizm zachodni i na myśl rewolucyjną z Trzeciego Świata – oraz krytyczny i twórczy. Raúl Castro oskarżył redakcję pisma o dywersję ideologiczną. Oslawione „szare pięciolecie” (1971-1975) na długo położyło się ponurym cieniem na życiu literackim i artystycznym. Inteligencja kubańska wzięła odwet za to pięciolecie dopiero w 2007 roku, kiedy to samorzutnie przeprowadziła o nim i w ogóle o sowietyzacji kulturalnej masową, publiczną i radykalnie krytyczną debatę. Nie oszczędziła surowej krytyki samemu Castro.

Ustępstwa wobec procesów sowietyzacji miały jednak wbrew wszelkim pozorom niepełny charakter, a Kuba nadal prowadziła zasadniczo niezależną politykę międzynarodową. Zademonstrowała to zwłaszcza w 1975 roku, kiedy decydowały się losy uzyskującej niepodległość Angoli. Wojska rasistowskiej Republiki Południowej Afryki szły właśnie na stolicę tej byłej kolonii portugalskiej. Kuba pospieszyła ruchowi wyzwoleńczemu na pomoc. Przeprowadziła niespodziewanie dla wielkich mocarstw bezprecedensową w przypadku małego kraju międzykontynentalną operację wojskową. Uczyniła to na własną rękę, stawiając zaskoczony Związek Radziecki wobec faktu dokonanego. ●

Nagrody Historyczne „Polityki” rozdane

To jedna z najstarszych i najbardziej prestiżowych nagród za książki historyczne w Polsce, jest przyznawana od 1959 roku. Wymyślił ją zmarły w lutym zeszłego roku Marian Turski i dziś nagroda nosi jego imię.

Do tegorocznej edycji zgłoszonych zostało ponad 200 książek, a jury składzie: dr hab. Barbara Klich-Kluczevska, prof. dr hab. Jerzy Kochanowski, prof. dr hab. Dariusz Stola, dr hab. Bożena Szaynok, dr hab. Marcin Zaremba i prof. dr hab. Wiesław Władyka (przewodniczący), do finału zakwalifikowało w sumie 13 prac naukowych, popularnonaukowych i opracowań źródłowych. We wtorek poznaliśmy zwycięzców.

W kategorii Prace naukowe wygrała **Karolina Panz** za książkę „**Chciałabym opowiedzieć, jak zginęło miasto... Zagłada żydowskich mieszkańców Nowego Targu**”, wydaną przez Centrum Badań nad Zagładą Żydów.

„To jedna z najważniejszych książek historycznych, ale też jedna z najtrudniejszych w lekturze” – pisał w recenzji na naszych łamach prof. Jan Grabowski, znany badacz Holocaustu.

Za najlepszą Pracę popularnonaukową jury nagrodziło **Antoninę Tosiek** za książkę „**Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet**”, Wydawnictwo Czarne Wołowice.

„Chociaż najczęściej zostały wychowane w tradycji kobiecego posłuszeństwa i podległości, to jednak czują, że ich doświadczenia mają przecież wartość, że zasługują na opowieść. Jednocześnie przepraszają za taką postawę” – mówiła „Wyborczej” Antonina Tosiek o autorkach przedwojennych pamiętników.

W kategorii Pamiętniki uhonorowano książkę „**Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania. Tomasz Szarota w rozmowie z Emilem Maratem i Michałem Wójcikiem**”, Wydawnictwo Agora.

„Co ciekawe, jeden z najwybitniejszych żyjących historyków wcale tak dobrze się nie zapowiadał – pisał w recenzji na naszych łamach Andrzej Brzeziecki. – Studia historyczne wybrał trochę przypadkiem. Potem także bywało różnie”.

W kategorii Wydawnictwa źródłowe wygrała książka „**Władze RP na uchodźstwie wobec Żydów obywateli polskich w ZSRR i na Bliskim Wschodzie (1941-1945) w świetle dokumentów polskich**”, wybór, wstęp i opracowanie **Tadeusz Paweł Rutkowski**, Instytut Pileckiego.

I w końcu za Debiut nagrodzona została **Izabela Mrzygłód** za książkę „**Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym**”, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. ● **mim**

MUZEUM POLSKIEJ PIŁKI

Tygodnik „Piłka Nożna” wyszedł z inicjatywą utworzenia muzeum polskiego futbolu. Jeśli nie miałyby to być kolejna placówka manipulująca naszą historią, organizatorzy musieliby uwzględnić kilka kłopotliwych kwestii, a kilka rozstrzygnąć.

Janusz A. Majcherek

Gdy gra w piłkę nożną zaczęła zdobywać popularność i upowszechniać się poza Wyspami Brytyjskimi, Polska nie istniała jako państwo. Wynika stąd dylemat: jakie i które formy aktywności piłkarskiej będą brane pod uwagę w ewentualnym muzeum i według jakiego kryterium: terytorialnego, etnicznego, państwowego? Co oznacza określenie „polska drużyna piłkarska”, „polski piłkarz”, „polskie piłkarstwo”?

Pierwsza kwestia do uwzględnienia: nowy sport dotarł na ziemie polskie, jakkolwiek je zakreślimy, z opóźnieniem, bo z Wysp Brytyjskich musiał przewędrować przez niemal całą Europę. Pierwsze polskie kluby, jakkolwiek je wyselekcjonujemy, powstawały później niż ich europejskie odpowiedniki, polskie piłkarstwo ma więc krótszą historię i należy powstrzymać się od wydłużania jej na siłę.

Przyjmuje się, że w formie klubowej nasz futbol powstał na początku XX wieku, tymczasem najstarsze kluby kontynentalnej Europy mają znacznie dłuższe tradycje, sięgające poprzedniego stulecia, np: Le Havre Athletic (Francja), rok założenia 1872, Académia Coimbra (Portugalia) – 1876, Royal Antwerp (Belgia) – 1880, Hamburger SV (Niemcy) – 1887, Genoa CFC (Włochy) – 1893, First Vienna FC (Austria) – 1894, Athletic Bilbao (Hiszpania) – 1898 itd.

Także nasi bliźni sąsiedzi wcześniej podchwycili grę w piłkę, zakładając drużyny Újpest FC (Węgry) w 1885 roku i Sparta Praga (Czechy) w 1892. To europejskie tło powinno zostać w muzealnej ekspozycji uwzględnione. Nakazywałyby to nie tylko przynależność Polski do Unii Europejskiej, ale też PZPN do UEFA, lecz polska megalomania może utrudniać otwarte przyznanie się do takiego piłkarskiego zapóźnienia.

Druga kwestia: gra w piłkę nożną przywędrowała z Zachodu, zatem przez Niemcy, najstarsze kluby na terytorium obecnej Polski były zakładane przez działaczy i zawodników niemieckich. Na Śląsku to FC Ratibor – rok założenia 1903; później jako SV 03 Ratibor, w Gdańsku Fußball Club Danzig – 1903; później BuEV, w Poznaniu Deutscher SV Posen – 1904, do tego 1 FC Kattowitz – 1905 i inne. W składach wielu z nich figurowali zawodnicy o ewidentnie polskich nazwiskach i udokumentowanych polskich korzeniach. Ich uwzględnienie w dziejach polskiego piłkarstwa byłoby zasadne, ale wymagałoby rozważnego eksponowania.

Jeszcze większy problem wystąpiłby, gdyby uwzględnić piłkarstwo na terenach Dolnego Śląska czy Warmii i Mazur (Prus Wschodnich). Tam grano jeszcze wcześniej, na przykład SV Blitz Breslau – 1897; od 1907 jako VfR 1897 Breslau, VfB Breslau – 1898, S.C. Preu en Breslau – 1902, Elbinger SV – 1905.

W niektórych z nich, choć rzadziej niż na Górnym Śląsku czy Wielkopolsce, grywali

zawodnicy o polskich nazwiskach i pochodzeniu. Ale trzeba ostrożności i namysłu przy ich ewentualnym przywoływaniu. Na przykład w Breslauer SpVgg 02 oraz drużynach z jego rodzinnych Gliwic grał Reinherd Schaletzki, który wszakże po wojnie przeniósł się do Niemiec, występował w tamtejszych klubach i w annałach futbolowych figuruje jako gracz niemiecki. Podobnie jest z takimi zawodnikami jak Robert Pischek czy Alfred Wydra.

Na Warmii i Mazurach niemal w każdym mieście i miasteczku działały drużyny piłkarskie. Czy je zignorować i historię futbolu na tych ziemiach zacząć od 1945 roku? Czy uwzględnić tylko drużyny deklaratorywnie reprezentujące polską tożsamość, na Powiślu powstało ich kilka, czy także te z mazurskimi i warmiackimi zawodnikami o polsko brzmiących nazwiskach?

Problem dotyczy nie tylko czasów sprzed pierwszej wojny światowej i odzyskania niepodległości przez Polskę. Awantura o upamiętnienie Ernesta Wilimowskiego, który grał w klubach i reprezentacji III Rzeszy, to znany przykład. A przecież niejedyny. Polacy grali też podczas okupacji w hitlerowskiej Gaulidze, niekiedy pod presją czy nawet przymusem, co stanowi wart ukazania przyczynek do okupacyjnych losów.

Można byłoby przy tej okazji pokazać sylwetkę zdobywcy pierwszego gola dla polskiej reprezentacji w mistrzostwach świata, rodowitego Niemca Fryderyka (Friedricha) Scherfke, który w czasie okupacji hitlerowskiej pomagał na różne sposoby polskim kolegom-piłkarzom, ściągając tym na siebie zainteresowanie Gestapo.

Wielu Polaków ze Śląska, ale także z innych terenów, grało w dalszej i bliższej przeszłości dla reprezentacji innych państw. Ich pominięcie, nieuwzględnienie np. Łukasza Podolskiego



• **Ernest Wilimowski (1916-1997), przed wojną grał dla Polski, po jej wybuchu w niemieckich klubach** FOT. DOMENA PUBLICZNA



• **Stadion w Göteborgu, 26 czerwca 1992 roku. Peter Schmeichel, bramkarz reprezentacji Danii, cieszy się z mistrzostwa Europy. Duńczycy pokonali w finale Niemcy 2:0** FOT. UNDERWOOD

ARCHIVES/GETTY IMAGES

czy Opolanina Mirosława Klose oraz innych piłkarzy polskiego pochodzenia, występujących w koszulkach z innymi niż polskie emblematami, byłoby dziwne. Sprawa robi się bardziej kontrowersyjna w przypadku emigrantów.

Jednym z najlepszych graczy reprezentacji Francji był Raymond Kopa, czyli Kopaszewski. Czy wspomnieć Laurenta Koscielnego, także grającego dla Francji, albo Phila Jagielkę, reprezentanta Anglii? A może znanych duńskich bramkarzy Petera (drugie imię Bolesław) i jego syna Kaspra Schmeichelów, którego dziadek pochodził z Wąbrzeźna? Czy takich zawodników uwzględnić w historii polskiego futbolu, jakie kryteria przyjąć, żeby na siłę nie przypisywać polskiemu piłkarstwu nie swoich zasług?

Problem byłby także z formą upamiętnienia tradycji piłkarskich z terenów leżących obecnie poza Polską. We Lwowie były one znaczące, założone w 1903 roku drużyny Czarnych i Lechii czy Pogoni, która powstała rok później, a więc starsze niż Cracovia i Wisła, wpisały się w historię polskiej piłki nożnej. Pogoń czterokrotnie zdobywała mistrzostwo kraju. A do tego wiele klubów z Wilna i innych miast dawnych kresów wschodnich. Wyeksponować ich dorobek i znaczenie należałoby, ale w sposób niedrażniący kresową nostalgią Ukraińców, Litwinów, Białorusinów.

Dawna Rzeczpospolita była wielonarodowa i stanowiła największe skupisko ludności żydowskiej. Po wiekach judaistycznych nakazów ślęczenia nad Talmudem syjonizm końca XIX i początków XX wieku zaczął propagować sprawność fizyczną potencjalnych emigrantów do Palestyny, co przejawiało się uprawianiem przez Żydów sportu, w tym piłki nożnej. Wśród najstarszych i najbardziej zasłużonych klubów piłkarskich z terenów Polski są powstałe w 1909 roku Makabi i rok później Jutrzenka (Morgenstern), oba z Krakowa, czy Hasmonea Lwów założona

w 1908. Nie można ich pominąć bez narażenia się na etniczne, jeśli nie rasistowskie rozumienie określeń „polska piłka nożna” i „polscy piłkarze”.

Zważywszy na to, że pierwszego gola dla piłkarskiej reprezentacji Polski zdobył Józef Klotz, zawodnik żydowskiego pochodzenia z Jutrzenki Kraków, potem Makabi Warszawa, późniejsza ofiara Holocaustu, byłoby to niedopuszczalne. PZPN w 2019 roku zorganizował wystawę poświęconą żydowskim reprezentantom Polski, co pozwala mieć nadzieję, że wkład żydowskich zawodników do polskiego piłkarstwa zostałby uwzględniony także w muzealnej ekspozycji.

Ale można mieć wątpliwości, czy w tym kontekście zostałyby przypomniane wnioski wielkopolskiego okręgu PZPN z 1938 roku, domagającego się – z poparciem klubów spoza Wielkopolski – wykluczenia drużyn żydowskich z krajowych rozgrywek. Możliwe byłoby natomiast zestawienie tego wstydlivego epizodu z protestami innych klubów, które doprowadziły do oddalenia haniebnego postulatu.

Ponieważ historia polskiej reprezentacji piłkarskiej zaczyna się dopiero po odzyskaniu niepodległości, więc jest krótsza niż wielu państw europejskich. Dlatego w najstarszych dziejach polskiego piłkarstwa musiałaby dominować piłka klubowa oraz uprawiana przez Polaków w innych drużynach. To zaś rodzi problemy wymagające przepracowania.

Muzealnictwo rozwija się w Polsce w ostatnich latach intensywnie, wraz z ofensywą polityki historycznej. Jej dominującym nurtem jest nacjonalizm i narodowa megalomania, więc pomijanie faktów, zdarzeń i procesów niepasujących do tego obrazu. Jeśli muzeum polskiej piłki nożnej miałyby się do niego dostosować, to lepiej, aby nie powstało. Jeśli miałyby ukazać rzetelnie ten ciekawy fragment polskiej historii, to zasłużyłoby na istnienie i uznanie. ●

Antypolityka historyczna

Czy przeszłość była zła?

To chyba nie jest zbyt mądre pytanie. Historyk nie ocenia czy przeszłość jest zła czy dobra, tylko stara się ją zrozumieć i przedstawić innym taką, jaką ją rozumie. Ale co poradzę, że coraz natrętniej to pytanie mi się nasuwa.

JANOWSKI

Kiedyś mnie to w ogóle nie interesowało. Jako dziecko uwielbiałem Asteriksa, a w Asteriksie, jak pamiętamy, nikt nigdy nie ginie, co najwyżej po niefortunnym spotkaniu z niezwykłymi Gallami na polu bitwy leżą rzymscy legionieści, a naokoło ich głów wirują gwiazdki. Najpiękniejsza książka historyczna mojego dzieciństwa, przeczytane w pierwszej klasie podstawówki „Godziny Wieków” Ernesta Gombricha (kto nie czytał, niech przeczyta KONIECZNIE!) opowiada o rzeczach złych i tragicznych, ale też o pięknych i szlachetnych – o sztuce, o nauce, o kulturze.

Sądzę dziś, że w dzieciństwie traktowałem historię jak bajkę – bajkę, która ma tę wyższość, że wydawała się naprawdę, ale która przemawia tak samo jak inne bajki: przygodami, malowniczością, romantyzmem. Piękne mundury napoleońskich żołnierzy na pudełkach żołnierzyków firmy Airfix czy w filmach takich jak „Waterloo” Siergieja Bondarczuka, nie dopuszczały myśli o okrucieństwie. Nawet jeśli napotykałem refleksje o okrucieństwie wojen napoleońskich, choćby w „Trzy po trzy” Aleksandra Fredry, puszczałem je mimo uszu.

Już po studiach, kiedy pisałem prace poświęcone polskiej myśli liberalnej w XIX wieku, odszedłem od bajkowego spojrzenia na przeszłość, jednak daleki byłem od pesymizmu. Czytając XIX-wieczne gazety i książ-

te przezeń od Kanta) wciąż stawiały mi przed oczyma. Myślę, że wśród historyków nie jestem osamotniony: w ostatnich dekadach w profesjonalnej historiografii coraz częściej ukazują się właśnie te „złe” elementy przeszłości. Dowiadujemy się o okrucieństwach XIX-wiecznego kolonializmu, o przemocy w rodzinie, o wykorzystywaniu seksualnym w najróżniejszych epokach. To naturalne, że problemy dzisiejsze wpływają na tematykę badań historycznych; kiedy czytam o wydarzeniach współczesnych, moją automatyczną reakcją jest myśl „ciekawe, jak te sprawy wyglądały dawniej”.

Niemniej jest tu niebezpieczeństwo. Nie potrafię bowiem zaakceptować wizji, w której historia jest tylko dziejami przemocy, walki klasowej, dyskryminacji i wyzysku. Myślę, a nie mam na to żadnych dowodów, że rzecz się miała następująco. W dawnych epokach poziom życia był oczywiście niższy niż dzisiaj, głównie przez niższy poziom medycyny (nie mówiąc już o najcięższych chorobach, pomyślmy o codziennych dolegliwościach jak migrena czy zapalenie spojówek) oraz brak bezpieczeństwa materialnego – przez ogromną większość dziejów ogromna większość ludzi żyła na krawędzi przetrwania, a każde zachwianie systemu gospodarczego, każdy nieurodzaj wynikający z losowych wahań pogody, pociągał głód.

Ale biorąc to pod uwagę – wiedząc, że ludzie żyli krócej i biedniej niż dziś – sądzę, że w dawnych epokach rozkład szczęścia i nieszczęścia był podobny do dzisiejszego. Ludzie cieszyli się i martwili dziećmi, wnukami, codziennymi sukcesami i porażkami; bawili się od święta, opowiadali sobie różne historie, które ich wzruszały, przerażały i zaciekały. Mieli przeżycia artystyczne, choćby widząc obrazy w kościołach i śpiewając pobożne pieśni (niektóre z nich wyszły spod pióra największych poetów np. Jana Kochanowskiego). W rodzinie kłócili się i godzili, a w na ogół wspierali się wzajemnie – inaczej by nie przeżyli.

Odrzucając niemądrą idealizację przeszłości, odrzucając zawężenie spojrzenia na przeszłość do żyjących we względnie dostatku grup panujących, doskonale pamiętając o Holokauście, głodzie na Ukrainie i wielu innych wydarzeniach – odrzucam również obraz historii jako pasma cierpienia. Mam nadzieję, choć nie mam pewności, że jest on równie nieprawdziwy jak jego przeciwieństwo. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

Okruchy historii

Żółty Tygrys powrócił!

To dzięki jednej z książek z tej serii zagiąłem moją nauczycielkę historii. W czasach PRL-u były sprzedawane spod lady, tylko dla wybranych czytelników.

MOTYKA

Nie mogę przejść obok tej wiadomości obojętnie: na półkach księgarskich znów pojawiły się tomiki z serii Żółtego Tygrysa! Gdy je zobaczyłem, ogarnęła mnie fala nostalgii, bo pierwszą książką, którą przeczytałem (i jedyną, której fragmenty, zachęcając do samodzielnej lektury, czytał mi w dzieciństwie mój Tata), była wydana w tej serii „Szosa piotrkowska” Leszka Moczulskiego. W heroiczny sposób opisywała walki armii Łódź i Prusy w pierwszych dniach września 1939 roku.

Żółte Tygrysy zaczęły się ukazywać w 1957 roku. Jeśli później wiele tytułów miało wydźwięk zgodny z propagandą historyczną PRL-u, to początkowo poruszały tematy niechętnie widziane przez władze. Pierwszym tomikiem serii był „Wielki dzień Dywizjonu 303”, drugim „Zamach na Kutscherę”, trzecim zaś „Kamikaze – lotnicy śmierci”.

Także w kolejnych Tygrysach opisywano w przystępny sposób mało wtedy znane i wręcz egzotyczne epizody drugiej wojny światowej, takie jak: zniszczenie przez norweskich komandosów fabryki ciężkiej wody („Wybuch w Norsku-Hydro”), walki o Birmę („Duchy dżungli”), dywersyjną działalność włoskiej X flotyli („Dywizjon żab” i „Ludzie-torpedy”) czy udział polskich lotników w walkach w Afryce („Cyrk Skalskiego”).

Mam z tymi lekturami mnóstwo wspomnień. „Twierdzą śmierci” o bitwie o Kolobrzeg w 1945 roku czytałem, wychodząc z jakiegoś paskudnego zapalenia płuc, które o mało mnie nie zabiło. Pochłonąłem ją w jeden dzień, co jak na ucznia drugiej klasy podstawówki było wyczynem. „Diabelską wyspę” poświęconą bitwie o Guadalcanal czytałem u sąsiadki. Pod jej opieką została mi Mama, która pędziła do pracy w cukrowni. Każdy, kto wie, jak szalone wyczyny dokonywała tam japońska flota koło przylądka Savo czy pod Tassaforongą, łatwo zrozumie, dlaczego sąsiadka potem chwaliła mnie za bycie grzecznym.

Tomik „Kapitulacji nie będzie” dotyczył powstania w getcie warszawskim. Świetnie napisany przez Juliana Baneta pokazywał zarówno bohaterstwo członków Żydowskiej Organizacji Bojowej, jak i brutalność Niemców wobec skazanej na zagładę ludności. To z niego się dowiedziałem, że grupa powstańców dowodzona przez Antka Cukierniana przetrwała i wzięła później udział w powstaniu warszaw-

skim. Z satysfakcją wspominam, że tą informacją zbilem z pantafelki swoją nauczycielkę historii. Aż kazala sobie przynieść książkę do szkoły, bo nie chciała mi uwierzyć na słowo.

„Ardeny” omawiające ostatnią ofensywę nazistowskich Niemiec wypatrzyłem na półce w domu przyszelego szwagra, kiedy trwała rodzinna narada na temat wesela mojej siostry. Frazę, którą autor Zbigniew Flisowski zakończył opis ostatniej przed atakiem odprawy generalicji Wehrmachtu w Ziegenbergu, pamiętam do dziś: „Wylenięła w porażkach lwy Hitlera jeszcze raz uwierzyły”. Odtąd kolejne książki o tej bitwie muszę choć na chwilę wziąć do ręki...

Już choćby z tego krótkiego przeglądu łatwo zauważyć, jak niedocenianą rolę edukacyjną odgrywały Żółte Tygrysy. Wtedy, w czasie przed internetem, dostęp do wiedzy był dużo trudniejszy. Jeśli co ciekawsze książki trały często w księgarniach spod lady tylko do



wybranych czytelników, to Tygrysy z racji gigantycznych nakładów kupowało się w każdym kiosku Ruchu.

Reaktywowanie serii Żółtego Tygrysa przez wydawnictwo Bellona przyjmuję z sympatią. Dzięki wznowieniu w nowej edycji pozycji sprzed lat miłośnicy gatunku mogą sięgnąć po tytuły wcześniej trudno dostępne. Ale pojawiają się też nowe publikacje, poruszające tematy w PRL-u objęte cenzurą. Przykładowo setny tytuł wznowionej serii – „Bagienne forty” Rafała Igielskiego – przedstawia opór, jaki strażnicy KOP we wrześniu 1939 roku stawiały sowieckiej inwazji.

Słusznie natomiast zrezygnowano z reedycji tomików opowiadających fałszywie o powojennej partyzantce i wprowadzaniu w Polsce komunistycznego ustroju.

Mam nadzieję, że wydawnictwo Bellona wznowi też „Szosę piotrkowską”, bo w moim egzemplarzu brakowało paru stron. Leszek Moczulski napisał ją na marginesie rozprawy doktorskiej, którą przygotowywał pod kierunkiem prof. Stanisława Herbsta. Gdy w tym samym duchu wygłosił na seminarium blęskotliwy referat o walkach we wrześniu '39 roku, Herbst pokłwał głową i stwierdził, że zasadniczo wszystko jest w porządku, ale doktorant Moczulski zapomniał powiedzieć, żeśmy tę wojnę jednak przegrali... ●

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

CZY RZECZPOSPOLITA KOCHAŁA KALWINISTÓW

W Koronie protestanci nie mogli liczyć na ochronę, jaką na Litwie dawał im Trzeci Statut Litewski.

Anna Brzezińska

Kazimierz Bem, autor wydanej niedawno książki „Kalwinizm w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Kościoły i wierni”, zaznacza, że jest ona rewizjonistyczna, polemizująca z postrzeganiem polskiej i litewskiej reformacji jako porażki i krótkotrwałego, płytkiego teologicznego epizodu w dziejach obu państw.

Bem przedstawia losy czterech pierwszych pokoleń członków trzech Kościołów reformowanych – braci czeskich, zboru większego i Jednoty Litewskiej. Rozpoczyna swe rozważania w roku 1548, gdy na tron wstąpił tolerancyjny król Zygmunt August, a do Korony przybyli bracia czescy, a kończy w dość arbitralnie wybranym roku 1648, przez co jedynie okazjonalnie dotyka niezmiernie istotnych zmian w sytuacji protestantów zapoczątkowanych najazdem szwedzkim w 1655 roku. Nie jest też zupełnie oczywiste włączenie do dziejów kalwinizmu braci czeskich, którzy wywodzili się z husytyzmu, a do kalwinizmu zbliżali się stopniowo.

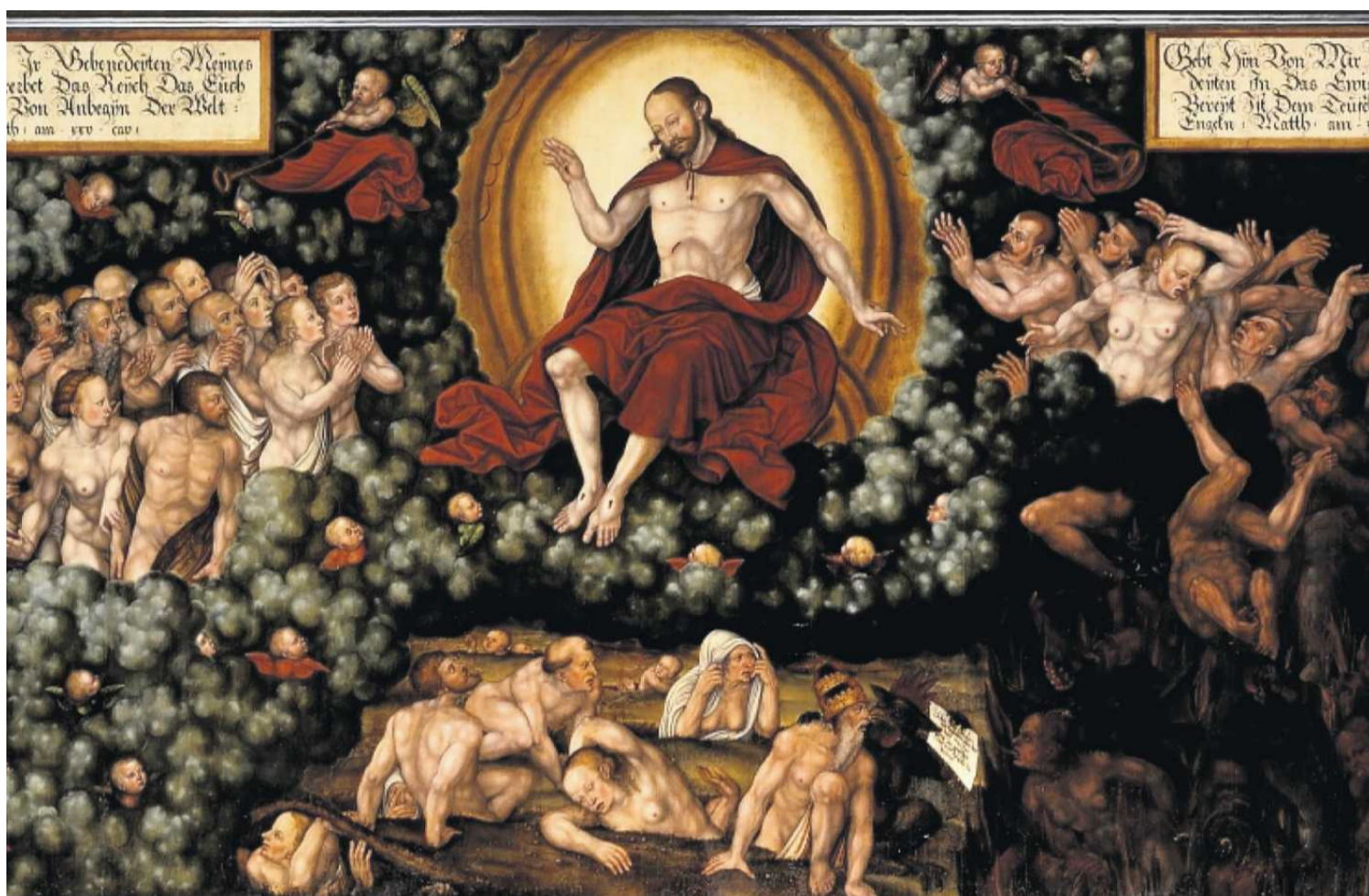
„ZDAŁO SIĘ NAM ZŁOTO BYĆ”

Na zwolenników reformacji Kazimierz Bem spogląda nie przez pryzmat ich politycznych wpływów w polsko-litewskiej monarchii, koncentruje się raczej na ich działalności w łonie wspólnot i opisuje tworzenie struktur kościelnych, spory o kwestie teologiczne i formy liturgiczne, a przede wszystkim szukanie porozumienia i unifikację. Pierwsze stulecie Kościołów reformowanych w państwie polsko-litewskim dzieli na dwa etapy: lata 1548-1595 i lata 1595-1648.

Pierwszy z nich ukazuje jako czasy licznych konwersji, budowania wspólnot i twórczego fermentu, kiedy granice konfesyjne nie zostały jeszcze ostro wytyczone, a wierni poszukujący odnowy religijnej bywali jednak w swych wyborach nieustali. Ducha tamtych czasów świetnie oddają przytoczone przez autora słowa małopolskich kalwinistów, którzy tak się tłumaczyli ze zmian w poglądach na liturgię:

„My, gdyśmy Stankara [chodzi o Francesco Stancaro, włoskiego teologa protestanckiego działającego w Polsce] poznali z jego Reformacją, zdało się nam złoto być. A potem Jednota wasza albo bracka [liturgia] daleko więcej nadto nam się podobała. Ale i x. Łaski jeszcze lepiej. A tak bracia niechaj nam za złe nie mają, kiedy gdzie lepszego z łaski Boskiej widzimy a poznamy, iżbyśmy tego przyjąć nie mieli”.

Natomiast w drugim etapie Kościoły reformowane doświadczały wprawdzie utraty wiernych, załamania się współpracy z lute-



▲ **Sąd Ostateczny, namalowany według protestanckich zasad wiary, malarz niemiecki, XVI wiek** FOT. MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE

◀ **Zbór kalwiński w Kiejdanach na Litwie ufundowany przez Krzysztofa Radziwiłła i jego syna Janusza w I połowie XVII wieku** FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA



**Kalwinizm
w Rzeczypospolitej
Obojga Narodów.
Kościół
i wierni**

Kazimierz Bem
Wydawnictwo
Naukowe Semper

ranami i utraty politycznych wpływów, ale zarazem – jak argumentuje Krzysztof Bem – ich życie religijne stabilizowało się i rozwijało, a liturgia czy struktury kościelne ulegały ujednoliceniu.

W jego ujęciu kluczowym momentem w dziejach Kościołów reformowanych staje się nie zgoda sandomierska w 1570 roku czy konfederacja warszawska z 1573, tylko wydanie Biblii Gdańskiej w 1632 roku i szczególnie konwokacja generalna we Włodawie w 1634 roku stanowiąca zwierciadło procesu unifikacji trzech Kościołów reformowanych, co nie jest tezą w polskiej historiografii nową, ale dla szerokiego czytelnika może się okazać frapujące.

Autor przyznaje, że reformatorskie porywy protestantów niejednokrotnie gasły wkrótce po splądrowaniu kościołów, wypędzeniu księży i ograniczeniu związanych z utrzymaniem

kleru wydatków, a zatem praktyczny antykalwinizm raczej przeważał w tych wypadkach nad teologicznymi poszukiwaniami. Nie zgadza się jednak z poglądem, że do zerwania z Rzymem pierwszego pokolenia kalwinistów popychały głównie powody ekonomiczne i polityczne, nie zaś szczerza pobożność i przekonanie o słuszności nauk Kalwina.

KATOLICY MOGLI WIĘCEJ

Opisując różnorodność lokalnych praktyk liturgicznych i spory w łonie wspólnot protestanckich, wykazuje, że kwestie doktrynalne były dla wiernych istotne, rozważano je wnikliwie, budziły kontrowersje i emocje. Z kolei odływ wiernych, jakiego od końca XVI wieku doświadczały Kościoły reformowane, tłumaczy nie płytkością kalwińskich konwersji

i brakiem teologicznych zainteresowań wśród wyznawców, tylko okolicznościami politycznymi i kontrreformacyjną ofensywą.

Rzeczpospolita nie doświadczyła wojen religijnych ani krwawych prześladowań z powodu wiary, Krzysztof Bem, podobnie jak wielu badaczy przed nim, słusznie jednak zauważa, że tolerancja miała jednak pewne ograniczenia. A po śmierci Zygmunta Augusta kolejni władcy faworyzowali katolików przy obsadzie urzędów i nadawaniu godności, wprowadzali rzymskokatolickich księży do kościołów obsadzonych wcześniej przez protestantów, ograniczali prawa protestantów w miastach królewskich i żarliwie wspierali Kościół katolicki. Ta systemowa polityka wspierania katolicyzmu szczególnie mocno dotykała kalwinistów w Koronie, gdzie nie mogli liczyć na ochronę, jaką na Litwie dawał im Trzeci Statut Litewski.

Wśród innych przyczyn konwersji na katolicyzm autor wylicza także kontakty rodzinne i małżeństwa z katolikami, podróże do katolickich krajów i pobyty w szkołach prowadzonych przez zakony, szczególnie jezuitów, i wreszcie oportunistyczny – czyli zasadniczo nie proponuje nowych, nieznanych dotąd w historiografii wyjaśnień, ale inaczej wartościuje ten proces.

LICZY WAŻNE CZY NIE?

Jest bezsporne, że z czasem sytuacja kalwinistów stawała się w Rzeczypospolitej coraz trudniejsza i nawet jeśli pierwsze ich pokolenie marzyło o „tanim kościele”, od końca XVI w. trwanie przy religii reformowanej przysparzało ich potomkom dodatkowych kosztów, zresztą nie tylko finansowych. Jak podkreśla Krzysztof Bem, pomimo tych trudnych okoliczności i zmniejszającej się liczby wiernych w XVII wieku wśród kalwinistów rozkwitało życie religijne, w tym jego nowe formy, takie jak nieczęsto dotychczas analizowana w polskiej historiografii dyscyplina kościelna.

Przykładano wielką wagę do wykształcenia pastorów, ofiarne fundowano nowe kościoły, plebanie, szkoły, szpitale i przytulki. W związku z tym autor podnosi, by nie spoglądać na religię wyłącznie przez pryzmat liczebności wyznawców, gdyż liczby w jego ocenie kryją w sobie wiele niejednoznaczności, należy natomiast analizować ich życie religijne i mocniej eksponować fakt, że pomimo przeciwności wspólnoty protestanckiej przetrwały na ziemiach należących do monarchii polsko-litewskiej przez wiele kolejnych pokoleń.

Postulat, by baczniej przyglądać się spuściźnie kalwinizmu, jest bez wątpienia słuszny, dzieje Kościołów reformowanych i ich wiernych wymagają dalszych badań. Nie sposób je jednak prowadzić w oderwaniu od liczb, które, choć nie wartościują samej religii, wskazują na przykład na kluczową zmianę jej zasięgu. Także wiele sądów autora zyskałoby potwierdzenie – lub nie – gdyby zostały poprzedzone pogłębioną kwerendą i bardziej kwantytatywną analizą źródeł. O tym zaś, jak trudno uciec od postrzegania religii w kategoriach sukcesu bądź porażki, przekonuje się sam autor, gdy apeluje o opisanie kultury protestanckiego Leszna, Gdańska, Torunia czy Kiejdan „jako obszarów, w których rzymski katolicyzm zawiodł”.

MIĘDZY MODLITWĄ A SWAWOLĄ

Bez rozstrzygającej odpowiedzi pozostaje pytanie, jak bardzo kalwiniści w Rzeczypospolitej Obojga Narodów różnili się od swoich katolickich sąsiadów.

Kalwinistów i katolików trapiły podobne bezbożne nawyki, co wyraźnie wybrzmiewa na marginesie pysznej historii o konwersji na katolicyzm Mikołaja Radziwiłła „Sierotki”, który – jak ze swadą opisuje autor – „podczas pobytu w Rzymie, gdy nie był zajęty adorowaniem relikwii, zaraził się kłwą”.

Podobnym rozrywkom, choć z dala od siedziby kurii rzymskiej, potrafiliby się oddawać również kalwińscy pastory, skoro wedle Krzysztofa Bema najczęściej karcono ich za cudzołóstwo i pijaństwo. Autor przytacza wymowną odpowiedź szlachty, która wezwana w 1573 roku przez seniorów braci czeskich do

przedkładania w swych kościołach pastorów pobożnych nad rozpustnych, odparła hardo, że „by je radzi i kupili, gdyby na nie targ był”. Młodzież w szkołach kalwińskich wydawała się bawić równie dobrze, jak ich koledzy pobierający nauki w szkołach katolickich, skoro na przykład synod małopolski poczuł się w obowiązku zakazać w 1642 roku uczniom bełżyckiego gimnazjum „szabel, luków, strzelby i wygolienia głów albo i zapuszczania włosów trybem knechtów i żołnierzy, od których różnymi być słusznie mają i w pobożności i w nauki zaprawujący się”.

Przeegrali również kalwiniści walkę z tańcem, który stanowił umiejętność cenioną wśród elit bez względu na ich konfesję.

KOBIETA CZYTA PISMO ŚWIĘTE

Opisywane przez autora ścieżki konwersji i na kalwinizm, i na katolicyzm rozgrywają się w podobnych rodzinnych czy patronackich uwarunkowaniach, choć – jak celnie zastrzega – zagładanie w ludzkie serca i dusze jest po wiekach ryzykowne. Kalwińskie niewiasty spotykamy na kartach „Kalwinizmu w Rzeczypospolitej Obojga Narodów” głównie w tych samych tradycyjnych kobiecych rolach, z jakich znamy nabożne katoliczki – jako oddane żony i matki nawracające swoich bliskich na prawdziwą z ich perspektywy wiarę oraz dbające o religijne wychowanie kolejnych pokoleń, jako oddane i hojne patronki wspierające i fundujące kościelne instytucje.

Rozdział o kobietach i kalwinizmie, jak podkreśla autor, ma zresztą charakter rekonesansu badawczego, więc jedynie incydentalnie pojawiają się tak fascynujące zagadnienia, jak edukacja kalwińskich dziewcząt, praktyki modlitewne kalwinistek, w tym samodzielna lektura Pisma Świętego, czy wreszcie pojawienie się zupełnie nowej roli społecznej, której katolicyzm kobietom nie oferował – żony pastora.

Obszerniej omówiono natomiast duchowieństwo reformowane, konstatując, że mimo całkowitej zależności pastorów od świeckich patronów i niejednokrotnie trudnych warunków materialnych, wykształciło ono własną tożsamość, a od połowy XVII wieku zaczęły powstawać dynastie duchownych, z których wiele miało przetrwać aż do XX wieku.

„Kalwinizm w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Kościoły i wierni” jest ambitną próbą stworzenia syntezy dziejów Kościołów reformowanych w ich pierwszym stuleciu w polsko-litewskiej monarchii. Cenny jest polemiczny charakter tej książki i spojrzenie na polskich i litewskich kalwinistów jako na wiernych swoich Kościołów, przy czym jest to spojrzenie życzliwe i wnikliwe, autor jest bowiem nie tylko badaczem, ale i pastorem pełniącym posługę wśród parafian.

Monografia pierwotnie ukazała się w 2020 roku w języku angielskim w cenionym wydawnictwie Brill. W polskim wydaniu dokonano uzupełnień i uwzględniono wiele uwag podnoszonych przez recenzentów wydania anglojęzycznego, nie poszerzono jednak znacząco bazy źródłowej ani nie uwzględniono pełnego stanu badań. Pomimo tych mankamentów tezy autora, niekiedy bardzo polemiczne, stanowią cenny materiał do dyskusji i niewątpliwie inspirację do dalszych badań. ●

Jasne strony dziejów

Znacie, to posłuchajcie

Żółte Tygrysy, Gwiezdne Wojny, Indiana Jones i gry na Atari – sukces różnego rodzaju remake’ów pokazuje, jak trudno odnaleźć nam się w czasach, które sami tworzymy.

BRZEZIECKI

Tygrysowo-nostalgiczny felieton Grzegorza Motyki [zamieszczamy go na stronie 45.] pchnął mnie do rozważań nad ogólną naturą nostalgii. Mechanizm jest powszechnie znany i opisany. Po pierwsze, tęsknimy do czasów, gdy byliśmy młodzi, piękni i pełni nadziei, nawet gdy te czasy obiektywnie były gorsze. Po drugie, jako dorośli, mający własne dochody, realizujemy marzenia z dzieciństwa. To dlatego na ekrany kin wracają filmy i bohaterowie, a na rockowe sceny – gwiazdy, w odstępie czasowym równym mniej więcej dośnięciu i uzyskaniu stabilizacji majątkowej przez jedno pokolenie. Nieprzypadkowo serial „Cudowne lata”, traktujący o przełomie lat 60. i 70. XX wieku w Ameryce, wyprodukowany został równo dwadzieścia lat po czasach, w którym żyli jego bohaterowie. Dawał amerykańskim menadżerom epoki Reaganomiki, a potem pierwszej wojny w Iraku, którzy sami dorastali na przedmieściach wielkich metropolii, możliwość podróży w przeszłość.

Wydaje się też, że tamte dekady miały własne charaktery. W modzie, muzyce, designie, a nawet w polityce. Lata 70.? – dzwony i sumiaste wąsy. Lata 80.? – spodnie szerokie u góry, wąskie w nogawkach, fryzury na „czeskiego metalu”

Swego czasu nad Wisłą mieliśmy zalew tekstów poświęconych temu, jak to wspaniale było dorastać w PRL: mieć klucz na szyi, wisić na trzepaku, zgrywać kasetę magnetofonową i jeździć na kolonie. W porównaniu z tamtą idyllą dzisiejsze dzieciaki podobno żyją w okropnych czasach. Autorzy tych tekstów nie wspominali o upokorzeniu rodziców, którzy – gdy oni beztrudnie biegali po podwórkach z kluczem w szyi – podejmowali desperackie próby kupna podstawowych produktów potrzebnych do codziennego życia. Dla polskich dzieciaków „Cudowne lata”, pokazywane na początku lat 90., i tak były filmem o przyszłości – z czego producenci na pewno nie zdawali sobie sprawy...

Nostalgia podchwycona przez rynek daje możliwość powrotu do przeszłości. Jedni będą więc, jak Grzegorz Motyka, kupować tomi-

ki Żółtego Tygrysa albo pójść na kolejny film z serii Gwiezdných Wojen. Inni mogą, i to zupełnie niewyśmiewani, kupować zabawki i gadżety, o których marzyli w dzieciństwie. Na rynku mamy nawet dostępne repliki ośmiobitowych komputerów, na których możemy znów grać w Boulder Dash, River Raid, czy Miecze Valdgiara.

Choć trzeba przyznać, że niektóre zjawiska są trudniej wytłumaczalne. Już ktoś kilka lat temu, pisząc o kolejnym serialu o latach 80. XX wieku, zauważył, że moda na tę dekadę trwa dłużej niż ona sama.

Czy można to wyjaśnić tym, że ludzie urodzeni w latach 70. i 80. nadają teraz ton i próbują wrócić do czasów, gdy byli jakoś szczęśliwsi, mniej cyniczni? Nie da się ukryć, że życie było wtedy prostsze, co nie znaczy, że łatwiejsze. Wydaje się też, że tamte dekady miały własne charaktery. W modzie, muzyce, designie, a nawet w polityce. Lata 70.? – dzwony i sumiaste wąsy. Lata 80.? – spodnie szerokie u góry, wąskie w nogawkach, fryzury na „czeskiego metalu” itp. itd.

Do pewnego momentu – może ma to związek z pojawieniem się internetu – wszystko było pierwsze, dziewicze, a podziały jasne, Zachód dobry, Wschód zły.

Potem nastąpiło pomieszanie gatunków, a nowe trendy nałożyły się na powroty. Wszystko się pomieszalo i dziś już nie wiadomo czy prezydent USA dalej jest przywódcą wolnego świata, czy nie. Wszystkiego mamy więcej i bardziej, ale wszystko to jest jakoś wtórne.

Porównajmy teledysk Billy Joela do piosenki „We didn’t start the fire” z roku 1989 i teledysk do zgrabnego remake’u tej piosenki grupy Fall Out Boy z roku 2023. U Joela każda dekada ma swoje wyraźne symbole, przedmioty, stroje, fryzury, zaś Fall Out Boy, choć tekstowo piosenkę odświeżył świetnie, podobnego teledysku nie był chyba w stanie nakręcić.

Jestem pewien, że na pewno nie żyjemy w gorszych czasach. Żyjemy w innych.

Choć wiem też jedno – nigdy nie powtórzy mi się taka przygoda. Był rok 1988. Uciekłem z religii (była wtedy po lekcjach w salce), włączyłem radio i przypadkiem trafiłem na audycję Muzyka Młodych po 14 w Programie II Polskiego Radio. Leciał „South of Heaven” Slayersa...

W jednej chwili zniknęli Limahl, Michael Jackson i Kylie Minogue. ●

Andrzej Brzeziecki
– historyk,
dziennikarz,
publicysta

weekend **ówka**40 LAT
MINEŁO

Na budowie to różnie bywa. Ot, choćby taka sytuacja, że spychacz wjedzie w barak dla załogi i utknie. Robotnicy rozkładają ręce, praca stoi, a plan trzeba wykonać. Ale od czego inżynierska głowa, doskonale znająca zasadę dźwigni? Wystarczy tylko znaleźć punkt podparcia, a o to na budowie nietrudno, długą, solidną deskę i hop! Barak uniesiony w górę, spychacz wolny.

„Jeszcze mózg pracuje” – mówi zadowolony z siebie inżynier i rusza do dalszych obowiązków. Bez niego budowa Trasy Łazienkowskiej nie pójdzie.

Tak oto, 16 maja 1975 roku polska widownia poznała Stefana Karwowskiego, inżyniera, który wyswobadzał spychacz jako świeżo upieczony czterdziestolatek. Zresztą, w momencie realizacji serialu „Czterdziestolatek” grający tytułową rolę Andrzej Kopiczyński miał dokładnie lat 40. Zresztą reżyser, Jerzy Gruza (42) oraz scenarzysta, Krzysztof Teodor Toeplitz (41) byli niewiele starsi, też w pamięci mieli dopiero co przekroczony Rubikon. Dlatego problemy inżyniera Karwowskiego, jak kryzys wieku średniego, ból przemijania i chęć pozostawienia po sobie czegoś trwałego czy troskę o zdrowie i kondycję fizyczną znali z autopsji.

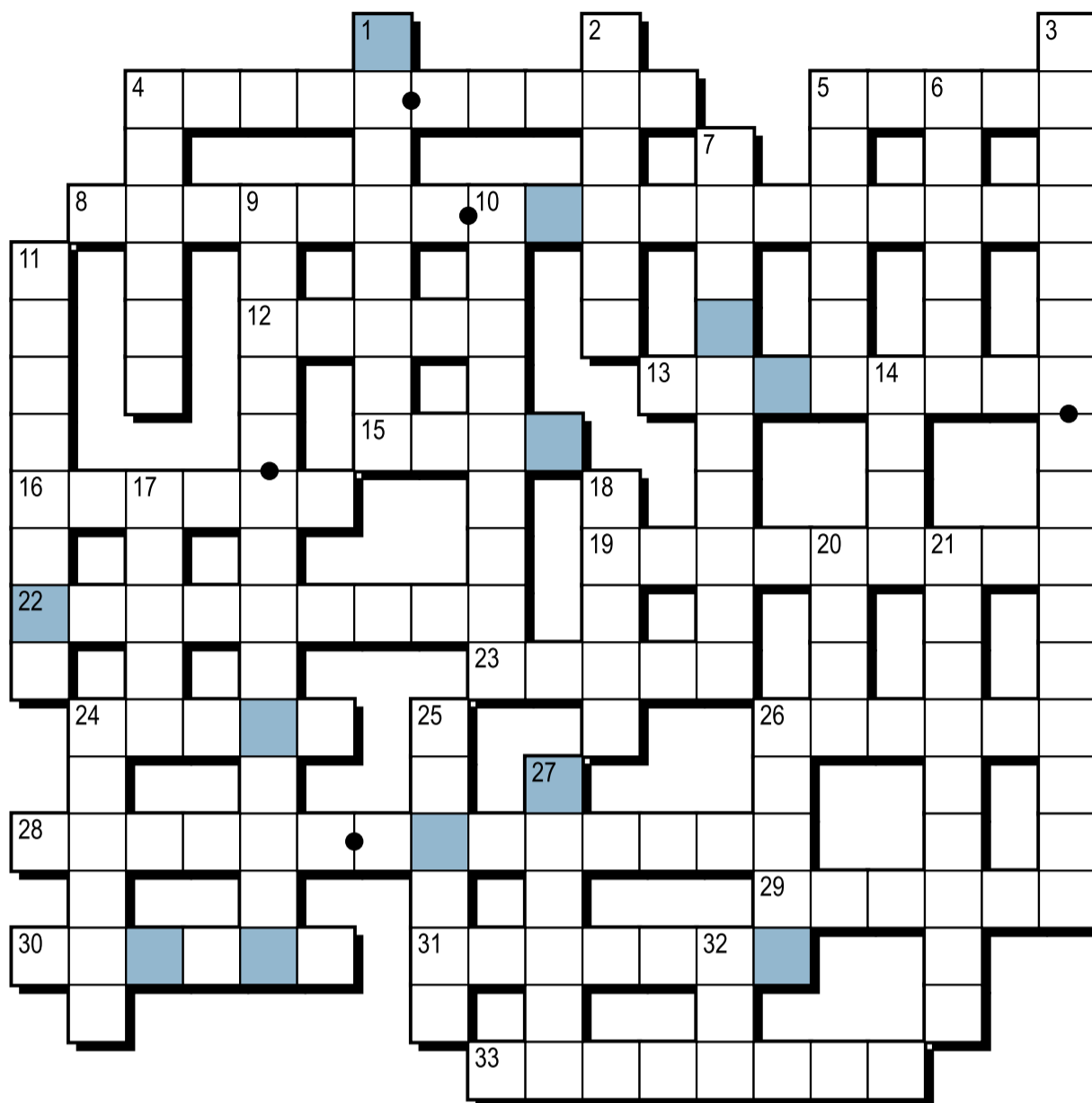
Bo mimo sprawnego poradzenia sobie ze spychaczem Stefan Karwowski był „everymanem” ówczesnej Polski: safandulowaty, nieco zakompleksiony, z obowiązkowymi wąsami, odziany w nudne marynarki.

Dlatego w pierwszym odcinku „Toast, czyli bliżej niż dalej”, Karwowski przeprowadza rachunek sumienia, w którym pomagają mu m.in. tragicznie zmarły kolega z dzieciństwa, przelożony z czasów służby wojskowej, szkolna miłość i młoda kobieta, w której Stefan skrycie się kochał, ale której nigdy nie miał śmiało wyznać uczucia. „Miałeś jechać na Madagaskar zaraz po wojnie”, „Dlaczego nigdy pan do mnie nie podszedł, nie dał numeru telefonu”. „Nawet nie miałem telefonu” – odpowiada Stefan.

Skrzący się humorem, pełen trafnych obserwacji PRL-owskiej rzeczywistości, świetnie napisany i zagrany (prócz Kopiczyńskiego błyszczeli Anna Seniuk, Leonard Pietraszak czy Irena Kwiatkowska) serial od razu przypadł do gustu publice. Zresztą przypada do dziś, choć obiektywnie musiał się przeciwieć zesterzać, osadzony w określonych realiach. Może dlatego, że choć dzisiejsi konsumenci „Czterdziestolatka” zgolili po większości wąsy, to wciąż gdzieś umykają im młodzieńcze Madagaskary i niewydzwonione pierwsze miłości?

Dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy zaś twórczości Jerzego Gruzy. Do dzieła, proszę Państwa, bo wiecie, czas pogania... ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



SPOTKANIE Z GRUZĄ Literey w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** „Dzień dobry, ja zbieram ... dla konia”
5) ... samochodu na giełdzie, w 9. odcinku „Czterdziestolatka”
8) niezapomniany odtwórca roli inżyniera Karwowskiego
12) owad w tytule filmu „... jestem, czyli romans 40-latka”
13) miasto, w którym pracował czterdziestolatek i mieszkali bohaterowie „Wojny domowej”
15) „Pierścień i ...”, baśń filmowa z Różyczką i księciem Lulejką
16) Kazimierz, ojciec Pawła („Wojna domowa”)
19) jedno z rozlicznych zajęć 3 pionowo (komiwojażerstwo)
22) nowy ... odcinka robót,

powoływany w 14. odcinku „Czterdziestolatka”

- 23)** imię odtwórczyni roli 3 pionowo, a także żony 16 poziomo
24) doktor ... Stelmach, przyjaciel 8 poziomo
26) socjalistyczny – satyrycznie punktowany w serialu o Karwowskim
28) zagrał nowobogackiego Nowaka w serialu „Tygrysy Europy”
29) Irena Kamińska dla Anuli („Wojna domowa”)
30) pieszczotliwie o mamie Marka i Jagody
31) Krystyna Stankiewicz („Przeprowadzka”) lub Agnieszka Dygant („Gosia i Małgosia”)
33) komedia z Wiesławem Gołasem w roli słomianego wdowca (ptak)

Pionowo:

- 1)** stanowisko Wardowskiego, szefa inżyniera Karwowskiego
2) Kocmołuchy, z którymi występował Paweł Jankowski („Wojna domowa”)
3) żadnej pracy się nie bała!
4) Anna, wcieliła się w rolę inżynierowej Karwowskiej
5) ... wieku średniego
6) etat, stanowisko pracy
7) Beata, w „Tygrysach Europy” zagrała żonę Edwarda Nowaka
9) wcielił się w rolę technika budowlanego Maliniaka
10) ... z pracy, „ciało doradcze” Karwowskiej
11) wścibska sąsiadka rodziny Kamińskich z „Wojny domowej” (z liter wyrazów: kraj, sowa)
14) „U nas można uchodzić za kulturalnego człowieka, nie mając ... na przedzie”,

sposrządzenie 24 poziomo (w mianowniku)

- 17)** odpowiedni sposób odżywiania się
18) brat Jagody Karwowskiej
20) ... męski, żartobliwie o 24 pionowo
21) inżyniera Karwowskiego – umowy
24) charakterystyczny element garderoby Karwowskiego
25) imię czterdziestolatka lub imię głównego bohatera filmu 33 poziomo
26) Pańska z serialu o czterdziestolatku lub Senatorska z „Wojny domowej”
27) „... tańca”, film z Andrzejem Łapickim
32) męczy po zakrapianej imprezie

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr z 9.05:

Poziomo: 1) horror 5) Studio 9) Cezary 10) Wieczera 14) Lailonia 15) serial 17) Ron 18) piosenka 21) Grzegorz 22) emerytura 23) Rosja 24) Antonio Banderas 29) znak 30) wojna 32) przesąd 34) Ramzes 35) kapelusze 36) bar micwa 38) gospodarz 39) Rodzinka.

Pionowo: 1) hotele 2) rocznica 3) rock 4) Dyżma 6) triskaidekafobia 7) duch 8) król 11) Andrzej 12) Hannah 13) flaga USA 14) liczba 16) Pokora 19) Shelton 20) karciarz 25) niedobór 26) Ropa 27) Szczecin 28) Warszawa 31) Apollo 33) skecz 37) ród. **Hasło:** TRZYNASTA STRONA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34426992



CODZIENNIE w Wyborczej

**Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia**



Rusz głową!
Nie nudź się w domu!



wysokieobcasy

wyborcza

13 / Psychologia

Wrażliwość
- kompetencja
przyszłości

18 / Styl życia

Emocje
zapisane
w moherze

MARTYNA
WOJCIECHOWSKA

Każdy ma swoją *Everest*

- rozmowa Agnieszki Urazińskiej

Motorówką w stronę horyzontu

JOANNA
WRÓŻYŃSKA



Kiedy byłam mała, co roku jeździłam na wakacje nad morze. Godzinami wgapiałam się w bezkresny Bałtyk, zafascynowana odległą linią, gdzie woda płynnie przechodziła w niebo. Ideę horyzontu poznałam wcześniej, choć do dziś wyraźnie pamiętam, jak zza sąsiedniego parawanu ktoś przekonywał, że „jakby wziąć motorówkę, to by się do niego dopłynęło”. Cóż to by była za strata!

Nieco ponad dekadę temu Martyna Wojciechowska, dziennikarka, podróżniczka i nieustraszona entuzjastka przekonywania innych, że niemożliwe nie istnieje, wydała książkę, którą zatytułowała „Przesunąć horyzont”. Opisała w niej nie tylko swoją wyprawę na Mount Everest, ale też tę dużo trudniejszą drogę, którą musiała przebyć wewnątrz siebie po stracie przyjaciela, chorobie i wypadku, w którym złamano kręgosłup. Jeśli osoba, której lekarze mówili, że może zapomnieć o powrocie do pełnej sprawności, a później o własnych siłach zdobywa górę gór, zapewnia, że mogą więcej, niż mi się wydaje, to komu mam zaufać, jeśli nie jej?

Dziś, 20 lat po tym, jak stanęła na szczycie Ziemi, wraca do tamtych chwil, opatrując je nowym komentarzem. O tym, jak patrzy na tę wyprawę przez pryzmat nowych doświadczeń, i dlaczego warto przesunąć swój horyzont, opowiada Agnieszka Urazińskiej.

Martyna Wojciechowska całym swoim życiem udowadnia, że marzenia są po to, żeby je spełniać. Nie znaczy to wcale, że będzie łatwo. Nie znaczy jednak też, że będzie trudno. Cza-

mi od celu ważniejsza może okazać się droga, kiedy indziej zdamy sobie sprawę, że to, do czego dążymy, wcale nie jest tym, czego tak naprawdę chcemy. W tym numerze opowiada mi o tym Frances van Hasselt, artystka z Republiki Południowej Afryki, która wraz z kilkunastoma kobietami ze swojego rodzinnego Karoo ręcznie przędzie tkaniny z moheru. To nie był jej plan na życie. Marzyła o pracy w świecie wielkiej mody i desperacko pragnęła uciec z Afryki. A kiedy jej się to udało, zdała sobie sprawę z tego, że to, za czym tak goniła, znajduje się na farmie jej rodziców, u stóp Gór Swartberg.

Zupełnie inny horyzont ma przed sobą Marta Gawrylik, mama Stasia, chłopca z głęboką niepełnosprawnością, która prowadzi profil „Z górki na pazurki” i z którą rozmawiała Karolina Jaroszewicz. Gawrylik metaforyczny Everest zdobywa ze swoją rodziną. Każdego dnia walczy o godne życie dla Stasia, ale i o to, żeby „starczyło jej” też dla dwójki jej młodsze rodzeństwa. Mogłoby pomóc jej w tym państwo, dofinansowując asystencję osobistą, ale to od lat problem, z którymi kolejne rządy nie potrafią się uporać.

Dla każdego z nas horyzont, o którym mówi Martyna Wojciechowska, będzie oznaczał co innego. Kiedy usłyszałam to wspomniane na początku zdanie o płynięciu do niego motorówką, potraktowałam je wtedy dosłownie. Dziś patrzę na to inaczej i myślę sobie jednak, że warto próbować. Choćby po to, żeby przekonać się, co nas czeka po drodze. ▲

Joanna Wróżyńska – redaktorka prowadząca



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

■ **NA OKŁADCE:** Anne Hathaway: Dziś jest kimś zupełnie innym • Katarzyna Zillmann: Weszłam na nowy poziom ■ **TEMAT NUMERU:** • Zwierzęta. Jak je mądrze kochać ■ **POZA TYM:** • Agata Turkot: Nie jestem typem aktywistki • Premierki Irlandii Północnej • Dorota Sumińska z córką Martą Stachowiak • Lily Collins: Tato, wybaczam ci • Paulina Cudna: SOR dla dzikusów ■ **HERSTORIA:** Ruth Asawa, jedna z najbardziej innowacyjnych artystek XX wieku ■ **PSYCHOLOGIA:** • Prawo matki do życia po swojemu • Koniec miłości: Kiedy nie ma sensu walczyć o relacje • Wirtualny seks: Proteza deficytu czy koło ratunkowe? ■ **ROZWÓJ:** Pułapki terapii • Destrukcyjny wpływ dysleksji

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



wysokieobcasy.pl



listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Joanna Wróżyńska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczyńska
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sasz

PRODUKCYJA:
Dorota Jezerska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloach
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyorbca sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyorbca.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFE PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stozek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronach 3, 28 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obscasy” nr 20 (1391)
NA OKŁADCE:
MARTYNA WOJCIECHOWSKA
FOT. MARTA WOJTAŁ
DLA WYDAWNICTWA AGORA



veoli

botanica

Złoto dla wymagającej okolicy oka

Regeneracja, lifting i spektakularne rozświetlenie już po 20 sekundach.

Poznaj serum **20 SECONDS MAGIC EYE TREATMENT GOLD**, złotą odśłonę bestsellera pod oczy i na powieki od Veoli Botanica, który pokochały tysiące kobiet.

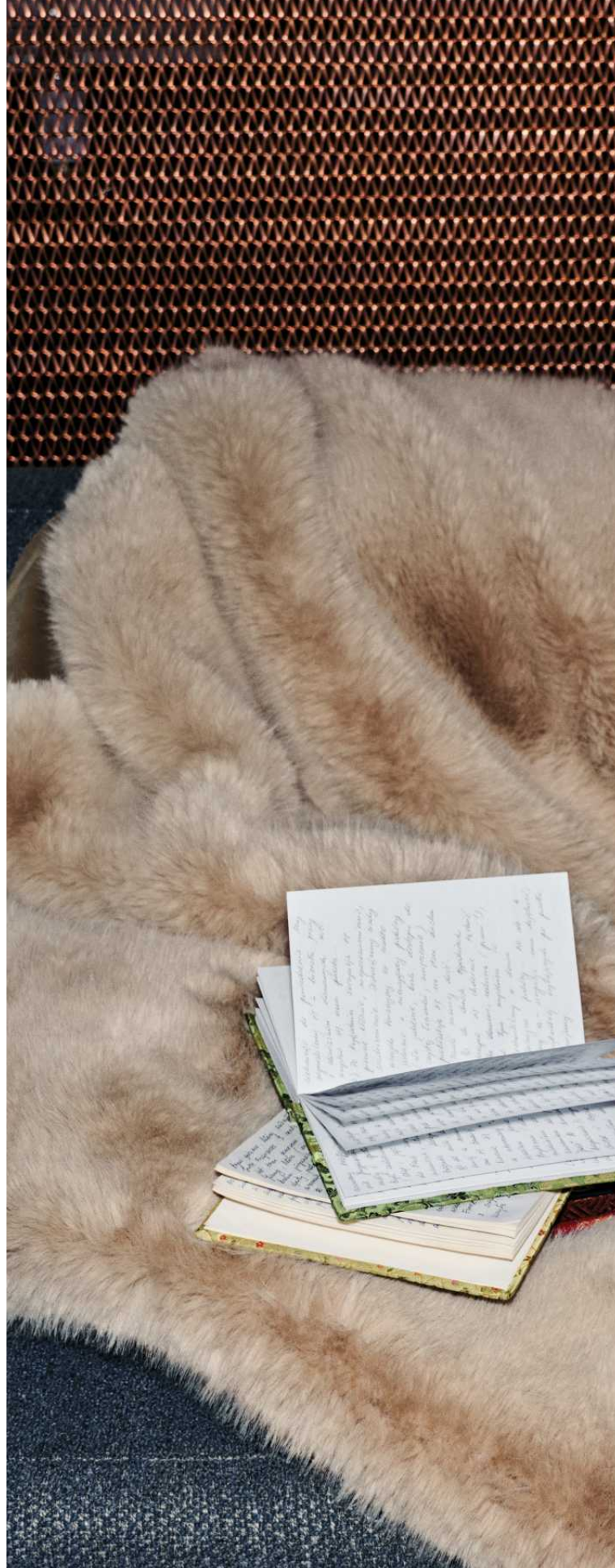


Zeskanuj i zamów w limitowanej ofercie z okazji Dnia Mamy na veolibotanica.pl

MARTYNA
WOJCIECHOWSKA

Droga się nie kończy

Szczyt góry jest bardzo symboliczny, bo przecież każdy ma swój Everest – dla jednych to trudny moment w życiu, rozwód, utrata pracy, dla innych – choroba czy utrata kogoś bliskiego





Z MARTYNĄ WOJCIECHOWSKĄ, DZIENNIKARKĄ
I PODRÓŻNICZKĄ, ROZMAWIA AGNIESZKA
URAZIŃSKA, ZDJĘCIA MARTA WOJTAL
DLA WYDAWNICTWA AGORA

Z

Zrobiłabyś to jeszcze raz?

– Czy poszłabym na Everest? Po stokroć tak, bo zawsze war-
to przesunąć horyzont. Ale na własnych zasadach, jak wte-
dy. A to już niemożliwe.

Co się zmieniło?

– Ja. Bardzo. Ale to góry zmieniły się tak, że podobna wypra-
wa jak 20 lat temu nie byłaby już możliwa. Tłum ludzi, lata-
jące nad głową śmigłowce, robienie relacji i rolek na Insta-
gram, GPS, łączenia na żywo – tak to teraz wygląda.

Ja topografii uczyłam się na pamięć z papierowych map.
A gdy zapadała ciemność, naprawdę odczuwaliśmy noc, tak-
ką nierozświetlaną światłem ze smartfona. I nie musiałam
stać w kolejce na Evereście, a tak się tam teraz często zdarza.

Zastanawiałaś się nad każdym gramem bagażu, ale na wysokość ponad 8000 metrów wniosłaś ze sobą notes.

– Rozważałam, czy nie wyjąć tekturki z papieru toaletowe-
go, bo to przecież dodatkowy ciężar. Zrezygnowałam z wielu
rzeczy, ale nad notesem się nie zastanawiałam. Miałam wiel-
ką potrzebę opisywania na bieżąco tego intymnego przeży-
cia, spotkania z samą sobą w Himalajach.

Dokumentowałam wyprawę, przelewałam myśli na pa-
pier. Tam, w surowych warunkach, gdzie każdy oddech był
wysiłkiem. Gdy zamarzył długopis, pisałam ołówkiem. Później
całe fragmenty, bez zmian, znalazły się w pierwszym wyda-
niu „Przesunąć horyzont”. W najnowszej książce umieści-
łam zdjęcia kartek z tego notesu. To była forma porządko-
wania myśli. Cała ta wyprawa była dla mnie po to. Była pró-
bą przetrwania, ucieczką od śmierci do życia.

Pomysł na górę gór narodził się w trudnym momencie.

– Najgorszym z możliwych. W 2004 roku na Islandii, w cza-
sie zdjęć do programu „Misja Martyna”, mieliśmy wypadek
samochodowy. Zginął Rafał Łukasiewicz, operator kamery
i mój przyjaciel. Umierał na moich oczach, a ja byłam bezsilna.
Doświadczylam śmierci bliskiej osoby, sama miałam złamany
kręgosłup. Lekarze mówili, że nie wrócę do pełnej sprawno-
ści, że mogę zapomnieć o wspinaczce, o jeździe na motocyklu,
o bieganiu i innych aktywnościach. To było jak wyrok. Straci-
łam sens życia. Do tego poczucie winy, że to ja ocalałam, a nie
Rafał, który miał wspaniałą żonę i trójkę dzieci. Nie chciałam
rehabilitacji, niczego nie chciałam, nie chciałam nawet obu-
dzić się kolejnego dnia rano. Teraz wiem, choć wtedy nikt te-
go nie nazwał, że miałam depresję, może także zespół stresu
pourazowego, towarzyszyły mi myśli rezygnacyjne.

„Czuje, że muszę przesunąć swój horyzont, żeby odzyskanie sprawności było tylko nic nieznaczącym etapem” – napisałaś, gdy postanowiłaś, że wejdiesz na Mount Everest. Zrobiłaś to półtora roku po wypadku.

– Poczulałam, że albo się zapadnę w sobie, albo upadnę na dno i od tego dna się odbiję. Stąd pomysł na przesunięcie horyzon-
tu, na wyobrażenie sobie siebie dużo dalej niż kolejny dzień,
a w zasadzie wyżej. Moim sposobem na poradzenie sobie
z traumą i poczuciem winy było skrajne zmęczenie, bardzo
fizyczne, żeby pokonać bariery we własnej głowie, dowie-
dzieć się, gdzie leży granica moich możliwości. Dowiedzieć
się czegoś nowego o sobie.

Czego się dowiedziałaś?

– Że stać mnie na wiele i że nawet w najtrudniejszych sytu-
acjach mój kręgosłup moralny jest mocny. Choć ten praw-
dziwy jest złamany.

„Przesunąć horyzont” wydałaś po raz pierwszy dwie de- kady temu.

– Większość tamtej książki powstała w trakcie wyprawy
na Mount Everest pomiędzy kwietniem a majem 2006 ro-
ku. Drugie wydanie uporządkowałam. Trzecie pojawiło
się na rynku niedługo po śmierci Artura Hajzera, himala-
isty, który był dla mnie... Nawet nie wiem, jak go nazwać...
Trenerem? Mentorem? Na pewno wielkim autorytetem.
I moim najlepszym przyjacielem. W trakcie wyprawy na
Mount Everest nie był z nami fizycznie, ale przesyłał cen-
ne rady. Później przez osiem lat słyszeliśmy się niemal co-
dziennie. Dzięki jego wsparciu zrealizowałam projekt Ko-
rona Ziemi – zdobyłam siedem najwyższych szczytów gór-
skich na siedmiu kontynentach. Kiedy w 2013 roku Artur
zginął w górach, w trakcie wspinaczki na Gasherbrum I, po-
czułam, jakby ktoś puścił moją rękę na ruchliwym skrzyżo-
waniu. Mieliśmy wiele planów na kolejne wyprawy, a zosta-
łam sama. Przy trzecim wydaniu książki byłam w tak sł-
abej formie psychicznej, że powycinałam wiele fragmentów,
przekonana, że trzeba się trzymać spraw zasadniczych. Nie
dawałam sobie miejsca na wrażliwość.

A po co „Przesunąć horyzont. 20 lat później”?

– Założenie było takie, że uaktualnię wcześniejszą wersję,
dodam przypisy tam, gdzie z powodu upływu czasu trzeba
coś wyjaśnić. Okazało się, że wiele rzeczy widzę inaczej. Tak
bardzo, że nie wystarczy przypis.

Co na przykład?

– Przez lata powtarzałam, że „szklanka jest do połowy
pusta” i trzeba ją napelnić. Teraz widzę to odwrotnie. Po-
za tym, gdy pisałam pierwszą wersję, opis traumy i żało-
by był uboższy, bo o tych tematach nie mówiło się wiele,
a korzystanie ze wsparcia psychologicznego nie było dla
mnie normą. Inny był świat – media, muzyka, styl życia.
Żeby młodzi, a wierzę, że i oni sięgną po książkę, zrozu-
mieli kontekst, trzeba było sporo dopisać. Ja też jestem
już inną osobą i moja perspektywa wybrzmiewa. To cał-
kiem inna książka. No i jest prawie dwa razy dłuższa, bo
dopisałam wiele rozdziałów o tym, co wydarzyło się już
po zdobyciu góry gór.



PRZESUŃ HORYZONT

Jaki horyzont w Waszym życiu przesunęłyście? Gdzie leżą Wasze marzenia, które jeszcze czekają na spełnienie? Jeżeli i Wy, podobnie jak nasze bohaterki, zdecydowałyście się podjąć wysiłek, by odkryć w swoim życiu więcej, podzielcie się z nami i naszym czytelniczkami Waszymi historiami. Są one dla nas ważne i wierzymy, że mogą one inspirować innych do zmian wartych wysiłku. Najciekawsze listy opublikujemy. Jeśli wolisz zachować anonimowość, uszanujemy to, zaznacz to proszę w mailu. Na Wasze historie czekamy pod adresem przesunachoryzont@agora.pl

– Wspinałam się z Darkiem Żaluskim. Szliśmy w podobnym tempie, na końcówce musiał się zatrzymać, bo też szwankowała mu maska. Czekałam jednak na niego, bo nie wyobrażałam sobie inaczej. Może dlatego tak mi się podoba to, czego się o sobie na Evereście dowiedziałam. W sytuacji, gdy trudno o każdy oddech, a człowiek przekracza możliwości swojego organizmu, siła, wytrwałość, lojalność w stosunku do partnera mają wyjątkowy wymiar. Chciałam być z Darkiem, dzielić z nim ten moment.

Co się czuje na szczycie?

– Ulgę, że nie trzeba iść już nigdzie wyżej. Ale zdajesz sobie też sprawę, że jesteś dopiero w połowie drogi, a schodzenie jest trudniejsze – człowiek popełnia łatwo błędy, pogoda się pogarsza, masz ograniczony czas, żeby zdążyć przed zmierzchem. Więcej wypadków w górach zdarza się w drodze powrotnej. Gdy biegniesz w maratonie, na linii mety możesz triumfować, paść na trawnik i odpoczywać. Na szczycie nie jesteś u celu. „Zwyciężyć znaczy przeżyć”, jak powiedział znany himalaista Aleksander Lwow. Ze szczytu góry najlepiej też widać inne szczyty do zdobycia i zdajesz sobie sprawę, że droga się nie kończy, że horyzont możesz przesunąć wielokrotnie. Właściwie to zmienia w życiu wszystko, ale niczego nie zmienia.

A w domu czekał na ciebie rosół i kotlety mielone mamy.

– I ogrom wsparcia. Od dziecka miałam śmiało pomysły – rodzice nigdy nie temperowali mnie w tych marzeniach, więc mogłam rozwijać skrzydła. To, że we mnie zawsze wierzyli, jest nie do przecenienia.

Nielatwo być rodzicem takiej ekstremalnej córki.

– Przez wyprawą na Everest tata wszelkimi sposobami próbował mnie zatrzymać, przestał się nawet odżywać, kazał mi spisać testament, a na lotnisku płakał. Później mówił z dumą „moja krew” i „jesteś najlepsza”.

Mama martwiła się, co jesz w tych górach.

– Dziś, jako mama 18-letniej Mani, nie mogę zasnąć, gdy córka wychodzi. Rozumiem, jak trudno musiało być mojej mamie zapanować nad lękiem o mnie. Moi rodzice byli dla mnie liną poręczową. Nie musisz z niej korzystać. Ważna jest świadomość, że ona jest.

Wierzę, że wsparcie bliskich to największy kapitał na życie. Niestety nie każdy ma w życiu tyle szczęścia – o czym przekonujemy się każdego dnia pracy w projekcie MŁODE

I wcale nie jest o tym, jak zdobyć Everest.

– O, zdecydowanie to nie instrukcja. Szczyt góry jest bardzo symboliczny, bo przecież każdy ma swój Everest – dla jednych to trudny moment w życiu, rozwód, utrata pracy, dla innych – choroba czy utrata kogoś bliskiego. Choć dużo tu o wyprawie, to nie jest książka o wspinaczce. Wracam do momentu, gdy przyjaciel umiera na moich oczach. Ale to nie jest książka o umieraniu. Raczej o celebracji życia. To nie jest również moja biografia, tylko wycinek życia wokół określonych wydarzeń. To też nie jest tak, że celebrytka napisała poradnik – daleko mi do radzenia ludziom, jak mają żyć. To nie jest książka tylko dla kobiet, bo mężczyźni też tam siebie odnajdą. I nie jest to książka wyłącznie dla moich rówieśników, bo bardzo młodym ludziom, którzy pojęcia nie mają, co to „Big Brother” i kto jest Martyna Wojciechowska, też może pomóc w poszukiwaniu własnej drogi.

Co czułaś w górach, gdy cel był już blisko?

– Po 49 dniach wyprawy, w Obozie IV, w temperaturze 30 stopni poniżej zera, gdy szczyt wydawał się tak blisko, dotarło do mnie, że nie ma odwrotu. Na tej wysokości już nawet nie da się spać ani normalnie funkcjonować. Możesz więc albo zawrócić, albo zmierzyć się z własną słabością i nie szukać wymówek. Atak szczytowy rozpoczęliśmy w nocy, bo wtedy są lepsze warunki i więcej czasu, żeby zejść za dnia. Na horyzoncie rozpuściła się burza, miałam też duże problemy z maską tlenową. „Serio, przez głupią maskę nie dotrę do celu?” – myślałam. I parłam do przodu.

Kilkanaście kroków przed szczytem zatrzymałaś się, żeby poczekać na partnera. Nie kusilo cię, żeby wejść tam jak najszybciej?

GŁOWY Fundacji UNaweza. Dlatego tak bardzo zachęcamy dorosłych, żeby poczuli się odpowiedzialni za młode pokolenie, a dzieciaki – żeby zawsze pamiętały, że warto sięgać po wsparcie, także innych osób niż rodzice, na przykład trenerki, nauczyciela, psychologa szkolnego. Więcej informacji można znaleźć na naszej stronie mlodeglowy.pl

A ty jaką jesteś mamą?

– Jak mogę mówić mojemu dziecku, żeby nie podejmowało ryzykownych decyzji? Jestem w tym doprawdy mało wiarygodna. Marysia się wtedy ze mnie śmieje. No i nie daje mi wielu okazji do wypowiedzania takich rad. Bo widzisz, ja cały czas czekałam, że ona się będzie buntowała, będą szaleństwa, imprezy, problemy. A moja córka jest poukładana, metodyczna, przestrzega zasad i zauważa moje najmniejsze uchybienia. Jest pod wieloma względami bardzo różna ode mnie. I to chyba właśnie jej rodzaj buntu.

Jak sobie z tym radzisz?

– Czasem mnie to zawstydza. A jednocześnie czuję, że wiele dałam jako mama, i jestem z tego dumna. Mimo że żyję w sposób, który przez niektórych może być postrzegany jako szalony, przyczyniłam się do tego jej umiłowania prawdy, rzadko spotykanej uczciwości, empatii, wrażliwości. Mam w tym swój udział. Ja i cała wataha.

Wataha?

– Wychowałam Marysię przy wsparciu wielu bliskich mi osób. Dziadkowie Mani, rodzina, przyjaciele, moje wspaniałe przyjaciółki – każdy z nich zostawił cząstkę, która ukształtowała moją córkę, każdemu dziękowałam w dniu 18. urodzin Marysi.

Jak czuje się człowiek, gdy czyta, że się skończył?

– Pamiętam moment, kiedy powstało to zdjęcie. Siedzę na wózku inwalidzkim na cmentarzu, żeby pożegnać zmarłego Rafała. Czuję, że samą swoją obecnością psuję tę uroczystość, bo za mną przyjechali paparazzi. Zdjęcia trafiły do brukowców, z tytułami: „Czy to koniec misji Martyny?” i dopiskiem „Wojciechowska się skończyła”.

Wielokrotnie wracasz do myśli, że to ty powinnaś umrzeć, nie Rafał.

– Wartościowałam sobie życie Rafała: miał żonę, trójkę małych dzieci, ja bez rodziny, wiodłam szalone życie. Porównywałam i wyszło, że jego było ważniejsze. I jeszcze – robiliśmy mój program, ja go wybrałam na operatora. Mogłam usiąść za kierownicą, nie z tyłu. On zawsze siadał z przodu, tym razem był ze mną na tylnej kanapie. Nie zapięliśmy pasów, zasnęliśmy ze zmęczenia. Długo pytałam samą siebie: ile rzeczy można było zrobić inaczej, żeby uniknąć tej śmierci?

Uwierzyłaś w końcu, że bliscy Rafała cię nie obwiniają?

– Wiele razy ich o to pytałam. Niedawno rozmawialiśmy z Alicją, żoną Rafała, jego dziećmi: Julką i Kubą o tym, czy opisy tamtych tragicznych zdarzeń w mojej książce nie będą dla nich za trudne. Powiedzieli, że traktują to jak upamiętnienie życia taty i że to dla nich ważne, żebym kontynuowała także jego misję. Dopiero teraz, widząc dorosłych już, wspaniałych ludzi, poczułam spokój.



MARTYNA WOJCIECHOWSKA,
„Przesunąć horyzont.”
20 lat później”, wyd. Agora

Trudno było w czasie pisania wracać do trudnych wspomnień?

– Nie wiedziałam, dokąd mnie to zaprowadzi. Pojawiały się flesze z tamtych zdarzeń. Tak działa trauma. Wracam z książką 20 lat później, bo czuję, że zapis tej drogi może być pomocny wielu ludziom. Po poprzednich wydaniach, w czasie spotkań z czytelnikami i czytelniczkami, słyszałam, jak wiele z mojej historii ludzie brali dla siebie. I że to im pomagało w trudnych chwilach. Najnowsza książka jest też dla tych, którzy zetkną się z tą historią po raz pierwszy i może zechcą zdobyć własne Everesty. Jest o tym, że można ból nazwać, można szukać wsparcia. Przez większą część życia powtarzam, że niemożliwe nie istnieje, co nie znaczy, że wszystko jest możliwe. Bo tak wiele zależy od warunków zewnętrznych. Ale – i mówię to z całą mocą – możesz więcej, niż myślisz. Więcej, niż świat ci mówi, że możesz.

Odporność psychiczną buduje się w trudnych momentach – powiedziałaś.

– A mnie wiele w życiu nie wyszło. Począwszy od tego, że nie przestrzegałam reguł i wyrzucili mnie z przedszkola. Siedziałam więc w warsztacie samochodowym z moim tatą i w wieku 10 lat uznałam, że zostanę kierowcą rajdowym (wtedy nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby mówić kierowczyni). W końcu napisałam scenariusz do programu motoryzacyjnego, który poprowadziłam, a kilka lat później wystartowałam w Rajdzie Dakar jako pierwsza Polka. Próbowałam sił w modelingu – w zasadzie też nie wyszło. Bo albo ktoś krytykował moją figurę, albo nos. Wyobraź sobie, że już byłam umówiona na operację nosa. Ale pomyślałam: „Będę na okładkach magazynów, ale nie dlatego jak wyglądam, ale dlatego kim jestem”. I w 1996 roku trafiłam na okładkę „Filipinki” jako 22-latką z nietypową jak na tamte czasy pasją motoryzacyjną. Program „Kobieta na krańcu świata” powstawał w bólach, potem traciłam go dwa razy i musiałam o niego zawalczyć – zebrać nową ekipę, zabiegać o pieniądze. Nie mówiąc o tym, że małżeństwo mi nie wyszło. I mogłabym tak jeszcze wylizać.

Motocykle, rajdy samochodowe, maratony, nurkowanie na 127 metrów, a w końcu najwyższa góra świata. To wszystko ty.

– Zawsze sięgałam po bardzo ekstremalne doznania. Bywały w tym elementy samoznisczenia, w pewnej chwili się zapętiłam. Gdybym się nie zatrzymała, wchodziłabym na kolejne wysokie góry szukać kolejnych granic swoich możliwości. I nie wiem, czy bym wyszła z tego cało i czy dziś byśmy rozmawiały.

Co cię zatrzymało?

– Macierzyństwo. To był dla mnie moment największej przemiany. Nie twierdzę, że każda kobieta powinna mieć dziecko – to zawsze jest kwestia indywidualnej decyzji. Dla mnie jest to doświadczenie niezwykle, choć przeszłam przez kryzys związany z pytaniami, kim jestem i czego chcę. Macierzyństwo to niestety wciąż tabu, tak dużo wokół niego lukru i nieprawdy. Spotykam, i w Polsce, i na krańcach świata, kobiety, które mówią, że zostały oszukane co do tego, czym macierzyństwo jest. Że nie miały szansy się przygotować na to doświadczenie.

Jak zostałaś najgorszą matką świata?

– Jako młoda dziewczyna straciłam ciążę w dramatycznych okolicznościach, a lekarze mówili, że nie będę mogła mieć dzieci. Tata Marysi był po ciężkiej chorobie i też żył z diagnozą, że nie dane mu będzie zostać ojcem. A jednak zaszłam w ciążę. Zupełnie się tego nie spodziewałam, byłam już spakowana na wyprawę na Elbrus w ramach mojego projektu Korona Ziemi. Pojechałam się wspinać we wczesnej ciąży, dałam radę. Narodziny Marysi były wielkim szczęściem. Później zaczęła się huśtawka, miałam problemy z karmieniem piersią, przekonanie, że sobie nie radzę – zrobiło się ciężko. O depresji poporodowej 18 lat temu bardzo mało się mówiło. Dziś mówi się więcej, ale nadal za mało – statystycznie tygodniowo jedna kobieta w pogoju odbiera sobie życie; przypuszcza się, że najczęściej właśnie z powodu depresji poporodowej. Ja w tamtym okresie potrzebowałam wyznaczenia sobie celu, potwierdzenia, że wciąż jestem sobą.

I pojechałaś?

– Na Antarktydę. Wszystko poszło nie tak. Pojechałam sama, nieprzygotowana fizycznie ani emocjonalnie, dołączyłam do jakiejś międzynarodowej wyprawy. Doświadczyłam skrajnego zmęczenia, samotności, dojmującej tęsknoty za dzieckiem. Sądziłam, że opowieść o tym będzie ważna dla kobiet – bo przecież mamy prawo doświadczać trudnych emocji w macierzyństwie, poszukiwać sposobów radzenia sobie z nimi, ale także – że mamy prawo pracować, mieć swoje pasje. A pisali o mnie: „Najgorsza matka świata”. Tymczasem od lat mój grafik jest

tak ułożony, żebym nie była poza domem dłużej niż tydzień, maks dwa. Pilnowałam, żeby być na wszystkich przedszkolnych jasełkach, przedstawieniach i uroczystościach.

Brzmi, jakbyś czuła, że musisz się wytłumaczyć.

– Jakim prawem jako matka pracuję i wyjeżdżam, prawda? W czasie ataku szczytowego na Masyw Vinsona, jedną z najtrudniejszych dla mnie gór, zdałam sobie sprawę, że nie mam siły wrócić. Właśnie tam, w górach, zrozumiałam, co to znaczy być mamą. Zdałam sobie sprawę, że już na zawsze jestem odpowiedzialna za moją córkę, że kocham moje dziecko nade wszystko i że nigdy za nikim tak nie tęskniłam. Zrozumiałam, że my, kobiety, mamy ze sobą tak wiele wspólnego, niezależnie od miejsca urodzenia, koloru skóry czy wyznania, i że są doświadczenia uniwersalne. I tak zajęłam się poznawaniem i opowiadaniem historii kobiet z różnych krańców świata.

Co cię tak gna przez życie?

– Potrzebowałam mocnych doświadczeń i wrażeń, żeby poczuć, że żyję. Był moment, gdy myślałam, że nie cofnę się przed niczym. Urodziła się Marysia i uratowała mi życie. Zatrzymała mnie. Ale to nie znaczy, że prowadzę spokojne życie.

Co jest teraz twoim Everestem?

– Mam w głowie kolejne wyprawy, nurkowanie, wyzwania. Mam też w głowie ze sto pomysłów na kolejne odcinki programu „Kobieta na krańcu świata”, mnóstwo planów do zrealizowania. Ale to, co przychodzi mi najtrudniej, czego chciałabym się nauczyć, to odpoczywanie.

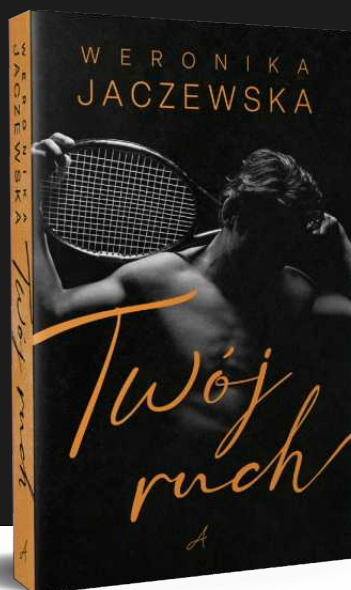
Czy ty się czegoś boisz?

– Wystąpię na scenie. Serio! Nie przed kamerami, tylko na scenie, z ludźmi na widowni. Nie mogę spać kilka dni przed.

Dlaczego to sobie robisz?

– Bo to jest moje przesuwanie horyzontu. Nie chcę się poddawać swoim lękom. Wybrałam, że będę je oswajać. Poza tym to ludzie dają mi najwięcej energii i napęd do działania. ▲

OGŁOSZENIE




NAJLEPSZY

SPORTOWY
ROMANS

TEGO ROKU!

PREMIERA 20.05

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA

WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

Ala!
WIEDUCICTWO

Dzień planujemy godzinami

Nie zgadzam się na to, żeby moje dziecko, z poważnym uszkodzeniem układu nerwowego i ogromnymi potrzebami, funkcjonowało w Polsce bez realnego wsparcia

Z MARTĄ GAWRYLIK
ROZMAWIA KAROLINA JAROSZEWICZ

Prowadzisz profil „Z górki na pazurki”, na którym opowiadasz o życiu swojej rodziny, skupionym głównie wokół Stasia – dziecka z głęboką niepełnosprawnością. Niedawno opublikowałaś rolę, na której Staś wpada w histerię z powodu nieodpowiedniej średnicy zabawkowego łańcucha. Spotkałaś się z ogromnym hejtem.

– Tak, ale od razu chcę podkreślić, że ta rola nie pokazuje skrajnych emocji Stasia, tylko jedno z najłagodniejszych, jakie u niego występują. Dla mnie i naszej rodziny to było po prostu jego codzienne marudzenie.

Zarzucano ci, że nie masz prawa pokazywać takich emocji.

– Zdecydowałam się opublikować ten film, bo chciałam pokazać, jak blaha rzecz potrafi wyprowadzić dziecko z niepełnosprawnością z równowagi. Jak może całkowicie zmienić jego świat, a w konsekwencji także nasze życie. To, nad czym większość z nas nawet się nie zastanawia, dla takich dzieci ma ogromne znaczenie. Tym razem był to łańcuch, innym razem mogą to być nieodkryte drzwi czy niezapalona lampka.

Najbardziej zabolalo chyba niezrozumienie ubrane w mentalne poczucie wyższości typu: krzywdzisz dziecko, nie masz empatii, pokazujesz cierpienie.

Pojawił się też zarzut, że Staś nie wyraził zgody na publikację.

– To prawda – Staś nie wyraził zgody. Ale ja nie wyrażam zgody na to, żeby moje dziecko, z tak poważnym uszkodzeniem układu nerwowego i ogromnymi potrzebami funkcjonowało w Polsce bez realnego wsparcia.

Kiedys sama nie rozumiałam, dlaczego różne środowiska – na przykład LGBTQ

– tak wyraźnie manifestują swoją obecność. Zastanawiałam się: po co aż tak? Dziś widzę, że niewidzialność sprawia, że ludzie zaczynają walczyć o to, by zostać zauważeni. Pokazują siebie i prawdziwy świat. A niepełnosprawność jest jego częścią – nie wyimkiem. I właśnie to pokazałam.

Napisałaś na swoim profilu: „Kiedy system cię nie widzi, zaczynasz krzyczeć – czasem za głośno, czasem nieelegancko”.

– To był właśnie taki krzyk. Chciałam pokazać codzienność, choć ten film był za ledwie jej mikroskopijnym fragmentem. Nie spodziewałam się jednak, że wywoła aż tak silne emocje.

Niektórzy straszili cię nawet rzecznikiem praw dziecka

– Tak, zarzucano mi, że naruszyłam godność Stasia i że robię to dla zasięgów. Co ciekawe, dzwoniły do mnie także mamy dzieci z niepełnosprawnością intelektualną – i one mnie rozumiały, choć też były poruszone. Nie wiem dlaczego możemy pokazywać uśmiechy i radość dzieci z niepełnosprawnością, a nie możemy pokazywać ich trudnych emocji?

Przecież płacz, złość, frustracja nie naruszają godności, bo to część bycia człowiekiem. Dla mnie płacz dziecka nie jest czymś wstydlivym. To dorośli mają z nim problem.

Dlaczego, gdy dziecko jest „ładne”, to chcemy na nie patrzeć, a gdy się ślini czy zachowuje inaczej niż reszta – budzi to dyskomfort? Nasze społeczeństwo nie jest gotowe na prawdziwy obraz niepełnosprawności. I właśnie dlatego mam ochotę pokazywać więcej takich momentów.

Opowiedz więcej, jak wygląda twoja codzienność.

– Najlepiej byłoby ją po prostu zobaczyć. Bo gdyby przede mną stanęła taka Marta jak

ja i opowiadała mi, jak wygląda jej życie, to nie potrafiłabym tego sobie wyobrazić.

Stas ma głęboką niepełnosprawność intelektualną, z której wynikają trudne zachowania; nie mówi, chodzi samodzielnie w ograniczonym stopniu, jest pieluchowany. Choruje na lekooporną padaczkę – ataki bywają silne i zagrażają jego życiu.

Jednak w tej chwili najtrudniejsza jest jego agresja. Mam ręce pokryte bliznami. Pojawiła się wraz z okresem dojrzewania – to efekt frustracji. Staś uwielbia ruch, spacer, aktywność, rehabilitację. Bardzo źle znosi przebywanie w domu – właściwie nie potrafi w nim funkcjonować.

Wyobraź sobie sobotę: wracamy ze spaceru o 9.30, a już o 10 wiemy, że musimy wyjść znowu. Po drugim czy trzecim spacerze jesteśmy wyczerpani, ale Staś wymusza kolejny. I dla dobra całej rodziny wychodzimy. To nie brzmi dramatycznie, ale w praktyce oznacza ciągle przekraczanie własnych granic i brak jakiegokolwiek przestrzeni na odpoczynek.

Nawet w nocy jesteśmy w gotowości. Śpimy obok, nasłuchujemy, bo jeden nietypowy dźwięk, inne niż zwykle przekłnięcie śliny, może oznaczać nadchodzący atak epilepsji.

Czy Staś chodzi do szkoły?

– Tak, ale kiedy zaczynał się okres szkolny, to było dla mnie bolesne zderzenie z rzeczywistością. Myślałam, że szkoły specjalne są dla takich dzieci jak on. Tymczasem słyszałam: „przyjmujemy dzieci sprawne ruchowo” albo „tylko z lekką lub umiarkowaną niepełnosprawnością”. Pomyślałam wtedy, że dla Stasia nie ma miejsca w świecie.

Ze strachu zapisałam go do prywatnej szkoły specjalnej. Na szczęście dobrze się tam odnalazł. Zajęcia kończą się o 14, a potem zaczyna się logistyka rehabilitacji.

Weekendy i wakacje są trudniejsze?



– To bardzo trudne dni. Staś wstaje o 5.30 i jest gotowy do wyjścia, nie rozumie, że jest np. zimno lub pada deszcz. Nie usiądzie, nie zajmie się sam sobą. Nie włączy mu bajki i nie zrobię w tym czasie śniadania albo obiadu. Dnia nie planujemy porami dnia, lecz godzinami, bo na każdą godzinę musimy mieć dla niego jakąś aktywność, jakieś wsparcie. Podam przykład – Staś dostał się do programu z hipoterapią, którą bardzo lubi. I zimą, gdy przyszyły mrozy, wielu rodziców odwoływało zajęcia, a my jeździliśmy bez względu na zawieruchę. Kalkulowaliśmy: pół godziny drogi, później pół godziny hipoterapii, droga z powrotem i już mamy półtorej godziny zapelnione.

Jeśli nie możemy wyjść, oglądamy razem określone programy – na przykład o tramwajach. Sam nie obejrzy. Trzeba aktywnie uczestniczyć, opowiadać.

Masz jeszcze dwoje młodszych dzieci.

– Tak. One już niestety wiedzą, że ze Stasiem się nie „wygra”. Kiedy on zasypia około 21, wtedy ta dwójka nas, rodziców, dopada i zaczyna się wspólny czas i celebrowanie wieczoru, które trwa do 22.30.

Staś ma 15 lat, a pozostałe dzieci?

– 11 i 3,5. Wiesz, kiedyś, jak było bardzo źle ze Stasiem, miał 13 lat, wszystkim rzucał, krzyczał, to pomyślałam, że Boże, jakie to było egoistyczne, że mam jeszcze dwójkę dzieci w tej sytuacji.

One też wymagają dużo uwagi.

– Tak, ale nigdy nie mówię, że jestem nimi zmęczona. Gdy mój partner Piotrek wyjeżdża ze Stasiem na dwutygodniowy turnus rehabilitacyjny, a ja zostaję sama z młodszymi, to czuję się jak na urlopie.

To chyba nie do końca urlop, bo przecież chodzisz jeszcze do pracy.

– Tak, i paradoksalnie to też jest jakaś forma odpoczynku. Długo się zastanawiałam, czy to, że pracuję, nie odbywa się kosztem Stasia, czy on na tym nie traci. Ale z drugiej strony niepełnosprawność mojego syna jest tak mocna, że gdybym została tylko w tym świecie, to nie funkcjonowałabym tak, jak funkcjonuję teraz. Nie mając żadnego innego bufora, trudno by mi było przetrwać.

Przydałaby się asystencja osobista.

– Ciężko mi mówić o asystencji, bo nawet nie chcę sobie wyobrażać, jakby było cudownie, gdyby była. Jestem tak osadzona w dzisiejszych warunkach, że boję się po-



myśleć, że mogłoby być lepiej, nie chcę żyć marzeniami, żeby nie przyszło jakieś niepotrzebne rozluźnienie, a potem znowu wielki zawód. Nauczyłam się już funkcjonować żołniersko w tym, co mam teraz. Nauczyłam, co nie znaczy, że dobrze sobie radzę.

Staś też byłby szczęśliwy, gdyby miał asystentkę czy asystenta.

– Bardzo. On potrzebuje nowych bodźców, ma dość tego, że cały czas jest z nami. Bo Staś, podobnie jak wiele dzieci z głęboką niepełnosprawnością, potrzebuje relacji i uwagi innego człowieka. Dzieci, które nie mówią i wydaje się, że nie mają możliwości uczestniczenia w życiu, potrzebują bycia po prostu zauważonym. Wiem po Stasiu, jak reaguje, gdy ktoś się z nim wita.

Dzieci z niepełnosprawnościami nie mają przyjaciół, a asystentka mogłaby być przyjaciółką.

Zatrudnienie takiej osoby kosztuje.

– Minimum 50 zł za godzinę, ale my musimy ponosić te wydatki. Jak przychodzi do nas Kinga, opiekunka wytchnieniowa, to pozostałe dzieci się bardzo cieszą, bo wiedzą, że wtedy mamy czas dla nich – idziemy razem na pizzę, czy lody. Albo spacerujemy bez pośpiechu, bez pchania ciężkiego wózka. Robimy takie zwyczajne rzeczy.

Ogromne są też koszty rehabilitacji.

– Tak. A przy niepełnosprawności sprzężonej jaką ma Staś, rehabilitacja dotyczy praktycznie każdego elementu ciała. Oczu, mięśni, bioder, psychiki, ręki, integracji sensorycznej. To jest nieskończona ilość terapii.

A to już wydatek 250 zł za godzinę.

– Dokładnie tyle płacimy, a Staś potrzebuje minimum 3-4 takich godzin tygodniowo. I to nie jest rehabilitacja, która ma sprawić,

że będzie super chodził, tylko po prostu nie dopuścić do pogorszenia jego stanu, żeby nie było przykurczy, a co za tym idzie, bólu. Bez niej by cierpiał.

Dlatego stawianie rodziców w sytuacji, w której od ich operatywności zależy zdrowie ich dziecka, jest bardzo wyniszczające i niesprawiedliwe. A tak to wygląda w Polsce. Nie każdy ma zasoby i możliwości, żeby takim potrzebom wygórowanym i finansowo i logistycznie sprostać.

Prowadzisz profil „Z górki z na pazurki”, żeby zbierać 1,5 proc. podatku?

– Ten profil założyłam pięć lat po tym, jak Staś się urodził. Na początku wypierałam wiele rzeczy. Dopiero lekarka i rehabilitantka uświadomiły mi skalę kosztów i konieczność zbiorów. Usłyszałam, że rehabilitacja będzie kosztowała tyle co kilka samochodów. To był szok.

Zbiórki, rozliczenia, formalności też pochłaniają mnóstwo energii. Czy Wy z Piotrem w ogóle macie czas dla siebie?

– Właściwie nie. Tęsknimy za sobą cały czas. Nasze rozmowy to często 20 minut w samochodzie w drodze do pracy. Wtedy mówimy sobie o najważniejszych rzeczach.

To skąd w tobie ta pozytywna energia?

– Żeby przetrwać, trzeba ogromnej odporności. Na początku było we mnie poczucie dumy, że mimo niepełnosprawności Stasia tak świetnie sobie radzę, jeździmy na rehabilitację, mam pracę, jest w miarę okej. Później zmęczenie, brak odpoczynku i perspektywy na zmiany spowodowały, że ta duma poszła gdzieś daleko i dała miejsce czemuś innemu – nauczyłam się cieszyć z małych rzeczy.

I jestem szczęśliwa, że w sobie to znalazłam. To moja strategia przetrwania. Gdyby nie ona, to już by mnie nie było. Bo jak już jest tak totalnie źle, to albo godzisz się z tym, że nic już cię nie czeka, albo jednak uczysz się w tym żyć, pływać na nowo w tej rzeczywistości. No i ja wybrałam to życie.

Myślisz czasem o przyszłości?

– Nie jestem na to gotowa i chyba wielu rodziców w podobnej sytuacji nie jest. Przyszłość jest naszym największym demonem. Terazniejszość i tak jest wystarczająco wymagająca. Pozornie ją sobie ułożyłam. Na razie jakoś wychodzi, ale zobaczymy. ▲



Janina

Czy dobrze jest „czuć więcej”?

Wrażliwość zaczyna być zasobem w dobie sztucznej inteligencji.
Chcemy mieć kontakt nie z AI, ale z wrażliwym, czującym człowiekiem

Z DR ANNĄ SIWY-HUDOWSKĄ
Z UNIwersYTETU SWPS
ROZMAWIA PATRYCJA PUSTKOWIAK
RYSUNEK PAWEŁ JOŃCA

Bywa, że ktoś mówi o sobie: „Jestem wrażliwy”, mając na myśli empatię, choć empatyczny wcale nie jest. Natomiast te naprawdę wrażliwe osoby obawiają się, że są gruboskórne.

– W sprawie wrażliwości łatwo dać się zwieść pozorom, bo to skomplikowana sprawa, także jeśli chodzi o samo rozumienie tej cechy. Uważamy, że ktoś jest niewrażliwy, a mógł na przykład przejść traumę i zamknąć się w sobie, w ten sposób zabezpieczając się przed dalszym cierpieniem. Ktoś inny postanowił nie wyrażać emocji wprost, aby się znów nie zawieść. Są osoby, które dobrze gospodarują emocjami i nimi nie szafują, a zatem uchodzą za chłodne, podczas gdy w środku mają bardzo bogaty świat wewnętrzny.

No właśnie. To co to w zasadzie znaczy „być wrażliwym”?

– Wrażliwość może być rozumiana na kilka różnych sposobów. Mówi się o wrażliwości sensorycznej, czyli dotyczącej reakcji na bodźce zmysłowe, np. dźwięk, światło, zapachy; o emocjonalnej, czyli intensywnym przeżywaniu emocji; o wrażliwości na innych, czyli empatii; o wrażliwości na sztukę, która w kontakcie z nią pozwala przeżywać uniesienia...

Rodzimy się wrażliwymi czy się tacy stajemy?

– I to, i to. Wrażliwość wiąże się z temperamentem, który z kolei łączy się ze specyfiką funkcjonowania układu nerwowego i jest traktowany jako biologiczne podłoże, na którym wzrasta osobowość człowieka. Układ nerwowy ekstrawertyków może tolerować więcej bodźców i więcej ich też muszą dostać, aby się nie nudzić. Introwertycy przeciwnie – muszą bardziej uważać, by się nie przestymulować, bo wtedy obniża się ich komfort funkcjonowania. Temperament możemy jednak w ciągu życia nieco modyfikować wraz z doświadczeniami i własnym rozwojem, bo choć jest w dużej mierze biologicznie uwarunkowany, to już zarządzanie emocjami, inteligencja emocjonalna są bardziej wyuczone. To rodzice powinni pomóc dziecku radzić sobie z emocjami, wcześniej uświadamiając mu, że je przeżywa poprzez ich na-

zywianie, czyli mówiąc na przykład: „Aha, jesteś zły. Spróbujmy coś zrobić, by uspokoić te emocje”. Jeśli zaś nie wykształciliśmy tych umiejętności w dzieciństwie, możemy próbować robić to już w dorosłości, idąc na odpowiedni trening czy na terapię, czytając o tym albo słuchając informacji zwrotnych od innych osób.

Samokontrola dla osób wrażliwych, które odbierają bodźce intensywniej i reagują na nie silniej, jest chyba kluczowa.

– Owszem, ona w ogóle jest bardzo ważna w naszym dorosłym życiu. Badania przywoływane przez amerykańskiego psychologa społecznego Roya F. Baumeistera wskazują na to, że wyższa samokontrola w wieku dziecięcym pozwala przewidzieć w przyszłości lepszy stan zdrowia i różnorodne sukcesy. Niedostateczna jest źródłem wielu problemów indywidualnych i społecznych. Warto nad nią zatem pracować. Sposobów jest wiele. Z nauką opanowania emocji może współpracować joga i medytacja. Badania nad mindfulness dowodzą, że uważność na siebie i to, co się dzieje w danej chwili, sprawia, że możemy się zatrzymać i przeniść myśli z miliona spraw w świecie zewnętrznym na siebie, coś dostrzec, skorygować. Często nawet nie wiemy, jak się czujemy, czy coś nam doskwiera. Czy zwraca pani uwagę, co pani teraz robi ze stopami? Ludzie na przykład zawijają je pod siebie, nie kontrolując tego, a potem się dziwią, że ciało jest napięte, a stopy bołą. Dzięki jodze można to rozluźnić, a medytacja pozwala uspokoić rozbiegane myśli, nauczyć się akceptować trudniejsze stany poprzez obserwację i pozostawanie spokojnym.

Wrażliwość jest korzystną cechą? Co nam ułatwia, a w czym przeszkadza?

– Jest cechą skomplikowaną, która zarazem umożliwia nam pewne rzeczy, jak i utrudnia funkcjonowanie. Płaci się za nią cenę. Ale spróbujmy najpierw wyliczyć plusy, uwzględniając różne rozumienia wrażliwości. Posiadanie głębokich emocji, pod warunkiem, że umie się je nazywać, wyrażać i nimi zarządzać, sprzyja budowaniu autentycznych relacji. Wrażliwość może być też powiązana z twórczością. W końcu to osoby, które „czują więcej”, tworzą lepsze książki czy obrazy, generalnie silniej przeżywają emocje: wpadają w większy zachwyty, radość, ale i smutek. Są jakby głębiej zanurzeni w życiu, jest ono dla nich intensywniejszym doświadczeniem, co bywa cieka-

we, ale i trudne. Empatia rozumiana jako wrażliwość na innych sprzyja wspieraniu ich w potrzebie. Ma to pozytywny wpływ na nas samych. Są badania, które pokazują, że jakość życia altruistów jest wyższa niż niealtruistów, odczuwają oni większy dobrostan. Wrażliwość odnosząca się do inteligencji emocjonalnej może być też pomocna na niwie zawodowej. Ci, którzy umieją rozpoznawać emocje własne i innych oraz sprawować nad nimi kontrolę, lepiej zarządzają swoją energią i osobami w pracy. Mogą zatem sprawnie organizować pracę zespołu i odpowiadać na potrzeby klientów.

A druga strona medalu?

– Emocjonalnie wrażliwe osoby na co dzień przeżywają silniejszy stres. Doświadczają z tego powodu napięć w ciele, bólów kręgosłupa. Mają problem z tym, by efektywnie pracować w trudnych warunkach: w open space, w hałasie. Jeśli silniej reagują na bodźce zmysłowe, to będzie im ciężiej znosić migoczące ekrany, lampki, złe oświetlenie pomieszczeń. Szybciej się zmęczą. Współcześnie nacisk kładzie się na pośpiech, na to, by wywiązać się z zadania w terminie, brać na siebie dużo zadań. To może te osoby przeciążać. Silnie odczuwają niemożność sprostania wszystkim, nieraz sprzecznym oczekiwaniom wobec siebie. Krytyka z kolei może prowadzić do wycofania, lęku, załamania.

Wrażliwcy mają dziś ciężko też z innego powodu: trudno uciec od nieustannie sączącego się zewsząd strumienia okropności, wojen, rozmaitych klęsk i problemów. Załamanie nerwowe gotowe.

– Ten strumień negatywnych informacji ma wpływ na nas wszystkich, ale osoby o wysokiej wrażliwości emocjonalnej częściej doświadczają z tego powodu lęku. Współczesny świat niejako zmusza ich do funkcjonowania w stanie ciągłej gotowości, czujności. Ich układ nerwowy, który z natury głębiej przetwarza bodźce, nie posiada filtra chroniącego przed globalnym cierpieniem serwowanym w formie 24/7. To, co dla innych może być tylko nagłówkiem w artykule, dla tych osób może stać się realnym, wręcz somatycznym przeżyciem. Regularne odcinanie się od strumienia informacji powinno być traktowane jak rodzaj higieny psychicznej – niezbędnej ochrony własnych zasobów. Chociażby po to, by móc realnie pomagać tam, gdzie faktycznie mamy na to wpływ.

Można pracować nad minusami wynikającymi z bycia osobą wrażliwą?

– Tak. Takie osoby nie powinny myśleć o sobie, że muszą być przebojowe jak wszyscy, dowieść jak wszyscy ci pozornie owiani aurą sukcesu. Lepiej myśleć: mam cechy, które mogę wykorzystać inaczej niż tamci swoje. Skupić się plusach, bo każdy je ma, wykorzystać je w codzienności i ograniczać to, co przeszkadza. Na przykład na pracy założyć na uszy słuchawki wyciszające, wybrać się na warsztat radzenia sobie ze stresem, jeśli czuję, że sobie nie radzę. Zaakceptować to, jaki jestem, i wybierać na co dzień takie okoliczności, które są maksymalnie do mnie dopasowane, nie robić tylko tego, co narzucają nam inni i świat.

To trudne, bo żyjemy w czasach, w których panuje nakaz prowadzenia barowego życia, a inni nieustannie donoszą, że tyle się u nich dzieje. Choć sami możemy nie potrzebować takiej stymulacji, łatwo pomyśleć, że coś z nami nie tak.

– Nie powinniśmy ulegać tej presji, płynącemu zewsząd przekazowi o tym, że wciąż się trzeba rozwijać, iść na kolejny język, uprawiać sport. Jeśli wolimy w spokoju przeżyć kolejny wieczór, siedząc w domu, bo tak odnawia się nasza energia, to powinniśmy tego się trzymać. Podobnie z wakacjami: zastanówmy się, w jaki sposób będziemy mogli skutecznie odpocząć. Jeśli wolimy poleżeć na leżaku w świętym spokoju zamiast podróżować po całym świecie, to nasza sprawa i jest to najzupełniej normalne. Postawmy na to, co lubimy.

Wakacje możemy wybrać, ale dokładnie taką pracę, jaka by nam odpowiadała, nie zawsze. A nie każda zgrywa się z cechami osób wrażliwych.

– Rzeczywiście, czasem mamy pracę niezgodną z naszym temperamentem i nie sposób się z niej wyzwolić. Wtedy możemy próbować innych metod: na przykład robić sobie przerwy w ciszy, w samotności, poprosić kolegów, by nic do nas nie mówili, gdy pracujemy itp. Warto też zwracać uwagę na sygnały płynące z ciała. Gdy czuję, że zaczyna boleć mnie głowa, można próbować temu od razu zaradzić. Wyjść na powietrze albo – jeśli pracujemy w domu – uciąć sobie krótką drzemkę. Bo trudniej zregenerować się później, jak już głowa bardzo boli, a człowiek ma poczucie, że dłużej nie wytrzyma.

Zaskakujące są też zależności między wrażliwością, a odpornością. Uważa



DR ANNA SIWY-HUDOWSKA

wykładowczyni na Uniwersytecie SWPS, pracowniczka Katedry Psychologii Różnic Indywidualnych, Diagnostyki i Psychometrii, psychoterapeutka w trakcie szkolenia. Specjalizuje się w psychologii temperamentu, stresu i jakości życia

się, że wrażliwość jest związana z niską odpornością na stres. Tymczasem psychiatra i więzień obozów koncentracyjnych, Victor Frankl, zauważył, że osoby wrażliwe lepiej sobie radziły z przetrwaniem w koszmarnych warunkach.

– Pewnie miał na myśli to, że osoby z wrażliwością, rozwiniętą wyobraźnią, życiem wewnętrznym czy refleksyjnością, potrafią schronić się we własnym umyśle, wytlumaczyć sobie trudne rzeczy, znaleźć sens nawet w ciężkich przeżyciach i wydarzeniach. Ale trzeba być tu ostrożnym. Te osoby mogą bowiem pójść zarówno w stronę adaptacyjnych refleksji, jak i odwrotnych: nie uda się, na pewno będzie źle, życie to pozbawiona sensu męczarnia.

Od czego to zależy, że niektórzy w wyniku trudnych przeżyć się załamują, a inni przetworzą to na swoją korzyść?

– Od aktywności własnej: od tego, czy jesteśmy skłonni podejmować działania w sytuacjach kryzysowych, analizować, poddać refleksji to, co nas spotyka, czy też mamy skłonność do ruminacji, czyli natrętnych, negatywnych myśli, negowania siebie, zamartwiania. Są badania dotyczące wzrostu potraumatycznego, wskazujące na to, że kryzys może pomóc w rozwoju. Człowiek po kryzysie, w wyniku refleksji, potrafi przejść na wyższy poziom funkcjonowania niż przed tą sytuacją. W wielu przypadkach dotyczyło to osób chorych onkologicznie. Po diagnozie i po przewartościowaniu sobie pewnych rzeczy żyły dłużej, niż przewidywano i pełniej, szczęśliwiej niż przedtem, zostawiając za sobą pracę, która ich męczyła czy złe relacje. Zrozumiały, co w życiu ważne, i dostosowywały potrzeby do swoich możliwości.

Osoby po wroście potraumatycznym znalazły też nowe sposoby na wybrnięcie z sytuacji, które je męczyły. Tak długo je analizowały, aż dostrzegły wyjście.

Dziś w mediach robi karierę pojęcie wysokiej wrażliwości. Czy to moda? Chcemy zaliczać się do grupy ludzi, którzy „czują więcej”, są zatem trochę lepsi?

– Muszę przyznać, że nie jestem fanką popularnej ostatnio w poppsychologii „wysoko wrażliwej osoby”, czyli pojęcia, które stworzyła psychoterapeutka Elaine Aron. To „pojęcie-worek” do którego wrzuca się wiele różnych cech i w efekcie trudno stwierdzić, czym ta wysoka wrażliwość rzeczywiście jest. Każdy może powiedzieć, że jest wysoko wrażliwy, bo znajdzie siebie w tym worku. We wspólnocie ludzi, którzy twierdzą, że czytają subtelne komunikaty, głęboko przetwarzają rzeczy, podlegają nadmiernej stymulacji. W ten sposób łatwiej się określić tożsamościowo, poczuć częścią grupy. Wielu osobom ta koncepcja przydaje się jako usprawiedliwienie dla wielu zachowań. „Jestem impulsywny, bo mam wysoką wrażliwość”, „Nie mogę wytrzymać w tym pomieszczeniu, pełno tu dziwnych zapachów, a ja mam wysoką wrażliwość” itp. Jak mówiłam, termin „wysoka wrażliwość” jest popularnonaukowy, a wokół niego narosło wiele mitów. Pod tą popularną nazwą kryje się inny termin, czyli wrażliwość na przetwarzanie sensoryczne, i to on istnieje w aktualnej literaturze naukowej.

Jaka jest przyszłość wrażliwości w trudnych, stechnicyzowanych czasach, które wymagają przebojowości i produktywności? Ocalimy ją?

– Wydaje mi się, że tak. Już doceniamy jej istnienie. Zaczyna być zasobem w dobie sztucznej inteligencji. Chcemy mieć kontakt nie z AI, ale wrażliwym, czującym człowiekiem. Jest też systemem wczesnego ostrzeżenia – coraz częściej mówimy o równowadze, jaka powinna istnieć między życiem prywatnym a zawodowym. Przypominamy, że trzeba zadbać o higienę psychiczną. Coraz więcej raportów wskazuje na to, że umiejętności miękkie, inteligencja emocjonalna i krytyczne myślenie – cechy skorelowane z wysoką wrażliwością – są najbardziej pożądanymi kompetencjami przyszłości. Chcemy mieć do czynienia nie tylko z chłodną kalkulacją, logiką czy suchymi faktami, ale ze zdolnością do wylapywania subtelnych sygnałów społecznych, empatią i głębokimi relacjami z innymi. ▲



VERENA KESSLER
„Ewa”, tłum.
Małgorzata Gralińska,
wyd. Filtry

KSIĄŻKA

Mieć dzieci czy nie mieć?

To pytanie, którego chyba wszystkie mamy już powyżej uszu, ale na które niestety pręcej czy później każda z nas musi sobie odpowiedzieć. Nie ma odpowiedzi twierdzącej i przeczącej jednocześnie. To kwestia, którą osobiście chciałabym mieć już dawno za sobą, ale niestety jeszcze nie mam, bo kiedy już mi się wydawało, że wszystko sobie pod tym względem poukładałam, trzy lata temu pojawił się w moim bezdzietnym życiu potencjalny ojciec. Jest to pytanie, które przewierca obecnie naszą kulturę na wskroś i kładzie o wiele za duży nacisk na kobiety, choć to tylko pozornie cała sprawa zależy od nas.

Verena Kessler, młoda trzydziestoparoletnia niemiecka pisarka, w swojej powieści „Ewa” postanowiła podejść do sprawy kompleksowo. Opisała przeplatane się losy czterech kobiet w podobnym do siebie wieku, które podjęły już albo właśnie mają podjąć decyzję. Tytułowa Ewa, czyli Eva Lohaus, jest aktywistką feministyczną, która publicznie opowiada się przeciwko posiadaniu dzieci ze względów ekologicznych i etycznych. Jest nieprzejednana, mimo publicznej krytyki swoich wypowiedzi – hejterzy uciekają się nawet do zabicia jej ukochanego psa – trwa przy swoim zdaniu. Dwuznaczną sławę zyskuje dzięki wywiadowi przeprowadzonym przez dziennikarkę Sineę, która prywatnie zmaga się z niemożnością zajścia w ciążę i przechodzi wszystkie, często upokarzające stadia: liczne, czasem bolesne badania i wyczekiwanie na wyniki, próby in vitro, które wystawiają jej związek z bardzo chcącym dzieci mężczyzną na wielką próbę. Jeszcze inaczej jej starsza siostra, Mona – ta ma trojkę dzieci, ale ma ich tyle tylko dlatego, że jej pierwszy syn, Benni, ma lekki autyzm albo ADHD i doradzają jej to wychowawcy w przedszkolu. Rodzą się bliźniaki,

a Mona jest, mimo wspierającego partnera, sama z większością problemów. Czuje, że jej życie przestało należeć do niej. I w końcu sąsiadka Mony, która wcześniej pracowała w tej samej szkole, z której wyrzucona zostaje za swoje poglądy Eva Lohaus. Odeszła z niej po śmierci małego syna na raka. Teraz mierzy się z żalobą i próbą odpowiedzi na pytanie, kim jest, skoro nie jest już matką. Czy matką jest się na zawsze, nawet, jeśli dziecka już nie ma?

W tej układance żadna z kobiet nie jest „szczęśliwa”, żadna nie ma tego, co wydaje jej się, że chciałaby mieć. Najciekawiej prezentuje się wątek Ewy Lohaus, która po hejterskich atakach i zamordowaniu swojego psa przenosi się na wieś, gdzie zadzierzgnie niespodziewaną więź z około 10-letnią dziewczynką. Brzmi jak kicz, ale Kessler przeprowadza wątek ich przyjaźni wyjątkowo subtelnie i z autentyzmem. Najbardziej „prze-grana” ze wszystkich wydaje się Sina, ale wcale nie dlatego, że nie udaje jej się zająć w upragnioną ciążę, ale dlatego, że zamyka się na innych, tworzy wokół siebie skorupę. Kessler miesza wątki wszystkich powieściowych kobiet i celnie posługuje się metaforami, zwłaszcza wody i pływania. Pokazuje, że nawet pozornie proste stwierdzenie Siny, że nie można jednocześnie mieć i nie mieć dzieci, bo „nikt nie doświadcza jednego i drugiego”, nie jest prawdziwe – można być matką, która straciła dziecko, i wciąż identyfikować się jako matka. Można też dbać o inne relacje w swoim życiu, włączając w to cudze dzieci. To tworzenie wspólnoty będzie niezbędne, jeśli mamy odpowiedzieć na wyzwania klimatyczne i wszystkie pozostałe, z jakimi jako ludzkość będziemy musieli się zmierzyć. Takie więzi próbują tworzyć może nie do końca spełnione, ale wciąż dziwnie pełne optymizmu kobiety w tej książce. ▲ (Agata Pyzik)

TEATR

Szekspir w świecie pokolenia Z



Kilka lat temu Kamil Białaszek, jako raper Koza, ogłoszony był muzycznym „objawieniem”. Później od rapu się nie odciął, ale postanowił zgłębić reżyserię na warszawskiej Akademii Teatralnej. Zadebiutował w Teatrze Polskim w Poznaniu, a jego „Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy” okazał się wielkim sukcesem i pokazywany był na Open’erze czy w Teatrze Telewizji, co sprawiło, że przed Białaszkiem otworzyły się drogi do wielu polskich teatrów. Teraz w warszawskim Teatrze Powszechnym pokaże swoją interpretację „Hamleta” Williama Szekspira. Akcja zostaje przeniesiona do rzeczywistości technofeudalnej, w której najwyższą władzę stanowią państwa-korporacje. Twórcy spektaklu kontestują prawo dziedziczenia jako kapitalistycznego narzędzia wyzysku mającego swoje źródło w feudalizmie i patriachacie. Zadają też pytanie o sens buntu i walki z systemem, jednocześnie diagnozując rewolucyjny potencjał pokolenia Z. – Bardzo chciałem, żeby „Hamlet” nawiązywał swoją estetyką do estetyki neogotyckiej, która jest bardzo mocno spopularyzowana. Czerni w czasach elżbietańskich była symbolem statusu i bogactwa. Cała rzeczywistość polityczna, korporacyjna, czyli to, do czego mnie odnosi zastany świat „Hamleta”, kojarzy mi się z rzeczywistością fekalną. To znaczy, że jest to rzeczywistość, w której natłok informacji i dezinformacja powoduje odruch wymiotny – mówi reżyser Kamil Białaszek.

Jak zaznaczają twórcy, nowa adaptacja Hamleta głęboko czerpie z kultury internetowej, w spektaklu

nacisk położono na zabiegi meta-teatralne i kontakt z publicznością.

▲ (Sandra Zakrzewska)
„HAMLET”, reż. Kamil Białaszek. Premiera 16 maja, Teatr Powszechny w Warszawie

SZTUKA

Świadomość odchodzenia



Alina Szapocznikow, znakomita polska rzeźbiarka, jako nastolatka trafiła do getta i obozów koncentracyjnych. Po czterdziestce usłyszała diagnozę nowotworu piersi, którego końcowym stadium był rak kości powodujący ból nie do złagodzenia.

Krakowska wystawa „Szapocznikow. Osobista” zbiega się z przypadającymi w tym roku setnymi urodzinami artystki. To niewielka ekspozycja, ale dotyka sedna tego, czym sztuka była dla Szapocznikow. Jej twórczość i artystyczna wrażliwość wyrastały z osobistej historii. Z doświadczenia ciała, które pamiętało cierpienie, ale też z pragnienia, by ocalić z życia choć ślad – odcisk skóry, fragment, dotyk. Próbowala to robić choćby przez prezentowany na wystawie „Zielnik”, czyli jej najslawniejszy cykl prac, a zarazem ostatnie dzieło rzeźbiarskie. Ujęła w nim odciski ciała swojego syna. Są splaszczone i przytwierdzone do sklejk jak zasuszone rośliny w zielniku. To jednoczesna próba zatrzymania życia i pamiętka ciała. Andrzej Wajda określił tę pracę „groźnym i zdumiewającym śladem ludzkiego przemijania”. ▲ (Justyna Grochal)
„SZAPOCZNIKOW. OSOBISTA”, Muzeum Narodowe w Krakowie. Wystawa trwa do 23 sierpnia 2026 r.

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

bz bz bz bz

*Kwiatuszek wydzwania, by spytać, dlaczego
 podchodzę tak blisko, właśnie wyszłam z heroiny,
 niemalże mnie dotknął, musiał ściągnąć okulary,
 żeby jakoś ustać w progu, teraz w progu można wszystko,
 normalnie wymienia się ręce, nikt nie wierzy już w te rzeczy*

*dziś progi są czarne od kwiatów dzwoniących,
 by spytać, dlaczego podchodzę tak blisko,
 nie trzeba już wracać do domu, usłyszeć,
 że mogłam nie wracać do domu*

ALICJA DYDYNA, ur. 2001. Poetka. Laureatka Nagrody Głównej w konkursie im. Jacka Bierzina (2025), dlatego zadebiutuje książką poetycką w 2026 roku

MAGDALENA KILARSKA RYSUJE



KSIAZKA

Zapomniane graficzki

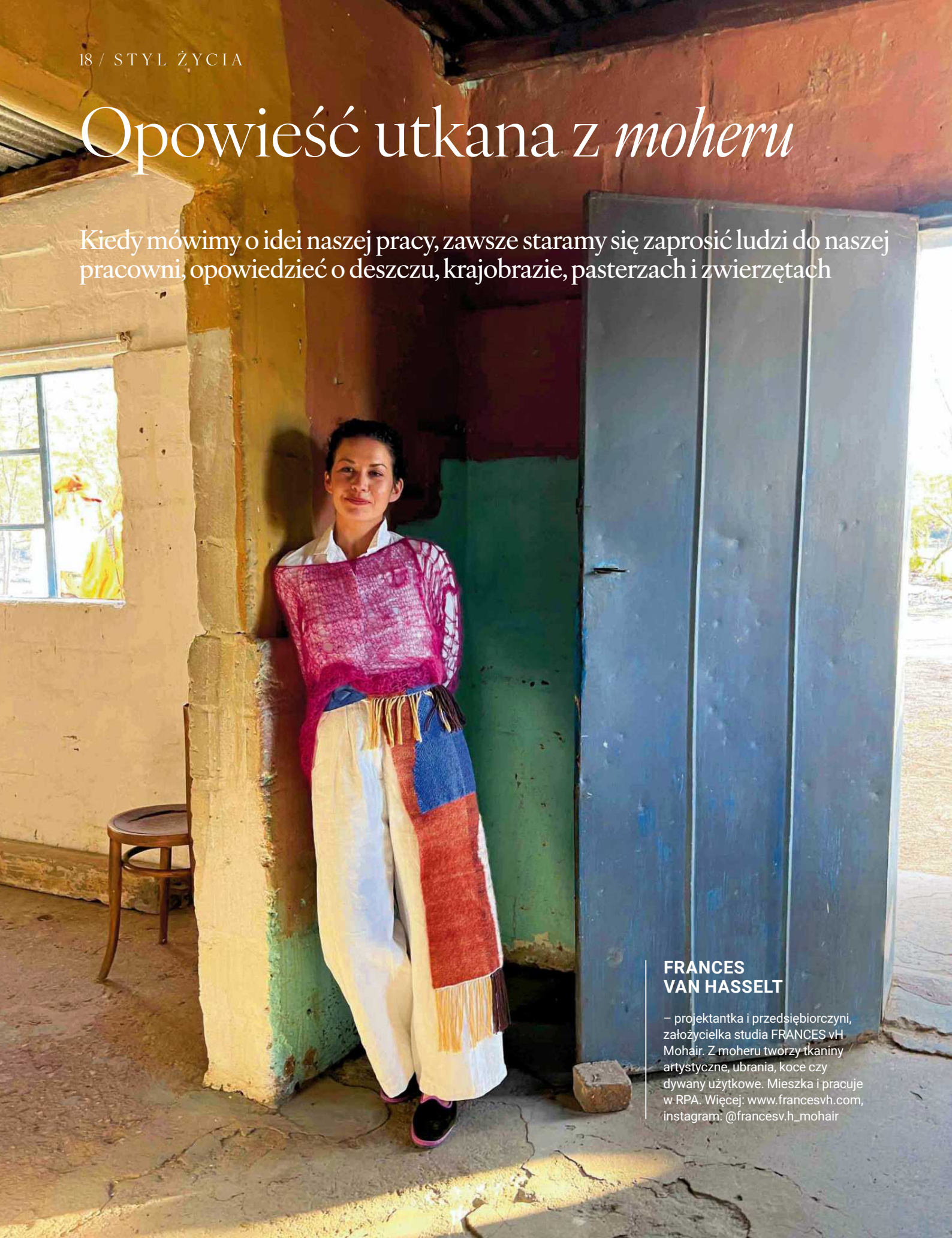


Pięknie wydana, obszerna i bogato ilustrowana historia polskich projektantek grafiki użytkowej tworzących po wojnie (do 1989 roku). Alicja Kobza wskrzesza pamięć o 27 zapomnianych graficzkach. „Myślałam, że już nie istnieją” – mówi jedna z nich, Bożena Janowska, gdy Kobza pewnego dnia

puka do jej drzwi. Przeglądając publikacje na temat grafiki użytkowej z czasów PRL, można odnieść wrażenie, że tworzyli wtedy sami mężczyźni. Kobza wydobywa z niepamięci znakomite artystki – plakacistki, projektantki okładek książek i płyt winylowych, autorki znaków graficznych i opakowań. Opowiada nie tylko o ich twórczości, lecz także o życiu codziennym. Czytając tę książkę, wielokrotnie będziecie zastanawiać się, jak to możliwe, że powstała dopiero dziś. ▲ (Paulina Reiter)
Alicja Kobza „GRAFICZKI”, wyd. Karakter

Opowieść utkana z *moheru*

Kiedy mówimy o idei naszej pracy, zawsze staramy się zaprosić ludzi do naszej pracowni, opowiedzieć o deszczu, krajobrazie, pasterzach i zwierzętach



FRANCES VAN HASSELT

– projektantka i przedsiębiorczyni, założycielka studia FRANCES vH Mohair. Z moheru tworzy tkaniny artystyczne, ubrania, koce czy dywany użytkowe. Mieszka i pracuje w RPA. Więcej: www.francesvh.com, instagram: [@francesv.h_mohair](https://www.instagram.com/francesv.h_mohair)

Z FRANCES VAN HASSELT,
ARTYSTKĄ, ROZMAWIA JOANNA WRÓŻYŃSKA

Miałam farmę w Afryce, u stóp gór Ngong” – pisała Karen Blixen w „Pożegnaniu z Afryką”. O tobie można powiedzieć, że masz farmę w Afryce u stóp Gór Swartberg?

– Też uwielbiam ten cytat, ale moja Afryka jest zupełnie inna niż Kenia Karen Blixen. Moje miejsce jest w Karoo, półpustynnym regionie w sercu Republiki Południowej Afryki. Dorastając tutaj na farmie, nie dostrzegałam w niej jako mała dziewczynka niczego magicznego. Widziałam jedynie kurz i desperacko pragnęłam stąd uciec i stać się częścią świata mody, sztuki i tkanin.

Tak się rzeczywiście stało, pamiętam jednak bardzo wyraźnie, jak mój ojciec śmiał się i mówił, że jeśli chcę zrozumieć, skąd naprawdę biorą się moda i tekstylia, powinnam spędzić z nim więcej czasu. Dopiero później uświadomiłam sobie, że miał rację i jak niewielka jest wiedza na temat pochodzenia tkanin. To stało się fundamentem naszego podejścia do tworzenia, które, moim zdaniem, nie zaczyna się w pracowni, tylko od deszczu, delikatnego ekosystemu pustynnej roślinności i od upału. Później są pastery – ludzie, o których rzadko się mówi, a którzy są jednymi z najważniejszych ogniw tego łańcucha. Duże znaczenie mają też rolnicy i sama gleba. Dopiero na końcu surowiec trafia w nasze ręce.

Dorastanie tutaj, powrót po latach i założenie pracowni uświadomiły mi, jak niezwykle delikatne jest to środowisko. Każdy, kto był choć raz na pustyni, wie, że wszystko, co tu robisz, jest całkowicie podporządkowane żywiołom. Myśli się o regeneracji, bo jeśli popsujesz wodę lub glebę, natychmiast odczujesz tego negatywne skutki. Dlatego ludzie, którzy tu żyją lub prowadzą działalność, instynktownie rozumieją, że działanie w zgodzie z naturą oznacza też dbanie o samych siebie.

Twój tata zajmował się moherem?

– Tak, hodował kozy angorskie, z których pozyskuje się moher. Dziś gospodarstwo prowadzi mój brat i moja mama. To dość rzadkie w tej branży, żeby kobieta była hodowcą, ale mama jest w tym znakomita.

Cała wasza praca odbywa się ręcznie, prawda? Hodujecie kozy, strzyżecie, pozyskując moher, który, choć może się tak wydawać, nie jest wcale wełną.

– Moher to prawdopodobnie jedno z nielicznych włókien pochodzenia zwierzęcego, w którym wykorzystuje się włosy. Niewiele osób to wie.

I tak, cała nasza praca odbywa się ręcznie. RPA to kraj niezwykle bogaty w surowce, a jednocześnie ubogi w formalne technologie tekstylne. Nasz przemysł włókienniczy właściwie załamał się w latach 90., więc kiedy zastanawiałam się, jak stworzyć markę, spojrzalam na konkret – Republika Południowej Afryki odpowiada za blisko 60 proc. światowej produkcji moheru, zwłaszcza w regionie Karoo, a dodatkowo trafia tu surowiec z reszty świata i jest poddawany obróbce. Mimo to aż 80 proc. globalnej produkcji opuszcza kraj w niemal nieprzetworzonej formie. Dlatego tak niewiele osób wie, że to niezwykle włókno ma afrykańskie korzenie. Nawet w samej RPA wiele osób nie kojarzy moheru jako lokalnego surowca.

Kiedy więc spojrzalam na to, czym dysponujemy, okazało się, że mamy najlepszy surowiec, zaplecze przetwórcze i niezwykle utalentowane rzemieślniczki. Chociaż przerwy w dostawie prądu zdarzają się tu często, nie wpływa to na naszą pracę, bo stwo-

rzyliśmy studio dopasowane do warunków, w jakich funkcjonujemy. Myśląc w ten sposób, tworzymy coś, czego nie da się skopiować, bo jest tak głęboko zakorzenione w miejscu, w konkretnym środowisku i w unikalnych umiejętnościach.

To niezwykle wyzwalające, bo jeśli tworzysz w zgodzie ze sobą, to przestajesz martwić się, że ktoś to skopiuje. Nie ma dla mnie dwóch identycznych elementów ani w przedkach, ani w tkaninach. Każda z nich nosi ślady dłoni, które je stworzyły. To w pewnym sensie tekst – opowieść o twórcy, miejscu i samym włóknie. Niewiele osób potrafi dziś „czytać” tekstylia w ten sposób, ale właśnie to czyni je czymś naprawdę wyjątkowym.

Każde włókno ma swój własny język. Moher jest sprężysty, ma naturalny charakter i połysk, trzeba się nauczyć z nim współpracować, a nie próbować go podporządkować. Także w naszym studio każdy ma inną osobowość i widać to w sposobie tworzenia. Nawet gdyby te same osoby odtworzyły swoje projekty następnego dnia, będą inne. Człowiek się zmienia, poddaje emocjom, a to zapisuje się w tkaninie.

Mówisz, że tkacie opowieść o pochodzeniu tekstyliów. Jak brzmi ta opowieść?

– Najprawdopodobniej jesteśmy jednym z niewielu studiów tekstylnych, w których cały proces produkcji jest tak bardzo związany z naturą – od deszczu, wiatru, ziemi po zwierzęta i każdy kolejny etap tego cyklu. Materiał nie opuszcza miejsca pochodzenia i nie ma kontaktu z niczym innym niż żywioły i ludzkie ręce. Nasza praca ma niemal pierwotny charakter. Także my wszyscy, którzy pracujemy z materiałem, mieszkamy w okolicy.



We wszystkim, co tu robimy, zapisany jest kontekst, nasze rozmowy. To, jak czuła się prządka, kiedy przędła, co mówiła; to, w jakim nastroju była farbiarka. Także sam projekt, jego kolory, są zakorzenione w historii tego miejsca. Każdy element ma swój opis i historię. Ta praca na pierwszy rzut oka może wydawać się tak nieskomplikowana jak pustynia. Jeśli jednak poświęcisz tym projektom więcej czasu, dostrzeżesz to, co dzieje się w mikroskali, i zwali cię to z nóg. Nie ma dwóch identycznych fragmentów, każdy to kompozycja odzwierciedlająca konkretną chwilę.

Równoległe tworzymy filmy i materiały, w których każdy może opowiedzieć o swoim doświadczeniu. Sposób, w jaki ludzie posługują się językiem ojczystym, odzwierciedla to, jak postrzegają świat. U nas, w Karoo, ponieważ pada tu niezwykle rzadko, istnieje mnóstwo określeń na deszcz. A kiedy już pada, mówimy o tym w sposób, jakiego nie usłyszysz nigdzie indziej na świecie. To prastara ziemia. Karoo było kiedyś dnem oceanu, można powiedzieć, że żyjemy na skamieniałym morskim dnie. To miejsce wypełnione pięknymi starożytnymi praktykami, językiem i ludźmi.

Opowiedz, jak wygląda twój dzień. Wstajesz ze wschodem słońca i kładziesz się spać wraz z zachodem?

– Bardzo się nie mylisz. W Karoo dni są gorące, więc rolnicy i wszyscy, którzy pracują na zewnątrz, zazwyczaj latem, zaczynają dzień około piątej rano. Ja wstaję o szóstej trzydzieści. Nigdy nie byłam rannym ptaszkiem, więc to codzienna walka, nie można jednak zacząć pracy później, bo jest za gorąco.

W studiu, które jest tuż obok mojego domu, pojawiają się wszyscy około wpół do ósmej. Patrzymy na góry i ziemię, która nas otacza. Wszystkie pracownice przyjeżdżają taksówkami z miasta, które jest jakieś pięć minut drogi stąd. Niesie się wtedy przyjemny gwar podjeżdżających samochodów, trzaskania drzwiami, słychać szmery rozmów, nucone melodie, piosenki, które sobie podśpiewują.

Rano mamy spotkanie, które rozpoczynamy błogosławieństwem albo jakimś cytatem. Przez cały dzień kręcimy się, wchodząc i wychodząc ze studia; bywa, że przelatują przez nie ptaki. W ogrodzie schnie moher, ktoś tka na świeżym powietrzu. Kończymy około wpół do piątej. Zabieram wtedy na spacer moją jamniczkę Mildred. Wieczorem siadam do projektowania, odpowiadania na maile i całej tej „biurowej” pracy.

Karoo to wspaniała społeczność. Mieszka tu moja rodzina, a życie towarzyskie kwitnie. Wieczory spędzamy zazwyczaj na wspólnym posiłku. Każdy kolejny dzień toczy się w podobnym rytmie.

Historia tekstyliów jest głęboko zakorzeniona w Karoo?

– To zabawne pytanie, bo wiele osób zakłada, że Afryka nie ma własnej historii tekstyliów. A przecież każdy zakątek świata ma swoją historię tkanin, tyle że sposób jej przekazywania był zwykle inny. Najczęściej odbywało się to ustnie, poprzez opowieści i rzemiosło. Wiele z tych tradycyjnych praktyk zanikło dawno temu. Sposobu, w jaki dzisiaj wytwarzamy tekstylia, nie nazwałabym tradycyjnym. Istnieją dawne metody pracy z materiałem, farbujemy na przykład, wykorzystując barwnik ze skał, bo nie możemy polegać wyłącznie na roślinach, które potrzebowałyby wielu lat, żeby osiągnąć odpowiednią wielkość. Zaczęliśmy więc eksperymentować z pigmentami mineralnymi i odkrywać na nowo procesy, którymi posługiwano się tutaj na długo przed tym, jak my się pojawiliśmy. Problem polega na tym, że skoro przestano je praktykować, nikt nie ma o nich wiedzy. Dlatego wiele rzeczy odkrywamy sami, na zasadzie eksperymentu.

W swoim studiu zatrudniasz tylko kobiety.

– Na farmie pracują też mężczyźni, ale w pracowni są same kobiety. W tej chwili 15. To nie jest kwestia celowej decyzji, po prostu mają więcej cierpliwości do tej pracy. Pracowali z nami też mężczyźni, ale nie zostawali na długo. Nie każdy odnajduje się w takim zajęciu.

W studiu nie ma hierarchii; nie ma znaczenia, czy masz 70 lat czy 20, czy rzuciłaś szkołę, czy żyjesz z niepełnosprawnością. Wystarczy, że masz dobre nastawienie i kochasz swoją pracę. Jesteśmy społecznością, same decydujemy, z kim chcemy budować to miejsce. Każdego dnia czerpię od tych kobiet ogromną inspirację. To w większości samotne matki i jedne z najsilniejszych, najbardziej niezwykłych osób w naszej społeczności. A przy tym są mistrzyniami swojego fachu, ekspertkami światowej klasy.

Jak moher trafia do waszej pracowni?

– Kupuję go od mojego brata i mamy.

Mam nadzieję, że masz chociaż rodzinną zniżkę.

– Nie mam! Celowo płacę powyżej stawki rynkowej. Na rolników wywierana jest dziś ogromna presja. Mają działać regeneratywnie, w sposób zrównoważony, zapewniać pełną transparentność łańcucha dostaw. A jednocześnie najbardziej niezrównoważonym elementem tego systemu jest to, że nie mają żadnej gwarancji ceny za surowiec. To absurdalny model biznesowy. Wystarczy spojrzeć na półroczny cykl, od jednego strzyżenia do kolejnego, by zobaczyć, jak pod wpływem globalnej polityki czy zmieniających się trendów w modzie ceny potrafią się gwałtownie wahać. Dlatego płacimy uczciwe ceny za surowiec; takie, które wspierają rolnika i pozwalają mu inwestować w ziemię. Na tej podstawie wyceniamy później gotowy produkt. To dla nas kwestia wartości i przekonania.

Jak ważna jest dla ciebie idea świadomego kupowania i świadomego myślenia o modzie?

– Mam wrażenie, że hasło „zrównoważony rozwój” to mgliste pojęcie, które każdy interpretuje na swój sposób. Nie zamierzam nikomu narzucać jego definicji, ale podejrzewam, że mało kto je naprawdę rozumie. Ludzie kierują się metką, na której jest napisane: „to jest zrównoważone”. A gdyby zapytać przeciętną osobę, czy moher pochodzi od smoka, kota czy kozy – najpewniej odpowiedziałaby: „Nie wiem”. Kiedy opowiadamy o idei naszej pracy, staraliśmy się zaprosić ludzi do tej małej pracowni, pokazać nasze prace, opowiedzieć o deszczu, krajobrazie, pasterzach i zwierzętach. W chwili, w której ta historia staje się namacalna i zrozumiała, ludzie, zamiast coś kupować i szybko porzucać, stają się jej częścią. Wierzę, że każdy z nas ma potrzebę bycia częścią czegoś większego.

Przyznaję, że sama lekcję o moherze zaczęłam odrabiać dopiero przygotowując się do tej rozmowy.

– Jednym z moich największych lęków jest właśnie to, że tak mało wiemy o tkaninach i dlatego duża część mojej pracy polega na edukowaniu innych. Podążamy za nagłówkami, brakuje nam kontekstu. W mediach pojawiały się informacje o moherze, ilustrowane zdjęciami królika angorskiego, choć moher wcale nie pochodzi od królika, tylko od kozy angorskiej. Nazwy brzmią podobnie, bo wywodzą się z Turcji, z prowincji, która dziś nazywa się Ankara, dawniej – Angora. Mam ochotę wtedy krzyknąć: „jedno to koza, a drugie to królik!”.

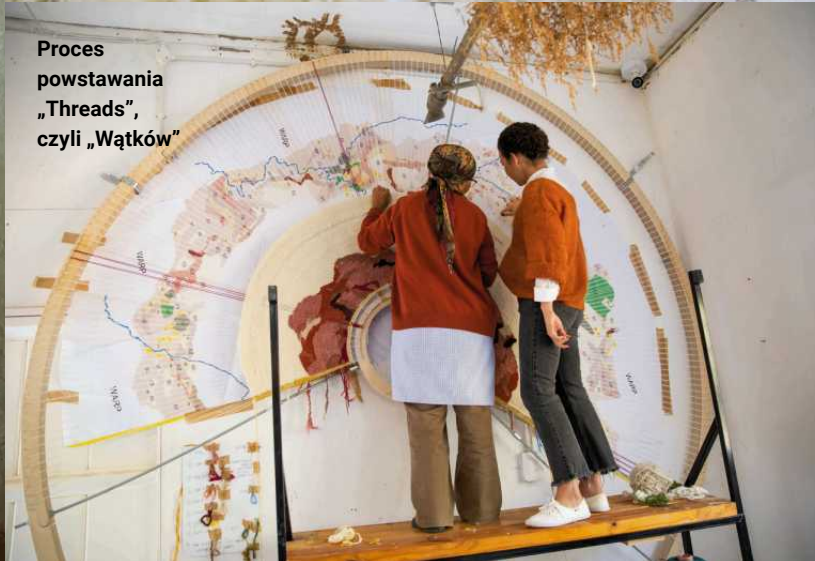
Jak w każdej dziedzinie – czy to w architekturze, kulinariach, czy medycynie – mistrzostwo osiąga się dopiero wtedy, gdy naprawdę rozumie się materiały: składniki, sezonowość, kontekst społeczny



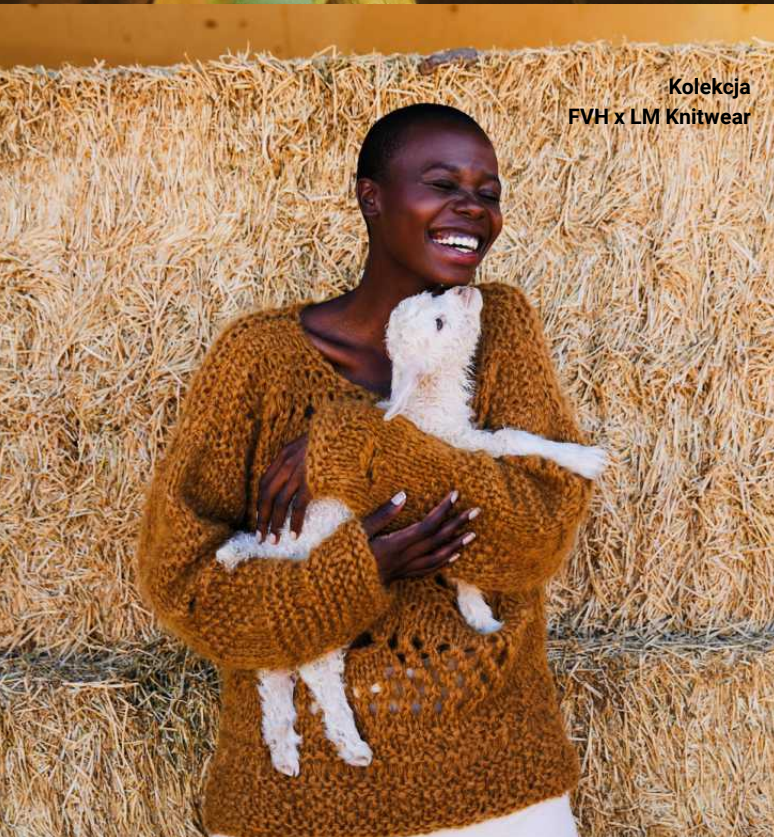
Kolekcja
FVH x LM Voorskoot Vygie



Ręczne „otwieranie”,
czyli rozluźnianie moheru



Proces
powstawania
„Threads”,
czyli „Wątków”



Kolekcja
FVH x LM Knitwear

i pochodzenie. Tymczasem w branży tekstylnej w ogóle się tego nie uczy. Dominuje obsesyjny nacisk na tworzenie kolekcji za kolekcją. Powtarzam moim studentom, obserwując, jak rzedną im miny, że tak naprawdę nie obchodzi mnie, jak piękna jest ich kolekcja. Świat nie potrzebuje więcej rzeczy, bez względu na to, jak są zachwycające. To, czego naprawdę potrzebujemy, to kreatywne rozwiązania realnych problemów. Jeśli będziemy wciąż produkować przedmioty, które co prawda opowiadają piękne, osobiste historie, ale nie rozwiązują żadnych konkretnych problemów, to donikąd nie dojdziemy. A przecież ta branża ma w sobie ogromny potencjał, ale potrzebna jest zasadnicza zmiana myślenia.

Tzw. moda z sieciówek nie tylko nie opowiada żadnej historii, ale na dodatek przyczynia się do pogłębienia problemu.

– W rzeczach wykonanych ręcznie, z naturalnych materiałów, jest coś głęboko ludzkiego, pełnego i autentycznego. Niosą w sobie piękną niedoskonałość i charakter. Nawet dziecko wyczuje, że jest w nich coś, czego nie da się... wyrzucić bez refleksji. Właśnie takie przedmioty stają się pamiątkami przekazywanymi kolejnym pokoleniom, bo to jedne z niewielu rzeczy, których masowa produkcja ani mechanizacja nigdy nie będą w stanie podrobić.

Projektujecie nie tylko tkaniny artystyczne, ale też ubrania i rzeczy użytkowe, jak dywany czy koce.

– Tak. Tworzymy niewielką liczbę rzeczy, które wpisują się w ekosystem i naturalny cykl życia zwierzęcia. Tu pojawia się mój zasadniczy problem – moda jest dziś całkowicie oderwana od ziemi i od



Zespół Frances vH Mohair Studio

rolnika, i na odwrót. Rolnicy często nie wiedzą, dlaczego mieliby podporządkować się wymaganiom narzucanym przez branżę tekstylną. A prawda jest taka, że to właśnie świat mody próbuje dyktować naturze warunki, zamiast pozwolić, by to natura wyznaczała kierunek projektowania. Ten sposób myślenia musi się zmienić.

Podam ci przykład. Marka przychodzi do nas i mówi: „Chcemy pozyskiwać moher z waszej farmy”. Świetnie, brzmi obiecująco. Po czym dodaje: „Ale interesuje nas wyłącznie tzw. kid mohair”. To najdelikatniejsza odmiana, pochodząca tylko i wyłącznie z dwóch pierwszych strzyżeń młodej kozy. A trzeba sobie uświadomić, że kozy angorskie strzyże się co sześć miesięcy i te zwierzęta żyją latami. Pojawia się więc pytanie, co z resztą włókna? Czy nie powinniśmy, jako branża, zmienić sposobu myślenia, zastanowić się, jak z czasem zmienia się włókno i co możemy z niego stworzyć, żeby wykorzystać pełen cykl życia zwierzęcia? Właśnie dlatego produkujemy dywany. Powstają z włókna starszych kóz, które, podobnie jak ludzkie włosy, z wiekiem stają się grubsze i mocniejsze. To czyni je idealnym materiałem do tego typu produktu.

Kid mohair wykorzystujemy w odzieży, bo w dotyku przypomina jedwab czy kaszmir. Na każdym kolejnym etapie pozwalamy, by to materiał podpowiadał, czym powinien się stać, zamiast zaczynać od gotowej wizji produktu i na siłę dopasowywać do niej surowiec. Nasza zasada jest zawsze taka sama: pracować z materiałem, nie przeciwko niemu.

Studiowałaś m.in. w Japonii i we Włoszech. Jak to, czego się tam nauczyłaś, wpłynęło na twoje projekty?

– Nie mam wykształcenia artystycznego. Studiowałam politologię, filozofię i ekonomię, a później zrobiłam magisterkę ze stosunków międzynarodowych. Kiedy przez pewien czas mieszkałam w Hongkongu, rozumiałam jednak, że uwielbiam modę i przemysł tekstylny, i muszę się tym zająć.

Kiedy tata pytał mnie, czy nie chciałabym pracować z moherem, zaprzeczałam. Chciałam go pokochać, ale nie miałam z nim dobrych doświadczeń – drapał skórę, był szorstki. Takim był jedyny moher, jaki znałam.

Jak wspominałam, w RPA nie ma formalnie rozwiniętego przemysłu tekstylnego. Większość moheru jest eksportowana do Japonii i Włoch, gdzie powstaje z niego odzież luksusowa. Kiedy po raz pierwszy pojechałam na rezydencję artystyczną do Japonii, byłam zachwycona, bo odkryłam, że moher może być miękki jak kaszmir. Byłam zafascynowana. Nasz japoński men-

tor patrzył na mnie ze śmiechem i pytał, co zamierzam zrobić z tymi wszystkimi zdjęciami i nagraniami, które robiłam. Odpowiadałam, że chcę stworzyć coś takiego w RPA, ale on przekonywał, że mi się nie uda. Zapytałam, co ma na myśli. Odpowiedział, że nie mogę zrobić tego co on, bo tylko on to potrafi. Gdybym nawet była geniuszem, całe życie zajęłoby mi dojście do miejsca, w którym on był wtedy. A kiedy by mi się to udało, on byłby już znowu dużo lepszy ode mnie.

Przekonywał, że to, jak wyglądają jego projekty, zależy nie tylko od pracy rąk, ale też np. od jakości wody, warunków, w jakich powstawał surowiec. Powiedział, że jeśli będę starała się robić to, co robią w Chinach czy we Włoszech, zawsze będę na drugim miejscu. Dodał, że muszę wrócić do domu i budować w oparciu o to, co jest dla mnie dostępne, czego nie ma gdzie indziej. Mówił, że wtedy zyskam wolność, bo w dowolnym miejscu na świecie będę mogła pokazać swoje prace i będę w nich najlepsza.

Podobną lekcję dostałam we Włoszech. Odkrycie tego było bardzo wyzwalające i zdjęło ze mnie ogromną presję. Zrozumiałam, że nigdy nie będę tworzyć tak jak we Włoszech ani tak jak w Japonii, ale też, że nie o to chodzi. Chodzi o pomysł i szacunek do tradycji, dawnych praktyk. Dziś nie wyobrażam sobie pracy z innym materiałem.

Jak sądzisz, czy tkanina artystyczna, którą także się zajmujesz, jest różnie rozumiana w różnych miejscach na świecie? Czy to tzw. sztuka site-specific, nierozzerwalnie związana z miejscem, w którym powstaje?

– Jedna z pracujących ze mną kobiet stworzyła pracę na Biennale w Wenecji. Kiedy wysyłaliśmy tkaninę w świat, zapytałam: „Czego właściwie od niej oczekujesz? Co ma przekazać?”. Odpowiedziała bez wahania: „Chcę, żeby ludzie, patrząc na nią, zobaczyli nas. Żeby zobaczyli Karoo”. Pomyślałam, że to prośba z pozoru prosta, a jednocześnie ogromna. A potem zobaczyłam tę pracę na Biennale i rozumiałam, że spełnia oba te warunki. Jest czytelna globalnie, a jednocześnie niepodobna do niczego innego. Ma w sobie kobiecość, odwagę, surowość i energię, którą trudno porównać z czymkolwiek innym.

Myślę, że to właśnie dzięki ludzkiemu wymiarowi, szczeroci i materiałom te prace tak silnie rezonują. Wszyscy jesteśmy połączeni i ze sobą, i z naturą. W różnych przestrzeniach odczytuje się je inaczej, ale ich przekaz pozostaje uniwersalny. Sprzedajemy nasze prace na całym świecie, światło pada na nie w różny sposób, są używane na wiele sposobów, a jednak to, co ludzkie i naturalne, okazuje się najbardziej uniwersalnym kodem.

Co najbardziej lubisz tkąć? Kilimy? A może ubrania?

– Czy mam swoje ulubione dziecko? (śmiech). Kocham wszystkie, każda rzecz jest na swój sposób wyjątkowa, ale chyba najcenniejsze są dla mnie gobeliny, bo przechodzą przez ręce każdej osoby w pracowni. Każdy zostawia w nich swój ślad. Czasem powstają na zamówienie, ale przede wszystkim są formą sztuki, przy której mamy absolutną wolność ekspresji. Bywa, że coś projektuję, a później, już na krośnie, to zaczyna się zmieniać, żyć własnym życiem. Dlatego właśnie są tak wyjątkowe. ▲

Prace FRANCES VAN HASSELT będzie można zobaczyć w Warszawie podczas wystawy Craft Days, która odbędzie się między 20 a 24 maja w Willi Gawrońskich (al. Ujazdowskie 23). Spotkanie z artystką w czwartek, 21 maja, o godz. 17.30.

Profesorka od życia świadomego

Pisała o docenianiu zwykłych rzeczy, zanim stało się to modne. Uprawiała mindfulness obierania ziemniaków. Mistrzyni zwyczajności magicznej

TEKST SYLWIA CHUTNIK

Pierwsze czytanie „Szczelin istnienia” na studiach. Zachwyty, że badaczka akademicka pisze o typowych czynnościach i banalności istnienia, na dodatek robi to wnikliwie niczym Miron Białoszewski. Codziennosc jest przygodą, nie trzeba wyjeżdżać w siną dal, aby pisać o tym, co nas otacza. Wyzwalające uczucie, że wreszcie ktoś zauważa niewidzialną pracę i całe to latanie ze ścierkami. Cisi bohaterowie żmudnej roboty. Deprecjonowanie sprzątania i zwyczajnych czynności jest niczym innym, jak pogardą dla podwalin naszego życia. Brzmi patetycznie, filozofka Jolanta Brach-Czaina napisałaby inaczej, bez tego przemawiania i uderzania w wysokie C.

Brach-Czaina wymieniała w swoich naukowych pracach (pisanych językiem poetyckim, tak powinno się pisać wszystkie „mądre” teksty z przypisami i bibliografią) „nieme zdarzenia”: wstawanie, mycie się, jedzenie śniadania, praca, zakupy, gotowanie, jedzenie, zmywanie, praca, trwanie, gotowanie, jedzenie, mycie się, sen. Kolejnego ranka od początku. Ale nuda, co? Uwaga: tak wyglądają nasze dni i nic na to nie poradzimy, bo między tę wyliczankę trudno włożyć coś atrakcyjnego. Coś, co rozbiłoby monotonię. Ale dzięki opisaniu i ich i rozebraniu na czynniki pierwsze możemy je w ogóle dostrzec, a później docenić. Bo składamy się z tych przezroczystych gestów, nic niewnoszących starań.

Dzięki profesorce mamy też w słowniku wyjaśnioną kategorię krzątaństwa opierającego się na nieustannym powtarzaniu, które powołuje z nicości „delikatną, męczliwą tkankę codziennego istnienia, z konieczności opartą na wątej podstawie i skazaną na bytowanie przelotne”. To właśnie brak „dowodów” w kwestii prac opiekuńczych



i domowych, ich iteracja oraz rutyna są jednym z punktów napięcia, a którym Jolanta Brach-Czaina pisze, że jest przezroczysty, a zatem nieuchwytny. Krzątaństwo jest jak dreptanie w kółko: tu przetarcie kurzu, poprawienie rośliny w doniczce, wyjęcie zamrożonego jedzenia. Setki małych ruchów powtarzanych niczym niemy balet. „Celem wysiłków krzątańczych”, wyjaśnia filozofka, „jest właśnie walka o codzienne istnienie tworzone i odnawiane z każdą drobną czynnością. Żartów nie ma. Działanie nie podjęte pozostaje w obszarze nicości”. Fenomen filozofki polega na tym, iż dotyka spraw podstawowych, odsłania ich istnienie w świecie, z którego rzadko zdaje o sobie sprawę.

Opisuje również tak często przywoływaną ostatnio etykę troski i pracę emocjonalną, którą w 1983 roku opisała Arlie Russell Hochschild jako „świadome regulowanie ekspresji swoich stanów emocjonalnych po to, żeby demonstrować emocje pożądane na danym stanowisku”. I chociaż

opisywała zawody wymagające uśmiechu i opanowania, jak na przykład stewardesy, to całość pasuje idealnie właśnie do pracy na rzecz najbliższych. Te „menadżerki emocji”, jak nazywa je Izabela Desperak, wykonują niezliczone herbaty, wysłuchują zwierzeń i starają się dbać o dobrą atmosferę w domu. Praca ta jest jeszcze bardziej niewidzialna, bo w przeciwieństwie do umytego garnka poprawa dobrostanu nie jest zauważalna. A przynajmniej nie można jej triumfalnie podnieść do góry i zaprezentować reszcie domowników.

Ale praca na rzecz domu to również praca fizyczna. Pełna schylania się, wchodzenia na stołek, szorowania, ścielenia i zbierania rozrzuconych przedmiotów. Tysiące małych czynności, które są zbyt powtarzalne, aby zasługiwały na nasze zainteresowanie. Przypominamy sobie o nich tylko wtedy, kiedy nieżywe padamy wieczorem na łóżku. Filozofka pisze wiele o ciele, jego materialności, która wciąż jest dla nas zagadką. To, co wewnątrz nas, co wprawiamy w ruch, może w każdej chwili stać się wątłe i chore. Jest też źródłem siły i nowego życia, kiedy w czasie porodu stwarza inny byt. A inne ciała wokół nas? Te, które dotykamy, które obejmujemy lub zjadamy? Nie godzi się na podział życia wewnętrznego i zewnętrznego, chce szukać równowagi między poszczególnymi elementami naszej typowości, choćby była najbardziej banalna.

Apeluje: „nie można godzić się na rolę nieświadomego wyrobnika czynności egzystencjalnych” i zachęca, aby „ścigać sens codzienności, jak przestępce, który czyha z ukrycia”. Dzięki jej tekstom łatwiej jest ten sens odnaleźć i zrozumieć. ▲

**Szósta edycja FESTIWALU SZTUKI
Kobiet PERSONA (22-24 maja 2026)
w Mazowieckim Instytucie Kultury
poświęcona będzie Jolancie Brach-Czainie**

Rozbiegane koleżanki

Pędziwiatry, Zadyszka, RozBBiegane – amatorskich grup, którym bieganie sprawia frajdę, jest coraz więcej. Motywuje atmosfera i ludzie, wspólny czas

TEKST MARTA GRUSZECKA

Drużyna Pędziwiatrów Na Animuszu liczy kilkoro zaprzyjaźnionych biegaczy z Podbeskidzia i okolicy. Grupę łączy zamiłowanie do biegania, poczucie humoru oraz niebieskie koszulki z imieniem, numerem i nazwą drużyny. Do zespołu może zgłosić się każdy, kto słysząc tę nazwę, serdecznie się uśmiechnie. Spiritus movens Pędziwiatrów jest Ryszard Kąkol, nazywany przez zawodników Trenerem. To ekspert w ustalaniu planów treningowych, organizacji wyjazdów na zawody i motywowaniu zawodników („Ko-

niec przerwy!”). Trener jest przywiązany do tempa, tętna, prędkości, kadencji, kalorii i wszystkich innych parametrów pokazywanych przez jego ulubiony zegarek. Przed zawodami potrafi wstać o 4 rano, żeby przygotować pozostałym Pędziwiatrom izotoniki. Wielokrotnie stawał na najwyższym stopniu podium, wykręcając karkołomne życiówki. Jego przeciwnictwem jest Bartek „Jabol” Jabłoński, który opatentował własny pomysł na rekordy. W konkretnych zawodach bierze udział tylko raz, bez względu na wynik. Wykręca maksymalne tempo na danej trasie i już na nią nie wraca. Bo przecież za kolejnym razem mógł-

by pobić samego siebie, a po co? Do Pędziwiatrów Na Animuszu należy również m.in. Magda, która 18 kwietnia br. wzięła udział w Biegu Nocnym w Krakowie i do dziś rozentuzjasmowana opowiada o poprowadzonej przez Dziedziniec Arkadowy na Wawelu trasie, gdzie biegaczy witała orkiestra! W skład wchodzi też – uwielbiająca półmaratony i poranne przebieżki Ania oraz autorka niniejszego artykułu.

KLUB TYLKO DLA KOBIEC

Grup takich jak Pędziwiatry Na Animuszu, którym bieganie sprawia frajdę, jest coraz więcej. To między innymi Zadyszka Oświęcim, RozBBiegane Komorowice i od października 2024 roku Damski Klub Sportowy – Modelarnia Biega z Bielska-Białej przy klubie sportowym dla kobiet Modelarnia w Bielsku-Białej. Inicjatorką powstania drużyny jest Angelika Noga, trenerka personalna i licencjonowana instruktorka biegania z wieloletnim doświadczeniem.

– Pojawił się pomysł, żeby stworzyć przestrzeń biegową skierowaną wyłącznie do kobiet – bez presji, bez porównywania się, ale za to z dużym wsparciem. W Bielsku-Białej i okolicach brakowało miejsca, gdzie każda kobieta, niezależnie od poziomu, może przyjść na trening biegowy. Od początku zależało mi nie tylko na bieganiu, ale też na budowaniu relacji. Chciałyśmy stworzyć grupę kobiet, które razem trenują i spędzają czas poza treningami – wychodzą w góry, spotykają się w luźniejszej atmosferze. Nasz pierwszy trening odbył się 14 listopada 2024 roku. Mimo chłodu pojawiło się kilkanaście kobiet – wspomina trenerka. Dziś w treningach regularnie uczestniczy około 13 biegaczek. Co najbardziej motywuje je do wspólnego trenowania? – Atmosfera w grupie – odpowiada bez zastanowienia Angelika Noga. – Bez niej trudno przekonać kogoś do regularnego biegania. To nie są zajęcia fitness w zamkniętej sali – trenujemy na zewnątrz, niezależnie od pogody, więc ten element wsparcia jest kluczowy. Kie-

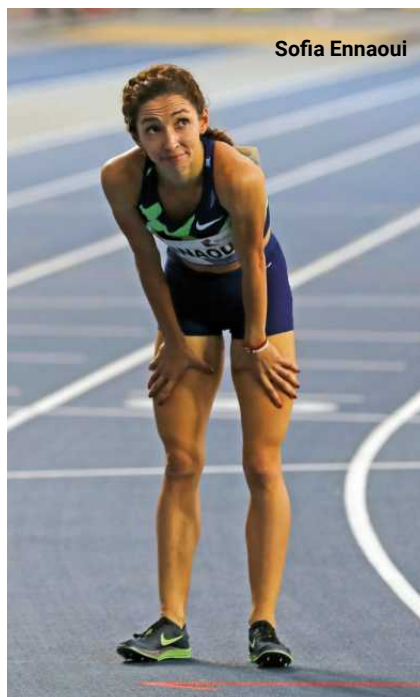


dy wiemy, że idziemy na trening z osobami, z którymi nie tylko poćwiczymy, ale też pośmiejemy się i miło spędzimy czas, motywacja pojawia się naturalnie. A dopiero później przychodzą efekty – poprawa formy, kondycji i rozwój sportowy. To proces, który buduje się właśnie dzięki regularności i dobrej atmosferze – zapewnia trenerka. Kobiety z grupy Modelarnia Biega jeżdżą już razem na zawody.

– Najmilej wspominamy Prosecco Run we Włoszech. Decyzja, czy jechać, zapadła podczas jednego z treningów: stałyśmy gdzieś na rozwidleniu szlaków, nagle padło pytanie „Jedziemy?”. Chwilę później wszystkie krzyczałyśmy „Prosecco Run!”. I to właśnie najlepiej oddaje spontaniczność naszej grupy – wspomina Angelika Noga. – Bieg był świetny, ale równie ważna była atmosfera wokół niego – nie tylko rywalizacja, ale też wspólna zabawa, tańce i czas spędzony razem – podsumowuje trenerka. Zapewnia, że biegać każdy może i to niezależnie od tempa. – Nie bójmy się zacząć. Sama zaczynałam od spokojnych marszbiegów i wiem, że wszystko przychodzi z czasem. Każdy ma swoje tempo i nie ma sensu się porównywać. Najważniejsze jest to, żeby wyjść i spróbować. Od tego zaczyna się cała przygoda z bieganiem.

BIEGANIE NADAL MNIE RELAKSUJE

O podejście do biegania zapytałam też zawodowe biegaczki: Sofię Ennaoui, finalistkę Igrzysk Olimpijskich 2016 w Rio de Ja-



Sofia Ennaoui

Przygotowanie do biegania jest kluczowe, aby z tej „zajawki” sportowej *cieszyć się przez długie lata*

neiro i srebrną medalistkę mistrzostw Europy (2018) w biegu na 1500 metrów, oraz Joannę Józwiak, brązową medalistkę mistrzostw Europy (2014) w biegu na 800 metrów i złotą medalistkę World Athletics Relays (2021). Czy zawodniczki związane

z tym sportem zawodowo potrafią traktować bieganie jako formę odpoczynku od codzienności? – Bieganie jest moją pracą, ale mimo wszystko wciąż potrafi być dla mnie przestrzenią oddechu. Oczywiście – są momenty, kiedy trening jest zadaniem do wykonania: mam plan, cele, presję wyniku. Ale są też takie dni, kiedy właśnie bieganie pomaga mi poukładać myśli w natłoku spraw, wyciszyć się, pobyć chwilę sama ze sobą. Myślę, że wiele osób niezależnie od poziomu zna to uczucie, kiedy po ciężkim dniu wychodzi się pobiegać i wraca trochę lżejszym – mówi Sofia Ennaoui. I dodaje: – Nauczyłam się, że regeneracja nie może opierać się tylko na ruchu. Coraz bardziej dbam też o odpoczynek psychiczny: sen, czas z bliskimi, ciszę, czasem po prostu odłożenie telefonu. To pomaga mi zachować równowagę i nie zamieniać pasji wyłącznie w obowiązek. Joanna Józwiak zakończyła oficjalną, wieloletnią i bogatą w medale oraz wyróżnienia karierę sportową 28 marca 2023 roku. Z bieganiem serdecznie przyjaźni się nadal. – Gdy biegałam zawodowo, moim sposobem na odreagowanie było na przykład wyjście do kina czy na pizzę ze znajomymi, a zatem coś, co nie jest związane z bieganiem. Natomiast w momencie, gdy już trochę czasu minęło od ostatnich zawodów na bieżni, bieganie stało się rekreacją i rzeczywiście wybieram tę formę „odreagowania” stresu. Zupełnie inaczej postrzegam spokojną przebieżkę w lesie czy w parku. Mogę przewietrzyć głowę. Musiałam jednak oddzielić sport, w którym gonilam za

OGŁOSZENIE

**Bieganie
to też
dbanie!**



**ROSSMANN
RUN**

23 maja 2026
weź udział
w Rossmann Run

wynikami, od tego, który jest regeneracją dla głowy – opowiada biegaczka.

PRESJA Z CZASEM ODBIERA RADOŚĆ

Życie zawodniczki to, jak wspomina Joanna, towarzysząca w wielu momentach presja zrobienia dobrego wyniku, porównywanie się z innymi zawodniczkami, nieustanne kontrolowanie ciała. Jak sobie z nią radzić? – Sport zawodowy rzeczywiście wiąże się z dużą presją wyników, oczekiwań, porównań. Łatwo wpaść w myślenie, że ciągle trzeba być szybszą, mocniejszą, „lepszą”. Z wiekiem i doświadczeniem coraz bardziej jednak rozumiem, że porównywanie się do innych na dłuższą metę bardzo odbiera radość, nie tylko ze sportu, ale też z życia. Staram się skupiać na sobie: na swoim rozwoju, zdrowiu, samopoczuciu. Dbam o psychikę tak samo jak o ciało. Rozmawiam z bliskimi, daję sobie prawo do słabszych momentów, staram się nie budować swojej wartości wyłącznie na wynikach. To trudne, bo sport wyczynowy jest bardzo wymagający.

– Właśnie dlatego tak ważne jest, żeby mieć też życie poza stadionem – zauważa Sofia Ennaoui.

Joanna Józwik podkreśla, że na początku nie radziła sobie z presją. – Gdy wiedziałam, że powinnam „dowieźć”, często zawodziłam, bo nie umiałam zarządzić swoimi myślami. Pomógł mi w tym psycholog sportowy. Dowiedziałam się, co na mnie działa i jak powinnam „ustawić” głowę na dobry występ na zawodach. Stąd wiem, jak ważny jest trening mentalny, aby być jeszcze lepszą zawodniczką – wspomina biegaczka. Stara się nie porównywać z innymi.

– Każdy z nas dochodzi do sukcesu swoją indywidualną ścieżką. Często pytana: „czy nam swojego idola?” – odpowiadam, że nie, ponieważ chcę być zawsze lepszą wersją siebie. Porównywać można jedynie wyniki uzyskane podczas tych samych zawodów, gdy panowały te same warunki i każdy miał te same szanse na starcie.

SPORT ŁĄCZY NA CAŁE ŻYCIE

W drużynie Pędziwiatrów Na Animuszu i Modelarnia Biega ważne są relacje. Czy dla zawodniczki trenującej zawodowo bieganie może być szansą do zacieśnienia więzi?

– Bieganie może łączyć ludzi niezależnie od poziomu sportowego. Kiedy spędza się z kimś wiele godzin na treningach, wyjazdach czy zawodach, naturalnie rodzą się re-



Joanna Józwik

lacje, przyjaźnie, czasem coś więcej. W sporcie jest dużo szczeroci: człowiek widzi siebie nawzajem w momentach siły, ale też zmęczenia czy kryzysu. Oczywiście, zawodowe bieganie wymaga dyscypliny i bywa, że podporządkowuje się mu duża część życia. Są okresy intensywnych przygotowań, kiedy trudniej znaleźć balans, ale myślę, że dobre relacje nie przeszkadzają w sporcie, wręcz przeciwnie. Dają poczucie bezpieczeństwa, wsparcie i przypominają, że jesteśmy czymś więcej niż tylko wynikami – opowiada Sofia Ennaoui. Joanna Józwik zapewnia: – W sporcie zawodowym można poznać wspaniałych ludzi z tą samą lub podobną pasją. Te więzi się zacieśniają przez to, że spędzamy ze sobą mnóstwo czasu. To są znajomości na całe życie!

KAŻDY MA SWÓJ POWÓD, BY BIEGAĆ

Co zawodowe biegaczki myślą o coraz bardziej rozbieganych amatorskich grupach? Zawodnikach, którzy pokonują swoje granice, robią życiówki, zdobywają medale? Zdarzyło mi się spotkać Sofię i Joannę na trasie zawodów, ale w roli osób kibicujących. Zapewniam, że przybita podczas zawodów piątka z serdeczną, zagrzewającą do podkręcenia tempa mistrzynią, potrafi dodać łydkom skrzydeł.

– Bardzo cieszy mnie to, że coraz więcej osób biega i robi to na własnych zasadach. Kiedy kibicuję na trasie zawodów, u biegaczy naprawdę widać ogrom emocji: radość, wzruszenie, walkę z samym sobą. Szczerze? Często robi to na mnie większe wrażenie niż profesjonalny sport. Amatorskie bieganie jest najpiękniejsze właśnie wtedy,

kiedy nie chodzi wyłącznie o wynik. Oczywiście, fajnie jest poprawiać życiówki czy realizować cele, ale najważniejsze jest to, żeby ruch dawał radość, wolność i poczucie, że robi się coś dla siebie. Tempo nie definiuje wartości biegacza. Każdy ma swoją historię, swoje możliwości i swój powód, dla którego wychodzi pobiegać. I każdy z tych powodów jest wystarczający – zapewnia Sofia Ennaoui. Coraz większa popularność biegania cieszy też Joannę Józwik. – Jestem zachwycona tym, że coraz więcej Polaków biega. Poniekąd taki jest również cel sportu zawodowego – aby więcej osób próbowało tego sportu amatorsko. Każde tempo jest dobre, jeśli czujemy radość z biegu. Co więcej – każdy dystans jest dobry, jeśli jesteśmy odpowiednio do niego przygotowani. Pamiętajmy jednak, że to przygotowanie jest kluczowe, aby z tej „zajawki” sportowej cieszyć się przez długie lata. Nie lubimy tego słowa na k... [kontuzji – przyp. red.] – podsumowuje biegaczka. ▲

BIEGNIJ Z ROSSMANN RUN, O KTÓREJ CHCESZ I GDZIE CHCESZ

Rossmann Run to wirtualny bieg organizowany przez drogerie Rossmann (edycja 2026: 23 maja), w którym uczestnicy pokonują od 1 do 10 km w dowolnym miejscu (park, bieżnia, las) i o dowolnej godzinie, rejestrując wynik w aplikacji Rossmann PL, która mierzy dystans. Za każdy pokonany kilometr otrzymuje się 5% rabatu na zakupy. Maksymalnie można zdobyć 50% rabatu (za 10 km). Zebrane 5 zł wpisowego wspiera cel charytatywny Polskiego Komitetu Paralimpijskiego. Akcja promuje zdrowy styl życia.

PATENT NA WODĘ

Coś dla odwodnionej skóry! Ulepszona seria Yves Rocher Hydra Water Plump oparta na Edulisie, sukulencie zdolnym do magazynowania wody. Seria zawiera teraz opatentowaną wodę komórkową z Edulisia z własnej ekologicznej uprawy i dodatkowe składniki aktywne, m.in. kompleks bi-hialuronowy, (różne cząsteczki), bisabolol i skwalan (**serum 30 ml/99 zł**).



PRECYZYJNIE

Etat Pur to nowa na polskim rynku marka pielęgnacyjna, opracowana w laboratoriach NAOS, której podstawą są oczyszczanie i nawilżanie, uzupełniane składnikami aktywnymi tylko wtedy, gdy są potrzebne. Promuje odejście od nadmiernej pielęgnacji (**Niacynamid 5%, 15 ml/109 zł**).



WITAMINA BLASKU

Naszej skórze przyda się wiosenny reset. Seria koreańskiej marki Mediheal z witaminą C przywróci cerze świeżość, wyrówna koloryt i wydobędzie blask. Rozjaśniające serum z witaminą C i niacynamidem jest idealne dla zmęczonej, szarej skóry z przebarwieniami (**40 ml/69 zł, drogerie Rossmann, tylko online**).

ROZŚWIETLENIE „ZMĘCZONEJ” SKÓRY

Upragniony glow to jeden z najbardziej pożądaných efektów kosmetycznych. Gdy skóra jest nawilżona, gładka i jednolita, wtedy światło odbija się równomiernie, a skóra wygląda na promienną. To, co może przeszkodzić, to nadmiar wolnych rodników, oddziałujących na skórę (inaczej stres oksydacyjny), które powstają pod wpływem promieniowania UV, zanieczyszczeń środowiskowych oraz światła niebieskiego. Przez nie skóra staje się matowa, szara i traci zdrowy wygląd. Tym, co neutralizuje wolne rodniki i chroni DNA komórkowe, jest kwas ferulowy, jeden z najlepiej przebadanych antyoksydantów. Najlepiej działa on w duecie z witaminą C – zwiększa ochronę skóry przed UV nawet kilkukrotnie. Mechanizm działania zabiegu Ferulac Glow marki Mediderma, opracowanego przez dermatologa dr. Gabriela Serrano, opiera się na synergii kwasu ferulowego i nanosomalnej witaminy C. Rozświetlenia i wyrównuje koloryt, wzmacnia barierę ochronną skóry. Skóra wygląda na zdrowszą, gładką i promienną. Żeby utrzymać efekty, warto stosować po zabiegu kosmetyki z tymi składnikami z serii FR-ANTIOX MD Anti-Pollution, m.in. liposomowe serum z kwasem ferulowym i wit. C, A i E marki Mediderma (zabieg Ferulac Glow w Klinice Dr Chlebus **60 min/450 zł**; serum Mediderma Anti-Pollution **30 ml/248 zł**).



PRZEJDŹ DO MERIT(UM)

Ta minimalistyczna marka z Los Angeles teraz dostępna jest na wyłączność w Sephorze. Merit upraszcza pielęgnację i makijaż, stawia na naturalny efekt i szybkość aplikacji. „Clean beauty” i „clean look” (**MERIT: róż 129 zł, rozświetlacz 155 zł, rozświetlający bronzer 145 zł**).

Wolność
pełnoetatowej pisarki

Wydawnictwo
to hazard

DWUMIESIĘCZNIK
KWIECIEN 2026

wyborcza

KSIĄZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

William Shakespeare

WYBITNY
FACET
ZE STRATFORDU

Basquiat
- typ nie do wytrzymania

Ferdynand Kiepski
ma się dobrze w każdym z nas

Ali Smith:
Perswazja służy władzy



Sponsorka numeru:
**Chimamanda
Ngozi Adichie**

PRZEWODNIK
PO NOWOŚCIACH
NA WIOSNE

W SPRZEDAŻY,
RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ
DO PACZKOMATU

- + Czy to Shakespeare napisał te wszystkie arcydzieła? Rozmowa z najśłynniejszym szekspiologiem świata Stephenem Greenblattem
- + To miała być optymistyczna rozmowa o sukcesie. Agata Romaniuk opowiada Tomaszowi Kwaśniewskiemu o tym, jak to się stało, że utrzymuje się z pisania książek
- + Tragiczna i bezwzględna. Zapowiedziała w książce własną śmierć i słowa dotrzymała. Pół roku po publikacji przedawkowała tabletki nasenne. Portret Tove Ditlevsen